




KLĄTWA SUSZY

SUSIE
MOLONEY

Prószynski i S-ka



„Klątwa suszy” stała się bestsellerem w Ameryce. Podobna w klimacie do „Zaklinacza koni” Evansa, ma szansę stać się i u nas książką numer jeden na listach najpopularniejszych powieści.

Po rolniczych stanach Ameryki wędruje Thomson Leatly – przywoływacz deszczu, który zatrzymuje się wszędzie tam, gdzie jego usługi są potrzebne. Miasto Goodlands od dwóch lat dręczone jest klęską suszy i nie jest to zjawisko naturalne. Miasto to zostało przeklęte, ponieważ został naruszony spokój zamordowanej dziewczyny. Przywoływacz sprowadza wprawdzie deszcz, wyczekiwany przez mieszkańców, ale żywy nie dają za wygraną. Czy Thomson potrafi pokonać złe siły...

Cena 18 zł

Informacje o naszych książkach
można znaleźć na stronie
<http://www.proszynski.com.pl>



Susie Moloney

KLĄTWA
SUSZY

przełożyła
Ewa Gorządek

Prószyński i S-ka
Warszawa 1998

Tytuł oryginału: A DRY SPELL

Copyright © 1997 by Susie Moloney

Projekt okładki:

Copyright © 1996 by Craig DeCamps

Opracowanie merytoryczne:

Łucja Grudzińska

Opracowanie techniczne:

Barbara Wójcik

Skład komputerowy:

Anna Pianka

Korekta:

Jadwiga Przeczek

ISBN 83-7180-920-4

Wydawca:

Prószyński i S-ka SA

02-651 Warszawa, ul. Garażowa 7

Druk: Zakłady Graficzne ATEXT S.A.

Gdańsk, ul. Trzy Lipy 3

tel. (0-58) 302-57-69, (0-58) 302-64-41

Joshowi, który zawsze we mnie wierzył

Za dokonaniem jednego człowieka stoi zazwyczaj wysiłek wielu innych. Chciałabym w tym miejscu podziękować Sharon Alkenbrack, bankierowi o wielkim sercu, Janowi Huffmanowi z Biura Śledczego oraz Gary'emu Proskiwowi, który wie wszystko o podziemnych wyrzutniach rakietowych. Bardzo pomogli mi też współpracownicy „Almanachu Farmerskiego” - Jolanda Bock, dostarczając mi informacji o mapach drogowych, i Stephen George, specjalista od demografii. Jestem również wdzięczna Judy Kift, która zaopatrywała mnie w niezbędne książki. Jak każda matka nie dokonałabym niczego bez dodatkowej pomocy - dziękuję za nią Tammy Hurst-Erskine. Mick Moloney cierpliwie dzielił się ze mną wiedzą z dziedziny rolnictwa, nawet jeśli pytałam cztery razy o to samo. Josh Rioux i Mick czytali wszystko, co napisałam, i wyrażali życzliwą krytykę. Dzięki Michaelowi codziennie miałam powód, aby radośnie wracać do domu. Szczególnie wdzięczna jestem Lynn Kinney, Jackie Cantor zaś pragnę podziękować za cierpliwość i zbawienną radę: prześpij się trochę. Mojej superagentce i przyjaciółce, Helen Heller, dziękuję za cierpliwe odbieranie mnóstwa telefonów.

Prolog

Na Arbor Road straszy. Idący nią miody człowiek nie mógł jednak o tym wiedzieć, była to bowiem historia lokalna. Nie mógł też wiedzieć, że okoliczni mieszkańcy drogę tę nazywają Abattoir Road, Rzeźnicza Droga. Wiła się jak wąż przez las i zarośla, zaskakując kierowców niespodziewanymi, ostrymi zakrętami i nagłymi nachyleniami terenu. Najgorszy kawałek, Śmiertelny Poślizg, miał około ośmiu kilometrów długości i zaczynał się w miasteczku Telander w Minnesocie, niedaleko granicy z Dakotą Północną. Odkąd w 1959 roku położono na tej drodze nawierzchnię, na Śmiertelnym Poślizgu zginęło siedem dorosłych osób, w tym dwie młode matki, i dziewięcioro nastolatków.

Wędrowiec minął łagodny zakręt, z którego roztaczał się widok na prosty odcinek trasy. Szedł wolno, krokiem niemal spacerowym, jak ktoś, kto zamierza iść jeszcze przez długi, długi czas.

Nie wiedział, że tu zaczyna się Śmiertelny Poślizg. Przy drodze nie stały już krzyże i nie było żadnego śladu po ostatnim wypadku. Położone tu kiedyś kwiaty dawno już zeschły i zbutwiały.

Szedł, trzymając ręce głęboko w kieszeniach dżinsów. Był ubrany stanowczo za ciepło, ale ponieważ rzadko się przebierał, lubił nosić to, w czym było mu najwygodniej - nieprzemakalną kurtkę ze skórzanym kołnierzem i mankietami, prawie już czarnymi z brudu zebranego na wielu drogach, a pod nią starą koszulę z koca, którą kupił dwa lata temu w sklepie z używaną odzieżą. Nowy miał jedynie biały podkoszulek firmy Fruit Of The Loom. Lubiał delikatny dotyk białej bawełny, jednak ten podkoszulek był już zszarzały i znoszony. Na

nogach miał grube wełniane skarpetki i wysłużone, porządnie zniszczone buty, wciąż jeszcze bardzo wygodne. Jego matka mawiała: „Masz to, na co sobie zapracowałeś, Tom”.

Na plecach niósł zielony brezentowy plecak, podobny do skautowskiego; jego pochodzenia nie mógłby sobie już przypomnieć. W bocznej kieszeni znajdowało się zawiniątko z tytoniem i bibułki. Niestety, zapalki już mu się skończyły, a zapalniczkę zostawił jakiś czas temu w barze. W innej kieszeni miał licealny podręcznik do gramatyki, podpisany dwoma różnymi nazwiskami matki - panińskim i po mężu; na wewnętrznej stronie okładki z trudem można było odczytać napis na przystawionej tam pieczęci szkoły. Książka wypchana była receptami, których nigdy nie zrealizował, wycinkami z gazet, listami, torebkami po tytoniu, w których trzymał notatki i niewyraźnie zapisane adresy. Wszystkie były już niepotrzebne poza jednym. Adresem nadawcy na oddartym kawałku koperty, aktualnym celem jego wędrówki. Razem z tym świstkiem trzymał zniszczoną, tanią mapę i stronę wydartą z atlasu drogowego. Podręcznik zapisany był w miejscach niezadrukowanych notatkami, robionymi przeważnie po pijanemu. Były to zapiski o sprawach przyziemnych, smutnych, o których lepiej nie pisać i nie czytać.

W plecaku niósł jeszcze dwa podkoszulki, kupione w jednej paczce z tym, który miał na sobie. Poza tym zapasową koszulę, cieńszą, taką, jakich używa się do gry w kręgle, z wyszytym na kieszonce po lewej stronie piersi imieniem Don. Nie było to jego imię. Nazywał się Thompson Keatley, ale od dziecka mówiono na niego Tom.

Miał jeszcze parę skarpetek na zmianę i gazetę sprzed kilku miesięcy - jej stron używał do rozpalania ogniska, gdy był zmęczony, zziębnięty i musiał zatrzymać się gdzieś w krzakach na krótką drzemkę. Oprócz tego pusty karton po mleku, który zamierzał wyrzucić do pierwszego napotkanego kosza na śmiecie, pięć dolarów z drobnymi, przewalające się na spodzie plecaka, i małą latarkę z wyczerpanymi bateriami. Nic nie szkodzi, lubił ciemności.

Do spodu plecaka dwoma grubymi czarnymi sznurowadłami przytroczył szary, wyświechtany pled wojskowy. Koc był szorstki i gryzący, ale lepsze to niż spanie na gołej ziemi.

Z ubrania przypominał typowego amerykańskiego włóczęgę, lecz na jego policzkach widać było tylko cień jednodniowego zarostu. Najczęściej golił się na sucho, przykucając na moment nad jeziorem, rzeką, a nawet kałużą, aby zobaczyć swoje odbicie w lustrze wody.

Miał dużą wprawę i rzadko się zaciął. Lubił deszcz obmywający mu twarz i pieszczoty delikatnego wiatru na skórze.

Mocno zarysowany, kanciasty podbródek świadczył o jego stanowczym charakterze, ciemna opalenizna - o wielu dniach spędzonych na świeżym powietrzu. Był szczupły i słusznego wzrostu, a spadające na ramiona włosy jeszcze go wysmuklały.

Kobiety spotykane po drodze, głównie w barach, uważały go za przystojnego, chociaż jeśli nie były bardzo pijane, nie rozmawiały z nim dłużej niż kilka minut. Gdyby ktoś je spytał dlaczego, powiedziałyby, że powodem są jego oczy. Jeśli nie odpowiadało mu towarzystwo, a tak było prawie zawsze, wystarczyło tylko, aby przymrużyć powieki. Docinki kolesiów przy barze natychmiast ustawały i słyszał: „No to na razie, stary”. Posiadał trudny do wytłumaczenia dar przyciągania do siebie ludzi. Wyglądało na to, że wszystko zależy jedynie od jego decyzji.

Zbliżał się do najniebezpieczniejszego odcinka Abattoir Road, do Śmiertelnego Poślizgu.

Legenda i groza tego fragmentu drogi stanowiły atrakcję dla licznych dzieciaków, które przyjeżdżały tu samochodami, gdy na ich prawach jazdy nie wysechł jeszcze dobrze klej pod zdjęciem. Cała sztuka polegała na tym, aby przed dojechaniem do Śmiertelnego Poślizgu rozpedzić się do setki i „odlecieć”. Jeżeli komuś udało się przebyć ten odcinek cało, zyskiwał szacunek w oczach kolegów. Jeżeli nie, kumple pamiętali o nim długo, a rodzice mieli kogo opłakiwać.

Arbor Road łączyła miasteczka Telander i Oxburg. Władze żadnego z nich nie powzięły decyzji o wyprostowaniu jezdnii, gdyż wymagałoby to tak wielkich nakładów finansowych, że nawet wspólna inwestycja nie wchodziła w grę. Nie obniżono również dopuszczalnej prędkości na tym niebezpiecznym odcinku, bo i tak wszyscy ją przekraczali, zarówno doświadczeni kierowcy, jak i świeżo upieczeni. Znaki drogowe informowały o ograniczeniach do pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, jednak nikt tu tak wolno nie jeździł. Nawet w czasie śnieżnej zimy.

Na największe niebezpieczeństwo narażona była młodzież. Zawsze gdy w wypadku samochodowym ginął jakiś chłopak lub dziewczyna, koledzy ze szkoły i przyjaciele ofiar przyklepiali na drzewie przy drodze biały krzyż, jarzący się w ciemnościach. Pełnił rolę ostrzeżenia.

Mniej więcej po dwóch tygodniach białe krzyże znikaly z drzew i nikt nie wiedzial, co sie z nimi dzialo.

Zaczelo sie to wszystko pientnascie lat temu, kiedy Richard Wexler i jego kumpel Wesley Stribe nieszczesliwie „odlecieli” stąd na zawsze. Dwaj absolwenci szkoly sredniej, gotowi do rozpoczecia beznadziejnie malo atrakcyjnego zycia ludzi doroslych.

Dicky prowadzil wtedy swoja ukochana bryczke, olbrzymiego mercury montcalma, ktory byl tak podrasowany, ze osiagal olbrzymia prędkosc. Dodatkowo zamontowane reflektory z tyłu oraz własnej roboty spoiler dzialaly odstraszaajaco i matki nie pozwalaly córkom wsiadac do tego samochodu.

Wesley i Dicky często urywali sie ze szkoly i po wypiciu kilku butelek piwa grzali Arbor Road, przechwalajac sie, kto częsciej sie pieprzył. Jesli nawet Wesley mial czasami dosc ordynarnych zartow Dicky'ego, nigdy nie dal tego po sobie poznac. Zwykle jezdzili mercury tylko we dwuch. W towarzystwie Wesleya Dicky mogl bezwstydnie przechwalac sie, jaki z niego twardziel, kogo mogleby kopnac w dupę i kogo juz kopnal, od czasu do czasu szturchajac boleśnie kumpla w bok. Wesley dla odmiany opowiadal, ile panienek wydmuchal w czasie weekendu, jak wielkiego ma kutasa i jak bardzo kochaja go wszystkie laski - jedna nawet placi mu za to. Dicky, sluchajac tego, rzadko pozwalal sobie na kpiny.

Tak wiec jechali samochodem w sobotni wieczor roku 1980, kiedy to Ronald Reagan prowadzil swoja kampanie prezydencka, a koszmarne dlugie, nudne lata siedemdziesiate wlasnie dobiegaly konca. Na autostradzie Telander-Johannason wciadz mozna bylo dostac kokaine, a AIDS i yuppies to byla jeszcze sprawa przyszlosci. Wesley i Dicky pedzili montcalmem po Arbor Road, ryczac do wtoru puszczonej na caly regulator piosenki „Thunderstruck” AC/DC.

- Ciagnij druta! - zawolal Dicky ni w piec, ni w dziesiec.

Gdy tylko przejechali pierwszy z niebezpiecznych zakretow, Dicky znowu zwiekszil prędkosc do osiemdziesiatki. Szyby w oknach byly opuszczone i chlopcy wystawiali lokcie na zewnatrz, na goracy i suchy letni wiatr.

- Za niecalo cztery pierdolone tygodnie zaczyna sie pierdolona szkola, a nas tam nie bedzie!!! - wrzasnal Wesley.

- Moga mi obciagnac druta!!! - chorem zawolali chlopcy, dajac w ow upalny wieczor wyraz swojej wolnosci. Obaj mieli na koncowych

świadczeniach same mierne oceny, wynik długotrwałych zabiegów zdesperowanych rodziców.

Licznik wskazywał dziewięćdziesiąt kilometrów. W świetle reflektorów wyłonił się Śmiertelny Poślizg, rozpoczynający się ostrym zakretem w lewo.

- Odlatujemy! - było to ostatnie słowo, jakie wypowiedział Dicky, i jednocześnie ostatnie, jakie usłyszał Wesley.

Samochód oderwał się od nawierzchni i wbił w potężny pień rosnącego na poboczu dębu. Wesley zginął, zmiażdżony siłą uderzenia. Jedno ramię miał oderwane, a obie nogi pogruchtane drzwiami, które z ogromną siłą wbiły się do wnętrza wozu i wgniotły w sufit. Dicky zmarł w wyniku ran głowy, przelatując przez przednią szybę. Mia przetrażony kręgosłup, poharatane obie ręce i roztrzaskaną czaszkę co według lekarzy było bezpośrednią przyczyną jego śmierci.

Po tym wypadku Arbor Road przechrzczono na Abattoir Road i zaczęło tam straszyć.

Ducha widziało wystarczająco wiele osób, aby temat ten pojawił się w programach telewizyjnych traktujących o zjawiskach nadprzyrodzonych. Wciąż zgłaszali się ludzie i opowiadali, że musieli nagle hamować, widząc przed maską samochodu chłopaka, który zaraz potem rozplywał się w powietrzu. Zanotowano aż trzy przypadki gdy trzeźwi kierowcy spowodowali kraksy, nie chcąc wpaść na pieszego. Jego rysopis za każdym razem był taki sam.

Ten znikający chłopiec był prawdziwym zagrożeniem.

Młodzi ludzie urządzali na Rzeźniczej Drodze seanse spirytystyczne, próbując przywołać ducha Dicky'ego, gdyż wszyscy wierzyli, że on właśnie jest tą niebezpieczną zjawą. Najczęściej kończyło się rozpaczliwym płaczem dziewcząt, a chłopcy musieli się dobrze napocić, aby ich jądra zeszły znowu w dół. Histeria trwała jeszcze kilka godzin po seansie, gdy wszyscy byli już w domach, bezpieczni pod opiekuńczymi skrzydłami rodziców.

Telewizja musiała w jakiś sposób ukonkretnić ducha, a znając Dicky'ego, z pewnością życzyłyby sobie być w centrum uwagi, pobrękując łańcuchami i skacząc przed maskami samochodów, strasząc jednego kierowcę za drugim. Za życia miał opinię ordynarnego łobuza, po śmierci uczyniono zeń jeszcze okrutnika. Przedstawiano go tak, jakby lubował się w zabijaniu ludzi, nie zadowolając się tylko straszaniem. Jakby bawiło go obserwowanie śmiertelnie przerażonych kierowców, którzy gwałtownie zjeżdżali na pobocze i wylatywali przez

przednią szybę, aby stać się dla niego ponurym towarzystwem na wieczność.

Tamtej bezchmurnej nocy Śmiertelny Poślizg oświetlony był jasnym blaskiem księżyca. W zaroślach na poboczu rzeczywiście czaił się duch. Dicky Wexler nie wyglądał jednak tak, jak wyobrażali sobie jego znajomi. Nie mogąca zaznać spokoju dusza unosiła się ponad krzakami jako niewidzialny obłoczek, zespolenie mgły i energii.

Duch raczej wyczuł niż usłyszał lub zobaczył zbliżającego się wędrowca i począł unosić się coraz wyżej, przybierając bardziej spójny kształt. Powoli płynął w stronę drogi, podczas gdy człowiek zbliżał się w jego stronę pewnym krokiem, miarowo wystukując rytm na szosie.

Gdy zjawa była już dosłownie o krok od wędrowca, nagle opuściła ją cała buńczuczność i zuchwalstwo. Złośliwy duch okazał się całkowicie bezsilny wobec napotkanej mocy, która pochodziła z jakiejś nieznannej głębi. Zamarł w miejscu, sparaliżowany strachem.

Thompson Keatley szedł dalej przed siebie, nie podejrzewając nawet obecności Dicky'ego Wexlera.

Arbor Road przechodziła w główną arterię miasta Oxburg. Thompson Keatley znajdował się mniej więcej o dzień drogi od celu swej wędrowki. Człowiek bez stałego adresu szedł ulicą, której nazwy nie zapamiętał. Parę minut wcześniej minął kilka tablic i znaków drogowych. To, czy je widział, nie miało najmniejszego znaczenia. Pamiętał ze szczegółami mapę, którą wydarł kilka miesięcy temu z atlasu drogowego w małej bibliotece, gdzieś w Wirginii Zachodniej. Wiedział, że idzie w dobrym kierunku. Był obdarzony znakomitym poczuciem orientacji i zmysłem topograficznym.

Szedł wolno poboczem, jak czynił to już od wielu dni, z wyjątkiem początkowego odcinka drogi z Columbus do Sioux City, który przebył autobusem, gdyż czuł się wtedy wyjątkowo słabo. Starał się korzystać ze środków komunikacji tylko w wyjątkowych sytuacjach. Uważał, że jeżeli zamierza podróżować jak wieśniak, musi pokonywać drogę na piechotę.

Wyczuwał zbliżający się od wschodu deszcz. Ubranie już mu wyschło, ale nie miał nic przeciwko temu, by znowu było mokre. Przywykł do chłodu i wilgoci.

Po trzydziestu minutach marszu wyszedł na otwartą przestrzeń. W oddali zobaczył światła. Znajome światła. Wiedział, co oznaczają, chociaż nigdy dotąd nie zawędrował tak daleko na północ (nie licząc

Nowego Jorku) i nie miał zielonego pojęcia, co mogło mu zaferować miasto Oxburg. Neonowe i błyskające światła oznaczały bliskość baru. Baru, który był nieodzownym elementem każdego miasta i miasteczka w całych cudownych Stanach Zjednoczonych Ameryki, Boże pobłogosław nas, każdego z osobna i wszystkich razem.

Pięć dolarów i trochę drobnych nie wystarczyłoby mu na wiele, a poza tym obiecał sobie, że poczeka z dogadzaniem sobie, aż wpadnie mu następna robota. Nigdy nie dotrzymywał takich przyrzeczeń, ale i tak ciągle je sobie składał. Nie czuł żadnych wyrzutów sumienia po złamaniu takich obietnic. Kiedy jesteś zmęczony, śpisz; kiedy jesteś głodny, jesz; kiedy kiszki marsza grają, uczysz je w najbliższym barze. Jasne jak słońce.

Każdy amerykański bar ma w sobie coś takiego, że człowiek zaraz po wejściu czuje się jak u siebie w domu. Jakąś obietnicę wspólnoty, przynależności, dzięki której możesz przestać udawać i być po prostu sobą. Jakieś kosmiczne odprężenie, witające cię już od progu, ogarniające ciebie i tych, którzy już tam są, szczęśliwi, że widzą następnego zmęczonego przechodnia, pragnącego na chwilę zawinąć do portu, wypić coś i nasycić się swojską atmosferą niczym garścią witamin naładować cudzą depresją. Po kilku godzinach jesteś już gotów sam wymyślać historie, jakim krezusem będziesz, gdy tylko uda ci się zrobić następny interes, gdy tylko doczekasz się ważnego telefonu.

Bar nazywał się, jak głosił wypalony miejscami neon, CHARLIE CHU K S THIRSTY B Y. Tom pchnął drzwi, coraz mocniej czując nadciągający deszcz.

Nastawiona na cały regulator szafa grająca sprawiała fałszywe wrażenie, że w środku jest tłoczno, chociaż zajęte były tylko trzy stoliki, a przy barze siedziało raptem kilku facetów. W głębi jakaś podchmielona starsza kobieta czytała książkę, kołysząc się w tył i w przód, gdy przewracała kartki. Tom podeszedł do baru i usiadł daleko od rozkrzyczanej grupki mężczyzn.

Barman spojrzał pytająco i Tom, przekrzykując muzykę, zamówił piwo. W miarę jak opadał z niego zebrany na drogach kurz, poddawał się dobrem nastrojowi.

Wyciągnął pieniądze, a plecak rzucił na podłogę. Zapłacił za piwa drobnymi, które ułożył w słupek z pięciocentówką na wierzchu. Barman wziął pieniądze, zostawiając pogardliwie pięć centów na przesiąkniętym piwem kontuarze. Tom popchnął monetę w jego stronę. Kto wie, może zostawi mu jeszcze jedną, zanim skończy się

wieczór. Stawał się hojny tylko wtedy, gdy był na dobrym gazie, ale pięć dolarów dobrze nie rokowało. Jeżeli chciał jutro coś zjeść, musiał zostawić sobie trochę kasy.

Skończyła się piosenka z szafy grającej i nagle słychać było wyraźnie, o czym rozmawiają faceci przy drugim końcu baru. Głośno kłócili się o to, co ktoś zrobił albo nie zrobił z samochodem niejakiego Gage'a.

- Nie chodzi o tę zasaną sprawę, dostałem go z powrotem i teraz mam nowy, zasrany problem, i tyle - ryczał Gage, wymachując palcem przed nosem jednego z kolegów. Na głowie miał baseballową czapkę z napisem „Lansdown Motors”, której daszek wysmarowany był jakimś tłuszczem.

Gage był najbardziej pijany z całego towarzystwa, ale bateria butelek na barze wskazywała, że pozostali niedługo mu dorównają.

- Głupi skurwysyn - rzucił jego kumpel.

Gage zarechotał, a siedzący obok facet z rudą brodą powiedział, że zawiózł cruisera do pośrednika.

- Inaczej bym się go nie pozbył - dodał.

Pozostali mieli inne zdanie i zaczęła się bezowocna dyskusja o cenach. Kobieta z końca sali kiwała się nad grającą szafą i zamknąwszy jedno oko, próbowała odczytać tytuły piosenek.

Przy stoliku obok szafy siedziało trzech mężczyzn, którzy z zainteresowaniem przyglądali się Tomowi. Widząc to, uklonił im się, a oni skinęli głowami, niespiesznie popijając piwo. Patrząc na ich pochylone ku sobie głowy, poważne i nieruchome twarze, odniósł wrażenie, że rozmawiali o czymś dużo poważniejszym. Usłyszał wyraźnie tylko jedno słowo: „Deszcz”.

Kobieta odeszła od grającej szafy, drobiąc dziwacznie nogami, jakby parodiowała taniec. KT Oslin zaczął śpiewać piosenkę o małych miasteczkach. Głosy mężczyzn przy stoliku znowu zagłuszyła muzyka. Tom wychylił resztę piwa i dał znak, że prosi o następne. Z pełną szklanką podszedł do szafy. Został mu już tylko dolar.

Udając, że czyta tytuły piosenek, starał się podsłuchać rozmowę przy stoliku. Głosy docierały do niego zmieszane ze słowami piosenki.

Dopiero po chwili udało mu się wyłowić sens rozmowy.

- Tank powiedział, że jeżeli w tym roku nic się nie zmieni, będzie musiał zawieźć ich do siostry na Florydę.

- Chyba nie mówił tego serio?

- Moim zdaniem serio. To już czwarty rok. Cztery lata suszy! Jakiś facet przy drodze numer 70 postawił wielki drewniany krzyż na swoim trawniku i każdego wieczora modli się pod nim razem z całą rodziną. Czy sądzisz, że on też żartuje?

- Chryste! Trzeba się nad tym zastanowić.

- Chyba ktoś rzucił kłatwę.

Zanim z szafy rozległ się cedzący słowa głos Conwaya Twitty, Tom usłyszał jeszcze ostatni komentarz.

- Trzeba się zastanowić, dlaczego zdarzyło się to właśnie tutaj.

Tom zamknął oczy. Grająca szafa, bar i rozmawiający mężczyźni zniknęli. Czuł nadciągający deszcz. Ze wschodu. W mieście i okolicy panowała susza. Nie spadła ani kropla już od pięciu dni, może nawet dłużej. To wystarczyło, aby ludzie poczuli niepokój.

Wolno otwierał oczy, patrząc na długą kolumnę tytułów w grającej szafie, głosy mężczyzn znowu docierały do niego w urywanych sekwencjach.

Począł, aż skończy się piosenka, i podszedł do stolika.

Kiwnął głową na powitanie. Wszyscy trzej mieli na sobie podniszczone, robocze ubrania, jakie noszą farmerzy. Czuć było od nich zapach pól i zwierząt. Tom dobrze znał tę woń, tak samo dobrze, jak zapach ziemi po deszczu.

Ten, który znał Tanka, miał posturę boksera, kilkudniowy ryż; zarost i zepsute przednie zęby. Gdy Tom stanął przy stoliku, szczerbaty spojrział na niego bez większego zainteresowania. Jedyne długie kręcone włosy Toma, związane w koński ogon, wywołały na jego twarzy grymas dezaprobaty. Pozostali dwaj ani drgnęli.

- Co tam? - zapytał w końcu ten w czapce z daszkiem.

Tom cały czas stał, spoglądał na puste czwarte krzesło. Zaproszenie jednak nie padło. Trzeba jeszcze poczekać.

- Słyszałem, że rozmawiacie o deszczu - powiedział.

- No i co? - stwierdził niezbyt uprzejmie ten w baseballowej czapce. Jego sąsiad miał na sobie drelichowy kombinezon i buty powalane krowim łajnem. Tom widział to i czuł. Zastanawiał się, co powiedziała by żona tego człowieka, gdyby wszedł w tych buciorach do domu. Może właśnie dlatego siedział w barze.

- Mogę sprawić, że spadnie deszcz - oznajmił.

Trzy pary oczu tępo się w niego wpatrywały.

- Za... - skalkulował szybko, ile forsy mogą mieć przy sobie faceci - pięćdziesiąt baksów.

Przez chwilę panowała cisza, aż wreszcie ten z zepsutymi zębami wyprostował się i odwrócił wzrok pełen niesmaku od fryzury Toma.

- Spierdalaj - rzucił krótko.

Pozostali dwaj także stracili zainteresowanie jego osobą i powrócili do kufli. Chudzielec obok faceta w czapce głośno przełknął łyk piwa. Uprzejmy dźwięk, przerywający ciszę.

- Macie tu suszę, prawda? Nie padało od pięciu dni? - Tom zdecydował się jeszcze raz zagadać. Zwykle miał rację, chociaż bywało, że się mylił. Mogło padać wczoraj i już wyschnąć.

Trzej mężczyźni znowu spojrzeli na niego. A więc chyba miał rację. Zanim któryś z nich zdążył się odezwać, Tom zaczął szybko i potoczyście przedstawiać jeszcze raz swoją propozycję.

- Mogę sprowadzić deszcz, bez pudła, za jedyne pięćdziesiąt docłów. Wyjdziemy na dwór i zacznie padać.

- Pogoda jest taka, że przez kilka dni nie spadnie ani kropla - powiedział ten w czapce. - Czemu nie posłuchasz rady Blake'a i nie spylisz się do kąta... hipisie.

Wymówił to słowo tak, jakby nazwał kogoś ciotą na herbatce u republikanów. Tom nie ruszał się z miejsca, obliczając swoje szanse. W kieszeni wymacał banknot jednodolarowy. Oddech miał coraz szybszy i był pewien, że niedługo spadnie deszcz. Przenosił wzrok z jednej twarzy na drugą, aż w końcu zauważył w oczach Blake'a cień zainteresowania.

- A jak chcesz sprowadzić ten deszcz, chłopcze? - zapytał w końcu Blake.

- Sprowadzę go za pięćdziesiąt baksów - uśmiechnął się Tom.

Na zewnątrz panowała ciemność, rozjaśniona kolorowym światłem neonu i zdecydowanie mniej barwnym blaskiem księżyca. Tom z bijącym sercem głośno wciągał nosem powietrze. Z wrażenia trochę kręciło mu się w głowie, swoje zrobiły także wypite na pusty żołądek piwa.

Męskie trio postępowало za nim krok w krok.

Blake zatrzymał się przy ciężarówce i otworzył drzwi od strony pasażerskiego fotela. Przez chwilę nurkował wewnątrz kabiny, aż wreszcie wyprostował się, trzymając w ręku butelkę bourbona Wild Turkey.

- No dobrze, gówniarzu, zrób coś, żeby padało - powiedział, otwierając flaszkę.

Wlał w siebie spory łyk i podał ją koledze w czapce, który też wypił i wręczył butelkę nerwowemu chudzielcowi. Żaden nie zaproponował alkoholu Tomowi.

- Muszę wyjść na otwartą przestrzeń - oświadczył farmerom.

Blake uśmiechnął się i mrugnął porozumiewawczo do kolegów. Zmrużył oczy z okrutną satysfakcją.

- Nie ma problemu - powiedział.

Chudzielec zachichotał nerwowo.

Podając sobie butelkę, ruszyli za Blake'em, który prowadził ich ścieżką między krzakami, coraz dalej od drogi i światel baru „Thirsty Boy”. Muzyka była coraz słabiej słyszalna, zamieniała się w nieuchwytną wibrację.

Zatrzymali się na wielkim, pustym placu, zaśmieconym odpadkami cywilizacji - oponami, puszkami, butelkami po piwie, petami i pustymi kartonami. Na ziemi wały się papierowe torby, które wiatr zwiewał na pobliskie drzewa.

- No to jesteśmy - powiedział Blake, rozkładając szeroko ręce. - Otwarta przestrzeń. Czy potrzebujesz czegoś jeszcze? Czegoś do odprawiania czarów? Oka ropuchy? Telefonu do Pana Boga?

Pozostali roześmiali się. Chudzielec, który trzymał flaszkę, wlał w siebie jeszcze trochę bourbona. Nie docierał tu już nawet najslabszy ślad muzyki, ale Tom słyszał w powietrzu coś innego, zupełnie nową wibrację. Złą.

Ignorował ich, ignorował głupie żarty i docinki, a także narastającą pijacką agresję. Zamknął oczy i zanim zaczął się od nich oddalać, pomyślał, że powinien życzyć sobie zapłaty z góry. Zawsze o tym zapominał.

Stojąc na porośniętym trawą wzniesieniu, całkowicie zablokował swój umysł.

Odpłynął w górę, do nieba. Wysoko, gdzie w przyprawiającej o zawrót głowy przestrzeni nie było niczego poza powietrzem, suchym, gorącym powietrzem. Pozwolił, aby całkowicie wypełniło go niebo, głąskał je, nurzał się w nim i odpychał od siebie, próbując wytropić deszcz. Jakieś sześćdziesiąt kilometrów na wschód od miejsca, w którym się znajdował, poczuł wilgoć. Najpierw pojawiła się w jego ustach, następnie ogarnęła całe ciało: pod pachami, na karku, wzdłuż pleców, w końcu na włosach. Jego energia złączyła się z grubymi, nabrzmiętymi kropelkami wody. Poczul deszcz i wyteżył wszystkie swoje moce.

Blake pociągał z butelki i bacznie obserwował stojącego nieruchomo jak posąg hipisa, spoconego z wysiłku, albo raczej w efekcie zażycia narkotyków. Przygoda straciła swoje walory rozrywkowe. Jednak bourbon stwarzał nowe możliwości.

Kumple Blake'a czekali tylko na jego sygnał, gotowi natychmiast włączyć się do akcji w sposób, jaki zaproponuje prowodyr. Zachowywali się jak mali chłopcy, naśladowujący starszego kolegę.

- Hej! Pedziu! Co z tym pieprzonym deszczem?! - wykrzyknął Blake bełkotliwie, głosem zniekształconym sporą ilością wypitego alkoholu.

Gleason, ten chudzielec, zachichotał.

Tom nie ruszył się z porośniętego trawą wzniesienia, ignorując uwagi Blake'a i jego kompanów.

Ten w czapce, znany w Oxburgu jako Ben Jagger, przejął butelkę. Czuł wiszącą w powietrzu rozróbę i serce zaczęło mu szybciej bić.

- Coś mi się wydaje, że ten hipis jest zdrowo naćpany - rzucił Blake.

- Możesz się założyć o własny tyłek - powiedział Gleason. Mocno już wstawiony po pięciu piwach i ćwiartce bourbona, znalazł wreszcie właściwy dla siebie język. - Możesz się założyć o własny tyłek, Blake. On jest na zdrowym haju.

- Myśli, że znalazł naiwniaków - mruknął Blake, zabierając Jaggerowi butelkę. Wysączył płyn do dna, chwycił flaszkę za szyjkę i cisnął w pobliskie krzaki. Upadła z głuchym stukotem. Nienawidził takich typków, zjawiających się zniienacka w mieście i wykorzystujących żony porządnych facetów. Zwykli podrywacze.

- Tacy jak on używają sobie z naszymi kobietami - rzucił w przestrzeń.

Jagger zarechotał złośliwie. A zatem o to chodziło. Blake miał kompleksy na punkcie pożycia z żoną. Całkiem możliwe, że taki obdartus lepiej zadowolony ją w łóżku niż pięciominutowe obłapienie się z Blake'em, którego przeżywała Ryż Błyskawiczny. Jagger wiedział o tym i uśmiechnął się pod nosem.

Tom wniknął jeszcze głębiej w przestrzeń nieba, ciągnąc w dół krople dżdżu. Woda już po nim spływała - był to deszcz, padający zarówno z nieba, jak i z niego samego. Bezwiednie podnosił do góry ramiona, otwierał dłonie. Po jego ramionach spływał deszcz. Gruba koszula i podkoszulek były już kompletnie przemoczone, ortalionowa kurtka powoli nasiąkała wodą. Dżinsy ściemniały w kroku i wzdłuż nogawek od mokrych plam, jakby się zsikał.

Miał go wreszcie. Już był jego, ciągnął go, czując na twarzy gorący, wilgotny wiatr. Obejmował ciało deszczu, ciepłe, mokre i pełne. Trzymał go tam wysoko, ponad ich głowami, i pozwalał spływać w dół.

Farmerzy na moment znieruchomieli, zaskoczeni nagłym deszczem. Blake zrobił krok w kierunku Toma.

- Ja pierdolę - wykrztusił Jagger.

Deszcz lunął nagle z taką gwałtownością, że Blake zastygł w pół kroku, gapiąc się z głupim wyrazem twarzy w niebo. Po chwili zaskoczenie minęło, a jego miejsce zajęła nie wróżąca nic dobrego determinacja. Sięgnął niezgrabnie do kieszeni spodni. Światło księżyca padło na niewielki przedmiot, który błysnął w jego dłoni.

Akurat w tym momencie Tom opuścił ręce i otworzył oczy. Był z siebie bardzo zadowolony i nie zauważył, co się święci. Spojrzał z dumą na otaczających go półkołem mężczyzn.

- Pięćdziesiąt baksów - zaczął i przerwał, widząc uniesioną rękę z nożem.

- Pierdolony hipisowski jebako! - krzyknął Blake.

Nóż opadł w dół, ale rozminął się z celem o włos. Blake stracił równowagę, ramieniem uderzył boleśnie Toma w udo. Obaj jednocześnie upadli.

Chłopak zwinnie przekoziółkował w bok, zarabiając jedynie kopniaka zabłoconym butem. Jagger uśmiechnął się ponuro i z całej siły kopnął go w kącik oka. Tom zawył z bólu.

Deszcz padał coraz mocniej. Wzmagął się, w miarę jak Jagger ponawiał kopnięcia.

Blake stanął wreszcie na nogi i schylił się po nóż. Ulewa bębniła o wysuszoną ziemię.

Ostrze noża ponownie zabłysło w świetle księżyca. Blake, potykając się, szedł w stronę Toma, ze szklistym wzrokiem przepelnionym bezmyślną agresją.

Gleason przyglądał się im z tępyim zadowoleniem. Potrząsał co chwila głową i zastanawiał się, czy nie powinien powstrzymać Blake'a, ale wiedział, że nóż mógłby się wówczas obrócić przeciw niemu. A to byłoby źle, naprawdę bardzo źle, pomyślał. Rzucił się do ucieczki w krzaki, krzycząc głośno, choć zupełnie nie zdawał sobie z tego sprawy.

- Wypatroszę cię - charczał tymczasem Blake.

Jagger był coraz bardziej pobudzony. Tylko raz spojrzął w niebo. Ten gówniarz rzeczywiście sprowadził deszcz, pomyślał. A potem znowu zaczął obserwować Blake'a, ciekaw, co kumpel zamierza zrobić.

Tom zerwał się na równe nogi, szczękając zębami. Gdyby Blake zdołał dostrzec zmianę, jaka zaszła w jego twarzy, z pewnością by się powstrzymał. Tom, już gotów do walki, krążył wokół niego jak drapieżnik szykujący się do ataku. Powietrze było nieprawdopodobnie naładowane elektrycznością. Deszcz lał strumieniami, które tworzyły ścianę wody. Tom zauważył, że Blake niezgrabnie przeciera mokre oczy.

- Nic nie widzę, do kurwy nędzy! - usłyszał jego głos, z trudem przebijający się przez szum deszczu.

Zaraz potem rozległ się krzyk Jaggera:

- Dołóż mu, Blake!

Gdzieś w górze nastąpiło potężne wyładowanie elektryczne. Odległy pomruk grzmotu szybko się wzmaczał i przybliżał. Nagle niebo przeszła błyskawica.

Tom stał w strugach deszczu, wyprostowany niczym antyczna kolumna. Wokół niego waliły pioruny.

Jagger już uciekał, gdy piorun uderzył metr od niego. Ziemia zadrzęła, zachwiał się i upadł na tyłek. Zaczął wrzeszczeć, ale jego głos zagłuszył następny grzmot.

Kolejny piorun uderzył w ziemię tuż obok Blake'a, strzelając językiem prądu przez kałuże, niemal do jego stóp. Blake zrobił krok w kierunku Toma.

Przez zasłonę deszczu widział jego twarz, zwróconą w stronę nieba, zamknięte oczy i dziwny uśmiech, błakający się w kącikach ust. Wyciągnął nóż.

Tom odwrócił głowę i spojrzał prosto w jego zwężone nienawiścią oczy. W tym samym momencie w czubek noża uderzył grom. Blake, powalony na kolana, zawył z bólu. Jego prawa ręka zaczęła się tlić, bo prąd elektryczny przebiegł ze stalowego ostrza do łokcia i dopiero stamtąd do ziemi.

Tom z trudem oddychał, chwytając powietrze dużymi haustami. Był przemoczony do suchej nitki. Pioruny przestały bić tak samo nagle, jak zaczęły. Deszcz wciąż padał, ale była to już spokojna, dobroczynna ulewa.

Młody mężczyzna podszedł do Blake'a i przewrócił go na bok. Cierpliwie sprawdzał kieszenie w jego roboczych dżinsach w poszukiwaniu portfela. Wreszcie znalazł. Z grubego zwitka banknotów wyciągnął dwa dwudziesto- i jeden dziesięciodolarowy. Trochę pieniędzy wypadło na mokrą trawę, ale ich nie podniósł.

- Pięćdziesiąt baksów, ty zawszony wieśniaku - powiedział, rzucając portfel w kałużę. Deszcz powoli ustawał. Tom wciąż czuł, jak mu wali serce, jednak gniew powoli mijał. Wetknął pieniądze do kieszeni i podniósł z ziemi swój plecak, cały przesiąknięty wodą.

Przemierzał plac, nie oglądając się za siebie. Wciąż jeszcze zaciskał zęby, ale napięcie już go opuszczało. Woda chlupotała mu w butach. Szedł w stronę autostrady, z której zbieżył do baru. Nie przejmował się nie zapłaconym rachunkiem za piwo i pozostawionym na placu człowiekiem z na wpół spaloną ręką.

Wieśniak zasłużył na to.

Tom zanurzył się w noc, czując uwierający go w udo zwitek banknotów.

Od miejsca, do którego zmierzał, dzielił go jeszcze dzień drogi.

Stanął na chwilę, by się wysikać. Nie wziął nawet pudełka zapalek z baru. Po solidnym deszczu zawsze miał ochotę na papierosa.

Rozdział 1

Mieszkańcy Goodlands w Dakocie Północnej mawiają, że z ich miasta można się dostać wszędzie w ciągu godziny, pod warunkiem że będzie to Bismarck albo międzystanowa autostrada numer 94. Jeżeli ktoś chciałby jednak udać się do Kanady, Dakoty Południowej, Minnesoty czy Montany, powinien na wszelki wypadek wziąć ze sobą coś na lunch. Goodlands, mała kropka w środku stanu, jest miastem samodzielnym. Od stu lat posiada własny samorząd, a jego mieszkańcy już dawno stali się tak niezależni, jak byli samowystarczalni. Mieli wszystko, czego potrzebowali. Ziemia zawsze była tu żyzna i urodzajna, niebo zaś dalekie i bezkresne. Paliwo tanie, podatki niskie, morale wysokie, a styl życia uwarunkowany potrzebami rodziny, czyli zupełnie inaczej niż w tych miejscach, dokąd można było dotrzeć międzystanową autostradą. Jeżeli ktoś miałby czas, aby porozmawiać z mieszkańcami tego miasteczka, dowiedziałby się, że jest to idealne miejsce dla rolnictwa i rodziny. Było to „porządne małe miasteczko”, jak głosił napis na tablicy umieszczonej przy skrzyżowaniu dróg z Oxburga do Goodlands.

Aż do czasu suszy.

Zacząło się bardzo niepomyślnie, jak to zwykle bywa z suszą. Cztery lata wcześniej w „Almanachu Farmerskim” zapowiedziano dla tego regionu mokrą i zimną wiosnę, po której miały nastąpić suche czerwiec i lipiec, a potem mokry sierpień. Była to zresztą typowa prognoza pogody dla Wielkich Równin Północnych, sprawdzająca się co roku z niewielkimi odchyleniami od normy. Dla Goodlands, podobnie jak dla całego obszaru Wielkich Równin Północnych, przewidywano

średnie opady, czyli pięćdziesiąt pięć centymetrów. W pierwszym roku suszy wyliczenia te nie sprawdziły się i wysokość opadów wyniosła zaledwie dwadzieścia trzy centymetry. W sąsiednich miejscowościach, takich jak Avis, Mountmore, Oxburg, Adele, Larson i Weston, zanotowano wtedy opady niewiele tylko niższe od przewidywanych. Dwa lata później w Goodlands spadło tylko piętnaście centymetrów deszczu, a rok temu ani kropla. Był to najgorszy sezon od 1934. W najbliższej położonych miastach przez cały ten czas utrzymywał się zapowiadany poziom opadów. Nie dotknęła ich żadna kłęska. Susza panowała tylko w Goodlands.

Jeden nieurodzajny sezon może przynieść rolniczej społeczności wiele szkód. Po dwóch kolejnych zaczynają bić dzwony na trwogę i pojawia się groźba bankructwa. Trzy złe sezony mogą spowodować zablokowanie kredytów bankowych, ruinę wielu rodzin, alkoholizm, przemoc - koszmarny, który na razie nie sposób nazwać. Mieszkańcy Goodlands mieli właśnie przed sobą czwarty rok suszy. Jeżeli do czerwca nie spadnie deszcz, będą musieli zmierzyć się z tym nienazwanym. Wielu już dotarło do tego punktu.

Susza nie była jedynym nieszczęściem, jakie spadło na Goodlands. Ostatnimi czasy jego mieszkańcy odnosili wrażenie, że miasto dotknęła klątwa. Chociażby seria pożarów w Badlands, jak nieoficjalnie nazywano część miasta, którą stanowiło zbiorowisko slumsów. Ludzie gnieździłi się tam w przyczepach samochodowych i chałupkach zbudowanych z łatwo palnych materiałów odpadowych; byli częstymi gośćmi pobliskich wysypisk śmieci, zaopatrując się tam w niezbędne rzeczy, wyrzucone przez zamożniejszych obywateli miasta. Straż pożarna miała daleką drogę do Badlands, gdyż jej siedziba mieściła się na drugim końcu miasta, obok kościoła rzymskokatolickiego. Zanim powietrze przeszył ryk strażackich syren, do gaszenia pożaru zwoływano ludzi z najbliższej okolicy. Gdy wozy dojeżdżały wreszcie do tego zapomnianego przez Boga i ludzi miejsca, strażacy mogli tylko zalać żarzące się pogorzeliśko wodą.

Pewnego razu dwie przyczepy spłonęły jednocześnie. Zapaliła się wspólna instalacja elektryczna, popękały rury kanalizacyjne, a przerażeni sąsiedzi uciekli w popłochu na brudne ulice, krzykiem wzywając pomocy. Ogień strawił całkowicie oba mieszkania. Jedno z nich należało do wyjątkowo, jak na tę okolicę, porządnej rodziny Castelsów, z czwórką dzieci w wieku od dwóch do czternastu lat. Co do drugiego, nie była to wielka strata. Mieszkał tam niejaki Teddy Boychuk,

pijak i łobuz, który bił żonę i, jak podejrzewano, gwałcił córkę, która w końcu opuściła rodzinę i wyjechała w nieznanym kierunku.

W mieście zdarzały się ponadto inne dziwne rzeczy, może nie tak poważne jak pożary, ale wzbudzające niepokój lokalnych władz i policji. W ciągu ostatnich kilku lat bardzo wzrosła częstotliwość pijackich awantur, które czasami przeradzały się w niebezpieczne burdy. Służbom porządkowym nie zawsze udawało się w porę rozdzielić przeciwników i zdarzały się przypadki groźnych pobić. Któregoś dnia w restauracji należącej do Kushnerów niespodziewanie wysiadła wielka zamrażarka. Trzeba było wyrzucić dwutygodniowy zapas mięsa, lodów i innej żywności, co w czasach, gdy w mieście było ciężko o zarobek, stanowiło ogromną stratę. Kiedy nazajutrz sprowadzono elektryka, Larry'ego Watsona, okazało się, że lodówka po prostu nie była włączona do prądu. Właśnie tak. Larry Watson śmiał się do rozpuku, ale wystawił rachunek. Właścicielom nie udało się wycisnąć z firmy ubezpieczeniowej ani centa, chociaż próbowali.

Raz po raz na Goodlands spadły różne nieszczęścia. Niektórzy zaczęli nawet pół żartem, pół serio przebąkiwać, że miasto dotknęła klątwa. Mówili tak zwłaszcza ludzie z Badlands. Po ostatnim pożarze kilka rodzin wyprowadziło się stamtąd, dzięki czemu skróciła się lista korzystających z pomocy socjalnej. Jak skwitował to burmistrz Shop, nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Ludzi ogarniał jednak coraz większy niepokój. Po raz pierwszy od wielu lat kościoły w mieście przeżywały istny najazd wiernych. Każdej niedzieli, a w katolickich świątyniach nawet w dni powszednie, w ławkach panował tłok. Widywano w nich ludzi, którzy nigdy przedtem nie bywali na mszy. Mieszkańcy Goodlands byli naprawdę zdenerwowani. Czuli, że coś wisi w powietrzu.

Loreena Campbell nie skorzystała z chusteczek. Chce, abym wiedziała, jak płacze, pomyślała Karen Grange. Po policzkach Loreeny płynęły łzy i spadały na plik papierów rozrzuconych na biurku. Karen również miała ochotę się rozpłakać.

Bruce Campbell siedział już spokojnie obok żony, opierając dłonie na udach, jakby za chwilę zamierzał wstać. Twarz miał nieruchomą i bardzo bladą. Patrzył gdzieś w przestrzeń i milczał.

Karen nie miała im już nic więcej do powiedzenia, nie mogła też niczego dla nich zrobić. Wszystko było jasne. Należało jeszcze podpisać kilka dokumentów, ale ponieważ najważniejszy z nich, stwierdzający

zajęcie mienia, leżał zmięty w kącie, zdecydowała, że poczeka i przywiezie im wszystko na farmę.

- Nie możesz jeszcze raz z nimi porozmawiać? - ponownie zapytał Bruce.

- Obawiam się, że to nic nie da.

Gotowa była ponownie przedstawić im wszystkie powody, ale zdawała sobie sprawę, że teraz nic do nich nie trafi.

Karen starała się nie patrzeć na Loreenę, której ciekło z nosa, i zupełnie nie na miejscu zastanawiała się, czy wytrze go w rękaw. Bruce wyglądał tak żałośnie, jak nie przystało żadnemu mężczyźnie.

- Masz kogoś w Arizonie, prawda, Bruce? - zapytała.

Spojrzał na nią zdziwiony.

- W Arizonie? - powtórzył bezbarwnym głosem.

Arizona nie jest stanem rolniczym.

Karen wstała. Czula, że drżą jej nogi.

- Możecie wyjść tylnymi drzwiami, jeżeli nie czujecie się na siłach, by spotkać... - nie dokończyła zdania.

Było wczesne popołudnie, pora picia kawy w małych miasteczkach. Wielu znajomych Campbellów odbywało swój codzienny spacer po centrum lub odpoczywało nad małą czarną w kawiarni. Nos Loreeny przybrał barwę gaśnicy strażackiej, podobnie zresztą jak jej oczy. Makijaż miała rozmazany. Karen uważała, że chociażby z uwagi na to powinni się wymknąć tylnym wyjściem.

- Nie. Chcę, żeby mnie zobaczyli w takim stanie - powiedziała Loreena wstając.

Chcę, aby zobaczyli, do czego doprowadziłaś, tak to zrozumiała Karen. Z nosa Loreeny spłynęła do ust wąska strużka śluzu. Karen patrzyła na to zdumiona i zafascynowana.

- Mogłaś nam pomóc. Ale nic nie zrobiłaś - wyrzuciła z siebie Loreena podniesionym głosem. Straciła panowanie nad sobą. Podobnie jak Bruce, który kilka minut wcześniej uderzył pięścią w biurko.

Bruce spojrzał na żonę szklanym wzrokiem, który nie zmienił się od momentu, gdy usłyszał tamto słowo. Na początku było słowo. A raczej dwa. Brzmiały one: zajęcie mienia. I otworzyło się niebo.

- Rolnicy, rodziny i komercyjny kredyt dla rolników - wyrecytowała z gniewem Loreena. Był to slogan Komercyjnego Banku Kredytowego dla Rolników. Następnie, ku przerażeniu Karen, zaczęła śpiewać reklamowy dzingiel, nadawany co godzinę na czwartym i dziewiątym kanale, dwóch lokalnych radiostacjach w powiecie Capawatsa:

- Komercyjny Bank Kredytowy dla Rolników zna potrzeby waszych rodzin. Komercyjny Bank Kredytowy dla Rolników to członek waszej rodziny. Musisz jak najszybciej nas odwiedzić! Rolnicy, rodziny i komercyjny kredyt dla rolników - co za całość! Komercyjny...

- Loreena, błagam... - zaczęła Karen.

- Nie. Jak śmiesz się do mnie zwracać! Ty! Jesteś... - podeszła do drzwi biura i otworzyła je na oścież. - Jesteś zimną, bezduszną suką.

Siedząca w recepcji Jennifer spojrzała na nią zmieszana. Wszystko słyszała. Na szczęście bank był pusty. Jak zwykle od dłuższego już czasu.

Loreena wyszła z biura. Wstrząsała nią szloch. Nie była już w stanie płakać, zabrakło jej łez.

Bruce ruszył za żoną. Karen spojrzała na niego współczująco wyciągnęła rękę.

- Bruce, jeżeli mogę coś dla was zrobić prywatnie...

Zatrzymał się.

- Nie, nie sądzę, Karen - powiedział i pośpieszył za Loreeną. Wychodząc, trzasnął frontowymi drzwiami. Musiał się przy tym nieźle natrudzić, gdyż były w nich zamontowane zawiasy pneumatyczne.

W banku panowała cisza. Karen poczuła na sobie wzrok Jennifer. Dziewczyna szybko odwróciła głowę. Była tylko kasjerką, a jej rodzina również zaciągnęła w tym banku kredyt. Być może, ich też czekało wypowiedzenie umowy i utrata farmy w Bilken. Tylko że Jennifer przez całe życie była członkiem tej społeczności, tu się urodziła i wychowała. Należała do kategorii MY. Karen Grange zaś w ciągu ostatnich czterech lat nieodwołalnie znalazła się po stronie ONI. Zamknęła drzwi do biura, nie chcąc widzieć oskarżycielskiego wzroku Jennifer.

Jak automat skierowała się w kąt i podniosła decyzję o zajęciu mienia, która leżała tam zgnieciona w kulę. Rozprostowała papier na biurku, gładząc dłońmi i bezskutecznie starając się go wyprostować. Trzeba będzie to wydrukować na nowo. Ostrożnie obeszła ciemną płamę na środku dywanu, pożegnalny ślad po mężu Loreeny. Wyciągnęła z pudełka na biurku kilka chusteczek i przykryła nimi plwocinę.

Nie mogąc powstrzymać obrzydzenia, głęboko zraniona, zbierała to miękką ligniną. Przypomniała sobie, jak w pierwszym tygodniu jej

pracy w banku Bruce Campbell poprosił o pożyczkę na kombajn. Karen nie miała wtedy pojęcia, co to za maszyna, i przyznała się do tego Bruce'owi.

- Mam wrażenie, że powinnam wiedzieć, jak wygląda urządzenie, na które zamierza pan przeznaczyć pożyczkę - powiedziała przepraszającym tonem.

Bruce nie tylko nie wykpił jej ignorancji, ale uśmiechnął się przyjaźnie i wyjaśnił, jak działa kombajn.

- To ma takie parszające urządzenie, które sterczy na górze, a z przodu ostrza tnące zboże. - Bruce zaczął przebierać palcami, naśladowując pracę maszyny.

Karen zaśmiała się, a potem ilekroć spotykała Bruce'a w mieście, pytała, jak się kombajn sprawuje.

- Świetnie, lepiej niż koparka - odpowiadał zawsze.

Dwa lata temu w zimę, gdy zachorowała na grype, Loreena wpadła do niej, aby zapytać, czy czegoś nie potrzebuje.

- Wiem, że nie masz tu nikogo z rodziny - wyjaśniła wówczas powód swojej wizyty.

A teraz Karen przedstawiła im decyzję o zajęciu farmy.

Mocniej wcisnęła chusteczki w dywan. Czuli, jak szczypią ją oczy, ale nie mogła się rozpląkać. Najgorsze było właśnie to, że zaczynała się już przyzwyczajać do podobnych sytuacji.

Odstawiła pudełko chusteczek na miejsce i zaczęła zbierać rozrzucone papiery. Wykonywała tę czynność mechanicznie, zdając sobie sprawę, że wcale nie musi robić tego akurat teraz. Chciała się jednak czymś zająć, aby jak najszybciej pozbyć się emocji, którymi wciąż jeszcze wypełniony był pokój i które mogłyby ją opanować. Trzęsły się jej ręce. Mocno spłotła dłonie, by je uspokoić. Nie powinna się denerwować. Nie wolno jej było angażować się uczuciowo. Taka była polityka firmy.

Jeszcze rok temu Karen była wzorem profesjonalizmu. Jako menedżer jedynej w Goodlands banku umiejętnie utrzymywała właściwy dystans do swoich obowiązków, zacieśniając jednocześnie osobiste kontakty z mieszkańcami miasta. Jej obecność zauważana była przy wielu okazjach. Zasiadała w różnych komitetach, brała udział w akcjach zbierania funduszy na cele społeczne, chadzała na gwiazdkowe potańcówki, wiosenne zabawy i strażackie barbecue. W tym roku wiosenna zabawa została odwołana, a barbecue, nawet jeśli odbędzie się w przewidzianym terminie, z pewnością nie przyniesie odpowiedniej

sumy na zakup sprzętu potrzebnego straży pożarnej. Nikt nie miał już pieniędzy.

Karen w dalszym ciągu starała się uczestniczyć we wszystkich ważniejszych lokalnych imprezach. Nie przestawała grać swojej roli, a zwłaszcza przebierać się do niej, co nie było trudne z uwagi na szafę pełną ciuchów. Reprezentowała bank i nawet jeżeli wybiła najczarniejsza godzina tej instytucji, nikt, patrząc na nią, nie mógłby tego odgadnąć.

Ale ostatnio, wraz z upływem kolejnych ostatecznych terminów, wyznaczanych przez jej bank, czuła się coraz bardziej podle. Oprócz piętnastoletniego doświadczenia zawodowego, corocznych szkoleń oraz kopii „Kryteriów polityki kredytowej dla farm komercyjnych”, która leżała w najwyższej szufladzie jej biurka, byli przecież ludzie, których dobrze знаła, z którymi mieszkała w jednym mieście, ludzie, którzy odmienili jej życie na lepsze. Gdy tu przyjechała, przyjęli ją bardzo ciepło, sprawili, że czuła się wśród nich jak w domu. Jedno tylko ją martwiło - wspomnienie o trzydziestu tysiącach dolarów długu. Aż do pierwszego, dużego przejęcia mienia, jakie odbyło się dwa lata temu, ludzie pozdrawiali ją serdecznie na ulicy, pytali o zdrowie, prosili o rady, a także zapraszali na obiady i przyjęcia. Miała podstawy, aby wierzyć, że ją lubią. Jednak później nikt nie starał się zrozumieć polityki banku, dla ludzi wcale nie Komercyjny Bank Kredytowy dla Rolników był winien przejęcia ich mienia. Winna temu była tylko Karen.

Bruce i Loreena Campbell mogą w to nie wierzyć, ale Karen naprawdę próbowała się za nimi wstawić. Jej dobre intencje spotkały się z pisemną naganą i upomnieniem, że sama powinna najlepiej wiedzieć, co w takich przypadkach stanowią przepisy. Dano jej tym do zrozumienia, że to właśnie ona, z uwagi na osobiste doświadczenie, najlepiej ze wszystkich nadaje się do pomagania ludziom w trudnych momentach „finansowych perturbacji”. „Jest pani osobą, która powinna im doradzać, czerpiąc z własnych doświadczeń, ale w żadnym wypadku nie angażować się uczuciowo. Pani zobowiązania wobec banku wciąż jeszcze nie są uregulowane”. Karen także spłacała kredyt, który jej ojciec nazywał „gównianą pożyczką”. To zresztą było powodem jej pobytu w Goodlands.

Robiła, co mogła, aby pomóc ludziom. Farma Campbellów należała do ich rodziny od 1890 roku. Fama głosiła, że sam ojciec rodu, John Mason Campbell, zdobył tę ziemię od Indian, przekupując ich

bronią i futrami, dochodząc w ten sposób do powierzchni trzydziestu hektarów. Przez lata farma jeszcze się powiększała, kiedy jednak ceny gruntu poszły w górę, Bruce Campbell, jak wielu innych farmerów w okolicy, sprzedał trochę ziemi.

Karen odwiedziła ich dwa tygodnie temu, spędzając półtorej godziny w kuchni na rozmowie z Bruce'em, jego bratem Jimmym i Loreeną. Za pomocą aluzji i sugestii, tak dalece, jak to było możliwe bez łamania kolejnych przepisów, usiłowała przygotować ich na najgorsze. Odebrali jej wizytę jako promyk nadziei. Jako znak, że sprawy nie mają się jeszcze aż tak źle. Loreena chwaliła strój Karen i pokazywała rysunki siostrzeńca, który mieszkał w Arizonie. Jednym słowem, popijali kawę w dość przyjemnej atmosferze.

Karen wsunęła porządnie już ułożone papiery do górnej szuflady biurka. Spojrzała na zegarek. Druga po południu. Za jakieś czterdzieści minut spodziewała się Franklinów. Normalnie wyszłaby na pół godzinki coś zjeść i wypić kawę w restauracji, odprężając się chwilą rozmowy z jakimś przygodnie spotkanym znajomym. Ale wiedziała, że Campbellowie wciąż jeszcze byli w centrum.

Czuła, że nie byłaby dzisiaj mile widzianą osobą. Wszyscy już prawdopodobnie wiedzieli, że następni będą Franklinowie. W takim małym miasteczku złe wieści rozchodzą się bardzo szybko. Nie chciała narazić się na spotkanie z ludźmi rzucającymi w jej stronę nieprzyjazne spojrzenia lub odwracającymi głowy, aby uniknąć jej wzroku. Nie miała ochoty patrzeć na ich wylęknięte twarze i być traktowana jak parias. Powinna była to przewidzieć i przynieść sobie z domu coś na lunch.

Sprawa Franklinów była już piątym przypadkiem przejścia mienia od początku roku podatkowego. Hiobowy rok, można powiedzieć. To nie były upadające gospodarstwa czy małe, źle zarządzane farmy. Tamte padły zaraz na początku suszy. Teraz bankrutowały prosperujące gospodarstwa, rodzinne przedsiębiorstwa rolnicze, które przez ostatnie kilkadziesiąt lat świetnie dawały sobie radę.

W większości były to gospodarstwa zarządzane przez doświadczonych, rozsądnych rolników, którzy odnosili sukcesy nie dlatego, że mieli szczęście, ale ponieważ dokładnie planowali każdy swój wydatek, opracowywali plany rozwoju, gromadzili zapasy i wzbogacali swoją wiedzę. To pozwalało im zostawić daleko w tyle wielu innych farmerów. Były to zatem gospodarstwa o dużych rezerwach. Miały szansę przetrzymać kilka chudych lat. Teraz zaś ich przyszłość wisiała

na włosku. Campbellowie i Franklinowie byli właśnie takimi rolniczymi rodzinami, a ich los był symbolem tego, co działo się w Goodlands.

Ci ludzie byli jej bardzo bliscy. Zajęli się nią serdecznie, gdy przyjechała tu osiem lat temu. Robili wszystko, by poczuła się dobrze w mieście, zaakceptowali ją jako członka lokalnej wspólnoty. Jedynej wspólnoty, do jakiej kiedykolwiek należała. Wtedy po raz pierwszy w życiu poczuła, że znalazła swoje miejsce na ziemi.

W zeszłym roku w Goodlands było ogółem sześć przejęć mienia i bankructw. Tylko jedna farma należała do naprawdę dużych, reszta to gospodarstwa średniej wielkości, wszystkie zaś należały od lat do tych samych rodzin. Dwa lata temu mieli tylko cztery takie przypadki. Wszystko ofiary suszy, złego zarządzania lub niewłaściwego ubezpieczenia. Intuicja podpowiadała Karen, że do końca tego roku powinny upaść jeszcze trzy farmy. Ich właścicielami były ważne osoby w Goodlands. Wyjątkowo ważne osoby. Ostateczne terminy spłat kredytu nieubłaganie się zbliżały i jeżeli coś nie zmieni się na lepsze, ona może stracić miejsce pracy, a Goodlands swój bank. Jej zawód polegał na zdobywaniu profitów, a w tym roku profity nie istniały. Gdyby tego lata spadł deszcz, zarząd banku mógłby na uzdrowienie sytuacji dać jej rok, może nawet trochę więcej. Oczywiście, nie wyrzucono by jej z pracy, zostałaby tylko przeniesiona w inne miejsce. Zmuszona do opuszczenia Goodlands. A jeśli nawet nikt stąd nie tęskniłby za nią, ona z pewnością tęskniłaby za miastem.

Usłyszała pukanie do drzwi. Spojrzała na zegarek. Za kwadrans trzecia.

- Tak? - odezwała się cicho. Poczowała, jak serce wali jej w piersiach.

- Przyszli państwo Franklin - powiedziała Jennifer, otwierając drzwi.

Karen wyszła im na powitanie. Jessie Franklin usiłowała zmusić się do uprzejmego uśmiechu. Za nią szedł Leonard, nieco zablokowany w drzwiach przez grubą żonę. Jessie była w ciąży.

- Proszę, siadajcie - zaproponowała Karen.

Kiedy Leonard wysunął się zza żony, zobaczyła, że trzyma na rękę trzyletnią córeczkę. A więc przyprowadzili ze sobą Elizabeth. Wszyscy troje elegancko ubrani, stosownie do rozmowy z pracownikiem banku. Karen serce zamarło z żalu. Zapragnęła nagle uciec. Zatrzasnąć drzwi i ukryć się za biurkiem. A potem jak najszybciej znaleźć się w domu.

- Jak się masz, Leonardzie - przywitała go, przytrzymując drzwi.

Gdy Leonard wszedł do pokoju, położył delikatnie dłoń na jej ramieniu, przepuszczając ją przed sobą. Karen zaczynała tracić panowanie nad sobą. To tylko zwykły, miły gest, powtarzała w duchu. Szybko przeszła za biurko, gdzie stało jej krzesło. Znowu zaczęły ją szczypać oczy i musiała zamrużyć, by powstrzymać łzy. Odwróciła szybko głowę. Leonard postawił Elizabeth obok krzesła, na którym siedziała jej matka, i czule głaskał córkę po główce. Dziewczynka stała z niepewnym uśmiechem między rodzicami i ssła palec.

Karen nerwowo wygładziła mankiety kupionego kilka lat temu żakietu od Liz Clairborne. Jej ulubionego. Musiała się czymś zająć, czekając, aż minie chwila słabości.

Sekundę później uśmiechnęła się i podziękowała im za przyjście. Przywitała się wesoło z Elizabeth i powiedziała Jessie, że znakomicie wygląda, zagadując delikatnie o termin rozwiązania. Miało nastąpić za dwa miesiące.

Mój Boże, pomyślała.

Gdy zapadła cisza, dzieląca niezobowiązującą rozmowę wstępną od poruszenia zasadniczej przyczyny ich wizyty w banku, Karen poczuła na sobie wzrok Leonarda. Zobaczyła to w jego oczach. Wiedział. Wyglądał na spiętego i przygnębionego. Jessie zajmowała się Elizabeth, unikając wzroku Karen. Obydwoje wiedzieli. Ale i tak nie mogło już być trudniej. A może z ich pomocą łatwiej będzie jej o tym mówić.

Karen wstała i zamknęła drzwi. Potem wróciła za biurko, usiadła.

- Leonardzie, Jessie. Gdy byłam u was ostatnim razem, powiedziałam...

Na zewnątrz słońce stało wysoko na niebie. Kiedy Karen późnym popołudniem wracała do domu, wciąż panował trzydziestostopniowy upał. Powietrze drżało i falowało jej przed oczami. Słońce nie zajdzie wcześniej niż o dziesiątej wieczór. Była połowa czerwca. Zaczynały się najdłuższe dni w roku.

Karen Grange sprowadziła się do Goodlands z Minneapolis dzięki Komercyjnemu Bankowi Kredytowemu dla Rolników. Jej pracodawcy nie mogli tego oczywiście wiedzieć, ani co więcej się tym przejmować, ale przenosząc ją tutaj, uchronili Karen przed nią samą.

Traktowali to jako karę, wygnali ją na koniec świata, ponieważ popełniła wielki błąd. Karen Grange, menedżer banku, zarządzająca

pieniężni innych ludzi, bardzo ostrożnie dająca zgodę na kredyty, sama nagle znalazła się w sytuacji, którą określono w jej firmie jako „bardzo poważne kłopoty”. Pieniężne kłopoty.

Przed przyjazdem do Goodlands Karen pracowała jako menedżer w niewielkim oddziale banku w Minneapolis. Nie lubiła mówić ani nawet myśleć o tym, co wydarzyło się w jej życiu, zanim zamieszkała w tym miasteczku. Spędziła w Goodlands osiem lat w spokojnym, wiejskim otoczeniu, wśród łąnów pszenicy i jęczmienia, napawając się błękitem nieba i długimi zachodami słońca. Wynajęła mały domek, nazywany przez okolicznych mieszkańców posiadłością Manna, zaznajomiła się z rytmem prac polowych, zbiorów, z cyklem pór roku, poznała sąsiadów, których pytała zawsze o ogród, dzieci, męża i zdrowie (w takiej właśnie kolejności), nauczyła się cierpliwie czekać w sklepie, aż Peggy skończy opowiadać Chimmy, o dywaniku, który zrobiła dla dziecka Houstonów (a potem sama grzecznie pytała o zdrowie maleństwa) - ale zanim przyjechała do Goodlands, mieszkała w centrum wielkiego miasta, w eleganckim osiedlu, na które nie było ją stać, i wolno, wolniutko, ale nieubłaganie tonęła w długach.

Gdy tylko zaczęła awansować, zmieniając stanowisko z kasjerki na urzędnika zajmującego się pożyczkami, poczuła się na tyle pewnie, że postanowiła sama wziąć kredyt. Najpierw złożyła podanie o niewielką pożyczkę na zakup samochodu. Raty nie były duże. Nie zarabiała jeszcze wtedy wiele, ale spodziewała się, że z każdym rokiem jej pensja będzie rosła. To właśnie wpłynęło na decyzję przeprowadzki do lepszego mieszkania. Kiedy to już zrobiła, odkryła radość posiadania pieniędzy. Meble, ręczniki, pościel, wyposażenie kuchni - wszystko kupowała w najlepszym gatunku. Wystąpiła do banku o karty kredytowe. Na początku starała się nabywać tylko to, czego naprawdę potrzebowała. Po wyczerpaniu pierwszej karty kredytowej postanowiła na pewien czas skończyć z zakupami, przerażona tym, co zobaczyła na podłodze w swojej garderobie. Granica między potrzebnym, a chcianym, niepostrzeżenie się zatarła. Na podłodze stała waza z ciętego kryształu, nawet jeszcze nie rozpakowana. Obok, także nie ruszona, torba ze stanikami i figami na każdy dzień tygodnia, które kupiła pod wpływem kaprysu. Pierwotnie miał to być prezent dla przyjaciółki, ale potem stwierdziła, że bielizna nie pasuje na żadną z nich. Oprócz tego komplety pościeli i ręczników - wspaniałych, miękkich, grubych ręczników, w które wystarczy się tylko owinać, aby ciało

natychmiast stawało się suche. Obok leżał na ziemi długi do ziemi skórzany płaszcz, za ciężki, aby wisieć na wieszaku. Nie był wystarczająco ciepły na mroźne zimy w Dakocie Północnej, nie nadawał się też na lato, był zbyt delikatny na deszczowe wiosny, mógł więc być noszony jedynie przez dwa miesiące w roku.

Kiedy pewnego dnia otworzyła drzwi garderoby i zobaczyła mnóstwo niepotrzebnych rzeczy, poczuła się tak, jakby coś jej skradziono. Postanowiła to odzyskać. I odzyskała. Za pierwszym razem jej się udało.

Splacanie długów zajęło jej rok. Rok, w ciągu którego nie mogła używać karty kredytowej. Rok płacenia wyłącznie gotówką. Kupowania na wyprzedazach. Ale udało jej się oddać pieniądze za meble, ręczniki, pościel, bieliznę na każdy dzień tygodnia i wiele innych przedmiotów, które zaśmiecały jej apartament. Kiedy zaś była już na czysto, musiała to przecież uczcić. Kupując sobie jakiś drobiazg. Gdy później patrzyła na to z perspektywy czasu, była pełna podziwu, że splacanie długów poszło jej zadziwiająco gładko. To naprawdę nie było nic strasznego, pomyślała. I wciąż wszystko miała.

Bardzo jednak odczuła ten rok pełen wyrzeczeń i musiała raz po raz celebrować koniec swojej finansowej wstrzeźliwości. Opróżnienie kolejnej karty kredytowej poszło więc dwa razy szybciej.

Karen nie potrzebowała psychoanalityka, aby dowiedzieć się, dlaczego tyle wydaje na zakupy. Nie musiała wydawać na taką poradę fortuny, nawet jeżeli coś by jej jeszcze zostało. Odpowiedź miała za niespełna cztery dolary w każdym kobiecym magazynie, szczególnie w czasie wielkich sezonów na zakupy, wiosną lub jesienią.

Jej życie pełne było wyrzeczeń. Rodzice nie umieli zadbać o swoje interesy i byli tak biedni, że najnowszą rzeczą w ich domu było zwykle ostatnie pismo ponagląjące do spłaty zaciągniętych kredytów.

Podniecała ją nowość kupowanych rzeczy. Wygląd, dotyk i woń rzeczy tak nowych, że wciąż czuć było od nich zapach fabrycznych dymów, widać było linie papilarne źle opłacanych robotników, którzy je pakowali. Jeżeli tylko chciała, mogła przedłużyć stan ich nowości, zostawiając je nie rozpakowane w pudełkach, wyjmując tylko po to, aby je podziwiać i pieścić, a potem znowu chować, wciąż nowe, nowiusieńkie, z przylepioną ceną, wciąż o tej samej, wysokiej wartości rynkowej. Uwielbiała przechadzać się po sklepach, brać do ręki jakiś przedmiot i czuć się na tyle zamożną, aby go kupić i przynieść do domu. Gładzić palcami tkaniny tak wykwintne i delikatne, że zastana-

wiała się, czy naprawdę istnieją. Przechadzać się po pasażu handlowym i zamawiać katalogi eleganckich butików z innych miast. Odczuwać przyjemny dreszcz przy wypełnianiu kuponów, podawaniu swojego numeru telefonicznego, zamawianiu czegoś na topie, co już następnego dnia, gdy wracała po pracy, czekało na nią w domu.

Podobała się sobie w rzeczach, które kupowała. Była zupełnie nową Karen. Wysoka, smukła i ciemna, to były jej atuty. Ubrania, świetnie skrojone ubrania, wyglądały na niej równie dobrze jak na modelkach w żurnalu. Bo chociaż uroda Karen nie była tak wyzywająca, uwydatniały ją szykowne ciuchy. Ciemne włosy kontrastowały z jasną cerą, której ciepły koloryt nadawały beże, biele i bogate kolory ziemi, najbardziej przez nią lubiane. Szeroko rozstawione brązowe oczy i mały, prosty nos sprawiały, że jej atrakcyjność mogła być przez lata niezauważana, ujawniając się nagle, ku zaskoczeniu otoczenia. Mężczyźni nie oglądali się za nią na ulicy, ale gdy mieli okazję znaleźć się w towarzystwie Karen, na przykład w czasie kolacji, nie mogli oderwać od niej oczu. „Masz piękną twarz” - mówili wtedy.

- To zasługa tego żakietu - odpowiadała z przekonaniem Karen. Uważała bowiem, że ubranie tworzy kobietę. Dlatego kupowała ciuchy z takim zapamiętaniem.

Po trzech latach miała już spore kłopoty finansowe, które zaczęły się w rok po otrzymaniu nowych kart kredytowych. Potrzebne jej były, aby posługiwać się nimi w walce, która każdemu klientowi była tak dobrze znana jak dzwonek przy kasie. Mogła „zapomnieć” postawić datę, podpisując czek, lub włożyć zły czek do koperty...

Kłopoty oznaczały sprawę w sądzie i groźbę zajęcia poborów. Karen, dzięki kartom kredytowym, czekom, wynajmom z perspektywą kupna i odroczonej płatności, dorobiła się już wówczas trzydziestu tysięcy dolarów długu.

Wkrótce nadszedł list z głównego zarządu banku kredytowego. „Awansowała” i przeniesiono ją za karę do Goodlands. I tam właśnie znalazła dom. W Goodlands, Dakota Północna, gdzie, jak zauważyła z gorzkim uśmiechem, prawie wcale nie było sklepów. Nie musiała wiele za sobą zostawiać. Współpracownicy pojechali z nią razem.

Dom w Goodlands był o niespełna metr kwadratowy większy od jej apartamentu w Minneapolis. Dość nowy jak na lokalne warunki, wielokrotnie przebudowywany, był pierwotnie jednoizbową chałupą. Kiedy Karen tam zamieszkała, prawie cała należąca do posiadłości ziemia była już rozparcelowana i sprzedana. Pozostał hektar na tyłach

domu - sad i podwórko, na którym poprzedni właściciele pozostawili po sobie wypielegnowany trawnik i ogródek skalny. Karen nie dbała o nie zupełnie. Na podwórku była też pomalowana na czerwono, świetnie utrzymana ręczna pompa, również zainstalowana przez ostatnich mieszkańców. A dalej już tylko szeroka, otwarta przestrzeń, którą Karen także się nie interesowała.

Chociaż bardzo jej się tu podobało, czuła jednak, że czegoś w domu brakuje. Śladu, którym naznaczyłaby go jako swój własny.

Gdy chodziła do szkoły średniej, rodzice przeprowadzili się do jeszcze gorszej części miasta. Poprzednio wynajmowali dom w dzielnicy robotniczej. Żyli od pensji do pensji, jak większość rodzin w sąsiedztwie. Ojciec pracował wówczas w fabryce wytwarzającej obudowy do komputerów. Kiedy stracił pracę, musieli się wyprowadzić. Chociaż dom nie był ich własnością, Karen czuła do niego sentyment, gdyż mieszkała tam przez dwanaście lat.

Przeprowadzili się do mieszkania na piątym piętrze bez windy. Okna jej sypialni wychodziły na ulicę i widać było przez nie pokój dziecinny mieszkających naprzeciwko sąsiadów. Karen przywiozła ze sobą stare zasłony i prawie ich nie rozsuwała.

Właśnie wtedy zaczęła marzyć o lepszym życiu. Słuchając kłótni sąsiadów zza ściany, warkotu samochodów, szczekania psów, dochodzącego zza zamkniętych okien, wyobrażała sobie duże, ciche podwórko, a na nim swoją przyszłą rodzinę. Wszyscy siedzieli na trawniku i posilali się pysznym jedzeniem z piknikowego koszyka, ustawionego na czystym białym obrusie.

Zawsze widziała obok siebie mężczyznę i dwójkę małych dzieci. Były to dość niewyraźne postacie, o zmieniającym się wyglądzie, ale ogródek był zawsze taki sam. Rozległy, porośnięty soczystą zielenią. Stała w nim altanka. Karen wyobrażała sobie, że tańczy tam w objęciach swojego mężczyzny, a jedynym odgłosem, jaki słyszy, jest rytmiczny stukot jej obcasów. Nawet po latach, gdy wreszcie zrozumiała, jak naiwne i sentymentalne było jej wyobrażenie szczęścia, ten czysty, ciepły i ciągle świeży obraz zawsze jej towarzyszył.

Podczas pierwszego lata w Goodlands Karen wybudowała altankę.

- A na co to pani? - dziwił się na początku George Kleinsel, stolarz, którego wynajęła za radą pewnej kobiety z miasta i poprosiła o postawienie niewielkiego, drewnianego domku na końcu podwórka. Karen zrobiła dokładny rysunek, przedstawiający ten budynek,

zaznaczając wypracowane detale, jak „piernikowa” arkada, typowa dla lokalnego stylu wiejskiego, białe kolumnowe słupki i niskie ogrodzenie, wokół którego przyjemnie byłoby spacerować. I oczywiście altanka musiała mieć betonową podłogę; nie trzeba dodawać, że zainspirował ją stukot obcasów, którego echo brzmiało pod krytym gontem dachem altanki z marzeń.

George przyszedł do niej razem z Bobem Garfieldem o ósmej rano w sobotę. Mieli zamiar postawić altankę w ciągu weekendu, a jak twierdzili, całość prac wykończeniowych nie powinna trwać dłużej niż kilka dni.

- Malowanie będzie ekstra - oświadczył George, nie wyjmując papierosa z ust.

Jednak altanka nie stanęła na podwórku Karen w ciągu dwóch dni, jak było zaplanowane. Ale nie było w tym winy George'a.

Karen zapamiętała tamten dzień jako ciąg następujących po sobie scen, bardzo wyraźnych, lecz niekompletnych. Siedziała na werandzie z kubkiem kawy, gotowa, aby pilnować wynajętych mężczyzn, nadających realny kształt marzeniu, które przez tyle lat nosiła w wyobraźni. Przekomarzała się z George'em na temat legendarnego już w okolicy stanu jego domu, który popadał w coraz większą ruinę i wymagał generalnego remontu.

- Słyszałam, że twoja żona wciąż czeka na nowe drzwi do łazienki.

George pokiwał głową z uśmiechem, lekko się przy tym czerwieniąc.

- No tak, może zrobię to w tym roku - odpowiedział.

- Gada tak od dziesięciu lat - wtrącił Garfield.

- Po co, do diabła, jej te drzwi? Czyżby miała przed tobą jakieś tajemnice? - Karen dogadywała mu wesoło, wypominając zepsuty dach, deski zwalone od niepamiętnych czasów na podwórku i ciężarówkę bez kół, stojącą na tyłach garażu.

Mężczyźni spędzili większą część przedpołudnia na, jak to określił George, „obsikiwaniu okolicy” - mierząc, zaznaczając, obliczając wymiary altanki zgodnie z rysunkiem Karen. Była już jedenasta, gdy uruchomili koparkę i zaczęli wybierać ziemię pod drewnianą konstrukcję.

Za każdym razem, gdy Karen myślała o tych wydarzeniach, a często wracała do nich pamięcią, odnosiła wrażenie, że wszystko działo się jak na zwolnionym filmie. Ubrana w podkoszulek i dzinsy siedziała

na werandzie, George w ciężkich słuchawkach na uszach prowadził koparkę, a Garfield stał przed nim i wymachiwał ramionami, dając instrukcje, albo też odpoczywał wsparty na łopacie, paląc papierosa w klasycznej pozie robotnika przy pracy. Maszyna okropnie hałasowała, silnik ryczał, a łyżka koparki przeraźliwie zgrzytała, zamykając się i otwierając na przemian. Nagle rozległ się dziwny dźwięk, jakby metal uderzył w coś innego niż miękka ziemia.

Garfield zamachał gwałtownie rękami, jak sędzia boczny dający znaki chorągiewkami podczas meczu. George nic z tego nie zrozumiał. Czerwony na twarzy od wysiłku, pokręcił głową i wskazał zasłaniające mu uszy słuchawki. Garfield pokazał palcem coś na ziemi, usiłując przekrzyczeć warkot silnika. Na werandzie Karen usłyszała tylko niektóre, wykrzykiwane przez niego słowa.

- ..uderzyła w coś! - wrzeszczał. - Cholera, to jakaś zwierzęca...

Karen postawiła kubek na poręczy i zeszła po schodkach na podwórko. Trzymając ręce w kieszeniach, zbliżyła się do wykopu w chwili, gdy George wyłączył koparkę.

Przez moment dzwoniła im w uszach nagła cisza.

Garfield, z twarzą szarą jak popiół, stał nieruchomo w promieniach słońca i pokazywał coś w głębokim wykopie. Najwyraźniej nie zamierzał już zrobić ani jednego kroku, aby podejść bliżej wyrwy.

- Tam jest czaszka. Ludzka czaszka! - wydusił z siebie wreszcie.

George otworzył szeroko oczy i powoli pochylając głowę, spojrzał w dół.

Karen zatrzymała się. Z miejsca, w którym stała, widać było tylko coś białego, a właściwie szarego, lekko zaokrąglonego, co jaśniało na tle czarnej ziemi, otoczonej soczystą zielenią.

- Ja pieprzę - zaklął George.

Ostrożnie przykucnął nad wykopem. Po chwili odwrócił głowę i spojrzał na Karen.

- Trzeba zadzwonić po Henry'ego - powiedział.

Henry Barker był miejscowym szeryfem. Karen wciąż stała bez ruchu.

- No dalej, panno Grange. Tam naprawdę jest to, o czym on mówi.

Jego ton sprawił, że Karen na drewnianych nogach poszła do domu, zatelefonowała na policję i opowiedziała, co się stało, a następnie, wciąż na drewnianych nogach, wróciła na podwórko i czekała na szeryfa, nie zbliżając się do wykopu.

Z weekendu, w czasie którego planowano ustawić altankę, zrobiły się dwa tygodnie dokładnego przekopywania jej ogródka, który policja porzyła jak ser szwajcarski w poszukiwaniu innych ciał. Kości znalezionej tam kobiety - szybko ustalono, że była to kobieta - leżały pod ziemią od wielu, wielu lat. Anatomopatolog z miasta orzekł, że mogła zostać tam pochowana nawet ponad sto lat temu, co wywołało podejrzenia, że dom Karen stał na terenie dawnego cmentarza. Po dwóch tygodniach poszukiwań ustalono jednak, że nie ma tam innych ludzkich szczątków. Sprawdzone też tereny przylegające do farmy, od lat nie należące już do właścicieli tej posesji. Dopiero gdy cała okolica przybrała wygląd kopalni odkrywkowej, policja ogłosiła, że kobieta została pochowana w tym miejscu samotnie.

Anatomopatolog stwierdził, że była w wieku między dziewiętnaście a trzydzieści lat. Nie rodziła dzieci, miała rude lub kasztanowe włosy - kilka kosmyków zachowało się na wykopanej przez robotników czaszce. Właśnie te włosy najbardziej niepokoiły Karen. Nadały znalezisku jeszcze bardziej posępny charakter.

Nigdy nie zdołano zidentyfikować tej kobiety. Zabezpieczono strzępy materiału, który prawdopodobnie pochodził z jej ubrania, ale nie odnaleziono ani dokumentów, ani żadnej biżuterii. W żuchwie zachowały się zęby, ale ponieważ pod koniec dziewiętnastego wieku nie prowadzono kartotek dentystycznych, nie można ich było wykorzystać do identyfikacji. Udało się jednak dzięki nim określić wiek kobiety. Na kościach nie stwierdzono żadnych uszkodzeń.

Bezpośrednio po tym makabrycznym odkryciu dom Karen odwiedzali różni ludzie, żądni relacji z pierwszej ręki. George, Garfield i Karen byli przez pewien czas w centrum zainteresowania mieszkańców Goodlands. Wszyscy chcieli dokładnie wiedzieć, jak doszło do znalezienia ciała. Wprawdzie Garfield pierwszy zobaczył czaszkę, ale to George był na tyle przytomny, aby powziąć decyzję o powiadomieniu policji.

- Powiedziałem: „Trzeba zadzwonić po Henry'ego”, a ona stała tam, cała przerażona, no wiecie. Dodałem więc: „No dalej, panno Grange”, i w końcu to zrobiła.

Pojawiły się spekulacje, że kobieta nie zmarła śmiercią naturalną, na co wskazywałby brak trumny, jej młody wiek i stan zdrowia, który określono na podstawie analizy szczątków. Chociaż nie było żadnych dowodów, że została zamordowana, tak właśnie mówiło się w mieście. I to jeszcze długo po tym, jak Karen doprowadziła swoje podwórko do

porządku; długo po tym, jak wybudowała wreszcie altankę.

Powoli ludzie zapominali o całej sprawie i temat ten tylko okazjonalnie powracał w rozmowach. Często pytano Karen, czyjej dom nie jest nawiedzony. Uśmiechała się wtedy miło i mówiła, że faktycznie, słyszy czasami w nocy jakieś hałasy, ale jest najzupełniej pewna, że to tylko buczenie w rurach.

Niemniej wypadki te sprawiły, że poczuła się nieswojo. A przecież jeszcze do niedawna tak dobrze jej było we własnym małym domku. Miała wrażenie, że wyjazd z miasta zmienił ją od środka, sprawił, że traktowała Goodlands jako swoje miejsce na ziemi, swój dom, do którego wróciła, a pobyt w Minneapolis był tylko przykrym, krótkim epizodem w jej życiu. A potem nastąpiło to straszne odkrycie i wróciły dawne niepokoje.

Próbowała wziąć się w garść. Altanka była już gotowa od ponad miesiąca, a ona nie odważyła się jeszcze wejść do środka, zadowolając się jedynie spacerowaniem wokół. Uznała więc, że nadszedł czas, aby się przełamać i zasiąść pod drewnianym daszkiem.

Z kieliszkiem wina poszła do altanki. Jej trampki nie wydały żadnego dźwięku na betonowej posadzce, którą solidnie, chociaż w pośpiechu wykonał dla niej George. Ani stukotu obcasów, ani tańca w ramionach wyśnionego męża.

Dochodziła dziewiąta wieczorem. Słońce chyliło się ku zachodowi. Karen oparła się o balustradę i patrzyła na cudowne, bezkresne niebo, zabarwiające nadchodzącą noc różowymi i pomarańczowymi łunami. Na takim tle ognista kula wolno opuszczała się za linię horyzontu. Nad głową Karen wiatr pędził białe pierzaste chmury.

Było bardzo cicho. O tej porze samochody już prawie nie jeździły, a nieliczne, które jeszcze słyszała, kierowały się do przydrożnego baru Clancy'ego. Z powiewami wiatru dochodziło do niej cykanie świerszczy.

Stała w altance, odwrócona plecami w stronę domu. Wypiła łyk wina, rozkoszując się nastrojowym widokiem i ciszą.

Przez kilka minut nie myślała o niczym konkretnym, miło odprężona.

Trwało to jednak krótko.

Zorientowała się nagle, że nic nie widzi. Strwożona, zaczęła rzucać niepewne spojrzenia w nieprzeniknioną czerń nocy. Gdyby nie czuła za plecami drewnianej balustrady altanki, mogłaby pomyśleć, że znajduje się pośrodku dzikiego pola.

Spróbowała pozbyć się tego nieprzyjemnego wrażenia, wypijając kolejny tyk wina, ale zaraz potem wydawało jej się, że czuje w ogrodzie czyjąś obecność.

Co za głupie uczucie, pomyślała i szybko spojrzała w stronę domu, ale nie mogła go dostrzec w mroku. Jakby wcale go tam nie było, jakby zapadł się nagle pod ziemię.

Poza tym zrobiło się zimno.

Karen była ubrana dość lekko, stosownie do pory roku. Wraz z nadejściem nocy zerwał się jednak wiatr i czuła, jak przenika na wskroś przez cienki materiał bluzki.

Zaczęta myśleć o tamtej kobiecie. Jak umarła? Z pewnością zginęła tragicznie. Karen wiedziała, oczywiście, że zastanawiając się nad tym, rozbudza tylko swój strach, ale nie mogła przestać o tym myśleć. Wyobrazila sobie twarz tamtej kobiety, wykrzywioną grymasem przeżenienia. Ktoś szarpnął ją brutalnie do tyłu za włosy i przewrócił na ziemię. Bezskutecznie próbowała znaleźć oparcie dla stóp na mokrej i błotnistej ziemi. Karen niemal słyszała jej krzyki.

Scena zrobiła się nagle zbyt realistyczna i Karen siłą woli zmusiła się, by więcej o tym nie myśleć. Ale spokój i radość już nie wróciły. Wzdrygnęła się, spojrzała z lękiem za siebie. Nie zauważyła nic niepokojącego, ale słyszała, jak serce kołacze jej mocno w piersiach. Bała się.

Pobiegła do domu. Po kilku krokach zobaczyła w ciemności jego kształt. Poczuła niezwykłą ulgę, że jednak nie zniknął, że nie znajduje się sama pośrodku pustego pola, chociaż od początku takie myśli wydawały jej się zupełnie niedorzeczne.

Zamknęła za sobą drzwi i odstawiła kieliszek z niedopitym winem.

Dopiero po godzinie odważyła się wyjść przez okno na tyłach domu. Na dworze było zupełnie ciemno.

Od tamtej pory nie odwiedzała altanki często. Nie była tam nigdy po zapadnięciu zmroku.

Jednak obraz tamtej kobiety jej nie opuścił. Nie ustalono tożsamości zmarłej, a szczątki spoczęły na lokalnym cmentarzu katolickim pod kamieniem z wyrytym na nim numerem.

Karen ciągle o niej myślała, aż nadeszła susza i związane z nią kłopoty.

Vida Whalley wymknęła się z domu przez nikogo nie zauważona i znalazła się na ciemnej, zaśmieconej drodze. W pobliżu nie świeciła

ani jedna latarnia. W całym Badlands były zaledwie trzy: jedna na początku ulicy, która wiodła do miasta, druga na jej końcu, skąd można było się dostać do międzystanowej autostrady, i trzecia naprzeciwko parkingu dla przyczep. Tę najłatwiej było ominąć, jeżeli ktoś miał taki zamiar. Można było przejść przez parking od tyłu. Szło się wtedy przez jakieś chaszczki, a jeśli akurat padał deszcz, grzęzło po kostki w błocie, które robiło się na odcinku między domem Vidy a tyłami parkingu. Na szczęście dla niej w Goodlands od dawna już nie padało.

Ale tamtej nocy VIDA nie poszła na parking. Przebiegła na drugą stronę drogi w kierunku pola Larabee'ów, stamtąd miała już niedaleko do podwórka Frenchmana. Larabee'owie trzymali dwa paskudne psy, nie tak groźne jak obronne psy jej starego, ale tłuste, leniwe kundle, których trochę się bała. Biegały na swobodzie jak wszystkie psy w Badlands i w ogóle w całym Goodlands. VIDA miała dla nich soczysty prezent. Dwa króliki, które jeszcze do niedawna były ślicznymi stworzonkami. Teraz już nie. Teraz były martwe, zastrzelone przez starego na jutrzejszą kolację. A może na przekąskę jeszcze tego wieczora, gdy wróci pijany, obszczany i głodny. Zaraz po powrocie na pewno zacznie wołać, żeby ruszyła dupę z wyra i zrobiła mu coś do żarcia. Co za pech, że królików już nie będzie.

Jakie króliki, tato? Cha, cha! Co za pech!

VIDA zaczęła pieszczotliwie przywoływać kundle Larabee'ów.

- Chodź tu, Cashus, chodź, malutki! Digby! Cashus! - wołała.

Już słyszała ich groźne powarkiwania. Ucichły nieco, bo psy wyczuły zapach królików, wydobywający się z plastikowej torby.

U Larabee'ów świeciło się, ale tylko w sypialni, na tyłach domu Psy podchodziły, wciąż warcząc, ale coraz bardziej zainteresowani ponętym zapachem. Zbliżały się do Vidy bez szczekania.

Gdy ją rozpoznały, Cashus zaczął nawet machać ogonem. Bardziej ją lubił niż Digby, ale oba były okropnie głupie.

VIDA cisnęła torbę na trawę, a psy z nosami przy ziemi rzuciły się w jej stronę. Po chwili rozrywały plastik pazurami i zębami.

- Durne kundle - powiedziała cicho, tym samym słodkim głosem Przebiegła podwórko bez zatrzymywania się, podobnie jak następne, należące do Frenchmanów, i znalazła się w zaroślach na tyłach ich farmy. Jeszcze tam dobiegały ją odgłosy rozszarpywania królików i wściekłe warczenie psów, które walczyły ze sobą o kolację. Zupełnie jak w domu, pomyślała z uśmiechem.

Miała na głowie baseballową czapkę, pod którą starannie upięła swoje długie ciemne włosy. Ubrana była w za duży czarny podkoszulek, który należał do jednego z braci. Wygrzebała go ze sterty brudów, leżących na podłodze w sypialni. Okropnie cuchnął. Dżinsy też były brudne, ale jej własne. Do przedniej kieszeni z trudem wepchnęła duże pudełko zapalek firmy Redbird, które wzięła z kuchni i zamierzala je tam z powrotem podrzucić, gdy już będzie po wszystkim. Miała jeszcze kilka godzin, zanim bracia, ojciec i jego zdzira wrócą z baru Clancy'ego. Nigdy nie zjawiali się w domu wcześniej niż po zamknięciu knajpy, chyba że ich wyrzucano na zbity pysk. Ponieważ tym razem poszli się napić po raz pierwszy od czasu, gdy zakazano im pojawiać się w tym barze, z pewnością będą szaleć. Miała mnóstwo czasu. Było dopiero wpół do jedenastej. Chciała poczekać, aż zrobi się zupełnie ciemno. Musiała uważać, by nikt jej nie widział albo przynajmniej nie rozpoznał. Dlatego włożyła czapkę i ten długi podkoszulek. Ale z pewnością nikt jej nie zobaczy. Nigdy nikt jej nie widział w czasie tych nocnych eskapad.

Gałęzie, patyki i suche liście trzeszczały pod butami, czepiając się nogawek i skarpetek, drapiąc jej skórę na rękach. Gdy mocniej zabolalo, klęła szpetnie. Co jakiś czas zatrzymywała się, zbierając niewielkie gałązki i kawałki wysuszonego drewna. Miała przed sobą jeszcze spory kawałek drogi przez krzaki i zarośla, zanim dotrze do celu wyprawy. Podkoszulek naprawdę obrzydliwie śmierdział. Vida próbowała jak najdłużej wstrzymać oddech, by tego nie czuć.

Wokół Goodlands było niewiele porośniętych krzakami terenów, przeważały typowe dla terenów rolniczych pola uprawne. Jedyne pas zarośli, jakby strategicznie pomyślany, oddzielał Badlands od reszty miasta. Po dziesięciu minutach przedzierania się przez chaszczę, mocno już podrapana Vida znalazła się na otwartej przestrzeni. Były to pola pszenicy Eda Kramera. Oczywiście żadna pszenica na nich nie rosła. Ed Kramer stracił farmę w zeszłym roku i od ośmiu miesięcy pola leżały odłogiem. Były własnością banku. Na skutek suszy do banku należało już mnóstwo ziemi w okolicy Goodlands. Vida się z tego cieszyła. Nie darzyła miasta sympatią.

Miasto również nie darzyło szczególną sympatią rodziny Whaleyów. Vida uważana była za najlepszą z całej ich gromadki, chociaż niektórzy sceptycznie kiwali głowami i mówili, że to tylko kwestia czasu. Wprawdzie do tej pory nie sprawia takich kłopotów jak reszta rodzinki, ale może już niedługo okaże się, co z niej za ziółko. Jedyne

z niej przyzwoity Whalley - poza martwym Whalleyem, cha, cha. Reszta Whalleyów była przekleństwem tego miasta. Od lat urządzali awantury po pijanemu, prowokowali bijatyki, kradli i sprawiali sto innych kłopotów. Vida była najmłodsza w rodzinie. Miała wielu starszych braci, od których mogła czerpać inspirację, nie mówiąc już o ojcu, przywódcy rodu Whalleyów. Mieszkali na Slum View Road, nazywanej w dokumentach miasta Plum View Road. Było to wysypisko śmieci oraz całe kilometry jałowej, kamienistej ziemi. Gdy ludzie z miasta musieli zagadać do Vidy, zwykle w sytuacji, kiedy przynosiła im jakieś pieniądze, było pewne, że nie obędzie się bez żartobliwego pytania, co słychać na Slum View Road. Towarzyszył temu złośliwy chichot lub porozumiewawcza mina do kolegi. Niejednemu podtatusiałemu facetowi z miasta świeciły się oczy na widok jej kształtnego ciała, ale przelękali tylko łakomie ślinę. Vida uśmiechała się wtedy, jakby trzymała gwoździe w ustach, i mówiła grzecznie: „Dziękuję, wszystko w porządku”. A potem, jeśli miała na to ochotę, wymykała się w nocy z domu i zakradała do ich kurników, otwierając drzwiczki, aby wygłodniałe lisy mogły urządzić sobie ucztę. Zdecydowanie, nie było przyjaźni między Whalleyami a resztą miasta.

Po drugiej stronie pola znajdował się pas drzew chroniący od wiatru, posadzonych jakieś osiemdziesiąt lat temu. Rosło tam ze trzydzieści olbrzymich topoli, z których wiele było już całkowicie wyschniętych.

- Dobra nasza - wyszeptwała Vida.

Ruszyła śmiało przez puste pole w stronę drzew, bez obawy, że ktoś ją zauważy.

Farma Eda Kramera znajdowała się dobre dziesięć minut drogi od miasta. W najbliższym sąsiedztwie stał dom jego imiennika, Eda Gordona, właściciela niewielkiego kawałka ziemi, około dwóch hektarów. Ed Gordon dobiegał dziewięćdziesiątki i Vida dobrze wiedziała, że staruszek nie zdoła jej zaskoczyć. Dokonała właściwego wyboru. Jak zwykle.

Gdy dotarła do linii drzew, miała już pokaźne naręcze suszu. Zręcznie ułożyła z patyczków i kawałków drewna zgrabny stosik pod topolą rosnącą mniej więcej w środku rzędu, mruczając przy tym pod nosem jakąś piosenkę. Zaciągnęła sporą gałąź pod drzewo na samym końcu szeregu i położyła ją na pobliskich krzakach. Pracowała bardzo systematycznie, nie śpiesząc się. Miała mnóstwo czasu. Trawa, która

zdolała wyrosnąć pod topolami, była wysuszona jak siano. Vida powinna być bardzo ostrożna.

- Cichutko, kochanie, nic nie mów... mamusia kupi ci ptaszka przedrzeźniacza... - nuciła.

Wyciągnęła z kieszeni pudełko zapalek. Powoli je otworzyła. Zapalki firmy Redbird zapalały się o wszystko, ale Vida pocierała je najczęściej o chropowaty pasek na boku opakowania. Rozległ się cichy trzask, w ciemności zajarzył się niewielki płomyk. Dziewczyna przez chwilę obserwowała ogień pełnący wolno po drewnku.

Potem wsunęła zapalkę między patyczki w starannie przygotowanym stosiku. Płomień się rozjaśnił, objął suche liście na gałązkach. Zapaliła jeszcze jedną zapalkę i podłożyła ją z drugiej strony. Trzecią zapalką podpaliła gałąź na końcu rzędu topoli.

Potem wszystko potoczyło się szybko.

Najpierw zajęła się trawa i płomień rozpełzł się łukowato wokół pnia drzewa. Od trawy zapalił się chrust. Chwilę trwało, nim zapłonęły większe szczapy, do tego czasu wypaliła się cała sucha trawa. Gdy Vida odwróciła się tyłem do ognia, płomień ogarnęły już całe drzewo, łakomie sięgając po najwyższe gałęzie.

Vida uwielbiała muzykę ognia, jego syczenie i trzaski. Szczególnie zaś dźwięki wydawane przez palące się drewno. Kochała ogień, który sama wzniecała. Ogień był nieprzewidywalny. Zawsze dziwiła się, jak może spłonąć dom od pozostawionego w popielniczce papierosa - przecież czasami nie sposób rozniecić ognia w piecu, używając suchego drewna na podpałkę i całego pudełka zapalek. Ogień był nieprzewidywalny, ale wspaniały, szczególnie gdy paliło się drewno. Tak cudownie pachniało. Już prawie nie czuła smrodu przepoconego podkoszulka. Wiatr był trochę za słaby, ale i taki ją cieszył, bo ostatnio całymi dniami nie wyczuwało się ani powiewu.

Płonące przyczepy samochodowe nie wydawały tak przyjemnych dźwięków. Same skwierczenia i wystrzały. Poza tym ogień trawił je wolno i nawet zapach był nieprzyjemny, chemiczny. Najlepsze było drewno. Cudownie pachniało i spalając się, tworzyło piękną muzykę.

Ponad topolami unosił się już welon dymu. Vida wiedziała, że musi uciekać. Bez wątplenia ogień był już widoczny w mieście. Ktoś pewnie zawiadomił ochotniczą straż pożarną, dzielni strażacy podnieśli tyłki i pobiegli przygotowywać beczkowóz. Jeżeli zostanie tu dłużej, niebawem usłyszy wyjące syreny. Wolą jednak słuchać ich w domu.

Było coraz bardziej gorąco, ale niechętnie opuszczała to miejsce.

Odwróciła się i zaczęła biec. Żałowała, że nie ma rozpuszczonych włosów, mogłaby wtedy czuć z tyłu ich ciężar. Tak wspaniale kołyszą się na plecach.

- Jeśli ten ptaszek przedrzeźniaczek nie zaśpiewa, mama go usmaży!

Wracała do domu dłuższą drogą, omijając podwórko Larabee'ów, gdyż tym razem nie miała już nic dla ich kundli.

Nikt jej nie widział. Gdy usłyszała wycie syreny jedynego w mieście wozu strażackiego, była już w swoim pokoju i wyglądała przez okno obserwując, jak ponad polami Kramera wzbija się w niebo czarny dym.

Karen powiesiła ściereczkę na suszarce. Jej kuchnia jak zwykle lśniła czystością. W salonie też panował porządek. Nie miała nic do czytania, a program telewizyjny nie zapowiadał się interesująco. Włączyła cichutko radio i w kuchni rozległ się melodyjny głos Harry'ego Connicka juniora. Wciąż czuła niepokój.

Weszła do salonu, wzięła pozostawiony tam kieliszek i wróciła do kuchni. W lodówce nie znalazła nic, na co miałyby ochotę. Prawie wszystkie komitety i organizacje społeczne, do których należała, miały przerwę wakacyjną, co spowodowało odczuwalną lukę w jej życiu towarzyskim. Nie paliła, nie miała też ochoty na wino. Była już noc, a ją dręczyły trudne do sprecyzowania obawy, które nie pozwalały udać się na spoczynek. Kładła to na karb upału, zbyt wielu kubków wypitej kawy, a także kłopotów w banku. Gdy zamykała oczy, widziała długie szeregi równo wydrukowanych cyfr, sumujących się w jakieś liczby, których nie mogła dojrzeć, nie mogła też, jak w przypadku Campbellów i Franklinów, w żaden sposób na nie zaradzić. Była noc, a ona snuła się po swoim niewielkim domu, poszukując zajęcia, które wypełniłoby jej czas,

Gdy wróciła tego popołudnia po pracy, przebrała się w stare dżinisy. Chciała poczuć się swojsko w wygodnym ciuchu, który pomógłby jej zapomnieć o przeżyciach w banku. Dzień należał do wyjątkowo ciężkich. Bluzki nie zmieniła, pozwalając jej spływać luźno wokół ciała. Podwinęła tylko rękawy do łokci, co było jedynym ustępstwem na rzecz panującej spiekoty. Kręcąc się po domu, czuła przylegającą do ciała bawełnę dżinsów, a także falowanie miękkiej tkaniny bluzki, muskającej nagie plecy i brzuch w harmonijnym rytmie jej ruchów. Ale upał!

Zgasiła światło w kuchni. W ciemności było chyba trochę chłodniej. Karen czuła jednak, że ma spocony kark, gdyż materiał przylepiał się tam na chwilę, zanim podążył za ruchem jej ciała. Stała w otwartym oknie i patrzyła na ciemne podwórko.

Niewiele było widać, chociaż księżyc, bliski pełni, oświetlał trawę i drzewa. A także białe słupki altanki. W porze upałów Goodlands zdecydowanie lepiej dawało się znieść nocą. Poprzez płynącą z radia muzykę przebijało się co jakiś czas cykanie świerszczy.

Karen wychyliła się przez okno i nagle, zupełnie niespodziewanie, poczuła silny powiew. Chłodny wiatr dostał się pod bluzkę, powędrował w górę pleców, aż do miejsca gdzie zbierały się kropelki potu, i cudownie schłodził jej ciało. Poczwała dreszcz. Westchnęła z rozkoszy i z ulgą przymknęła powieki. Och, żeby już zawsze było tak przyjemnie!

Powoli otworzyła oczy. W powietrzu wyczuła jakiś dziwny zapach. Dym. Ogień. Z okna kuchni nie mogła wiele dostrzec. Rozejrzała się. Nic nie widziała, ale wyraźnie czuła niesiony wiatrem zapach.

Ogień przy klęsce suszy mógłby doprowadzić do totalnego zniszczenia. A ostatnio w okolicy było wiele pożarów. Niedawno zginął w płomieniach Sticky z Badlands, biedak.

Karen weszła do salonu i zanim jeszcze otworzyła frontowe drzwi, poczuła silny zapach dymu, wpadający do domu przez okna. Gdy zgasiła światło na zewnątrz budynku i wyszła na ganek, w oddali zauważyła wzbijające się w niebo smugi dymu. Ogień płonął gdzieś daleko, ale wiatr niósł dym w stronę miasta.

Szybko podniosła słuchawkę telefonu i wybrała numer straży pożarnej.

- Mówi Karen Grange z Parson Road. Widzę i czuję dym. Pali się chyba po drugiej stronie miasta. Czy dzwonił już ktoś do was?

- Tak, już zlokalizowaliśmy ogień.

Telefon odebrał Jack Greeson, brat Teddy'ego Greesona, który wziął z banku olbrzymią pożyczkę.

- Myślę, że zapaliła się trawa. Ale jeszcze tam nie byłem. To nie daleko chałupy Kramera. Wygląda na to, że już po niej. Szkoda, że nie spaliła się rok temu o tej porze. Ed mógłby wtedy skorzystać z ubezpieczenia! - Jack Greeson zarechotał.

Karen z trudem przełknęła ślinę.

- Cieszę się, że już ktoś do was dzwonił.

- Tak, coś ze dwadzieścia osób. Nie można się bawić zapalkami w taką pogodę.

Odwiesił słuchawkę.

Karen znów wyszła na ganek. Patrzyła na rysunek dymu na czarnym niebie. Wyglądał jak chmury burzowe, ale niestety, na deszcz się nie zanosilo.

Wciąż stała na ganku, gdy pół godziny później zauważyła żarzący się koniuszek papierosa. Jakiś mężczyzna szedł w stronę jej domu. Nie patrzył na nią. Zatrzymał się, upuścił peta i przydeptał obcasem.

Zanim ruszył w kierunku jej podjazdu, pomyślała, że pewnie idzie do baru Clancy'ego, który znajdował o kilometr dalej.

Gdy był już w połowie drogi do ganku, Karen zdecydowała się odezwać.

- Czy mogę panu w czymś pomóc?! - zawołała.

Mężczyzna przystanął i po raz pierwszy na nią spojrzął.

- Może - odpowiedział i ruszył przed siebie.

- Dokąd pan idzie?

- Szukam Karen Grange.

Stał już na podjeździe. Zauważyła, że dźwiga plecak. Ubrany był w przeciwdeszczową kurtkę, a na głowie miał baseballową czapkę, spod której spływały luźno długie włosy.

- W jakim celu? - zdziwiła się.

Gorączkowo usiłowała sobie przypomnieć, czy zna tego człowieka. Nic nie przychodziło jej do głowy. Jego głos także nie był znajomy. W myślach bezskutecznie rozważała rozmaite możliwości.

Mężczyzna uśmiechnął się, błyskając w mroku białymi zębami. Dotknął brzegu czapki i uklonił się uprzejmie.

- Czy to pani jest Karen Grange?

Kiwnęła tylko głową, tak lekko, że mógł tego nie zauważyć w ciemnościach.

- Jestem przywoływaczem deszczu - oświadczył krótko.

Gdy podszedł do schodów wiodących na ganek, Karen cofnęła się do drzwi.

- Jestem piekielnie zmęczony - powiedział.

Uklonił się po raz drugi i z westchnieniem ulgi zrzucił plecak na podłogę.

- Nazywam się Tom Keatley. Jestem przywoływaczem deszczu - przedstawił się i wyciągnął do niej dłoń.

Nie podała mu ręki.

- Jestem trochę ubrudzony, idę z daleka - zaczął się sumitować.

- Przywoływacz deszczu?
- Tak, proszę pani.
- Nie wiem, o czym pan mówi.

Wciąż czuła podmuchy wiatru, który niósł ze sobą zapach dymu i czegoś jeszcze, czegoś chłodnego i przyjemnego.

- Napisała pani do mnie - oświadczył nieznajomy.

Karen oparła się o drzwi, rękę zaciskając kurczowo na klamce. Mężczyzna stał o dwa kroki od niej. Wyciągnęła drugą rękę przed siebie, aby powstrzymać go, gdyby próbował podejść bliżej.

Przywoływacz deszczu. Ten człowiek wyglądał tak, jakby pokonał piechotą wiele kilometrów. Oczy miał podkrążone... nie, podbite. Był brudny. Przypuszczała, że gdyby się bardziej zbliżył, poczułaby od niego smród. Jak na taki upał był za ciepło ubrany.

- Ja do pana napisałam...? - zapytała zdziwiona i zamilkła.

Ręką, którą chciała go powstrzymać, zakryła usta. Zaczerwieniła się, ale on i tak tego nie zauważył.

- Teraz pani pamięta?

To było zaraz po tym, jak odwiedził ją pan Blane z wydziału komercyjnego kredytu dla rolników, aby „przedyskutować” plan rozwoju jej oddziału banku. Okropny pan Blane, taki oficjalny, taki zadowolony z siebie. To był okropny dzień.

- Napisałam rok temu - powiedziała. - Nie przypuszczałam... że pan otrzymał mój list. Naprawdę nie oczekiwałam, że pan się tu zjawi osobiście. Sądziłam raczej, że najpierw się pan ze mną skontaktuje...

Gość spojrzał w niebo, a potem znowu na nią.

- Tu wciąż sucho? - zapytał, z wyczuwalnym sarkazmem w głosie.

- Proszę posłuchać, nie byłam świadoma, co robię. Tamtej nocy... byłam pod wpływem łagodnego narkotyku - usiłowała mu wyjaśnić. - Nie wiem nawet, po co napisałam. Bardzo pana przepraszam.

- Co to był za narkotyk?

- Kawa - odpowiedziała i uśmiechnęła się wbrew sobie.

Siedziała wtedy do późna w nocy, zmartwiona kłopotami banku, dziesięcioma przejęciami mienia, które spędzały jej sen z powiek, i planem rozwoju banku, który nie miał szans na realizację. Była zalamana, że znowu coś jej w życiu nie wyszło, że będzie musiała się stąd wyprowadzić, wracać do wielkiego miasta. A przecież wreszcie ułożyła sobie życie. Przecież znalazła swoje miejsce na ziemi. Wypiła za dużo kawy, nie mogła zasnąć. Była trzecia nad ranem. W telewizji nic

ciekawego nie nadawali, jedynie prognozę pogody. A teraz stał przed nią on.

- Rozumiem, że widzi pani przed sobą owoc swojego przedawkowania - zażartował.

Stali milcząc w ciemnościach. Karen i nieznajomy. Nikt nie wiedział, że był u niej.

- Będzie pan musiał odejść - powiedziała cicho, ale stanowczo.

Zdziwiony, uniósł brwi.

- Przecież dopiero tu przyszedłem - zaproponował, lekko poirytowany. Jakby skończył się już czas na towarzyskie rozmowy. - Szedłem tu prawie dwanaście godzin. Jestem brudny i piekielnie zmęczony. Zdaje się, że już to mówiłem. Muszę się gdzieś umyć i przespać. W takiej kolejności. Nie oczekuję osobnego pokoju, wystarczy mi jakaś kanapa, nawet kawałek podłogi...

- Nie może pan tu zostać - zaprotestowała przerażona.

- Pani mnie przecież zaprosiła - oburzył się, podnosząc nieco głos.

- Oczekiwałam, że pan mi odpisze albo zadzwoni, czy coś takiego.

Nie spodziewałam się, że pan tak po prostu przyjdzie tu z Winslow w stanie Kansas, nie umówiwszy się przedtem.

- Cieszę się, że pamięta pani takie szczegóły. W przeciwnym razie pokazałbym pani list, który mam przy sobie - powiedział, pochylając się ku niej. Stał zbyt blisko. Karen mocniej przylgnęła plecami do drzwi. Zastanawiała się, czy ma jakąś szansę, gdyby je zniemacka otworzyła i wpadła do środka. Czy udałoby jej się skorzystać z telefonu, zanim on... co? Zaatakuje? Już widziała nagłówki w lokalnej prasie:

„Była pracownica banku znaleziona martwa w rolniczym stanie Dakota Północna... Na podwórzu znaleziono porozrzucane fragmenty ciała pracownicy lokalnego banku... Znana z kamiennego serca pracownica banku padła martwa z poczucia winy”. I szczegóły: „Cytujemy wypowiedź szeryfa: «Najdziwniejszy przypadek samobójstwa, jaki kiedykolwiek widziałem... nie mam pojęcia, jak ona zdołała się tak pociąć»”. Albo bardziej w stylu skandalizującego programu telewizyjnego: „Karen Grange, pracownica rolniczego banku, nie spodziewała się, co ją może spotkać, gdy w noc szalejącego poza granicami miasta pożaru przybył do jej domu przystojny nieznajomy. Był to typowy przypadek «włóczęgi i... naiwniaczki»... (Zbliżenie tępej twarzy blondynki). „Rozpoczynamy program «Thirty». Jestem Angela Coltrane”.

Nieznajomy westchnął nagle.

- Proszę pani, jestem zmęczony i brudny. Nie zamierzam pani skrzywdzić. Nie mam nawet tyle energii, aby zranić pani uczucia. Po prostu muszę się gdzieś przespać. Zanocuję na zewnątrz, na tyłach domu.

Schylił się i z trudem zarzucił na ramię plecak. Karen milczała. Nie patrzyli na siebie. Mężczyzna obserwował wznoszący się ponad drzewami dym.

- Gdzie się pali?

- Na farmie Kramera - odpowiedziała Karen. - Straż już tam pojechała. Musiał pan tamtędy przechodzić.

Pokiwał głową.

- Dużo nie widziałem - rozpoczął tonem pogawędki. - Paliło się daleko od drogi. Wiele osób zmierzało w tamtym kierunku. Ludzie lubią patrzeć na ogień. - Przez chwilę oboje przyglądali się smużce dymu na niebie. - Przy takiej pogodzie ogień jest bardzo niebezpieczny. Całe szczęście, że nie ma silnego wiatru. Inaczej pożar mógłby szybko się rozprzestrzenić.

- Karen przytaknęła.

- A zatem zajmuje się pan sprowadzaniem deszczu? - zapytała wreszcie.

Uśmiechnął się, pokazując zęby. Były drobne i bardzo białe.

- Macie suszę - oświadczył.

Oczywistość tego stwierdzenia tak rozbawiła Karen, że też się uśmiechnęła.

- A ja potrafię sprowadzić deszcz.

- Dlaczego mam panu wierzyć? - zapytała.

Mężczyzna podrzucił wyżej plecak, znowu pokazał zęby w uśmiechu.

- Wygląda na to, że powinna mi pani zaufać. - Poprawił plecak. Najwyraźniej był ciężki i wilgotny. - Rano porozmawiamy o waszej suszy. Może wtedy spojrzy pani na to inaczej. - Zszedł z ganku i skierował się na tyły domu.

- Może - powtórzyła cicho.

Nie czuła się na siłach, aby go zatrzymać. W zasadzie temat był już zamknięty. Ten człowiek wyglądał na bardzo zmęczonego. Znużenie emanowało nawet ze sposobu, w jaki się poruszał.

- W ogrodzie jest altanka. Co prawda bez zabudowanych ścianek, więc mogą panu przeszkadzać komary. Na szczęście nie ma ich w tym roku wiele - powiedziała zupełnie machinalnie.

- Altanka?

Zaczerwieniła się. W Goodlands altanki nie były zbyt popularne. George Kleinsel nazwał to fanaberią. Kiwnęła głową. Nieznajomy odwrócił się i ruszył na miejsce swojego noclegu.

- Na tyłach domu jest też pompa - dodała. - Z zimną wodą.

Tym razem się nie zatrzymał. Karen patrzyła, jak znika za węglem.

Ręka, którą zaciskała na klamce, bolała ją i była mokra od potu. Serce waliło jak młotem. Weszła do domu, zamknęła frontowe drzwi na oba zamki i zasuwkę. Uświadomiła sobie, że mieszka tu już kilka lat, a nigdy jeszcze nie używała zasuwki.

Szybko przeszła do kuchni, mijając telefon i walcząc z pokusą wezwania policji.

W kuchni zamknęła również na oba zamki tylne wyjście na podwórko. Zaciągnęła też firanki w drzwiach. Było bardzo gorąco, ale mimo to Karen postanowiła wszystko pozamykać. Wychyliła się, aby sięgnąć po skrzydło kuchennego okna. Doleciało ją głośne cykanie świerszczy. Dym nadal unosił się nad drzewami, lecz był już słabo widoczny, za to przyjemny zapach palącego się drewna wydawał się bardziej intensywny. Radio wciąż cicho grało. Czasami z powiewem wiatru dobiegały ją również strzępy muzyki z baru Clancy'ego. Na szczęście tego wieczora wiatr wiał z innej strony.

Karen przeszła do innej części domu. Stamtąd mogła widzieć nieznajomego w świetle księżyca. Gdyby odwrócił się i spojrział w okno, i tak nic by nie zobaczył, gdyż w domu nie paliło się żadne światło.

Widziała, jak wsadził głowę do altanki, ale nie wszedł do środka. Wrzucił tam tylko plecak.

Podszedł do pompy, która dla Karen była tylko ogrodową ozdobą, i zaczął energicznie pompować wodę. Urządzenie nie było używane od lat, metalowe ramię opuszczało się i podnosiło z przeraźliwym zgrzytem.

Nieznajomy zdjął kurtkę, koszulę i jednym ruchem ściągnął z siebie podkoszulek, rzucając wszystko na ziemię. Miał barczyste ramiona, po których spływały miękkimi falami długie ciemne włosy. Jeszcze raz szarpnął rączkę pompy. Woda wytrysnęła silnym, krótkim strumieniem.

Pompował jeszcze przez chwilę i Karen widziała, jak grają mu mięśnie pod skórą. Nachylił się, wsadził głowę pod pompę. Woda spływała mu po włosach, ramionach i plecach, mocząc górną część spodni.

Karen odsunęła się od okna. Policzki jej płonęły. Cichutko zamknęła okno, mając nadzieję, że szum wody zagłuszy skrzywienie drewnianej framugi. Przez krótką, dramatyczną chwilę wydawało jej się, że mężczyzna znieruchomiał, a potem się odwrócił. Jednak nie była tego pewna. Przekręciła zamek w oknie.

Nie oglądając się za siebie wyszła z pokoju. Obeszła pozostałe pomieszczenia, sprawdzając, czy wszystkie okna i drzwi są pozamykane. Na wszelki wypadek.

Zaciągnęła zasłony w sypialni, opuściła żaluzje.

Zastanawiała się, czy nie zamknąć na klucz także drzwi, ale pomyślała, że to byłaby już paranoja. Dom był zabezpieczony jak Fort Knox. Tego właśnie chciała. Tuż obok znajdował się przecież zupełnie obcy mężczyzna, a mieszkała na odludziu, kawał drogi od miasta. Musiała zachować zdrowy rozsądek.

Rozebrała się szybko, jakby ktoś podglądał ją przez ściany, i wślizgnęła się do łóżka. Przykryła się tylko prześcieradłem. Leżała na plecach, włosy ułożyła wysoko na poduszce, by nie grzały w szyję. W sypialni panował straszny upał. Pociła się w piżamie. Cały czas dręczył ją niepokój. Na zewnątrz było co najmniej trzydzieści stopni, a to oznaczało, że wewnątrz domu temperatura mogła sięgać nawet czterdziestu. Zwłaszcza że wszystko było pozamykane jak w klasztorze. Bardzo gorącym klasztorze.

Zgasiła lampkę na nocnym stoliku i zamknęła oczy. Zaraz otworzyła je znowu. Zrzuciła z siebie prześcieradło. Przewróciła poduszkę na drugą stronę, szukając odrobiny chłodu. Przekręciła się na bok. Potem znowu na plecy. Wreszcie wstała, podeszła do okna i rozsunęła zasłony. Potem odchyliła żaluzje. Sypialnię zalało srebrzyste światło księżycy. Bezchmurne niebo usiane było gwiazdami.

Zupełnie nie wiadomo dlaczego, przypomniała jej się nagle Loreena Campbell, śpiewająca w jej biurze dżingiel komercyjnego kredytu dla rolników. Kogoś innego mogłoby to nawet rozbawić, ją przygnębiło. Zaczęła się zastanawiać, czy Campbellowie już śpią. Prawdopodobnie nie.

Wróciła do łóżka. Jej myśli krążyły wokół mężczyzny w ogródku. Czy już zasnął? Po chwili pojawiła się przed jej oczami twarz ciężarnej Jessie Franklin. A potem Bruce'a Campbella, spluwającego na dywan. Sen z powiek spędzała jej myśl o kolejnych trzech pożyczkach, w sprawie których powinna jutro zadzwonić i przypomnieć o płatnościach.

A także jej własne nie spłacone kredyty. I to, że ludzie w Goodlands są ostatnio przygnębieni, patrzą szklistym wzrokiem, marszczą czoła w ciągłej trosce, milkną, gdy wchodzi do restauracji. I jeszcze ten niezajomy w ogródku.

Przywoływacz deszczu. Potrafi sprowadzić deszcz. Usłyszała o nim w prognozie pogody. Wtedy wydawało jej się, że wpadła na znakomity pomysł. Ten człowiek sprawił, że w miejscowości, gdzie przez dziewiętnaście miesięcy panowała susza, spadł deszcz. W Goodlands nie było deszczu już dwa razy dłużej. W programie wyraźnie powiedzieli, że to on sprowadził deszcz.

Przywoływacz deszczu. Czy to możliwe?

Zamknęła oczy, ale wciąż nie mogła zasnąć.

Goodlands to miasto, w którym ludzie wcześniej odchodzą na emeryturę. Tak jak w większości rolniczych okręgów. Powodem była ciężka praca, właściwie harówka, zaczynająca się każdego dnia o świcie, z rzadka przerywana na godzinny lunch, który zwykle i tak zjadano na polu, a później jeszcze godzina na kolację w domu i znowu do obowiązków, z którymi trzeba się uporać przed pójściem spać. Rolnicy kończyli pracę, gdy zachodziło słońce. Czasami zasypiali na kanapie, nie doczekawszy nawet wieczornej prognozy pogody.

Jednak ostatnio Goodlands cierpiało na bezsenność i Karen Grange nie była jedyną osobą mającą kłopoty ze snem. W całym mieście, niezależnie od tego czy w domach paliły się światła, czy nie, ludzie nie mogli zasnąć.

Tamtej nocy Bruce Campbell zmagął się ze swoimi kłopotami. Razem z bratem Jimmym pili przy kuchennym stole, w domu, który praktycznie już do nich nie należał. Najpierw opróżnili cały zapas piwa, które Jimmy trzymał dla robotników sezonowych, a następnie przypomnieli sobie o butelce whisky, pozostałej z ostatnich świąt Bożego Narodzenia. Na stole walały się butelki po piwie, jakieś papiery, gazety, zużyte chusteczki higieniczne, na których nie obeschły jeszcze łzy Loreeny. Mniej więcej co godzina Loreena wchodziła do kuchni, wybuchała płaczem i pytała Bruce'a, co się z nimi stanie. Nie chciała wyjeżdżać do rodziny. Łkała, przypominając mężowi, że jej współżycie z teściową nigdy nie układało się dobrze. Dzieci w ogóle nie pojawiały się w kuchni. Były zbyt przerażone. Po raz pierwszy widziały tatusia chwającego się na nogach i bełkocącego bez sensu, a mamę zachowującą się tak, jakby była niespełna rozumu. Loreena

zaszyła się na piętrze, gdzie przekopywała szafy i pudła, co jakiś czas schodząc do dzieci i pytając: „Czy to wam potrzebne? Możemy to sprzedać?” Zanim zdołały jej odpowiedzieć, biegła z tą samą rzeczą do kuchni i zadawała te same pytania ojcu i wujkowi Jimmy'emu. Co jakiś czas wyciągała z pudełka chusteczkę i wycierała nos lub oczy. Dzieci nie dostały nawet porządnej kolacji, znalazły sobie coś do jedzenia w lodówce. A potem same położyły się do łóżek.

Charlena Waggles, dla przyjaciół Chimmy, oraz jej mąż, właściciel sklepu spożywczego, nigdy nie kładli się wcześniej spać. Chimmy do późna w nocy przeglądała książki sklepowe, a jej mąż oglądał telewizję. W milczeniu wysłuchiwał jej komentarzy, komu są ile winni, kto na pewno nie doczeka się swoich pieniędzy, komu trzeba będzie bezwzględnie zapłacić i jak dostawcy mogą dochodzić swoich roszczeń finansowych. W tym czasie z dziką radością wypełniała na czerwono rubryki w księgowych rejestrach. Były to pieniądze, których bank nigdy nie dostanie.

Butch Simpson, który w czerwcu skończy dwanaście lat i bardzo chciałby dostać na urodziny nowy rower, też nie mógł zasnąć, słuchając kłótni rodziców, których podniesione głosy docierały do niego przez otwór wentylacyjny.

W innej części miasta, gdzie domy stały bliżej siebie, spała Vida Whalley. Nikt nie zauważył, że jej ubranie pachniało dymem, gdyż chmura dymu nad Badlands była gruba jak smog nad Los Angeles. Gdy wrócił stary, a wraz z nim pijane towarzystwo, Vida słyszała jeszcze ich rozmowę o pożarze. Spodziewała się, że nazajutrz rano wszyscy w mieście będą o tym mówić. Zasypiała z błogim uśmiechem na twarzy.

Pierwsze promienie słońca przedostały się przez szpary w żaluzjach i framugach okien. Karen otworzyła oczy. W sypialni było okropnie gorąco. W nocy zrzuciła z siebie prześcieradło, a nawet piżamę. Leżała na pościeli niemal kompletnie naga, tylko w majtkach. Nieprzytomnym wzrokiem spojrzała na budzik przy łóżku. Była piąta rano.

Chciało jej się siku. Usiadła i powoli włożyła piżamę. Otworzyła drzwi od sypialni. Coś było nie tak.

W mgnieniu oka całkowicie się przebudziła. Cichutko, na palcach przeszła do salonu, a potem zajrzała do kuchni.

W środku, na wprost okna zobaczyła ciemną sylwetkę człowieka, który sprowadza deszcz.

Przez chwilę patrzyli na siebie bez słowa.

- Dzień dobry - powiedział wreszcie.

- Jak pan się tu dostał? - syknęła. Uśmiechnął się do niej.

- Czy wciąż jeszcze pija pani kawę... po tym nierozważnym wybryku? - Dopiero wtedy zauważyła, że trzymał w ręku dzbanek. - Właśnie zaparzyłem świeżą. - Nalał sobie do kubka.

- Jak pan się tu dostał? - Karen nie ruszała się z miejsca.

- Tylnymi drzwiami.

- Przecież były zamknięte.

Wzruszył ramionami. Karen postąpiła krok do przodu, skąd mogła widzieć kuchenne drzwi. Były uchylone. Bez śladu zniszczenia ani włamania. Spojrzała na chłopaka. Powoli popijał kawę.

- Mogę zacząć już dzisiaj - oświadczył.

Karen patrzyła na niego bez słowa, potem przeniosła wzrok na kuchenne drzwi.

- Ale muszę dostać połowę teraz, a resztę, gdy spadnie deszcz.

- Połowę? - powtórzyła, nie rozumiejąc. Przecież drzwi były zamknięte. Na dwa zamki.

- Połowę pięciu tysięcy dolarów. A zatem dwa i pół tysiąca.

- Za co?

- Za sprowadzenie deszczu.

Słońce wschodziło, zapowiadając kolejny dzień suszy.

Rozdział 2

Nad ranem Vida Whalley miała koszmarny sen, z którego nie mogła się obudzić. Podczas gdy Tom Keatley bez trudu wchodził od podwórka do kuchni Karen, pierś Vidy gwałtownie podnosiła się i opadała, jakby jej ciało pragnęło unieść się w powietrze. Dziewczyna oczy miała zamknięte, twarz wykrzywioną.

Przez otwarte okno wpadał wiatr. Czarne od brudu i postrzępione zasłony wzbijały się w górę, niemal pod sufit, a zaraz potem opadały z impetem. W pewnym momencie karnisz tego nie wytrzymał i z potwornym łoskotem spadł na podłogę. Vida tego nie słyszała.

- Cicho tam, kurwa! - wrzasnął z sąsiedniego pokoju jej brat. - Ja śpię, ty głupia dziwko - dorzucił mamrocząc.

Vida tego też nie słyszała. Na jej piersi i czole lśniły kropelki potu; piżama lepiała się do wilgotnego ciała. Dziewczyna oddychała z trudem, wstrząsana dreszczami. Jej płuca płonęły.

Przez sen otworzyła szeroko usta, łapczywie chwytając powietrze jak ryba wyrzucona na piasek. Zmierzwiłone włosy miała rozrzucone w nieładzie na poduszce. Żar wypalał jej wnętrze. Pot zalewał ciało. Spływał z niej strumyczkami, wsiąkając w pościel. Ból trawił ją od środka, jakby ktoś wnętrzości kroił jej nożem lub przesywał strzałami. Pot stawał się coraz chłodniejszy. Vida dusiła się, jakby coś siedziało jej na piersi, próbując wedrzeć się do środka.

Zacharczała głośno.

- Cicho tam, do kurwy nędzy! - krzyknął jej brat. Ktoś się zaśmiał.

Wreszcie dziewczyna otworzyła szeroko oczy. To coś było wszędzie, w niej i wokół niej. Wdychała to i wydychała. Bolało. Po policzkach płynęły jej łzy.

Wzrok miała szklisty, powieki trzepotały jej nerwowo. W pokoju było duszno, coraz bardziej duszno. Leżała bez ruchu.

W chwili gdy Karen spotkała w swojej kuchni człowieka, który sprowadza deszcz, Vida była już zupełnie przebudzona. Czowała się jednak nieswojo. Nie była sama. Wewnątrz jej ciała zaległo się coś obcego.

- Proszę stąd wyjść! - zawołała Karen.

Tom wypił łyk kawy.

- Należę pani kubek.

- Wynoś się z mojego domu!

Wciąż stała na progu. Nie zamierzała wejść dalej do kuchni. Palce zaciskała kurczowo na górze od pizamy, zasłaniając szyję kołnierzykiem. Tom jednak zupełnie ignorował jej słowa. Stał uśmiechnięty, oparty o blat szafki. W domu pachniało kawą, było duszno. Przecież na noc pozamykała wszystkie okna.

- Jak pan tu wszedł? - domagała się wyjaśnień.

Nie odpowiedział, ale po upływie kilku sekund, w czasie których serce Karen uderzyło trzy razy, podniósł dzbanek i gestem dobrze zadomowionej osoby otworzył szafkę, z której wyjął kubek. Nalał do niego kawy i podszedł do Karen.

- Proszę się napić - powiedział stanowczym tonem. Ostrożnie postawił kubek na małym lakierowanym stoliku. Następnie wrócił do kuchni i wypił łyk. Elegancki łyk.

Karen czuła, jak serce wali jej w piersiach, a ciało napina się do walki. Po lewej stronie miała telefon, jednak na tyle daleko, że musiałyby do niego pobiec. Wykonała niezdecydowany gest, ale nie ruszyła się z miejsca.

- Możemy porozmawiać o interesach? - zapytał.

- Wyprowadził mnie pan z równowagi!

Uśmiechnął się.

- Powinna się pani odprężyć, panno Grange. Przepraszam, że wszedłem do domu bez zaproszenia. - Wypił jeszcze trochę kawy, mlaskając ze smakiem, aby ją zachęcić do pójścia w jego ślady. - Ale, jak to się mówi, dogadajmy się. Możemy sprawić, że spadnie deszcz i uratuje to miasteczko. Tego właśnie pani pragnie, mam rację? Na Boga, przecież prosiła pani, abym tu przyjechał. I oto jestem. Jak na zawołanie.

To, co mówił, brzmiało rozsądnie, ale Karen wciąż nie miała ochoty podejść bliżej.

- Nie chcę, aby pan wchodził do mojego domu bez zaproszenia - oświadczyła w końcu.

- Wypiję kawę na zewnątrz. Zgoda? Pani się ubierze i wyjdzie do mnie. A wtedy porozmawiamy o pieniądzach. - Posłał jej swój szeroki, zniewalający uśmiech, który sprawiał, że wyglądał jak miły i życzliwy chłopiec. Właśnie, chłopiec.

- Zgoda - powiedziała Karen, bynajmniej nie odprężona.

Pokiwał głową i wyszedł na podwórko.

- Zrobiło się chłodniej - usłyszała jeszcze, a potem zatrzasnęły się za nim drzwi.

Przez chwilę stała niezdecydowana. Wolno, niemal na palcach podeszła do telefonu i wybrała numer szeryfa w Weston, które było piętnaście minut drogi od jej domu. Czekając na połączenie, wzięła ze stolika kubek z kawą, wycierając go od spodu rękawem pizamy.

Tom popijał kawę i obserwował ją, stojąc na werandzie. Wiedział, że ma zamiar gdzieś zatelefonować. Może do narzeczonego, może na policję, ale był pewien, że podejdzie do telefonu. Widział jej profil i obserwował, jak ona go obserwuje. Uśmiechnął się. Prędzej czy później będzie musiała się zdobyć na własną decyzję.

Po dwóch dzwonekach ktoś podniósł słuchawkę. Rozległ się głos Henry'ego Barkera.

- Szeryf, słucham.

Karen otworzyła usta, ale się nie odezwała.

- Biuro szeryfa, słucham - niecierpliwł się Henry Barker.

„Możemy sprawić, że spadnie deszcz i uratuje to miasteczko... Potrafię sprowadzić deszcz... Jak na zawołanie”.

Henry Barker przedstawił się jeszcze raz, po czym odwiesił słuchawkę. Karen trzymała swoją chwilę dłużej, a potem także odłożyła ją na widelki.

Na werandzie Tom uśmiechnął się pod nosem. Spojrzał w niebo. Gdyby nie susza, zapowiadałby się ładny dzień.

Karen z uwagą przyglądała się wyjmowanym z szafy ubraniom. Tego dnia miała spotkanie z dwoma członkami zarządu banku, co i tak już mogło skutecznie popsuć jej humor, a tu okazało się nagle, że czeka ją jeszcze jedna rozmowa, zupełnie niezaplanowana. Musiała włożyć coś specjalnego. Wybrała swój najbardziej elegancki kostium

w jasnym, słonecznym kolorze. Kosztował siedemset dolarów, kupiła go wiele lat temu, ale wciąż był modny, elegancki i w świetnym stanie. Spódnica miała długość przed kolana. Karen musiała dobrać do niej także rajstopy, które jako pracownica banku zobowiązana była nosić nawet w najcieplejsze dni. W regulaminie dla pracowników banku nie istniała pozycja określająca długość spódniczek, ale przedstawiono w nim ogólne zasady, jakie obowiązywały pracowników.

Pierwszą i najważniejszą była zasada panowania nad sytuacją. Pracownik banku zawsze powinien mieć w rękę mocne karty. Powinna dać do zrozumienia Tomowi Keatleyowi, kto jest przy piłce.

Bo tak naprawdę niczym nie różnił się od klientów, z którymi miała do czynienia w banku. W ich przypadku istniały określone, kluczowe informacje, które musiała zebrać, zanim zdecydowała się przejść do kolejnego etapu załatwiania sprawy.

Jakie są aktywa?

Pan Keatley może sprowadzić deszcz.

Wynajęcie czy własność prywatna?

O ile zdążyła się zorientować, pan Keatley nie posiada stałego adresu.

Poprzedni pracodawcy, przebieg pracy zawodowej, referencje.

Zawsze mogła go sprawdzić, prosząc o pomoc znajomych w Winslow. Ale to nie koniec pytań. Były jeszcze inne. Jakiej jest pana zadłużenie? Wątpiła, by używał kart kredytowych. Z jakim bankiem jest pan związany? Zakładała, że w tym szczególnym przypadku ona będzie bankiem pana Keatleya. I w końcu, kiedy spadnie ten deszcz? Zastanawiała się, dlaczego pan Keatley nie lubi odpowiadać na pytania.

Włożyła żakiet i wyprostowała się, przywołując na twarz uśmiech menedżera banku, wyrażający siłę, zdecydowanie i panowanie nad sytuacją. To ona trzyma wszystko w garści.

Tak właśnie wyglądała, gdy wyszła na werandę. Jej lęk przed niespodziewanym gościem zniknął, a zamiast tego pojawiła się swoboda i pewność siebie.

- Potrafi pan sprowadzić deszcz - stwierdziła, zwracając się do niego.

- Tak - odpowiedział krótko.

Oboje stanowili niemal modelowy przykład kontrastu: ona w eleganckim kostiumie i lakierkach, on w brudnym, wygniecionym podkoszulku i dżinsach oraz ciężkich buciorach.

- W jaki sposób?
- Mogę sprowadzić deszcz, jeżeli dostanę pięć tysięcy dolarów - wyjaśnił z uprzejmym uśmiechem.

- Nie mam takiej sumy - oświadczyła Karen oschle.

- Proszę ją więc zdobyć.

Parsknęła głośno nad absurdalnością takiej uwagi.

- Jeśli ktoś, dajmy na to pan, potrafiłby tak po prostu zdobyć pięć tysięcy dolarów, pewnie w ogóle nie prowadzilibyśmy takiej rozmowy.

- Ale ja nie mam problemów z suszą.

Rozglądał się po ogrodzie. Za rozległym trawnikiem znajdował się skalny ogródek, którym Karen nigdy się nie interesowała. Trawa była spalona słońcem i mocno zachwaszczona. Nieco dalej rosło kilka rachitycznych krzaków bzu, a w głębi widać było niewielki sad z jabłonią, po których Karen nie spodziewała się owoców. Wszędzie widać było skutki czteroletniej suszy. A pośrodku tego wszystkiego stała altanka, pomalowana białą farbą, łuszczącą się już porządnie po sześciu latach. Cały ogród miał w sobie jakąś posępną atmosferę. W każdej chwili można się było spodziewać przybycia Heathcliffa, prosto z wrzosowisk, albo Scarlett, przysięgającej sobie, że nigdy już nie będzie przymierać głodem.

- Muszę się zastanowić - powiedziała Karen, marszcząc czoło.

- To oczywiste.

Musiała już iść.

- Cały dzień będę w banku. Nie sądzę, abym mogła pana powstrzymać przed wejściem do domu...

- Jestem trochę głodny.

- W lodówce znajdzie pan coś do jedzenia - burknęła pod nosem.
- Tylko niech pan niczego nie zwinie.

Wyszła, nie troszcząc się o zamknięcie frontowych drzwi. Uruchomiła samochód i ostrożnie manewrując, wyjechała na drogę. Jakże chciałaby nie mieć na głowie tylu spraw! W banku czekał ją ciężki dzień. Spodziewała się Chase'a i Juby z zarządu, którzy mieli sprawdzić razem z nią kilka ksiąg bankowych. Chociaż nie powiedzieli tego jeszcze, domyślała się, że będą chcieli doprowadzić do zawieszenia działalności banku. Liczba czynnych, bieżących rachunków dramatycznie spadła, a stan kont, jeżeli nie należały do dużych firm, jak na przykład mleczarnia Hillton-Shane, był bliski zera.

Oddział w Goodlands zaczął mieć kłopoty w czwartym roku suszy. Przez trzy ostatnie lata nie przynosił dochodów. Powinno się go było

zamknąć już wtedy. Karen, jako zarządzająca tym oddziałem, przygotowywała roczny biznesplan, który dawał zwierzchnikom rozeznanie, jakich dochodów mogą się spodziewać w nadchodzącym roku. Karen zakładała polepszenie sytuacji finansowej i zyski dla firmy. To wystarczyło, aby otrzymać zgodę na podtrzymanie działalności oddziału banku przez następny rok. Jednak telewizyjne dżingle nie pomogły. Komercyjny Bank Kredytowy dla Rolników, podobnie jak wszystkie amerykańskie banki, dużo większą uwagę zwracał na ostateczne terminy spłaty kredytów, niż na inne zobowiązania swoich klientów. Było oczywiste, że przygotowała zły biznesplan, ale na swoje usprawiedliwienie miała to, że jak wszyscy spodziewała się rychłego zakończenia suszy. W „Almanachu Farmerskim” zapowiadano deszcz. I rzeczywiście, w najbliższej okolicy już padało. Wyglądało to tak, jakby ktoś rozpiął nad Goodlands olbrzymi, niewidzialny parasol, zjawiska tego bowiem nie można było wytłumaczyć w żaden naukowy sposób. W prognozie pogody dla ich regionu przewidywano pięćdziesiąt pięć centymetrów opadów. Jak dotąd w Goodlands nie spadła ani kropla. Nie ma deszczu, nie ma zbiorów. Nie ma zbiorów, nie ma plonów. Brak plonów oznacza niespłacone pożyczki, dzierżawy, zajęcie hipotek, wypływ oszczędności z banku i oczywiście zero profitów.

Karen zdawała sobie sprawę, że gdyby ją stąd przeniesiono, jej kariera zawodowa mogłaby się zakończyć. Na pewno wysłano by ją na prowincję, do jakiegoś innego oddziału banku, który przynosi niewielki, stały zysk. Zajmowałaby się pożyczkami lub czymś równie mało znaczącym. Pytanie: „Jakie są wasze aktywa?” stałoby się jej mantrą. Właśnie dlatego wolała zostać w Goodlands.

Zanim o dziewiątej trzydzieści Juba i Chase weszli do jej biura, Karen miała już przygotowane i sprawdzone wszystkie dokumenty. Była gotowa. Elegancka, bez kropelki perfum. Bankowcy interpretowali każdy zapach jako objaw strachu.

Vida ubrała się w swoją najładniejszą sukienkę, bawełnianą w kwiatowy deseń, co prawda lekko spraną, ale przynajmniej czystą. Do tego włożyła na gołe stopy postrzępione tenisówki, niegdyś białe. Całkiem zadowolona z siebie usiadła na brzegu łóżka.

Nie mogła się pozbyć wrażenia, że włosy odstają jej od czaszki. Przyglądała je kilkakrotnie, za każdym razem czując w palcach impuls elektryczny. Niespiesznie zaplatała je w ciężki, gruby warkocz,

który sięgał jej do połowy pleców. Zawsze była dumna ze swoich włosów, a tego dnia wyglądały wyjątkowo pięknie. W ogóle tego dnia podobała się sobie bardziej niż zwykle. Podobało jej się, jak sukienka przy każdym kroku tańczy wokół jej kolan. Cieszyła się na myśl, że znowu będą się na nią gapić. Obrzydliwi, starzy faceci.

W domu wszyscy jeszcze spali. Mężczyzna na kanapie w salonie głośno chrapał. Stolik do kawy, połamany już od niemal dwóch lat, zastawiony był brudnymi spodkami zastępującymi popielniczki, pustymi butelkami po piwie oraz pustymi flaszkami po bimbrze, pędzonym przez jej ojca na handel. Butch, gargantuiczny rottweiler, weteran tak wielu walk, że ojciec traktował go jako swoiste trofeum, leżał na podłodze, charcząc i popierdując, cuchnąc przy tym jak browar. Jej ojciec i bracia często poili go piwem, a potem cały dzień zarykiwali się ze śmiechu, gdy pies bekał jak stary pijak. Vida nie miała pojęcia, kim jest śpiący na kanapie facet, ale nic jej to nie obchodziło. Ledwo rzuciła na niego okiem.

Minęła kuchnię i wyszła tylnymi drzwiami na podwórko. Miała plany na ten dzień.

Zręcznie wyminęła potężnego pawia tuż przy schodach. Słońce grzało mocno. Z daleka dobiegał warkot jakiejś pracującej maszyny. Ptaki nie śpiewały - wraz z przedłużaniem się suszy było ich coraz mniej. Ale to nic. Susza była dobra. Zabijała Goodlands. Miasto wysychało i umierało. To świetnie.

Vida wyszła na Plum View Road. Rozejrzała się w lewo i prawo, jakby nigdy przedtem tu nie była. Tego dnia wszystko wyglądało inaczej, od wysokich, suchych topoli po zbrązowiałą, zaśmieconą trawę. Tego dnia wszystko promieniowało szczególnym blaskiem.

Tenisówki wzbijały w górę brudny pył z drogi, który osiadał na jej sukience. Zamierzała iść do miasta. Musiała iść do miasta. Ponieważ była szalona. Miała tam coś do załatwienia. Ruszyła w drogę, lekko stawiając kroki.

W zeszłym tygodniu w sklepie Wagglesów wstrzymano jej rodzinie kredyt. Cóż za wstrętni, naprawdę wstrętni ludzie.

Słońce świeciło jej prosto w oczy i Vida pomyślała, że może dlatego kręci jej się w głowie. Nie czuła się źle, ale jakoś inaczej niż wczoraj. Roily jej się dziwne myśli, ale starała się to ignorować. Szła w kierunku miasta mając nadzieję, że jeden malutki zły uczynek przywróci jej zwykle samopoczucie. Jeszcze nie zdecydowała, co to będzie. Może kradzież cukierków w sklepie, może wyciągnięcie wtyczki z

zamrażarki, jak to zrobiła w restauracji Rosie. Po prostu coś małego, ale przynoszącego spore straty. Ludzie tacy jak Wagglesowie żyją tylko po to, by zarabiać pieniądze. Niech zatem zarabiają trochę dłużej.

Gdy dotarła do miasta, na ulicach było już tłoczno. Nie pomyślała o tym. Przeszła na drugą stronę głównej alei i stanęła pod starym klonem, na wprost poczty. Zaczęła się zastanawiać, czy nie przegapiła już najlepszej sposobności. Może powinna tu wrócić w nocy...

Klon ocieniał jej głowę, w której wciąż szumiało. Co za przyjemność odpocząć od rażących oczy promieni słonecznych. Drzewo było ogromne, miało co najmniej sto lat. Vida wiedziała to, ponieważ jakieś siedem czy osiem lat temu chciano je ściąć i wybuchła wtedy wielka dyskusja. Mieszkańcy miasteczka protestowali, mówili o dziedzictwie i historii. W końcu pozostawiono klon na miejscu, zresztą chyba tylko po to, aby niedługo potem obserwować, jak usycha w wyniku wielkiej suszy. Później zastanawiano się, czy nie zamocować na jego pniu jakiejś plakietki, upamiętniając jego wiek. Ale jak do tej pory nic nie zrobiono. To było dobre, mocne drzewo. Rosło akurat przed sklepem, sięgając gałęziami do jego okien.

Schło i cierpiało, jak reszta drzew w Goodlands. Vida dała się ponieść marzeniom i pomyślała, jaki to byłby piękny widok, gdyby nagle zapłonęło. Niestety, podpalenie go raczej nie wchodziło w rachubę. Po ostatnim pożarze, nie mówiąc już o wszystkich pozostałych, ludzie w mieście zaczęli coś podejrzewać. Zresztą może i tak będzie musiała tu wrócić w nocy, ale na razie chciała się zorientować, co mogłaby zrobić teraz.

Jaka szkoda, że klon nie zawali się wprost na zniechęcony przez nią sklep. Powinna pomyśleć raczej o czymś, co nie zwróci niczyjej uwagi. Zastanawiała się, czy nie wejść tam od tyłu i nie otworzyć drzwi, żeby psy mogły się dostać do środka. Szybko jednak zrezygnowała z tego pomysłu, ponieważ na tyłach sklepu znajdowały się podwórka innych domów, o tej porze pełne dzieciaków i matek. Nawet na ulicy słychać było pokrzykiwania maluchów.

Niedobrze. Głupie drzewo, pomyślała. Lekko uderzyła dłonią w jego pień.

John i Charlena Waggles kupili sklep w Goodlands jakieś trzy i pół roku temu. Przyjechali z Minneapolis, nie można ich zatem winić, że zdecydowali się na taką inwestycję w nie najlepszym czasie. Powinni zadać sobie pytanie, czemu Hastenom tak zależało, aby jak najszybciej

sprzedać ten budynek, ale ponieważ mieli na niego ogromną ochotę, nie zastanawiali się długo. Popelnili taki fatalny błąd, że Charlena, dla znajomych Chimmy, która przestała już co prawda płakać po nocach, w dalszym ciągu wyglądała jak ktoś, kogo spotkało wielkie nieszczęście. Wciąż miała zapuchnięte i podkrążone oczy. Ostatni raz płakała wtedy, gdy musieli zwolnić z pracy Tammy Kowzowski, chociaż gdy przejmowali sklep, obiecali, że będzie dalej u nich pracowała. Później Chimmy już nie płakała. Nie wzdychała również, gdy mieszkańcy miasteczka przychodzili i brali na kredyt towary wartości setek dolarów. Zapisywała to wszystko na ich rachunki. Przez ostatnie dwa lata nauczyła się nie przejmować zaległymi spłatami, bankami i dużymi firmami dostawczymi, które domagały się pieniędzy. Traktowała ich jak wrogów. Cztery razy wyłączano jej telefon. Była wściekła, że wielcy żerują na niepowodzeniach małych, i zyskała sobie tym aprobatę lokalnej społeczności. Gdy po żniwach pojawiały się jakieś pieniądze, ludzie przychodzili i regulowali rachunki (przynajmniej tyle, ile mogli). W rozmowach z mieszkańcami Goodlands mówiło się: „oni są przeciwko nam”, chociaż w rzeczywistości ona i jej mąż należeli do obcych.

John nie był jednak w stanie pogodzić się z niespłaconymi rachunkami i groźbą utraty dostawców. Niepowodzenia fatalnie odbiły się na jego charakterze. Nigdy nie należał do silnych mężczyzn (do Chimmy zawsze należały decyzje), a ostatnio coraz częściej narzekał i jęczał, a nawet płakał po nocach, gdy już zupełnie nie mógł sobie poradzić z ogarniającymi go lękami. Chimmy go rozumiała. Jej babka mawiała, że wszyscy ludzie odczuwają to samo, tylko na różne sposoby dają temu wyraz. Chimmy wychowała się w dużej, hałaśliwej rodzinie. Nauczyła się niczego w sobie nie tłumić.

Tego ranka Chimmy, zmęczona jak diabli, zeszła około ósmej na dół, by otworzyć sklep. Przez ostatnie dwa lata bardzo przytyła i miała trudności z chodzeniem. John nie poruszał tej kwestii. Mieli niepisaną umowę: on pił, a ona jadła. Przy każdej okazji narzekała na swoją tuszę, nie chcąc, aby ludzie myśleli, że się tym nie przejmuje. Mówiła, że ma uda jak beczki, a jej tyłek to „ostatni w Goodlands czynny piec kaflowy”. Powoli i ociężale schodziła po schodach, pozwalając sobie nawet na grymas bólu, gdyż wiedziała, że John jej nie widzi. Bolały ją nogi, najbardziej kolana. Kiedyś pracowała w bibliotece i nabawiła się okropnych żyłaków, którym wcale nie pomogły lata stania za ladą. Czasami z rana ból był tak silny, że schodząc na dół jęczała

głośno. Jeśli miała zły dzień, pokonanie schodów zajmowało jej nawet dziesięć minut.

Był środek miesiąca. Ważny dzień. Mógł zadzwonić ktoś z banku z informacją, że przekroczyli konto. Pewnie będzie domagał się pieniędzy. Zwykle kontaktowała się z nimi osobiście ta dystygowana Karen Grange. Dopóki bank się nie upomni, Chimmy z pewnością nie da ani centa. Telefonowali każdego miesiąca mniej więcej o tej porze i chociaż rozmawiała z nimi dość opryskliwie, zawsze na dziesięć minut przed zamknięciem banku przychodziła z pieniędzmi. Płaciła, ale dopiero po upomnieniu. Oboje z Johnem mieli w banku dość niski rachunek, tak że nie można było pobrać z niego zaległych płatności. Gotówkę zostawiali w sklepie, w kasie pancernej. Jak na razie bank nie mógł im nic zrobić. Chimmy nie lubiła się zastanawiać, co będzie, gdy ich sytuacja zmieni się na niekorzyść. A mogło to nastąpić już niedługo. Pieniądze, jakie oboje przywieźli ze sobą do Goodlands, już prawie się skończyły. Oszczędności, emerytury, niemal wszystko już stracili.

Kołyszącym się krokiem podeszła do drzwi wejściowych i otworzyła zamki. Następnie przekreśliła wiszącą na drzwiach tabliczkę informującą, że sklep jest czynny. Już o poranku było gorąco i duszno, przewidując więc, że w ciągu dnia będzie jeszcze gorzej, zostawiła drzwi otwarte, blokując je kawałkiem cegły. Podobnie jak poprzednich właścicieli, ich też nie było stać na założenie w sklepie klimatyzacji. Czasami wewnątrz panował taki skwar, że cukierki przyklepały się do papierków, a kulki gumy do żucia nie dawały się oderwać jedna od drugiej. Koło południa nawet muchy nie miały siły latać. Owoce, zwłaszcza banany, wytrzymały w dobrym stanie tylko kilka dni, a później łądowały w skrzynce z przeceną, zdatne jedynie na krem lub koktajl. Czasami Chimmy otwierała także drzwi od zaplecza, próbując wywołać w sklepie chociaż lekki przewiew, ale wtedy musiała uważać na psy z sąsiedztwa. Robiła to więc rzadko, tylko gdy temperatura w sklepie osiągała powyżej trzydziestu stopni. A takie upały zaczynały się dopiero w lipcu.

O ósmej trzydziści towar był już wyjęty z lodówek i poukładany w skrzyniach oraz na półkach, drobne pieniądze do wydawania reszty pierwszym klientom przełożone z sejfów do kasy, a przez otwarte drzwi frontowe wpływało świeże powietrze. Chimmy siedziała za ladą, przeglądając wczorajsze gazety i bezwiednie pocierając obrzmiałe kolana.

Właśnie była zajęta wpisywaniem kolejnego hasła w krzyżówce, gdy usłyszała trzask. Uniosła głowę i wyjrzała na ulicę. Przez oszkloną ścianę frontową zobaczyła lecące w jej stronę olbrzymie drzewo. Upadło, rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Gałęzie wdarły się do wnętrza sklepu, miażdżąc witrynę i rozbijając stojące przy niej regały ze szkłem, ceramiką oraz zabawkami.

- O Boże! - zdołała zawołać Chimmy, po czym zleciała ze stolka, twarzą na posadzkę.

Ed Kushner i Gabe Tannac siedzieli przy stoliku w restauracyjnym ogródku i widzieli upadek olbrzymiego klonu. Zerwali się na równe nogi, krzyczeli z przerażenia. Żona Eda, Grace, krzątająca się wewnątrz lokalu, spojrzała na ulicę akurat w chwili, gdy frontowa szyba sklepu wpadła z brzękiem do wnętrza.

- Zadzwoń po Franklina! - krzyknęła do Larry'ego Watsona, który był o tej porze jej jedynym gościem, i wybiegła na zewnątrz, gdzie zderzyła się z mężem.

Leonard Franklin był dowódcą ochotniczej straży pożarnej. Grace, która skończyła kurs pierwszej pomocy, pośpieszyła sprawdzić, co się stało z Chimmy.

Zewsząd zbiegali się ludzie. Larry usiłował dostać się do sklepu od tyłu i pobiegł po siekiere, żeby wyważyć drzwi. Gdy wrócił, na progu ukazała się Chimmy, podrapana, zakrwawiona, oszołomiona, lecz na szczęście żywa i cała.

- Moja polisa ubezpieczeniowa jest już wyczerpana! Wyczerpana! - wykrztusiła i upadła zemdlona w progu.

Grace ułożyła ją płasko na rampie, zaczęła wachlować fartuchem.

- Idź po doktora, a potem po agenta ubezpieczeniowego, najlepiej Gordona - poleciła mężowi, myśląc o niedawnej awarii chłodziarki, za co Chimmy także nie dostała ani centa odszkodowania. - Przyrowadź tu Bena Gordona, tylko nie tego padalca, który z nim pracuje - dodała. - Może wypłaca wreszcie jakieś pieniądze.

Przed sklepem zgromadził się już spory tłum. Ludzie bezskutecznie próbowali znaleźć wytłumaczenie dla tego nieprawdopodobnego wypadku. W rozmowach wyczuwało się napięcie. Znowu wydarzyło się coś dziwnego.

- Czy świat się sprzyścił przeciwko nam? - pytał Garry Chase.

Na biurku Karen piętrzyły się sterty dokumentów i pootwieranych segregatorów, a na szczycie tego wszystkiego widać był wydruk z

komputera, zawierający szeregi liczb, które układały się w oczywistą całość.

Garry Chase zajął biurko i krzesło Karen. Richard Juba stał za jego plecami. Odczytywał głośno numery rachunków, a Chase zaznaczał je na wydruku. Karen, której wyznaczono rolę pomocniczą, siedziała na dodatkowym krześle i czekała na pytania. Nie zadawali pytań. Prawie się do niej nie odzywali. Pocięszała się, że może oznacza to, iż jednak nie zwolnią jej ze stanowiska. Burczało jej w brzuchu i żalowała, że wypila rano tylko trochę kawy.

- Nigdzie, poza rachunkiem Hillton-Shane, nie ma wpływów pieniędzy. Byłabym jednak ostrożna, jeśli chodzi o rachunki prywatne, ponieważ gdyby nawet sytuacja zaczęła się polepszać, ludzie wciąż jeszcze będą potrzebować kredytów. Nie oczekiwałabym wpływu gotówki przed przyszlórocznymi zbiorami - powiedziała.

Pragnęła, by jak najszybciej zakończyli tę kontrolę i wynieśli się z jej biura. Jakże chciałaby czytać w ich myślach! Serce podskakiwało jej w piersiach przy każdym ich oddechu. Nastrój zmieniał się z minuty na minutę. Raz miała nadzieję, że uwierzyli w jej słowa, ale zaraz potem wątpiła, że jest to w ogóle możliwe. Jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie.

Drzwi do jej biura były otwarte i czuła na sobie od czasu do czasu wzrok Jennifer. Celowo nie zamknęli się w pokoju, chcąc personelowi dać do zrozumienia, że szefowa ma kłopoty. Taka sprytna zagrywka.

Najpierw usłyszeli jakiś głuchy trzask i łoskot, a zaraz potem krzyk Jennifer.

- Mój Boże!

Obaj mężczyźni podnieśli jednocześnie głowy, ale tylko Karen zerwała się z krzesła. Jennifer podbiegła do okna.

- To sklep Wagglesów - powiedziała.

Karen także wyjrzała na ulicę i zobaczyła, że drzewo rosnące na wprost poczty zważyło się i strzaskało witrynę sklepu.

- Zdarzył się wypadek! - zawołała do Chase'a i Juby, wybiegając za Jennifer na ulicę.

Vida uśmiechała się, obserwując to zamieszanie. Miała uśmiech podobny do kota: mrużyła oczy w wąziutkie szpareczki, przez które widziała bezchmurne niebo. Poczowała na twarzy słońce i uniosła ją nieco, delektując się ciepłem promieni. Za nic nie mogła się powstrzymać:

z jej gardła wydobył się złośliwy chichot, zanim zdążyła zasłonić usta dłonią. Tą samą dłonią, którą uderzyła w pień drzewa.

Naprawdę, pchnęła je bardzo lekko. A ono się przewróciło. Wprost na tą grubą Charlenę Waggles.

Słońce prażyło coraz mocniej. Tak musiało być. Vida przez cały dzień nie przestawała się uśmiechać, skrywając w sobie ten sekret jak list od kochanka. Mogła zrobić, co chciała. Ale tego dnia stała tylko i obserwowała.

Szeryf Henry Barker zasiadł w restauracji, aby napisać raport dla firmy ubezpieczeniowej.

- Cholerny dzień - powiedział. - Daj mi kawę, Gracie.

Grace przyniosła dzbanek i napełniła też kubki trzech innych mężczyzn, siedzących przy stole. Traciła już rozeznanie, kto za co płacił, a Ed wściekał się później i nalegał, aby wszyscy równo dopłacali do rachunków, wyrównując braki, gdyż czasy były bardzo ciężkie. Ona jednak zapominała o tym i nikt z gości nie zrzucił się nigdy po piętnaście centów ekstra. Tak czy inaczej musiała uważać, gdy mąż był w pobliżu.

Henry odchrząknął. W restauracji natychmiast zrobiło się cicho.

- Byłem na farmie Kramera i w zupełności zgadzam się z Leonar-dem Franklinem. Ten ogień z pewnością ktoś podłożył. Mniej więcej w środku rzędu topoli znajduje się kupa jakiegoś spalonego gówna i popiołu, sięgająca na wysokość mojego tyłka. Poza tym Leonard powiedział, że widział spalone zapalki. Całkowicie spalone, ale można je zauważyć. Zrobiliśmy zdjęcia - zakończył i napił się kawy.

- Gdy biegliśmy z Goonerem, by zobaczyć, czy nie możemy w czymś pomóc, widziałem idącego drogą faceta - powiedział Bart Eastly. - Był wysoki i według mnie wyglądał mocno podejrzanie. Nadchodził od strony autostrady, o ile się nie mylę. Naprawdę wyglądał bardzo podejrzanie. Miał długie włosy.

- Słyszałem już o nim - wycedził przez zęby Henry.

- Co to za jeden? - zapytał Gabe.

- Nie mam pojęcia. Jacob też go widział, gdy jechali z Geeną na farmę Kramera. Mijali faceta przy Parson Road. Geena obserwowała go w lusterku i zauważyła, jak skręcił przy domu Karen Grange - umilkł na chwilę. Dziewczyna z banku mieszkała sama i nie chciał dalej rozwijać tematu, by nie robić plotek.

- Karen? Czy to jej znajomy? - ktoś zapytał.

- Tego nie powiedziałem - zastrzegł się Henry, nerwowo popijając kawę. - Nie wyciągajmy pochopnych wniosków.

Wiedział oczywiście, że plotki i tak będą, ale nie chciał do tego przykładać ręki.

- Wygląda na to, że dziewczyna Whalleyów najadła się dziś strachu - powiedział po chwili, chcąc zmienić temat. - Drzewo musiało runąć wcześniej czy później. Już rok temu powinniśmy je ścinać.

- Mam przecucie, że tegoroczne lato będzie koszarne - stwierdził Gabe Tannac. - Nieźle się zaczęło.

Zapadła cisza. Nikt nie chciał rozmawiać o suszy.

Podczas gdy Chimmy skarżyła się wszystkim, że nie dostanie ani grosza ubezpieczenia, a Karen zmagala się z kontrolerami, Tom Keatley chodził za wynajmowanym przez nią domem, usiłując znaleźć jakieś miejsce, gdzie mógłby pomyśleć. Musiał się nad czymś zastanowić.

Jego zdaniem tu nie chodziło tylko o suszę. Tu była próżnia. Absolutna próżnia pozbawiona wilgoci. Powietrze było suche i gorące. Ziemia łaknęła deszczu. Tak głęboko, jak tylko mógł wyczuć, nie było w niej ani kropli wody. Drzewa, które zwykle stanowią naturalne zbiorniki wilgoci, umierały z pragnienia. Ze wszystkich suszy, z którymi się zetknął, którymi się zajmował, z powodu których cierpiał, ta była najgorsza. Nigdy dotąd nie miał do czynienia z czymś takim.

Po raz pierwszy poczuł to, gdy mijał znak drogowy, oznajmiający podróżnym, że znaleźli się w Goodlands. „Goodlands, porządne małe miasteczko! Liczba mieszkańców: 620”. Już tam czuł suszę.

Gdy Karen pojechała do pracy, rozebrał się do naga i wykąpał w zimnej wodzie pod pompą. Następnie uprał ubranie i przebrał się w czysty podkoszulek. Włożył mokre dżinsy, aby dłużej czuć chłód. Umył też włosy, a potem przeczesał je palcami. Rozłożył na trawie mokry podkoszulek, by wysechł na słońcu. Nie zdarzyło się nic, co mogłoby odroczyć nieuniknione.

Coś było nie tak. W gruncie rzeczy nieważne, dokąd pójdzie, ale miał swoje preferencje.

Unikał podwórka z podeschniętą przystrzyżoną trawą i udał się między drzewa. Za nimi była otwarta przestrzeń, na której nie można się było nigdzie skryć przed palącymi promieniami słońca. Tom przemierzał wzdłuż i wszerz niewielki sad jabłoni. Miłe miejsce. Drzewa, a rosło ich tam ze czterdzieści, otaczały niewielką łączkę, a raczej porośniętą trawą wzniesienie. Posadzono je dookoła pagórka, aby woda w naturalny sposób zasilala sad. Jabłonie już przekwitły, jeżeli

w ogóle miały tej wiosny jakieś kwiaty, ale na owoce było jeszcze za wcześnie. Nie dostrzegł nawet zawiązków jabłek. Drzewa były jednak bardzo ładne. Korzenie z pewnością miały silne i długie, bo wyglądały dużo lepiej niż inne drzewa w Goodlands.

Łączka wydała mu się znakomitym miejscem. Ale nawet tam wciąż to czuł. Wysuszenie.

Odkąd znalazł się w tym mieście, ogarnęło go złe przeczucie. Nie umiał sprecyzować swojego niepokoju, ale coś było nie tak. Miał wrażenie, że niezależnie od tego, jak bardzo będzie się starał, nie uda mu się sprowadzić tu deszczu. Chociaż czuł go w pobliżu. Zachowywał się jak ślepiec, który nie widzi, ale czuje zmysłami. Mógłby przywołać chmury, ale nie byłby w stanie sprawić, aby deszcz spadł w tym miejscu.

Odkąd wszedł do Goodlands, wydawało mu się, że znajduje się wewnątrz pustki. Próżnia. Zarówno natura, jak i Tom czuli wstręt do próżni. W przypadku Toma pięć tysięcy dolarów było słuszną ceną za ten wstręt.

Czuł, że wielki deszcz jest wciąż o cztery, pięć dni na wschód od tego miejsca. Zupełnie jak tamtej nocy w okolicach Oxburga. Ale w odległości godziny lub dwóch znajdowały się niewielkie kieszonki, z których dałoby się wydobyć mniej więcej półgodzinny deszczyk. Powinien był dać radę sprowadzić tu taką małą siąpaninę. Spróbował. Doprowadził ją do granic miasta i ani kroku dalej. Dlaczego?

Pod koniec dnia Tom rozłożył koc na suchej ziemi, wyciągnął się na nim i patrzył w niebo. Czekał. Od czasu do czasu znajdował go, czuł jego wilgoć, pełnię. Dwa razy niebo otwierało się i deszcz spadał gdzieś na ziemię. Tom miał wrażenie, że pada wszędzie, tylko nie w Goodlands.

Rozdział 3

Powiedzieli, że dają jej jeszcze rok. Jeśli zacznie padać. A naprawdę wstrzymali decyzję o zamknięciu tego oddziału banku do końca czerwca. Chase powiedział, że jeśli w czerwcu spadnie deszcz, dadzą jej jeszcze szansę na jeden sezon. A jeśli nastąpi inne spłukanie (naprawdę użył słowa „spłukanie”, Karen dobrze wyczuła tę ironię), wtedy zamkną bank. Nie wspomnieli ani słowa o jej przyszłości w Komercyjnym Banku Kredytowym dla Rolników. Nie musieli. Powinna wiedzieć, jak działa ten mechanizm. Udało jej się jedynie zyskać na czasie. Zostały jeszcze dwa tygodnie czerwca. Dwa tygodnie, w czasie których powinna mieć nadzieję, błagać, może modlić się o deszcz. Dwa tygodnie.

A poza tym była jeszcze kwestia pieniędzy.

Na ulicy uprzątano miejsce po niecodziennym wypadku. Warkot pił, które cięły zwalone drzewo, słychać było przez cały dzień. Mimo pracy urządzeń klimatyzacyjnych, hałas dochodził także do biura Karen. Po raz pierwszy od wielu tygodni ludzie wchodzili do banku - prawdopodobnie dlatego, że było tam chłodniej niż na zewnątrz.

Jednak nikt nie zajrzał do niej, aby się przywitać.

Karen musiała wykonać trzy telefony ponaglające do rodzin, które od miesiący zalegały z długami hipotecznymi. Najpierw zadzwoniła do Paxtonów. Telefon odebrała pani Paxton. Rozmawiała dość chłodno. Powiedziała, że mąż pracuje w polu i wróci późnym popołudniem.

- Czy mogłaby go pani poprosić, aby zadzwonił po powrocie do Karen Grange z Komercyjnego Banku Kredytowego dla Rolników? - zapytała Karen.

- Nie wiem, czy będzie miał czas na telefony, rozumie pani, mamy wiele pracy odrzekła pani Paxton.

Karen doskonale wiedziała, że znaczy to „pocałuj mnie w dupę”. Rodzina Paxtonów ustawiła ostatnio na trawniku przed domem wielki drewniany krzyż i Jennifer Bilken powiedziała Karen, że każdego wieczora po kolacji modlą się pod nim o deszcz.

W pomieszczeniu przylegającym do pokoju Karen, gdzie załatwiano sprawy klientów, panował okropny bałagan. Na dwóch małych biurkach i częściowo także na kontuarze piętrzyły się segregatory oraz wydruki komputerowe, które przeglądali rano Chase i Juba. Jennifer czekając, aż Karen wyda jej dyspozycję, co z tym zrobić, pracowała w takich warunkach aż do czwartej trzydzieści. I dopiero wtedy zapytała:

- Czy mam jeszcze dzisiaj zacząć układanie tych akt na miejsce?

- Jeśli masz czas, możesz włożyć rachunki do teczek, Jen - odpowiedziała Karen zdawkowo. - Muszę jeszcze coś sprawdzić na wydrukach.

Nie podniosła nawet głowy znad biurka, na którym leżały wyciągi z kont, których właściciele zalegali z wpłatami. Słyszała, jak Jennifer otwiera dużą szufladę z aktami i zaczyna je uzupełniać.

O czwartej czterdzieści Karen uporządkowała papiery na biurku. Bank zamykano o piątej.

Za dziesięć piąta przeszła do zewnętrznej części biura i uśmiechnęła się do Jennifer, która właśnie kończyła porządkowanie kartoteki.

- Dziękuję, Jen - powiedziała.

Jennifer spojrzała na zegarek.

- Mogę zostać i pomóc, jeśli trzeba - oświadczyła. Mieszkała na farmie ojca poza miastem, razem z dwójką dzieci i matką. Jej mąż pracował na Alasce i przysyłał do domu pieniądze, ale Karen obawiała się, że będzie z nim jakiś problem. Jak słyszała, mąż Jennifer nie pokazał się w domu od Bożego Narodzenia.

- A co z dziećmi?

- Mama ma dzisiaj wolny dzień - powiedziała Jennifer. Znowu spojrzała na zegarek. - Mogę zostać tak długo, jak zechcesz...

Karen pokręciła głową.

- Nie ma potrzeby. Zajmie mi co najmniej godzinę uporządkowanie tych wydruków. Możesz iść.

- Jeżeli jesteś pewna...

Karen uśmiechnęła się przepaszająco.

- Poprosiłabym cię o pomoc, gdyby była taka potrzeba, Jennifer, ale sama widzisz, ile mam roboty, którą muszę zrobić sama - wyjaśniła z odpowiednią intonacją głosu. Przynajmniej miała taką nadzieję.

- Dobrze - zgodziła się nieco rozczarowana Jennifer. - Co mówił pan Chase? - zapytała. - Czy wspomniał coś o zawieszeniu działalności?

Karen zdała sobie nagle sprawę, jak niewesoło ta sytuacja musi wyglądać z punktu widzenia Jennifer. Jeśli Komercyjny Bank Kredytowy dla Rolników zamknie swój oddział w Goodlands, jej pracownica straci pracę. Mogłaby co prawda znaleźć coś w Weston albo gdzieś w okolicy, ale wtedy musiałaby dojeżdżać, zapewnić dzieciom całodzienną opiekę, wstawać skoro świt, wracać do domu wieczorem. Miałaby zatem podobne kłopoty, z jakimi obecnie boryka się prawie każda rodzina w Goodlands.

- Prawdę powiedziawszy, nie wiem - odpowiedziała uczciwie.

Zastanawiała się, czy nie zdradzić jej małego sekretu i nie dodać czegoś na temat deszczu, ale przecież sama niczego nie była pewna. O przywoływaniu deszczu wiedziała mniej niż o budowie promu kosmicznego. Niewiele też wiedziała o swoim niespodziewanym gościu. Znała tylko jego nazwisko, a o istnieniu tego człowieka dowiedziała się z programu telewizyjnego. Nie miała pojęcia, co stanie się z bankiem, z Jennifer, a także z nią samą i nie mogła już o tym myśleć. Nie wiedziała nic ponad to, że serce wali jej w piersiach, i że Jennifer powinna już wyjść, bo dopiero wówczas będzie mogła zrobić to, co zamierzała.

- Na razie niczym się nie martw - powiedziała pocieszająco.

I idź do domu, dla naszego wspólnego dobra, dodała w duchu. Jennifer odwróciła głowę.

- Chodzi mi tylko, no wiesz, o ojca, o sąsiadów...

Jej ojciec harował na farmie od rana do wieczora, ale mimo to nie powodziło mu się lepiej niż innym. Może nie wyjść na prostą, nawet jeśli spadnie deszcz. Tylko dzięki zarobkom Jennifer cała rodzina jakoś dawała sobie radę. Matka pracowała w Avis i jej pensja szła na spłacanie pożyczki.

- Nie martw się na zapas - powtórzyła Karen.

Przypomniała sobie spojrzenie, jakie posłała jej Jennifer, gdy Loreena Campbell nazwała ją bezduszną suką. Może ta dziewczyna też tak uważała. I będzie tak uważać nawet wówczas, gdy zacnie padać.

Jennifer spojrzała na Karen bez cienia sympatii i wyciągnęła spod lady swoją torebkę. Była za pięć piąta.

- No to cześć, do jutra - powiedziała.

Karen zasiadła przy biurku między sejfem, a kontuarem i poma-chała jej na pożegnanie. Bezдушna suka.

Odczekała jeszcze dwadzieścia minut. Co chwila patrzyła na zegarek i udając, że robi jakieś notatki, składa papiery, porządkuje dokumenty, stwarzała pozory osoby bardzo zajętej. Aż do momentu gdy była zupełnie pewna, iż reszta miasta zakończyła już tego dnia pracę. Usiłowała nie myśleć wiele o tym, co robi. Trzęsły jej się ręce.

Dwadzieścia po piątej wstała z krzesła i usunęła z blatu biurka wszystkie papiery, które przez ostatnie dwadzieścia minut stanowiły pretekst jej krzątania. Nie musiała robić żadnych notatek, poza kilkoma spostrzeżeniami, które poczyniła w myślach.

Serce waliło jej jak młotem, gdy podeszła do kontuaru i wyjęła z przegródki formularz pożyczkowy. Wypełniła rubryczkę, gdzie było miejsce na nazwisko. Ale nie wpisała tam własnego.

„Larry Watson, RR # 2, Goodlands, Dakota Północna” - napisała. Dodała numer ubezpieczenia, resztę danych osobistych oraz informację, że tylko ona i urzędnik podatkowy mają dostęp do jego rachunków bankowych, aktywów, pasywów i aktualnego stanu hipoteki. Farma była jego własnością, miał też dziesięcioletni samochód i kupiony przed suszą wóz terenowy, teraz pięcioletni. Wszystko pięknie pasowało.

Karen wpisała kwotę jego ostatniego rocznego dochodu, trochę oszukując. Trochę, ale nie bardziej niż zrobiłby to Larry osobiście, jeśli ubiegałby się o pożyczkę w Komercyjnym Banku Kredytowym dla Rolników.

Gdy wszystkie dane były już podane, Karen zamortyzowała pożyczkę, którą Larry Watson, jeden z nielicznych już rolników w Goodlands utrzymujących płynność gotówkową, mógł dostać. Pożyzył pięć tysięcy dolarów. I nigdy się o tym nie dowie.

Chyba że nie zacznie padać. Wtedy dowiedzą się wszyscy.

Pierwszą ratę trzeba zapłacić w ciągu trzydziestu jeden dni. Z trudem to sobie wyobrażała. Jej pensja po potrąceniu wszystkich płatności kredytowych była bardzo skromna. Co to oznaczało? Że Karen z trudem starczało pieniędzy do końca miesiąca. Jeżeli się wyda - na przykład gdy ktoś z zarządu banku wyśle do Larry'ego jakieś zawiadomienie - wtedy ona przyzna się do wszystkiego. Ogłoszą jej niewy-

płatność, zadłużenie, nie będzie miała szansy na awans, a może nawet spadnie na niższe stanowisko. Zostanie oskarżona o defraudację. Ale wtedy będzie mogła wyjaśnić, dlaczego to zrobiła, i liczyć na wyrozumiałość. Stała z formularzem pożyczkowym w dłoni i wydawało jej się, że gdyby teraz komuś powiedziała, dlaczego to robi, nikt by jej nie uwierzył. Natomiast później mogłaby zostać oskarżona, że wymyśliła to wszystko, aby się bronić. Musiała wybrać mniejsze zło.

Wprowadziła umowę o pożyczkę do komputera. Porządnie i fachowo. Następnie otworzyła osobny rachunek dla Larry'ego i podrabiając jego łatwy i dobrze jej znany podpis, podpisała wszystkie dokumenty. Obok, trochę drżącą ręką, podpisała się sama na decyzji banku o przyznaniu pożyczki. Na dokumentach otwierających nowy rachunek umieściła tylko swoje inicjały. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie użyć inicjałów Jennifer na rachunku bankowym, ale przypomniała sobie, że jej pracownica bardzo rzadko podpisywała takie dokumenty, a poza tym nie chciała dziewczyny w to mieszać. Już i tak miała spore kłopoty.

Gdy stała przed sejfem i odliczała dwa i pół tysiąca dolarów, poczuła znajomy ucisk w żołądku. To było podniecenie, w które wprawił ją widok szeleszczących banknotów, świadomość, że bierze je do ręki, ma. Tak jak wtedy, gdy szalała z zakupami. Przypomniały jej się stare dzieje. Mimo dobrze działającej klimatyzacji była spocona jak mysz. Czowała zapach własnego potu. I zwierzęcy zapach strachu, którego udało jej się na szczęście uniknąć rano, podczas wizyty Chase'a i Ju-by. Ale tym razem nikt nie wie, jak to się skończy.

Jeśli będzie padać...

Po prostu musiało zacząć padać. Karen uprzątnęła resztę papierów i schowała fikcyjną umowę o pożyczkę Larry'ego Watsona do szuflady swojego biurka. Kiedy wychodziła z banku, ulice Goodlands były już zupełnie puste.

Gdy Karen zobaczyła przed swoim domem samochód Henry'ego Barkera, w pierwszej chwili pomyślała, że on już wie. Że Jennifer do niego zadzwoniła. „Panie Barker, właśnie zostawiłam Karen Grange samą w banku i mam wrażenie, że ona coś knuje. Niech pan to lepiej sprawdzi”. Ale to nie mogło się zdarzyć, nie mogło. Wysiadając z samochodu starała się opanować drżenie nóg. Szeryf pomachał do niej z ganku. Rozejrzała się, ale Toma Keatleya nie było w zasięgu wzroku.

Miała nadzieję, że panowie się nie spotkali, że Tom nie poczęstował szeryfa kubkiem kawy ani nie powiedział, że nie lubi, gdy mu się zadaje pytania. Usiłowała trzymać torebkę normalnie, tak by nic nie wskazywało, że pomiędzy zapasowymi tamponami, szminką, portfelem, grzebieniem i pastylkami miętowymi ma tam także dwa i pół tysiąca dolarów.

- Jak się masz, Henry! - zawołała, wchodząc po stopniach na ganek.

- Jak się masz, Karen! Upał trochę zelżał pod wieczór.

- Na szczęście - odpowiedziała.

Szeryf usunął się i zrobił jej miejsce, aby mogła podejść do drzwi. Jednak Karen nie ruszyła się w tamtą stronę. Nie miała pojęcia, czy Tom jest w domu, czy gdzieś na zewnątrz.

Ostrożnie położyła torebkę na drewnianej podłodze. Przez jedną straszliwą sekundę zadrżała, przerażona, że torebka nagle się otworzy i rozsypią się wyniesione z banku pieniądze.

- Dawno cię nie widziałam, Henry. Co mogę dla ciebie zrobić?

Starła się zachowywać zupełnie naturalnie. Spojrzała w dół na torebkę. Na szczęście zamek dobrze trzymał. Henry wyjął z kieszeni na piersi papierosy.

- Taaak - zaczął i wyciągnął w jej stronę paczkę. - Mogę? - zapytał. Pokiwała głową.

- Dzięki. Nigdy nie wiadomo, czy człowiek ci pozwoli zapalić papierosa. - Płomyk zapalki osłonił zwiniętą dłońią. Ponieważ nie było ani śladu wiatru, musiał ten gest podpatrzeć na jakimś filmie o policjantach. - Zapalisz?

Odmówiła grzecznie.

Cały czas czuła, że śmierdzi strachem. Zastanawiała się, czy on też to czuje. Czy policjanci wyczuwają zapach strachu, tak jak zwierzęta i bankierzy?

Henry zaciągnął się papierosem.

- Mam nadzieję, że nie będziesz miała mi tego za złe, ale przyjechałem tu, aby zadać ci dość osobiste pytanie. Wiesz, tyle się ostatnio dzieje w naszym mieście, mam na myśli serię tych dziwnych wypadków. Muszę trzymać rękę na pulsie, rozumiesz? No tak, pewnie już wiesz o pożarze, który wybuchł w nocy na polach Kramera. We wschodniej części. Zasłona od wiatru spłonęła jak zapalka. Wszystko przez suszę. Jacob Tindal i jego żona Geena, nie wiem, czy ich znasz, jechali na pomoc Kramerowi. Mój Boże, teraz prawie wszyscy w mieście twierdzą, że rzucili się gasić pożar, ale kto wie, ile tam było

prawdziwej pomocy. Domyślasz się, o czym mówię. John Livingstone rozciął sobie rękę na jakimś cholernym słupku, przepraszam za słowo, próbując wleźć na niego, żeby lepiej widzieć. Ludzie nie siedzą w domach, jeśli nie muszą, wiesz, o co mi chodzi. Ale wróćmy do rzeczy. Tindalowie mieszkają pięć kilometrów stąd i akurat tuż po tym, jak wybuchł pożar, przejeżdżali koło twojego domu. Widzieli na drodze jakiegoś faceta. Obcego, jak powiedzieli. Czy widziałas kogoś zeszłej nocy, mniej więcej około jedenastej?

Karen słuchała jego słów z pustką w głowie, coraz to spoglądając na leżącą przy drzwiach torebkę. Nie była w stanie jasno odpowiedzieć na pytanie.

- Czy kogoś widziałam? - powtórzyła.

Czuła, że znowu zaczynają trząść się jej nogi. Marzyła, by na czymś usiąść.

- Chodzi mi o kogoś obcego. Czy o tej porze już spałaś? - Wydmuchał dym, starając się omijać twarz Karen, ale nie spuszczał z niej oczu.

- Nie - odpowiedziała, zdecydowanie za szybko.

- Nie widziałas stąd pożaru? - zdziwił się.

- Tak - przytaknęła. - Widziałam pożar. Nawet zadzwoniłam do straży. Chciałam powiedzieć, że nie widziałam nikogo obcego. - Próbowała przełknąć ślinę, ale w ustach miała sucho.

Pokiwał głową. Papieros już się spalił, ale wciąż trzymał go w palcach. W powietrzu czuć było smród tłącego się filtra.

- A zatem nie pogniewasz się, jeśli zadam ci osobiste pytanie? - uśmiechnął się niewinnie.

- Nie, możesz pytać.

- Chciałbym wiedzieć, czy w ostatnich dniach miałaś tu jakiegoś gościa? Geena twierdzi, że widziała, jak ktoś wchodzi do twojego domu. To znaczy, widziała to w lusterku samochodu. We wstecznym lusterku. Jakiegoś mężczyznę - dodał.

Ach, te małe miasteczka.

- Nie - skłamała. - Geena musiała się pomylić.

Zastanawiała się, dlaczego skłamała. Mogła przecież powiedzieć, że Tom jest jej kuzynem, dawno nie widzianym bratem, przyjacielem czy starym znajomym z miasta. Mogła nawet powiedzieć prawdę, że to przywoływacz deszczu. Wówczas z pewnością wszyscy w mieście by mówili, że Karen Grange z banku zwariowała i potrzebuje natychmiastowej porady psychiatry.

Skłamała. Tak się stało i tyle. Teraz mogła zapisać jeszcze na swoje konto utrudnianie pracy przedstawicielowi prawa. A także udzielanie pomocy i ukrywanie kryminalisty. Czy to przestępstwo? Jeśli tak, trzeba to dodać do listy jej przewinień. Oczywiście, defraudacja i fałszerstwo będą ścigane przez prawo federalne, a to mniejsze zapewne przez władze stanowe. Coś dla ciebie, Henry Barker.

- Przykro mi - dodała.

Henry pokiwał głową.

- Jeśli tak, to w porządku. Pomyślałem sobie, że zajrzę do ciebie i spytam, by nie mieć wątpliwości. Rozumiesz mnie.

Rzucił peta na werandę i przydeptał czubkiem buta, a potem schylił się i go podniósł. Na deskach pozostał czarny ślad. Szeryf usiłował zatrzeć go podeszwą, ale wciąż był widoczny. Po kilku próbach zrezygnował i wyrzucił niedopałek do zarośniętego chwastami ogródka przed domem.

- To wszystko - rzekł po chwili. - Nie będę ci już zabierał więcej czasu. Z pewnością marzysz o kolacji. Już cholernie późno, dochodzi wpół do siódmej. Zawsze tak długo pracujesz?

Karen starała się nie patrzeć na torebkę.

- Miałam dziś trochę więcej zajęć - wyjaśniła.

Jednocześnie błagała w duchu Toma Keatleya, aby pozostał tam, gdzie był, dopóki szeryf nie odjedzie.

- Do widzenia, Henry, miło cię było widzieć - powiedziała uśmiechając się promiennie.

- Tak, ostatnimi czasy spędzam w mieście więcej czasu niż zwykle. Co robić.

Zszedł po schodkach na podwórko i wolno ruszył w kierunku samochodu. Karen liczyła w duchu sekundy, modląc się, aby Tom nie pojawił się niespodziewanie.

- Daj mi znać, jeśli zauważysz, że kręci się tu ktoś podejrzany! - zawołał do niej Henry, stojąc już przy wozie. Zanim otworzył drzwiczki, coś na drodze przykuło jego uwagę. Kucnął, podniósł to i schował do kieszeni. Szeryf był osobą niezwykle oszczędną. Karen pomyślała, że pewnie znalazł dziesięć centów i nie mógł się oprzeć, aby nie sięgnąć po monetę. Z trudem powstrzymała nerwowy chichot, wyobrażając sobie minę Henry'ego, gdyby zrewidował jej torebkę. Była ciekawa, czy zamknąłby ją w więzieniu, czy może raczej zażądał połowy sumy.

Henry pomachał jej na pożegnanie i wszedł do samochodu. Po chwili odjechał.

Kogoś podejrzanego. W takim małym miasteczku podejrzany może być dosłownie każdy. Także ona.

Poczekala, aż samochód zniknie jej z oczu, dopiero wtedy podniosła torebkę i weszła do domu. Już w środku odetchnęła z ulgą, po raz pierwszy od wielu godzin.

Siedziała w salonie, obserwując ciemniejące niebo. Wreszcie uznała, że nieznamy już się nie pojawi.

Oszust.

Nigdy nie zamierzał tu sprowadzić deszczu. Nie sprowadził go też w innych miejscach, miał po prostu wielkie szczęście. Wcale nie był przywoływaczem deszczu, szukał tylko okazji. Z pewnością rozważył wszelkie możliwości i doszedł do wniosku, że nie naciągnie jej na żadną forszę. Powinna sprawdzić, czy coś z domu nie zginęło. Z dawnych czasów, kiedy jeszcze wydawała dużo pieniędzy, pozostało jej kilka wartościowych przedmiotów. Nie ruszyła się jednak z miejsca. Miała nadzieję, że brudny, obdarty włóczęga nie zwróci uwagi na cenną porcelanę.

Prawdę powiedziawszy, z miejsca, gdzie siedziała, widziała figurkę Capodimonte, kosztowny drobiazg, który nabyła w latach swojego szaleństwa. W czasach, do których dzisiaj wróciła. I wszystko nadaremnie. Była bliska płaczu, chociaż pocieszała się, że obecność drogo-cennej statuetki jest dobrym znakiem.

Wszystko nadaremnie.

Może to rzeczywiście on podłożył ogień na polu Kramera. Może Henry wiedział więcej, niż chciał jej powiedzieć.

Rano niemal błagała Chase'a i Jubę o jeszcze jeden rok. Postawiła wszystko na jedną kartę, ryzykując swoją pozycję w banku, która i tak była już mocno niepewna. Zrobiła z siebie po raz kolejny kretynekę. Może nie przeniosą jej nawet do działu pożyczek. Może za rok znajdzie się w okienku kasowym, wywołując kolejnego klienta, niezadowolonego z opieszalejszej obsługi. To będzie jej przyszłość. I stać ją będzie tylko na zakupy w najtańszych sklepach, typu Wal-Mart.

Pieniądze znajdowały się wciąż w zaklejonej kopercie, wciśniętej do torebki, która leżała teraz na podłodze w jej garderobie, pomiędzy dwunastoma pudełkami na buty. Zostanie tam do jutra, kiedy to zabierze ją z powrotem do banku, zniszczy formularz pożyczkowy i zapis w komputerze, a następnie schowa pieniądze do sejf. Wtedy odetchnie z ulgą i będzie mogła spokojnie robić dalsze plany.

Jakie plany? Westchnęła z goryczą. Znowu wróciła myślami do tamtego programu telewizyjnego, w którym zobaczyła przywoływacza deszczu. Pamiętała jego wzrok, gdy stał w strugach ulewy, uśmiechając się kącikiem ust. Miał spojrzenie pełne satysfakcji i rozkoszy. Odgarnął z twarzy ociekające wodą włosy i mówił coś do kamery. Mokry podkoszulek oblepiał mu tors. Z tyłu widać było spacerujących w deszczu ludzi, spoglądających w niebo, łykających krople wody, roześmianych. Niemal wszyscy mieli na sobie nieprzemakalne płaszcze lub trzymali w rękach parasole. Tylko on jeden nie chronił się przed deszczem. Ostatni raz czuła się tak bardzo zawiedziona, gdy po trzech tygodniach od wysłania listu nie otrzymała żadnej odpowiedzi. Pomyślała wtedy, że przywoływacz deszczu nigdy nie przyjedzie do Goodlands.

Poszła do kuchni, by zaparzyć sobie herbatę.

Gdy zrobiło się już zupełnie ciemno, usłyszała kroki na werandzie. Otworzył drzwi bez pukania i wsadził głowę do środka.

W domu nie paliło się żadne światło. Karen milczała.

- Mogę wejść? - zapytał.

- Nie - odpowiedziała stanowczo i wypila łyk herbaty.

- Zamknąć drzwi?

- Mogą wlecieć komary - stwierdziła.

Posłusznie przymknął drzwi. Po chwili usłyszała skrzywienie starego wiklinowego fotela, który należał do poprzednich właścicieli, i domyśliła się, że Tom usiadł na werandzie.

Skręcił sobie papierosa i zapalił. Rozparł się wygodnie w fotelu, nogi zarzucił na balustradę. Dym podrażnił mu gardło. Było wysuszone. Jak te krzaki, w których przebywał niemal cały dzień, kręcąc się w okolicy posiadłości Karen, a także po Goodlands. Trzymał się bocznych dróg, gdzie było cicho i spokojnie. Wąchał, robił rozpoznanie, szarpiąc, ciągnąc niebo w poszukiwaniu kieszeni, poprzez którą mógłby się dostać do środka. Na twarzy, w porach i załomkach skóry miał pełno brudu i pyłu. Podkoszulek był już poplamiony i przepocorny. Nawet w nocy, dobrą godzinę po zachodzie słońca, było gorąco i duszno. Tom czuł się zupełnie wysuszony, jak jeszcze nigdy.

- Z przyjemnością napiłbym się herbaty! - zawołał z werandy, pozornie niedbałym tonem.

- Czemu nie napije się pan wody? - Jej głos, dobiegający z głębi domu, był matowy.

Tom uśmiechnął się do siebie ponuro. Mimo suchości w gardle nadal palił papierosa i wpatrywał się w noc. Goodlands to ciche i spokojne miasteczko. Takie jak większość miast, które znał. Dlatego właśnie je odwiedzał. Ale tutaj, pomimo pozornego spokoju, wyczuwał coś dziwnego. Jakiś prąd, przepływający przez całe miasto. Mógłby też przysiąc, że gdy uważnie się wsłuchiwał, dobiegał go jednostajny, natrętny pomruk. Buczenie, na które nie zwracało się uwagi w krzątaniu dnia, wsączało się w jednak w człowieka cały czas, wywołując najpierw irytację, później zaczynało być nieznośne, a w końcu, zanim doprowadziło go do szaleństwa, sprawiało, że nagle wszystko rozumiał i zaczynał krzyczeć. Tom wsłuchiwał się w ten dźwięk przez cały dzień.

- Czego pani ode mnie oczekuje? - zapytał wolno. - Jakiegoś dowodu? Proszę dać mi znak! - zirytowany, podniósł nieco głos.

- Sądziłam, że pan już wyjechał.

Obejrzał się zdziwiony. Za przeszklonymi drzwiami stała Karen, opierając czoło o szybę. W mroku wyraźnie widział białą plamę jej czoła.

- Spacerowałem po okolicy, oglądałem miasteczko - wyjaśnił. - Takie rzeczy wymagają czasu, proszę pani.

- Myślałam, że już dziś zacznie padać.

- Umówiliśmy się - powiedział z wahaniem w głosie.

- Ja panu zapłacę, a pan sprowadzi deszcz, to jest ta umowa? Pan nie chce albo nie może sprowadzić deszczu bez pieniędzy.

- Coś w tym guście - zgodził się. - Chyba ma pani dzisiaj zły humor?

Karen zaśmiała się cicho, ale szybko zatkała dłonią usta. Czowała, jak ogarnia ją histeryczna wesołość.

- Tak, ma pan rację - powiedziała po chwili. - Był dziś u mnie szeryf.

- Co pani takiego zrobiła, obrabowała bank? - Tom zachichotał głośno ze swojego żartu.

Z twarzy Karen natychmiast zniknął uśmiech. Gdyby spojrzął na nią wtedy, zobaczyłby, że ma zamknięte oczy. Słyszał, jak powoli wdycha i wydycha powietrze. Za szybą nie było już widać białej plamy jej czoła.

- Szeryf podejrzewa, że pan mógł wzniecić wczoraj wieczorem pożar. Ktoś pana widział koło mojego domu - dobiegł go cichy głos zza drzwi. Wyczuwało się w nim zmęczenie. - Nie mam już czasu ani

cierpliwości - dodała Karen, mobilizując resztkę energii. - Jeżeli może mi pan udowodnić, że potrafi sprowadzić deszcz, proszę to zrobić. Nie dam ani centa, dopóki mnie pan nie przekona. - Przekreśliła klucz w zamku. - I proszę nie wchodzić do domu - dodała, zanim zamknęła wewnętrzne drzwi. Tom zaciągnął się papierosem.

- Te sprawy wymagają czasu - powiedział cicho, bardziej do siebie niż do niej. Wiedział, że Karen wciąż stoi za zamkniętymi drzwiami. Ostatni raz zaciągnął się skrętem i zgasił go o podeszwę, chowając niedopałek do kieszeni spodni.

W tym mieście działo się coś niedobrego, co nie pozwalało mu wniknąć w niebo. Dlaczego więc stąd nie wyjedzie?

Coś tu było. Zmarszczył czoło. Czuł, że drzwi do nieba są dla niego zamknięte. Odkąd przywołuje deszcz, po raz pierwszy spotkał się z czymś podobnym. A więc, co tu się działo? Przymknął oczy i znowu zaczął rozważać możliwość opuszczenia Goodlands. Nie po raz pierwszy zniknęłyby bez pożegnania. Po co ma tu siedzieć, skoro i tak nie uda mu się przywołać deszczu?

Minęło dużo czasu, zanim wreszcie wstał i poszedł na polankę w sadzie.

W środku nocy Karen obudziło pukanie w szybę. Wyrwana z głębokiego snu, nie od razu zidentyfikowała ten dźwięk. Ptak? Wiatr? Wampir...?

- Pani Grange?

Przebudziła się na dobre.

- Tak?

Podciągnęła kołdrę pod szyję i spojrzała w okno. Było zupełnie ciemno. Dopiero po chwili zauważyła za szybą jakiś ruch, czyjąś rękę.

- To ja, Tom.

- Czego pan chce?

- Proszę podejść do drzwi - poprosił.

Zobaczyła, jak za oknem jego cień przesuwa się w stronę frontowych drzwi. Karen wciąż leżała nieruchomo na plecach, trzymając kołdrę pod brodą. Wreszcie wstała.

Ubrana była w długą bawełnianą koszulę nocną. Gorączkowo zaczęła szukać szlafroka. Miała ich sześć. Dlaczego, do diabła, nie mogła żadnego znaleźć? Natrafiła za to dłonią na jakieś majtki i wciągnęła je

na siebie. W końcu wymacała szlafrok na biurku. Włożyła go i jedną ręką przytrzymując rozchylający się dekolt, drugą odsunęła krzesło, którym zatarasowała drzwi.

Tom czekał na werandzie. Na zewnątrz było trochę chłodniej, chociaż powietrze stało nieruchomo jak w dzień. Było jednak dużo przyjemniej niż w sypialni.

- Przepraszam - powiedział na jej widok. - Przestraszyłem panią?

- Czego pan chce?

- Nie wszedłem do środka - pochwalił się.

- Która godzina? - zapytała ignorując jego uwagę.

Była czarna noc. Chociaż Karen przespała już kilka godzin ciężkim, niespokojnym snem, czuła się tak, jakby dopiero przed chwilą zasnęła.

- Nie wiem, późno. Muszę pani coś pokazać - powiedział.

Zanim się spostrzegła, chwycił ją za rękę. Szarpnęła się do tyłu.

- Spokojnie - wyszeptał. Był podekscytowany. - Proszę pójść ze mną.

- Nie! - Cofnęła się o krok.

Tom zatrzymał się w połowie schodów.

- Proszę - nalegał. - Dam pani dowód, o który mnie pani prosiła.

Ruszył na tyły domu.

Karen stała jeszcze chwilę na werandzie, a potem poszła za nim.

Prowadził ją na polankę w sadzie. Podobnie jak w nocy, gdy pojawił się po raz pierwszy, Karen zaczęła sobie znowu wyobrażać nagłówki w lokalnej prasie.

„Pracownica banku w Goodlands zamordowana w swoim ogrodzie. Dwa i pół tysiąca dolarów znalezione w sypialni w torebce. Pracownica banku poćwiartowana. Wreszcie pada w Goodlands. Co wspólnego ma deszcz z pracownicą banku?”

Ostra, sucha trawa drapała ją po nogach. Karen wiedziała, że jeszcze gorzej będzie jej iść na polance, gdzie rosły krzaki. Starła się nie stracić Toma z oczu. Był kilka metrów przed nią i od czasu do czasu oglądał się za siebie.

Karen z coraz większym niepokojem zanurzała się w smolistą noc i ciężkie, gęste powietrze, nasłuchując niemal bezszelstnych kroków idącego przed nią mężczyzny.

Kierował się w stronę jabłoni. Widziała migającą w ciemności białą plamę jego koszulki.

Przeszli podwórko na tyłach domu, minęli altankę, której pseudogotycka bryła majaczyła w mroku, zaniedbany ogródek skalny, widoczny jako nieco jaśniejsza, okrągła plama skąpana w czerni. Znaleźli się w sadzie. Tom zniknął w alejce między drzewami.

Karen zatrzymała się przed dwoma wysokimi jabłoniami. Posadzono je zbyt blisko i splotły się gałęziami. Po chwili znowu go zobaczyła. Stał na środku polanki, czekał. Nie ruszała się z miejsca, zastanawiając się, czy biec z powrotem do domu, czy wejść w jaśniejszy krąg między drzewami.

Serce waliło jej w piersiach jak oszalałe.

W poświęcie księżycy, która sączyła się między koronami drzew, zmieniając ich wynędzniałe gałęzie w srebrzysty deseń, Tom wyglądał jak posążek ze srebra. To przez tę białą koszulkę, pomyślała. Widziała wyraźnie jego oczy. Fosforyzujące białka wokół błękitnych tęczówek. Wyglądał dokładnie tak, jak gdy zobaczyła go po raz pierwszy w telewizji, w transmisji z Winslow.

Czy wciąż marzyła o deszczu?

Weszła na polankę.

Tom wyciągnął rękę.

- Proszę podejść i stanąć obok mnie.

Karen zatrzymała się.

- Zostanę tutaj.

- Dobrze.

Zobaczyła na jego twarzy szeroki uśmiech, który, jak przypuszczała, nie był przeznaczony dla niej. Tom nerwowo przygładził dłońmi włosy, odgarniając je z twarzy gestem, który także pamiętała z telewizji. Jego nagie ramiona odbijały księżycowe światło. Karen pomyślała nagle o tym, jak ciemno jest między drzewami. Jeśli będzie musiała uciekać, czy uda jej się znaleźć drogę do domu? I czy nie była zdana na jego łaskę? Poczowała na karku gęsią skórę, ale to nie był zwykły strach.

- Proszę podać mi rękę - oznajmił, wyciągając dłoń.

Pokręciła odmownie głową.

- Proszę - powiedział cicho, przysuwając się odrobinę. - Proszę.

W końcu pozwoliła mu wziąć się za rękę, trzymając ją sztywno i z trudem znosząc dotyk jego palców. Dłoń miał dużą i ciepłą. Ich ręce dotykały się bardzo delikatnie.

- I co teraz? - zapytała Karen, skrępowana jego bliskością.

- Ciii...

Delikatnie ułożył jej palce w miseczkę i trzymał w swojej dłoni. Z wolna zamknął powieki. Sekundę później uniósł jej i swoją rękę w górę, do poziomu jej oczu i tak zatrzymał, zwrócone w stronę nieba. Karen stała nieruchoma i sztywna, prawie nieświadoma nagłych zmian, jakie zachodziły na łące.

Patrzyła na niego jak zahipnotyzowana.

Oczy miał zamknięte. Po chwili je otworzył.

- Specjalna sztuczka Toma Keatleya dla Karen Grange. - Mrugnął do niej.

Stał bez ruchu, jak posąg na środku polanki.

Gdy tylko zamknął oczy, opuścił to miejsce w jabłoniowym sadzie. Oczyszczył swój umysł z Karen, drzew, Goodlands, z tej niesamowitej suszy, której nie umiał wyjaśnić. Wznosił się coraz wyżej i wyżej, aż w końcu znalazł deszcz. Był tam. Jak zwykle, czuł wilgoć w swoim ciele. Nabrzmiałe i ciężarne chmury były także w nim. Ale tym razem miał wrażenie, że choć jest tuż-tuż, to jednak nie dość blisko. Jeszcze raz, jak czynił to wielokrotnie w ciągu dnia, spróbował przyciągnąć do siebie deszcz. Gdy już go schwycił, umiał utrzymać. Czuł deszcz tam, wiedział, że pozwala mu się dotknąć. Mógł go lekko szarpnąć, ale drzwi do nieba wciąż były zamknięte. Coś nie pozwalało ściągnąć go niżej. Da radę przywołać tylko tyle deszczu, aby przekonać Karen. Pokazać jej, że potrafi. Tylko trochę, na pokaz.

Wyprężył się w niebo, zęby mu szczękały, usta wykrzywiły się w grymas. Mięśnie zesztyniały w ogromnym wysiłku. Na zachód od polanki znalazł niewielką kieszeń z deszczem. Przeciągał niebo przez swoje wąziutki drzwi.

Na łące panował niesamowity upał. Było parno. Karen obserwowała zmiany, jakie zachodziły na twarzy Toma, zwróconej w górę. Jedną rękę wyciągał ku niebu. W pobliżu wszystko znieruchomiało.

Ten bezruch ją także ogarnął i uspokoił. Nie spuszczała oczu z twarzy Toma. Zastygł jak kamień. Miała wrażenie, że zapomniał o jej istnieniu. Czowała, jak z jego ciała wypływają fale energii, drżący prąd przebiegł po jego ręce i wniknął w jej ciało. Nagle zauważyła, że zmienia się powietrze wokół nich. Koszula nocna kleiła się jej do skóry. Karen pocila się, kropelki wilgoci zbierały się tuż przy nasadzie włosów. Niespodziewanie poczuła intensywny zapach drzew. Wszystko

na polanie stało się niesłychanie realne, nabrało życia. Stała jak sparaliżowana.

Wzrok miała wciąż utkwiony w twarzy Toma, która zmieniała się z każdą chwilą. Karen była coraz bardziej odprężona, spokojna. Wtedy usłyszała to po raz pierwszy. Dźwięk przypominający szmer strumyka. Coś uderzyło jej nagrzaną skórę i schłodziło wnętrze dłoni. Wolno zaczęło spływać wzdłuż przedramienia. Światło księżyca zaiskrzyło się nagle, szukając swego odbicia w wąskiej strużce. I wtedy to zobaczyła. Otworzyła szeroko oczy, wstrzymała oddech.

W zagłębieniu jej dłoni znajdowało się oczko zimnej, świeżej wody. Przeciekała między jej palcami, w dół do łokcia. Widziała ją. Czuła jej zapach.

Deszcz.

Rozdział 4

Do sypialni Vidy docierały strzępy głośnej i bełkotliwej rozmowy. Na dole trwała balanga, suto zakrapiana whisky. Z pewnością było po pierwszej w nocy, kiedy zamykają knajpę Clancy'ego, ale przed piątą rano, gdy zwykle wszyscy już leżą pijani w sztok, zmożeni piwem i bimbrem. Pomędzy tymi godzinami czas stał w miejscu.

Vida nie spała. Leżała spowita we mgłę, próbując rozgryźć trapiący ją problem. Mgła była częścią tego problemu. Vida czuła ją w środku, jak przesłania jej własne myśli.

Mgła była kobietą. W jej wnętrzu była inna kobieta.

Na zewnątrz Vida była taka sama. Chociaż może jej gęste włosy wyglądały trochę inaczej, a piwne oczy były bardziej chmurne. Nikt poza nią nie byłby w stanie zauważyć tych zmian, lecz Vida czuła, że coś jest nie tak. Gdy przyglądała się sobie w lustrze, mogłaby przyjąć, że na jej twarz nakładają się rysy kogoś innego. Oczywiście, można to było wyjaśnić uszkodzeniem szkła, z którego starło się srebro i pojawiły się plamy, wywołując wrażenie falowania odbicia. Jednak Vida była pewna, że przez tę kobietę.

Kobieta miała imię, ale Vida nie mogła go sobie uprzytomnić. Cały czas znajdowało się poza zasięgiem jej świadomości, było na końcu języka, nigdy jednak nie dawało się powtórzyć, podobnie jak szeptańskie, mamrotane słowa, które słyszała w głowie, ale nie mogła uchwycić ich sensu. Zrozumiałe były tylko myśli tej kobiety.

Ich znaczenie było jasne: Znajdź mężczyznę. Właśnie to najczęściej docierało do Vidy, regularnie i z dużą mocą. Spowite w ciemną mgłę, niby tłusta plama na powierzchni wody, dźwięczało głośno, jak

spadający z wysoka gęsty olej podobny do ciężkiej ulewy. Czasami towarzyszył temu także zapach, tak odrażający, że Vida marszczyła z obrzydzenia nos. Był to odór potu, krwi i fekaliiów. Wrażenie, jakie wywoływał, szybko mijało. Komunikat był jednak wciąż ten sam: Znajdź mężczyznę.

Za tą prostą myślą krył się jakiś mroczny zamiar, którego znaczenia Vida nie знаła. Wiedziała tylko, że gdy znajdzie tego mężczyznę, zadanie zostanie wykonane.

Wciąż nie mogła znaleźć w myślach imienia tej kobiety. Mimo rozkręcającej się piętro niżej zabawy, czemu coraz częściej towarzyszył łomot rzucanych przedmiotów, Vida usiłowała wsłuchiwać się w to, co działo się w jej wnętrzu.

Maggie? Sally? Na pewno brzmiało jakoś staromodnie.

W zasadzie nie przejmowała się, że nie zna imienia tej kobiety. Wiedziała, że to przyjaciółka. To najważniejsze. Była przyjaciółką i jeżeli Vida spełni jej prośbę - znajdzie mężczyznę - wtedy obie mogą otrzymać to, czego pragną.

A czego pragnie Vida? Jej myśli krążyły wokół Goodlands, miasta, które ją odrzuciło, nie dało szansy na wydobycie się z rynsztoka, do którego ciągnęła ją rodzina. Stojąc samotnie pośrodku nędznej sypialni, oświetlonej jedną gołą żarówką, Vida zamknęła oczy i napawała się obecnością obcej kobiety.

Wyciągnęła w bok ręce. Odchyliła głowę do tyłu, twarz zwróciła w stronę światła. Skupiła się na elektryzującym uczuciu, które przenikało całe jej ciało. Strumień prądu biegł od czubka głowy, poprzez szyję i tors, zbierając się w brzuchu i płynąc dalej nogami, sięgając stóp i desek podłogi.

Czuła, że elektryczny strumień sięga poza dom. Prąd przenikał do miasta. Vida niemal widziała, któredy się poruszał: pomiędzy wysuszonymi polami, obok spalonych topoli przy farmie Kramera, ponad lekkim wzniesieniem drogi numer 55, w dół głównej ulicy miasteczka, obok sklepu i resztek zwalonego klonu, przez puste ścieki, ponad traktorami, samochodami i ciężarówkami. Prąd, który czuła w swoim ciele, przebiegał również tamtędy.

Gdzieś tam, daleko od miejsca, w którym znajdowała się Vida, mógł przebywać ten mężczyzna. Był w mieście. Musiała go tylko znaleźć.

Nagle przepaliła się żarówka, wydając dźwięk jakby ktoś zdmuchnęła mocno płomień świecy. W pokoju zrobiło się ciemno. Vida wciąż

stała pośrodku sypialni. Stała tam jeszcze długo po tym, gdy piętro niżej skończyła się balanga i wstające słońce zaczęło coraz jaśniej oświetlać obdrapane ściany pokoju. Na twarzy Vidy cały czas malował się uśmiezek.

Tom wciąż trzymał ją za rękę.

Karen była urzeczona odrobiną wody w swej dłoni. Uniosła głowę i spojrzała na niego. Cały lśnił od potu, ale się uśmiechał.

- Wierzy mi pani?

- Tak.

Potrząsała ze zdziwieniem głową. Deszcz w zagłębieniu jej dłoni przeciekał między palcami.

Na łące panowała absolutna cisza. Niebo było czyste. Żadnych deszczowych chmur. Karen ponownie spojrzała na Toma.

- Jak...?

W ciemności słabo widziała jego twarz. Wzruszył ramionami. Delikatnie zanurzył palec w jej mokrej od deszczu dłoni.

Stali bardzo blisko siebie. Karen ponownie czuła jego ciepło, ciepło bijące z jego ciała. Przełknęła ślinę i odsunęła się trochę. Tom wciąż trzymał ją za rękę.

Była zmieszana. Na twarzy Toma widziała wyraz głębokiej satysfakcji. Patrzyła na niego i czuła ściskanie w dołku. Zaczerwieniła się, jej policzki płonęły. Usta miała suche i, jak na ironię, pragnęła zwilżyć je wodą.

Tom spojrzał na nią i Karen wydawało się, że na łące panuje jeszcze większa cisza. Nie słyszała nic, nawet własnego oddechu.

Stali tak przez dłuższą chwilę. Potem Tom ujął jej zwiniętą dłoń od spodu i lekko uściśnął. Skończyło się.

- Nie powie mi pan?

Tom milczał.

- Ale to nie była żadna sztuczka? - nalegała Karen.

- Nie.

Uśmiechnął się tajemniczo i ruszył w stronę drzew. Karen stała przez chwilę sama, a potem poszła za nim. Znowu wzbudził w niej złość.

- A zatem kiedy może pan naprawdę sprowadzić deszcz?

Nie odwrócił się ani nie odpowiedział. Szła za nim przez sad, aż znaleźli się na podwórku. Wszystko wyglądało już zupełnie inaczej, jakby zdarzenie na łące nigdy nie miało miejsca.

- Proszę poczekać! - zawołała.
Zatrzymał się i odwrócił.
- Czy pan mnie słyszy?
- Jasne.
- No więc?
- Nie wiem - powiedział i znowu ruszył naprzód. Z altanki wyciągnął koc, który rozłożył na trawie.
- Co to znaczy, że pan nie wie?
Tom usiadł na kocu, podciągnął nogi i objął je rękami. Karen zauważyła, że jego podkoszulek jest wilgotny i przylega do ciała. Włosy też miał mokre, lepiły się do szyi i czoła. Jego skóra jaśniała w blasku lampy wiszącej na werandzie.
- Co znaczy, że nie wiem? - westchnął.
Karen stała nad nim.
- Czy chodzi panu o pieniądze? Nie mam ich.
Nie patrząc na nią, wyciągnął się na kocu. Ręce podłożył pod głowę. Dopiero wtedy spojrzął na Karen. A może przez nią. Karen skrzyżowała ręce na piersiach, szczerzej zawijając się w szlafrok. Czuli się bezbronna i ośmieszona, stojąc w takim stroju na podwórku.
- Nie zamierza mi pan odpowiedzieć?
Zamknął oczy.
- Dałem pani dowód - powiedział. - Teraz musi pani czekać.
- Czekać? Na co?
Milczał. Słyszała, jak z sadu przyleciał ptak. Mijały minuty.
- Proszę mi powiedzieć, o co panu chodzi - niecierpliwiła się.
Usiadł nagle. Twarz miał nachmurzoną.
- Nie wiem - powtórzył. - To była tylko próba, taki test. Coś większego, cokolwiek większego... - Myślał o niebie nad Goodlands, o tym jak bardzo jest zamknięte. Nie mógł jednak tego powiedzieć.
Nie chciał, aby wiedziała, że to może się w ogóle nie zdarzyć. A tak właśnie mogło być. Wzruszył ramionami. - Pokazałem pani. Takie sprawy wymagają czasu - powiedział, czując się podle, jak kłamca.
Nigdy przedtem nie potrzebował wiele czasu. Znowu się położył i zamknął oczy.
Karen stała nad nim chwilę, nie mogąc się zdecydować, czy dać za wygraną. Gdy było jasne, że z jego strony rozmowa jest skończona, wróciła do domu.

Była zbyt podniecona, by zasnąć. Zegar wskazywał trzecią trzydzieści nad ranem i powinna już spać. Musi przecież iść do pracy i wyglądać nie gorzej niż dzisiaj, bez worków pod oczami. Musi wyglądać normalnie.

Normalnie. Pod powiekami Karen pojawił się obraz leżącego na trawie Toma. Otworzyła oczy.

Co on wyrabia? Czy to gra? Dlaczego nie chce jej powiedzieć, o co chodzi?

To się jednak zdarzyło naprawdę. Nie umiała tego określić, nawet w myślach, ale instynktownie zdawała sobie sprawę, że to nie był żaden trik. Zimna, czysta woda, którą miała w dłoni, była deszczem. Wiedziała o tym, gdyż woda ze studni w Goodlands była twardsza i bardziej nieprzyjemna w dotyku.

Rodzice Karen trzymali koło domu beczkę deszczówki. To była specjalna woda, używana do podlewania ogrodu, a także do „wykwintnego” prania, jak matka nazywała przepierkę swoich wielkich majtek i biustonoszy. Obok beczki wisiała ogromna warząchew i w upalne popołudnia, gdy Karen spociała się i zgrzała w czasie zabawy, mogła napić się chłodnej wody. Co prawda matka nie lubiła, gdy piła deszczówkę, ale ojciec właśnie po to powiesił tam łyżkę. Kiedy wracał zmęczony z pola nachylał się nad beczką, napełniał całą warząchew, tak że woda wyciekała po bokach, i pił do dna. Gdy Karen była bardzo mała, trochę dla niej zostawiał, gdyż nie potrafiła sama zaczerpnąć.

Matka, widząc to, zawsze na niego krzyczała, a gdy były same, pouczała córkę.

- Kochanie, ptaszki załatwiają tu swoje potrzeby. Twój ojciec się na tym nie zna. Grange'owie nigdy nie mieli dobrej wody i dlatego tata pije z beczki. Ale ty możesz iść do kuchni i nalać sobie wody z kranu.

Jednak ojciec Karen nie pijał wody z kranu, chyba że był bardzo, ale to bardzo zmęczony albo spragniony. Nazywał ją „kuchenną wodą” i mówiąc to, wykrzywił twarz.

- Nadaje się do mycia garów i wycierania nosów.

Karen też piła wodę z beczki. W lecie, gdy dom rozgrzany był jeszcze bardziej od gotowania posiłków, matka pomagała jej czasami myć włosy na podwórku. Karen pamiętała miękki dotyk letniej deszczówki nabieranej z beczki, spływającej po plecach i wsiąkającej w ubranie, mimo narzuconego na kark ręcznika. Woda była delikatna jak aksamit,

świeża i pachnąca niby ogród zroszony deszczem. Nic innego na świecie nie pachnie w ten sposób.

Dlatego właśnie wiedziała, że to nie był żaden trik. Chyba że Tom Keatley zdołałby wyczarować ten specyficzny zapach i dotyk oraz sprawić, że na łące zapanowałaby taka cisza jak w czasie deszczu. A jeżeli zrobiłby to, wtedy i tak należała mu się zapłata.

Karen była senna. Jej myśli odpłynęły znowu na łąkę. Bezwiednie zgięła palce tak, że dotknęła nimi bardzo delikatnie wnętrza dłoni. Tak naprawdę on podtrzymywał tylko jej rękę, aby nałapała w zagłębienie krople deszczu. To wina jej wyobraźni, że czuła, jakby dotykał jej dłużej, niż to było konieczne.

To tylko wyobrażenia podszeptowała jej, że był na tyle blisko, by ją pocałować.

Nie chciała go pocałować. Nigdy nie przybliżyłaby się do niego na tyle, nie zwróciłaby do niego twarzy w ten sposób, aby stało się to możliwe.

Zapadała w sen. Westchnęła.

Zasypiając, widziała tuż przed sobą twarz Toma. Na jego ustach błąkał się delikatny uśmiech, miękki i zimny zarazem, jak dotyk deszczu.

Tom oddychał szybko. Nie mógł zasnąć, chociaż był wyczerpany. Wpatrywał się w ciemne, czyste niebo, a milion gwiazd odwzajemniało mu spojrzenie.

Już się uspokajał, drzenie ciała minęło i zaczynał się odprężyć. Nie miał pojęcia, co się tam stało. Nigdy czegoś podobnego nie doświadczył.

Coś złego działo się w tym miejscu. Czuł to, odkąd tu przybył. Ten pomruk, który dochodził spod ziemi, niewiarygodna, trwająca od tak dawna susza, sposób, w jaki niebo zamknęło się przed nim, i wreszcie uczucie, że coś nie pozwala mu tam dotrzeć.

Musiał użyć całej swojej mocy, aby pokazać Karen deszcz. Maksymalnie wyprężył każdy mięsień, każdy nerw, uzyskując tylko tę odrobinę. Nigdy jeszcze nie pracował tak ciężko, aby uzyskać tak niewiele. Trzy dni temu z łatwością ściągnął z nieba potężną ulewę.

Przez moment zastanawiał się nawet, czy sam nie zaczął wysychać w środku, ale natychmiast odrzucił tę myśl. Nigdy dotąd mu się to nie zdarzyło. Od kiedy po raz pierwszy wezwał niebo, a ono odpowiedziało deszczem, zawsze czuł w sobie wilgoć.

Miał wtedy jedenaście lat. Mieszkał z matką i ojcem w dwupokojowym mieszkaniu, w domu na peryferiach miasta. Z jednej strony mieszkali sąsiedzi, stała stacja benzynowa i biegła droga w stronę centrum miasta. Z drugiej ciągnęły się tory kolejowe i gęsty las, pełen tajemnych kryjówek, doskonale znanych Tomowi.

Ojciec pracował w fabryce w mieście i zarabiał stosunkowo mało, nawet jeśli porównać jego pensję z innymi robotnikami w tym zakładzie. W dodatku tracił pieniądze na hazard. Czasami wygrywał, a wtedy kupował synkowi i żonie prezenty, zapraszał ich na obiad do restauracji lub przynosił pieczone kurczaki. Gdy zaś przegrywał, przez kilka dni nie pokazywał się w domu. Ukradkiem wynosił kupione wcześniej prezenty - zegarek Toma, biżuterię żony, naczynia, garnki, co tylko wpadło mu w ręce - i czym prędzej z nimi znikał. Później Tom zrozumiał, że ojciec zastawiał te przedmioty, próbując się odegrać. Te złe czasy, które trwały całymi tygodniami, oznaczały dni i noce bez ojca. Jeśli stary wygrywał, nie umiał przestać, jeśli przegrywał, nie mógł. Jednak niezależnie od tego, jak mu szło, nigdy nie opuszczał pracy. Zdawał sobie sprawę, że musi mieć za co grać. Wieczorami można go było zawsze spotkać na wyścigach, przy stoliku karcianym, grającego w kości lub robiącego w knajpie zakłady. Wszystko, co przynosił do domu, rodzina przyjmowała z radością, ale nigdy długo się tym nie cieszyła. Nawet zabawki Toma znikwały wyniesione niepostrzeżenie przez ojca tylnymi drzwiami.

Dobra passa ojca zawsze prędko przemijała. Tom nauczył się, że wszystko, co dobre, szybko się kończy i nigdy nie należy ufać szczęściu. Nauczył się także omijać ojca z daleka.

Jego matka w tamtych czasach dużo piła. Tańczyła z ojcem przy muzyce płynącej z gramofonu, kiedy znowu przyniósł go do domu, delektowała się pieczonymi kurczakami z restauracji, oblizywała palce i zaśmiewała się z jego kiepskich dowcipów, usiłując wciągnąć do zabawy także Toma. Ale to jej się nie udawało.

Późno w nocy Tom słuchał, jak za ścianą ojciec opowiada matce, co zrobili z pieniędzmi, które zamierza wygrać, przysięgając za każdym razem, że wymyślił nową strategię i wreszcie będą bogaczami.

Ich życie było pasmem wygranych i przegranych.

Gdy Tom miał dziesięć lat, matka była już pomarszczoną, przedwcześnie postarzałą kobietą, zniszczoną przez pracę i zmartwienia.

Kiedy ojciec przegrywał, bił ją. Toma także, jeśli wchodził mu w drogę lub próbował go powstrzymać. Matka wołała, żeby uciekał z

domu, i chował się wtedy w krzakach za torami. Czekał tam, aż będzie mógł wrócić. Całe zajście odbywało się zwykle w ciszy, ojciec sapał tylko z wysiłku, a matka tłumiała płacz.

W wieku dziesięciu lat Tom był niemal tak wysoki jak ojciec. Wtedy przestał uciekać z domu. Potrafił się już obronić. Nie dorównywał staremu siłą, ale kierowała nim wściekłość, co trochę wyrównywało szanse.

Gdy dochodziło do spięć, matka błagała, by przestali. Wyciągała Toma siłą z domu.

- Bij mnie, Bart, ale zostaw chłopaka. Uderz mnie - prosiła męża.

W połowie sierpnia - Tom miał już wtedy jedenaście lat - stary zniknął z domu na tydzień. Nie widzieli go całe siedem dni i nocy, chociaż zauważali ślady jego bytności. Przychodził nocami, gdy spali, albo w ciągu dnia, gdy Tom z matką zbierali w lasach jagody, które później sprzedawali, aby mieć pieniądze na życie. W tym czasie zniknęły z domu srebrne przybory toaletowe matki, jedyne cenne przedmioty, jakie wówczas posiadali, wielkie dębowe lustro wiszące na ścianie przy drzwiach, pudełko po ciastkach, w którym mieli schowane cztery dolary, i nóż ojca z kościaną rączką. Lada chwila wyniosłby sztucer na jelenie, zastawiany i odzyskiwany tak często, że nie zdejmował nawet wiszącego na lufie kwitu z lombardu. W następnej kolejności ojciec sięgał po ślubną obrączkę matki, którą siłą ściągał jej z palca i czym prędzej wykupywał, gdy tylko szczęście w grze mu dopisało. Nie zawsze była to ta sama obrączka, ale matka za każdym razem przyjmowała ją z taką samą radością i entuzjazmem.

Wówczas w sierpniu, gdy starego nie było tydzień w domu, Tom często zbierał z matką jagody. Potem zanosili je na sprzedaż do miasta.

Kiedyś Tom próbował porozmawiać o ojcu.

- Wyjedźmy stąd, zanim wróci - zaproponował.

- Daj spokój - usłyszał w odpowiedzi.

Innym razem powiedział matce, że pójdzie do pracy. Mogliby wtedy zamieszkać we dwójkę w innym mieście.

- Może sam się wyprowadzi - odparła.

Oboje wiedzieli, że to nierealne i że może ojciec będzie już w domu, gdy wrócą z miasta. Pochwali się wygraną, wachlując zwitkiem banknotów. Przyniesie do domu łakocie dla Toma i świecidełka dla matki. A może nawet ślubną obrączkę z wygrawerowanym cudzym imieniem.

Ojciec wrócił do domu w niedzielę o północy. Przez otwarte okno Tom usłyszał na ścieżce jego szybkie kroki.

Matka jeszcze nie spała, chociaż już jakiś czas temu rozeszła chowane na dzień w regale łóżko. Oboje leżeli zasluchani w ciszę. Przechucie im mówiło, że stary niedługo wróci.

Gdy Tom usłyszał trzaśnięcie frontowych drzwi, poczuł, jak narasta w nim złość. Czerwono-czarna, paląca złość.

- Wstawaj! - usłyszał przez ścianę głos ojca.

Zaskrzypiały w łóżku sprężyny i matka postawiła stopy na podłodze.

Zaraz potem Tom usłyszał stłumiony krzyk matki i łoskot upadającego ciała. Wskoczył przez okno, pobiegł do szopy na podwórku, gdzie wisiał sztucer, wciąż z kwitem z lombardu. Sprawdził, czy broń jest naładowana.

Drzwi wejściowe były otwarte na oścież. Gdy wpadł do pokoju rodziców, ojciec stał nad matką i kopał ją po brzuchu.

Podniósł sztucer do oka. Matka zamarła z przerażenia.

- Nie! - krzyknęła przeraźliwie.

Ojciec odwrócił się i zobaczył syna mierzącego w niego ze sztucera. Tom wypalił. Stary tylko jęknął, gdy trafiła go kula. Matka zaczęła wrzeszczeć.

- Zabieś go! Ty pętaku, zabieś go! - Łkając, wołała męża po imieniu.

Tom uciekł do lasu, serce waliło mu jak młotem, w uszach tętniła krew. Gdy był już głęboko w lesie, odrzucił sztucer i zawył rozpaczliwie, wznosząc twarz ku niebu.

Deszcz eksplodował w jednej sekundzie wraz z potężnym grzmo-tem pioruna, który Tom nieomal poczuł w swoich piersiach. Wszystkimi nerwami czuł narastającą burzę i błyskawice rozświetlające po-ciemniałe niebo. To zrodziło się w nim jak za pociągnięciem niewidzialnego sznurka. Od tamtej nocy już zawsze czuł w sobie tę moc, chociaż na początku potrafił wywoływać deszcz tylko wtedy, gdy cierpiał lub miotała nim wściekłość. Dużo później nauczył się nad tym panować. W dalszym ciągu jednak nie widział sznurka, za który pociągał odmykając niebo, ani nie patrzył na drzwi, które potrafił otwierać siłą woli. Nigdy się nie dowiedział, czy miał taki dar od urodzenia, czy posiadał go po śmierci ojca, zawsze jednak łączył oba te wydarzenia z nocą, kiedy po raz pierwszy przywołał deszcz.

Aż do dnia, gdy przybył do Goodlands i coś zamknęło jego drzwi.

Tom długo jeszcze nie mógł zasnąć.

Rozdział 5

Wraz z nastaniem upalnego poranka Henry Barker był już z powrotem w Goodlands, a dokładnie w północno-wschodniej części rancza Dave'a Revesette'a. Właściciela zobaczył już z daleka, jak wprowadzał do stajni karego konia. Szeryf zatrzymał się przed wejściem na podwórze i czekał w bezpiecznej odległości. Nie lubił koni. Uważał, że należą do najmniej przewidywalnych zwierząt, jakie stworzył Pan Bóg.

Podwórko przed stajnią, gdzie zwykle rano wypuszczano wszystkie konie, było tym razem puste, jeśli nie liczyć bułanego kucyka, na którym przed laty uczyły się jeździć dzieci Dave'a. Kobyła liczyła już sobie z piętnaście lat. Nie była przywiązana ani przypalikowana, stała spokojnie przy korycie. Tak właśnie, według Henry'ego, powinien się zachowywać idealny koń.

Szeryf zbliżył się ostrożnie do stajni, z której właśnie wyszedł Dave, wycierając chustką spocone czoło.

- Ale się przy tym skurczybyku namęczyłem - powiedział, wsuwając chustkę z powrotem do kieszeni i mocniej nasuwając na czoło czapkę. - To ulubiony koń małej Anny, kompletnie rozwydrzony. Dostaje za dużo cukru. Nikt poza nami na nim nie jeździ i nie wiem, jak mała Anna, ale ja jestem przekonany, że to zwierzę wymaga porządnej dyscypliny. Zresztą, prawdę powiedziawszy, oboje tego potrzebują. - Wyciągnął rękę na powitanie. - Jak leci, Henry?

- Chyba lepiej niż tobie. Podobno zginęły ci konie?

- Cholera, przyszedłem dziś około wpół do siódmej i podwórko było puste. Stała tu tylko Daisy. Zwierzęta nie wchodzi o tej porze roku do stajni, jest za gorąco, ale na wszelki wypadek sprawdziłem

także w środku. Oczywiście, do diabła, nie było ich tam. Wsiadłem na Daisy, objechałem teren i znalazłem uszkodzony płot. Chodź, to ci pokażę - powiedział i ruszył przed siebie, a Henry pośpieszył za nim. Dave wyciągnął rękę, wskazując coś na horyzoncie, za daleko jak na oczy szeryfa. Henry wiedział jednak, że chodziło mu o północną część ogrodzenia pastwiska, a dokładnie o miejsce, gdzie kończył się teren jego farmy i biegła autostrada.

- Czy wyszły na autostradę? - zapytał Henry.

- Do tej pory nie znaleźliśmy tam żadnego, ale wciąż brakuje mi czterech sztuk. Kilka dereszów doszło aż do Nipple Creek. Mike i chłopak Bobby'ego Laylawa już po nie pojechali. Ale czterech ciągle nam brakuje - powiedział i zasępił się. - Widać to stąd - dodał po chwili i jeszcze raz wyciągnął przed siebie rękę. Henry spojrział we wskazanym kierunku. Jeden z kółków w ogrodzeniu leżał wyrwany na ziemi, a sąsiedniego w ogóle nie było.

- Do cholery, ktoś wyciął jakieś trzydzieści metrów siatki - wyjaśniał dalej Dave podniesionym z gniewu głosem. - To jedyne miejsce, gdzie pastwisko niemal styka się z autostradą. Ten, kto to zrobił, chciał, aby konie wydostały się prosto na drogę.

W oddali Henry dostrzegł zbliżającego się do pastwiska Mike'a, najmłodszego syna Dave'a. Siedział na oklep na kasztanku, prowadząc za sobą gniadosza. Za nim jechał jakiś chłopak, prowadząc dwa następne konie.

- Ile ich teraz hodujesz, Dave?

- Dwanaście, ale cztery mam na sprzedaż. Będę prowadził najbliższą aukcję, więc jeśli słyszałeś o kimś, kto byłby zainteresowany, daj znać. Coś czuję, że Lester Pragg także będzie chciał sprzedać dwa swoje, nie stać go na ich utrzymanie. Nie jest dobrze, zresztą sam wiesz najlepiej.

Henry zrobił miejsce wjeżdżającym na podwórko koniom. Jeden z nich parsknął, niezadowolony z utraty krótkiej wolności. Henry nerwowo odskoczył w bok.

- Cholera!

- Nie bój się, nie ugryzie - zaśmiał się Dave. Chłopcy pomachali szeryfowi na przywitanie. - Zaprowadźcie je do stajni. Widzieliście Briana?

- Nie - odpowiedział Mike.

- Ten drugi to chłopak Bobby'ego Laylawa? - zapytał Henry, gdy ruszyli w stronę zniszczonego płotu.

- Tak - pokiwał głową Dave. - Nazywa się Joe, ale woli, by na niego wołać Chance. Chce zostać kowbojem.

Henry wybuchnął śmiechem.

- Podejrzewasz kogoś, Dave?

- Nikt mi nie przychodzi do głowy. Myślałem nad tym całe rano.

- Może dzieciaki?

- To coś więcej niż zwykła psota, Henry.

Szeryf pokiwał głową. Podeszli do ogrodzenia. Siatka była przecięta w dwóch miejscach i leżała na ziemi, wraz z drewnianymi słupkami, pogięta i stratowana kopytami dwunastu narowistych, pędzących na wolność koni.

Henry pochylił się i dokładnie obejrzał ogrodzenie w miejscach przecięcia. Końcówki przeciętych drutów siatki nie były płaskie, lecz zaokrąglone.

- Trudno dać wiarę. Moim zdaniem siatka nie została przecięta, wygląda jak rozerwana lub odłamywana po kawałku.

Przeciągnął kciukiem w miejscu rozerwania drutu. Końcówka była gładka. Ujął drut w palce i nacisnął. Zgiął się, ale z trudem. Henry westchnął.

- Co o tym myślisz? - zapytał Dave, przykucając.

- Czy znasz jakieś narzędzie, które mogłoby w taki sposób przezwyciężyć druty? Co przerywa siatkę, a nie tnie? W ten sposób?

Dave zmarszczył brwi i potrząsał bezradnie głową.

- Nie, nie znam, chociaż zajmuję się grodzieniem pastwisk od trzydziestu lat. Weźmiesz stąd odciski palców czy coś takiego?

Henry posłał mu zdziwione spojrzenie.

- Ten ktoś musiałby mieć bardzo małe paluszki, aby zostawić tu odciski palców, prawda?

Dave wyprostował się, zdjął czapkę i uderzył nią z całej siły w płot. Podniósł się pył, który przez jakiś czas unosił się w powietrzu.

- Do cholery! Ktoś to zrobił i powinien za to zapłacić! Wciąż mi brakuje czterech koni! - Dave wycelował palec w szeryfa. - Wiem doskonale, że nie ja jeden straciłem w ten sposób zwierzęta, Barker. Było już sporo podobnych przypadków. Ktoś tu rozrabia, a co na to szeryf tego miasta, no co? Na Boga, czaisz się, żeby go złapać na gorącym uczynku? Wiem, że ktoś otworzył kurnik Boychuka. Lisy wydusiły cały drób. Boychuk mówił mi, że następnego dnia jego podwórze wyglądało jak kurzy Wietnam. - Znowu uderzył czapką o siatkę, aż płot się zatrząsnął. - A teraz ktoś wypuścił moje konie. Czy czekasz, by

następnym razem władowały się pod ciężarówkę? A może czekasz, żeby moje konie zniszczyły komuś zasiewy, i wtedy przyjdiesz mnie aresztować? - Dostał zadyszki, trzepnął czapką po udach. Henry zdjął kapelusz, otarł dłonią pot z czoła.

- Rozejrzę się tu trochę, Dave, i będę miał oczy otwarte. Może to jednak robota dzieciaków. Szkoła się skończyła, a przecież, na Boga, wszyscy wiemy, że niewiele mają tu atrakcji. Najbardziej lubią pójść do knajpy i schlać się na umór. Czasami kończy się to przegonieniem krów, ale sam wiesz, że dzieciaki lubią konie.

- To są zupełnie bezbronne zwierzęta, Henry. Dzięki za przyjście i przepraszam, trochę się uniosłem. Jestem zobowiązany.

Uścisnęli sobie dłonie.

Henry przelazł na drugą stronę ogrodzenia. Wsadził kciuki w szlufki spodni pod imponującym brzuszyskiem i zaczął przyglądać się ziemi, nie spodziewając się, że cokolwiek znajdzie. I rzeczywiście, nic tam nie było.

Siedziba władz mieści się w Weston, największym z siedmiu miast wchodzących w skład powiatu Capawatsa. Henry Barker był tu szeryfem od trzech lat, od pierwszego roku suszy w Goodlands. Wówczas wszyscy uważali, że ta klęska to zły urok, rzecz tak dobrze znana rolnikom, jak spadek cen zboża.

Henry objął stanowisko po Edzie Greerze, który w wieku sześćdziesięciu siedmiu lat udał się na emeryturę, mówiąc wszystkim, że jest już za stary, by ganiać psy i przywoływać do porządku awanturujących się chuliganów. Tylko Henry'emu przyznał się, co było prawdziwą przyczyną jego odejścia na emeryturę - coraz częściej kusilo go, aby wyciągnąć broń i wystrzelać bandziorów, zamiast wsadzać ich do aresztu. Henry miał wówczas pięćdziesiąt dwa lata i fizyczną formą wcale nie górował nad Edem, miał jednak od niego dużo więcej cierpliwości. W czasie trzech lat służby raz tylko użył broni, aby dobić potrąconego przez ciężarówkę jelenia, co zresztą zrobiliby także nie będąc szeryfem.

Ganiał psy, rozpędzał uliczne burdy i pomagał lekarzom zdrapywać z jezdni małolatów, najczęściej z Arbor Road, na której podobno straszyle. Henry uważał, że jedynym upiornym miejscem na tej drodze jest piekielne wzgórze, z którego dzieciaki tak lubiły wylatywać w powietrze. Rozdawał na lewo i prawo mandaty za przekroczenie dozwolonej prędkości, niesprawne tylne światła, puszczenie psów bez

smyczy, a także interweniował w rodzinnych sprzeczkach, gdy sąsiedzi dzwonili po policję.

Każdą społeczność dzielił na dwie kategorie: „dobrych” i „złych”, którzy nigdy się nie spotykali. Oczywiście czasami zdarzały się wyjątki. Na przykład jakiś cwaniak, zaliczany do „dobrych”, bije żonę. Niedaleko zresztą szukać. W Avis jakaś żona regularnie tłucze męża. Ale to naprawdę są wyjątki. „Dobrzy” bywają często okradani, a złodzieje wywodzą się z marginesu. Chociaż nie zawsze. Kilka razy w roku, zwykle latem, paru znudzonych wyrostków ze średniej klasy okrada domy przyjaciół, najczęściej zresztą przy ich pomocy. Dają się łatwo złapać, bo łupy chowają w swoich sypialniach i matki znajdują je, gdy przychodzi pora zmiany pościeli.

Henry był zdania, że w Capawatsa wciąż popełnia się takie same przestępstwa, jak w czasach jego dzieciństwa. Przedmioty, które teraz kradli złodzieje, były oczywiście kosztowniejsze, ale też ludzie stali się zamożniejsi. Bardziej rozplenił się wandalizm, gdyż młodzież ma obecnie mniej obowiązków. Podobnie jak kiedyś, tak i teraz najwięcej przestępstw młodzi ludzie popełniają w ostatnich dniach lata.

Czas szeryfowi mijał na zażegnaniu sąsiedzkich sprzeczek, wypisywaniu raportów o zniszczonych ogrodzeniach i uspokajaniu podpitych awanturników. Co roku zdarzało się, że ktoś kogoś postrzelił, zwykle z powodu kobiety lub po pijanemu, ale od dziesięciu lat nie odnotowano tu żadnego zabójstwa i Henry mógł z całym przekonaniem powiedzieć, że nie ma spokojniejszego miejsca pod słońcem niż powiat Capawatsa.

Z wyjątkiem Goodlands.

Chociaż znajdowały się tam najżyźniejsze ziemie w całej okolicy, na co wskazuje nazwa tej miejscowości - Dobre Ziemie - od pewnego czasu były to tereny przeklęte przez rolników. Nikt nie pamiętał, by kiedykolwiek wcześniej zdarzyło się tu coś podobnego, a wraz z pogarszaniem się sytuacji, Henry miał coraz więcej roboty. Ludzie stali się bardzo nerwowi, przez co łatwiej popadali w kłopoty.

A także tracili zdrowy rozsądek. Carl Simpson, który według Henry'ego był całkiem normalnym facetem, właścicielem stada ponad stu sztuk bydła, jak wszyscy tutaj cierpiał z powodu suszy. Miał żonę i syna, grzecznego, dorastającego chłopaka o imieniu Harold, którego przezywano Butch. Kilka tygodni temu Carl Simpson odwiedził Henry'ego i poprosił o chwilę rozmowy na osobności. Szeryf zaprosił go do swojego maciupiękłego gabinetu.

- Henry, być może to, co za chwilę powiem, przyjmiesz z niedowierzaniem, ale proszę, wysłuchaj mnie. I spróbuj zrozumieć - zastrzegł się na wstępie Carl.

Gdy ktoś prosił o wysłuchanie ze zrozumieniem, Henry zwykle wzdychał w duchu, oczekując przejawów opowieści o sąsiedzkich kłopotach. Usiadł więc wygodnie za biurkiem, rozłożył przed sobą notes i wyjął z szuflady ołówek. Zaczął lizać koniuszek grafitu, przygotowując się do sporządzenia raportu, ale Carl poprosił go, by tego nie robił.

Spojrzał przy tym przez ramię w kierunku pustego biurka sekretarki.

- Uważam, że nie powinieneś tego zapisywać. Mogą być kłopoty.

Henry odłożył ołówek na miejsce i zamknął notes, ponownie wzdychając w duchu. Usadził się wygodniej. Miał nadzieję, że słuchając jednym uchem, uda mu się jednocześnie pomyśleć nad wakacjami swojej rodziny. Starał się nadać twarzy przyjemny wyraz.

- O co więc chodzi, Carl?

- No więc, dużo myślałem ostatnio o suszy, dlaczego jest tylko w Goodlands, bo przecież nawet w Oxburgu, tak blisko naszego miasta, mają normalny poziom rocznych opadów. A my nie.

Henry pokiwał głową. Dla rolników z Goodlands nie istniał bardziej absorbujący temat.

- Któregoś wieczora oglądałem przez satelitę program - ciągnął dalej Carl - o jednym miejscu w Arizonie, które nazywa się Groom Lake. Zamiast jeziora jest tam teraz sucha niecka pośrodku pustyni. Nie ma tam również miasta, chociaż przy autostradzie są ustawione znaki informacyjne. To, co się tam obecnie mieści, objęte jest tajemnicą wojskową - przerwał i spojrzał na Henry'ego, aby sprawdzić, jakie zrobił na nim wrażenie. Henry zaś, aby zachować postawę właściwą dla przedstawiciela władzy państwowej, uniósł tylko lekko brwi. - Tak tajne, że nie ma tego miejsca nawet na wojskowych mapach - kontynuował Carl. - Sprawdzałem to, także w Internecie. Szukaliśmy jakiegoś śladu, ale bez skutku. Niemniej okoliczni mieszkańcy wiedzą, że coś tajemniczego znajduje się tuż obok i ciągle o tym gadają, a także snują różne przypuszczenia. Najczęściej pojawia się wersja, że w tym miejscu wojsko składa rozbite latające talerze. UFO.

- UFO?

- Wiem, co sobie myślisz, mnie też nie chce się za bardzo wierzyć, ale nie daję mi spokoju, że to miejsce jest pokryte tak wielką tajemnicą.

Wzdłuż drogi dojazdowej ustawione są tablice informujące, że po przejściu oznaczonych punktów człowiek znajdzie się na terenie, gdzie wstęp jest surowo zakazany, po przejściu następnych będzie pod obserwacją, a w końcu pojawia się napis ostrzegający: „Po przekroczeniu tego punktu, zgodnie z prawem wojskowym Stanów Zjednoczonych, możesz zostać zastrzelony”.

Henry pokiwał głową. Był zdziwiony, że u Simpsonów jest aż tak źle. Zastanawiał się, czy Carl osuszył jedną butelkę, czy więcej. Choć nie wyglądał na pijanego. Wydawało się, że jest przestraszony.

- Martwisz się tym, Carl? - zapytał go ostrożnie.

Czasami ludzi ogarnia zły nastrój, wywołany różnymi, często abstrakcyjnymi lękami i Henry jak mało kto służy im w takich sytuacjach jako powiernik, doradca lub kozioł ofiarny.

- Nie martwię się bardzo, Henry, ale myślałem o naszym Godlands, panującej tu suszy i o tym, co się dzieje w podziemnych wyrzutniach - powiedział.

Podziemne wyrzutnie raketowe niepokoiły każdego w Dakocie Północnej, chociaż po trzydziestu latach mieszkańcy stanu już do nich przywykli.

- Przecież wyrzutnie są w większości zamknięte, Carl. Nie są już na nic nakierowane, a poza tym zostały rozkodowane, więc uruchomienie ich zajęłoby mnóstwo czasu. Są nieszkodliwe - zapewnił go szeryf.

- Tak, wiem, to właśnie nam mówią, ale gdy oglądałem w telewizji program o Groom Lake, pomyślałem o rozmaitych sprawach, o których rząd nie informuje amerykańskiego społeczeństwa. Może te wyrzutnie są teraz używane do innych celów niż wojskowe.

- Do jakich? - Szeryf nie ukrywał kolejnego westchnienia.

- Na przykład do eksperymentów z pogodą.

Wyrzucił to z siebie z widoczną ulgą. Zaczął wyjaśniać swoją teorię o rządowych eksperymentach z pogodą, które stanowiłyby skuteczniejszą broń przeciwko Rosji, Irakowi, Kubie i Kanadzie niż jakiegokolwiek rakiety.

- Wyobraź sobie, można by przeciwników skazać na trwającą dziesięć lat zimę - rozwijał temat - albo zesłać grad wielkości piłek baseballowych, który padałby przez tydzień lub dwa - dodał, sugerując tym samym także wariant „wysuszyć ich przez cztery lata”.

Henry słuchał tego uważnie i ze współczuciem. Pożegnali się dopiero wtedy, gdy Carl obiecał, że na razie nie będzie słał żadnych pism

do rządu ani, co ważniejsze, nie zacznie sam sprawdzać wyrzutni raketowych. Szeryf poprosił o czas na rozważenie tej hipotezy i odprowadził gościa do zaparkowanej niedaleko biura półciężarówki, zastanawiając się, co o tym wszystkim sądzi Janet, zrównoważona i ciężko pracująca żona Carla.

Następnego dnia po tej rozmowie Henry zrobił coś, co zdarzało mu się ostatnio bardzo rzadko, a mianowicie włączył kanał nadający tylko prognozę pogody i oglądał go przez kilka dobrych godzin, tracąc w tym czasie ulubione programy na innych kanałach.

Poznał prognozy prawie dla wszystkich stanów, zanim doczekał się komunikatu dla Dakoty. Na satelitarnej mapie pogody przesuwały się śliczne białe chmurki, płynąc na niebie jak papierosowy dym nad barem. Według mapy w okolicach Goodlands i w samym mieście powinien spaść deszcz. Przepowiedziano go i odnotowano, nikt nie wspominał ani słowem o suszy. Goodlands było za małe, by je zaznaczać na mapie. Jednak pogoda, jaką przewidziano na tę noc dla Weston, sprawdziła się.

Nikt nie wysłuchuje od szacownych obywateli opowieści o UFO i rządowym spisku, chyba że sytuacja naprawdę staje się dramatyczna. W Goodlands tak właśnie było. Czasami nawet Henry zastanawiał się, czy mieszkańcy tego miasta nie potrzebują egzorcyzty. Na Goodlands spadło zbyt wiele nieszczęść, a do tego jeszcze zdarzył się ten niesłychany wypadek z drzewem przy sklepie Wagglesów i wybuchały pożary, nie licząc pomniejszych przestępstw, które zawsze mnożą się, gdy nastają ciężkie czasy. Ludzie nie mieli pieniędzy, więc kradli potrzebne im rzeczy. To miasto się zmieniło, skonstatował Henry, wspominając wcześniejsze lata. Teraz nad wszystkim musiał się dwa razy zastanawiać.

Jadąc z powrotem do biura, Henry wymacał w kieszeni na pierśsiach torebkę po kanapce. W środku był niedopałek znaleziony poprzedniego wieczora na podjeździe domu Karen Grange. Powiedziała wtedy, że nie widziała nikogo podejrzanego w noc pożaru na farmie Kramera. Ale na jej podjeździe leżał ten na wpół wypalony skręt. Henry był niemal pewien, że Karen nie paliła. Nigdy nie widział jej z papierosem. Pet nie leżał tak blisko drogi, aby mógł być wyrzucony z okna przejeżdżającego samochodu, zresztą w czasie suszy ludzie bardzo uważali, by nie zaproszyć ognia. Poza tym wyglądał jak wgnieciony butem w ziemię. Wyrzucił go ktoś stojący na podjeździe. Czy Karen

mogła nie zauważyć, że ktoś stoi pod jej domem? Dlaczego nie.

Niepokoilo go coś jeszcze. Sposób, w jaki rozmawiała z nim na ganku, nie zapraszając do środka, nie proponując nic zimnego do picia w dniu, kiedy temperatura przez dwanaście godzin nie schodziła poniżej trzydziestu stopni. A przecież byli dobrymi znajomymi. Czy to możliwe, że była aż tak zmęczona, niegrzeczna, bezmyślna, a może po prostu miała pustą lodówkę? Nie, to do niej niepodobne. Karen to miła dziewczyna, której bardzo zależało na akceptacji wszystkich członków lokalnej społeczności.

Henry był skłonny raczej uznać, że coś ukrywała.

Ale nawet jeśli rzeczywiście ktoś był u niej w domu, nie ma podstaw, żeby sądzić, że to ten włóczęga, którego widzieli Tindalowie, Bart Eastly i Gooner. Może od kilku dni mieszkała z jakimś przyjacielem i nie chciała, aby ludzie w banku się o tym dowiedzieli. A może jednak potajemnie paliła albo była kiepską gospodynią. Mogła też kłamać. Kiedy zaś ktoś taki jak Karen Grange kłamie przedstawicielowi prawa, musi mieć nie lada powód. I to wcale nie są niezapłacone podatki.

Jeśli dalej w Goodlands będzie się tak działo, Henry z pewnością doczeka się wrzodów.

Nie tylko Dave Revesette miał tego rana problemy z wandalami. Henry nie zdążył jeszcze opuścić granic Goodlands, gdy do biura szeryfa nadeszły cztery nowe wiadomości, zmuszające go do powrotu.

Larry Watson wyszedł rano z domu, aby sprawdzić, co się dzieje z prosiakiem. Prawdę powiedziawszy, miał nadzieję, że nie przeżył nocy. Słabowity warchlak nie miał nawet siły ssać maciory. Żona i dzieci Larry'ego bardzo się rozczułały i karmiły go butelką. Larry w głębi duszy uważał, że natura sama najlepiej wie, co robi.

Wyszedł więc, aby zobaczyć, co z prosiakiem, licząc trochę na to, że już po nim i skończą się te rodzinne ochy i achy w oborze i wszyscy wrócą do codziennej roboty. Chciał więc to sprawdzić wcześniej, zanim inni wstaną.

Słońce było już dość wysoko, śpiewały ptaki, które przyleciały nie wiadomo skąd, i było jeszcze na tyle chłodno, aby rozkoszować się pięknem poranka. To bardzo przyjemna pora dnia.

Właśnie zbliżał się do obory, gdy nagle zobaczył coś bardzo dziwnego. Przez sekundę serce w nim zamarło.

Na ziemi była wielka kałuża wody.

Może spadł deszcz. W cudowny sposób, w nocy, bezgłośnie i tylko w okolicy obory. Ale to było oczywiście niemożliwe. Zaskoczony, podszedł bliżej.

- Cholera! - wykrzyknął nagle. - Cholera! Cholera! Cholera!

Woda pochodziła ze zbiornika. Wyglądało na to, że wypłynęła cała i powoli wsiąkała w ziemię.

Zbiornik miał wprawdzie sześć lat, ale Larry oglądał go regularnie, sprawdzał słabe miejsca i dotychczas nie znalazł niczego niepokojącego. Miał cztery takie zbiorniki, rozstawione w różnych miejscach gospodarstwa, wszystkie na kółkach, aby można je było łatwo docześcić do ciężarówki i napelnić.

Jak każda rodzina w Goodlands, Watsonowie także oszczędzali wodę ze swojej niemal już pustej studni i przywozili ją z okolic Avis, Oxburga czy Adele, w rotacyjnej kolejności ustalonej w ramach pomocy sąsiedzkiej. Kąpiele były absolutnie zakazane. Cała rodzina, nawet trzyletnia Jennifer, myła się pod prysznicem. A jeżeli używano miski, wszyscy w domu myli się w tej samej wodzie, którą później wykorzystywano do zmywania. Pili głównie mleko. Może były to posunięcia ekstremalne, ale Larry, człowiek bardzo oszczędny, jak dołąd źle na tym nie wyszedł. Rodzina trochę narzekała, ale robili tak, jak zarządził ojciec. Opłacało się. Studnia jeszcze nie wyschła.

- Do diabła! - Larry zajrzał do zbiornika.

Nie było zatyczki. Larry z rosnącym zdumieniem zajrzał pod kontener, zanurzył ręce w kałużę, brodząc w niej po kostki. Woda szybko wsiąkała w wyschniętą ziemię. Wszędzie szukał zatyczki, lecz nie znalazł. Zniknęła.

Nie chciał tracić czasu na szukanie, nie chciał się zastanawiać, gdzie, do cholery, podziała się ta zatyczka ani nawet jak to się mogło stać. Popatrzył na drugi zbiornik. Z tej odległości niewiele widział, ale podejrzewał najgorsze.

Wściekły wyprowadził ciężarówkę. Musiał sprawdzić wszystkie zapasy wody.

Jack Greeson, który razem z Leonardem Franklinem pracował w Ochotniczej Straży Pożarnej w Goodlands, wyjeżdżał tyłem ze swojego podjazdu, zastanawiając się, czy skoczyć do restauracji Kushnerów na domowej roboty pączki monstrualnej wprost wielkości. W pewnej

chwili poczuł, że samochód w coś uderzył. Jack upadł na kierownicę, raniąc się w nos. Nie zdążył jeszcze zapiąć pasów.

Zaklął jak szewc. Podejrzewał, że wpadł na coś dużego i ciężkiego, na przykład na jelenia. Uciskając nos, otworzył niezdarnie pudełko z chusteczkami i wyjął jedną, którą zatamował krwawienie. Nie było źle, ale piekielnie bolało. Wykręcił wsteczne lusterko, aby obejrzeć swój nos, i wtedy zauważył coś bardzo dziwnego.

Jezdnia była bardzo wysoko z tyłu samochodu. Prawie na poziomie podwozia.

Gdy wychodził z auta, uderzył stopami w podłóżę, które okazało się niespodziewanie blisko. Jęknął z bólu, jaki poczuł w kolanach.

Olbrzymia wyrwa w jezdni znajdowała się w miejscu, gdzie podjazd dochodził do drogi. Jadąc tyłem, wjechał w głęboką dziurę, za grzebując się w niej po osie.

Obszedł auto i przyjrzał się wyrwie. Widać w niej było ciemną, suchą ziemię, korzenie i kamienie. Nie wiadomo w jaki sposób, z końcowego kawałka podjazdu został zerwany asfalt.

Stał tam i patrzył. Jego żona otworzyła frontowe drzwi i zapytała, czy coś się stało.

- Zadzwoń po Grease'a! - krzyknął Jack. Grease, jego brat, pracował w mieście, w warsztacie Barta Eastly'ego. - Musi mnie wziąć na hol.

Mówiąc to, nie spuszczał oczu z tyłu samochodu.

Terry Paxton, nazywana Teresą tylko przez męża, wyjrzała przez okno, gdy odkurzała salon. Czasami znajdowała ukojenie widząc wielki krzyż na trawniku, chociaż wszędzie dookoła widać było ślady suszy, przyczyny ich nieszczęścia: zbrązowiałą od słońca trawę i rozległe, puste pole, które nie będzie w tym roku zasiane. Jeśli patrzyła w odpowiedni sposób, umiejętnie kierując wzrok, widziała tylko krzyż, wysoki, symbolizujący ich niedolę, i to sprawiało jej ulgę. Surowe, grubo ciosane drewno, pokryte sękami i niczym nie ozdobione, przywodziło jej na myśl ostatnie namaszczenie i pomagało wygnać z głowy grzeszne myśli, jakie ją nachodziły, gdy zastanawiała się nad swoją ciężką sytuacją.

Podniosła oczy, aby spłynęło na nią błogosławieństwo.

I zamarła.

Krzyż zniknął.

Późniejsze oględziny wykazały, że leżał na podwórku w dwóch kawałkach, jakieś dziesięć metrów dalej.

Rodzina Teresy natychmiast zaczęła się modlić, aby odpędzić złe siły od domu. Gdzieś około południa pan Paxton zrobił jednak przerwę i wezwał policję.

Henry i jego zastępcy skakali jak żaby we francuskiej restauracji. Badając miejsca licznych dziwacznych wypadków, do których doszło jeszcze tego dnia, znaleźli tylko jeden ślad - mały odcisk trampka, odbity w błocie koło jednego ze zbiorników Larry'ego Watsona.

Henry nie znalazł jednak żadnych powiązań z tym śladem.
To było błędne koło.

Vida przespała się odrobinę, ale to niewiele poprawiło jej stan. Czowała się pobudzona jak jeszcze nigdy, nawet podczas pierwszego podłożenia ognia. Była przeładowana emocjami.

Jej podniecenie wywołane zniszczeniami, jakie spowodowała w kilku gospodarstwach w Goodlands, minęło wyjątkowo szybko. Głos w jej wnętrzu przypominał, że ma do wykonania pewne zadanie. Głos był śmiertelnie poważny. To ją trochę przestraszyło.

Gdy obudziła się rano, miała nadzieję, że to, co działo się z nią w nocy, było tylko snem. Że śniła jej się, jak przegląda się w lustrze i widzi inną twarz. Mgliście pamiętała, że stała na środku sypialni i czuła przepływający przez ciało prąd. Natomiast wciąż była pod wrażeniem osobliwej wibracji, jaka wytworzyła się wówczas pomiędzy podłogą a jej stopami, każąc jej unosić się lekko na powierzchni drgań. Pod gołymi stopami czuła mrowienie podobne do dotyku setek małych robaczek, które brzęcząc, wierciły się pod spodem i rozpełzały po całym pokoju.

Wyłączyły za okno, sunąc po całym mieście, poprzez pola i podwórka, przez drogi i martwe, wyschnięte koryta strumieni, poruszając się z ogromną prędkością i zakrywając całe Goodlands.

Vida miała nadzieję, że to był tylko dziwny, nieprzyjemny sen. Może skutek zjedzenia nieświeżego mięsa, jakie ojciec wsuwał jej czasami na talerz.

Nie mogła jednak zrozumieć, dlaczego rano bolały ją ramiona, czuła skurcze mięśni, jakby je nadwerżyła. Podbicia stóp były czarne od błota. Chociaż nosiła trampki, chociaż myła się poprzedniego dnia. Żeby mieć aż tak brudne nogi, umazane błotem niemal do kolan, musiałyby włóczyć się po jakichś zamulonych rowach.

Wstała z łóżka. Była zmęczona, jakby dopiero przed chwilą się położyła i musiała od razu się zrywać. Zabłoconymi nogami ubrudziła

także pościel, czego wcześniej nie zauważyła. Nawet gdy już zwlokła się z łóżka, nie mogła się pozbyć fragmentów snu. Koszmaru. Gdzieś biegła, ktoś ją ścigał. Została złapana, a potem pamiętała już tylko ciemność, czarną jak błoto na jej stopach, gęste i wilgotne, pogrążające ją aż po piersi.

Przez dłuższy czas unikała lustra. W końcu nie mogła już tego znieść, czuła się głupio. Spojrzała na swoje odbicie. Niby refleks światła (albo zafalowanie powierzchni szkła) coś szybko przemknęło po jej twarzy, zobaczyła czyjeś oczy, malutki piegowaty nos, rysy, w których nie rozpoznawała samej siebie. Horror nocnego koszmaru wrócił.

Pogłębił go jeszcze głos. Powiedział, że teraz jej kolej, musi zająć się sprawą tego mężczyzny.

Jej kolej.

Gdzieś w jej brzuchu zaczynał się niewidzialny łańcuch, który prowadził w nieznanne miejsce. Czuła nową siłę w swoim wnętrzu, gorącą jak rozpalony węgiel. Była w stanie zrobić wszystko, o czym tylko pomyślała. Zbiorniki wodne, wyrwa w jezdni pod domem Jacka Greesona, pocięcie krzyża Paxtonów, to wszystko były jej sprawy. Ale teraz już koniec z podobnymi zabawami. Teraz musi iść za niewidzialnym łańcuchem, ciągnącym się przez całe miasto, tak jak to zrobiła ostatniej nocy.

Wyszła z domu, ale sprawiała wrażenie, że nie zna dobrze drogi. Czasami trzymała się ulicy, czasami przedzierała się przez rowy. Podążała za tym łańcuchem. Musiała. Nie miała odwagi się sprzeciwić.

Rozdział 6

Karen Grange zostawiła dla Toma wiadomość na kartce przyklejonej do kuchennych drzwi od podwórka. Napisała na niej tylko jedno słowo: „Dzisiaj”, podkreślone grubą kreską. Tom pomyślał, że robi się coraz bardziej nerwowa. Zirykowało go to, a ponieważ nie lubił być w takim humorze od samego rana, zerwał kartkę i zgniótł ze złością, zanim wsunął do kieszeni. Drzwi były zamknięte, ale poradził sobie z nimi bez trudu. Miał ochotę na kawę, a może także na żółty ser, który Karen schowała do lodówki.

Z chęcią wypiłby też drinka. Łyczek whisky wygładziłby mu przełyk, nieco chropowaty po źle przespanej nocy. Odrobina wlana do kawy, poprawiona jeszcze jedną porcją, a później może reszta butelki. Aby tylko uciec od niewiarygodnej suszy, jaką czuł w tym miejscu, suszy, która jego także zaczęła ogarniać.

Spał źle, męczyły go koszmarne sny.

Ten o sprowadzaniu deszczu śnił mu się dość często, ale tym razem w momencie, gdy wszystko powinno było potoczyć się po jego myśli, sprawy nagle przyjęły zły obrót. Znajdował się na podwórku Karen, tylko że we śnie wcale nie było śmiesznej altanki. Właściwie niczego tam nie było. Tom stał w szczerym polu, z wyciągniętymi w górę rękami przyzywał deszcz. Udało mu się, spadły pierwsze krople, a potem lunęły strugi. Niebo było ciemne jak w nocy, zrobiło się chłodno. Ulewa, zimna jak lód, przenikała jego ciało milionami ostrzy, mroząc do szpiku kości, aż nie mógł już tego znieść. Usiłował się gdzieś schronić. Znalazł głęboki wykop. Wszedł do niego, ale lodowata woda szybko wypełniła dziurę, zakrywając mu kolana. Nie

mógł się ruszać. Wtedy właśnie uświadomił sobie, że stoi w grobie, i z krzykiem się obudził.

Był mokry od potu. Otworzył oczy i zobaczył altankę. Na jej widok wstrząsnął nim dreszcz. Po chwili wstał, zrolował koc i przeniósł go trochę dalej. Długo nie mógł zasnąć, a gdy mu się to wreszcie udało, nie miał już żadnych snów. Postanowił jednak, że następnej nocy będzie spał na polance.

Poczuł, że czas na mały spacer. Lepiej mu się wtedy myślało. Rytm kroków i spokój panujący na drodze pozwalały mu się wyzbyć niepotrzebnych myśli, ułatwiały skupienie. A cały czas coś go dręczyło.

Posprzątał po kawie, z rozmysłem zostawiając w zlewie nieumyty kubek. Aby wiedziała, że tu był. Myśl o tym, jak na to zareaguje, wywołała na jego twarzy pierwszy tego dnia uśmiech. Żadnej wiadomości, tylko kubek. I brak sera w lodówce. Zachichotał i poczuł się o niebo lepiej.

Postanowił pójść drogą, która biegła obok domu Karen, i dojść do granicy miasta Goodlands.

Gdy po raz pierwszy wkroczył do tego miasta, od razu zaskoczyła go wyraźna zmiana. Jak Alicja przechodząca na drugą stronę lustra, zrobił krok w inny świat. Była to kwestia kilku metrów pomiędzy obszarem, gdzie padało, i tym, gdzie nie było deszczu. Tam właśnie chciał pójść. Musiał znaleźć miejsce, gdzie wciąż jeszcze był deszcz, i pójść za nim. Miał przecucie, że deszcz zatrzymał się na granicach miasta.

Tom uważał, że deszcz jest zabawny, może nawet nieprzewidywalny, ale z pewnością nie kapryśny. Nie uprzedza się do jakiegoś miejsca z przyczyn politycznych lub osobistych. Jest niesamowitym zjawiskiem, ale z pewnością nie magicznym. O ile się orientował, nie było powodu, aby padało wszędzie, tylko nie w Goodlands, a przecież miał już do czynienia z niejedną suszą.

Tutaj działo się coś dziwnego. Zdecydowanie coś tu było nie w porządku.

Minął bar Clancy'ego i poszedł tą drogą dalej. Przed nim rozciągała się bezkresna preria. Jak okiem sięgnąć równina. Hen daleko niebo dotyka ziemi i nie ma nic pomiędzy nimi, co umknęłoby ludzkim oczom. Tom nie znał bardziej surowego i dziewiczego krajobrazu niż ten w okolicy Goodlands. Czuć tu było naturę. Wszystko wydawało się żywsze, słońce mocniej prażyło, wiatr był bardziej przenikliwy, kolory intensywniejsze.

Jedynym miejscem, jakie znał i mógłby porównać z prerią, była bezlitosna pustynia. Choć podobne z urody i ogromu przestrzeni, pod względem warunków przebywania różniły się od siebie jak dzień od nocy. Preria zapraszała, przyzywała, kusila; pustynia odtrącała. Uroda pustyni istniała tylko dla siebie, nie potrzebowała ludzkiego podziwu. Przemierzanie Nevady to istna przymiarka do śmierci: bezkresne, puste przestrzenie, przerażający, groźny upał, zabójczo mroźne noce, absolutna samotność i to uczucie, jakby się było ostatnim człowiekiem na ziemi, wyschniętej i martwej. Gdy Tom po raz pierwszy wyszedł z pustyni i znalazł się w miasteczku na jej granicy, był okrutnie spragniony ludzi. Zatrzymał się w maleńkim hoteliku, przeznaczając ostatnie sto baksów na to, aby znowu poczuć przynależność do świata żywych.

Podczas pobytu w tym hotelu miał kobietę. Nazywała się Wanda. Spędzili razem tydzień, prawie się nie rozstając, gdyż po okresie samotności musiał czuć blisko siebie czyjeś ciepłe ciało i wilgotny oddech. Byli razem przez tydzień, który spędzili w wąskim łóżku, kochając się, jedząc i pijąc. W ciemności zdradzała mu swoje sekrety. Całe życie spędziła w tym mieście. Tom dopiero po kilku dniach ze zdziwieniem zauważył, w jak nieprawdziwym świetle widziała go Wanda. Wymknął się z pokoju, gdy spała, nie zostawiając nawet kartki. Potem bardzo źle się z tym czuł. To była jedyna rzecz, której się w życiu wstydził. Teraz nie przypominałby już sobie rysów twarzy Wandy, chociaż w dalszym ciągu pamiętał, jak była ciepła. I wilgotna. Kiedy się kochali, oblewał ich pot i Tom domyślał się, że to jego wina. Wyduszała to z niej. Potrzebował tej wilgoci, tej wody ciała. To ona była jego drogą powrotną z pustyni.

Dobrze wiedział, dlaczego na drodze wychodzącej z Goodlands przypominał sobie podróż przez Nevadę. Tu było coś podobnego. Próżnia.

To było tam w górze. Już gdy po raz pierwszy się tu zbliżał, czuł zmianę w powietrzu.

Wysoko w górze zobaczył chmurę. Małą chmurkę, w której gromadził się deszcz. Wisiała jak mgła nad horyzontem, niewidoczna dla nikogo poza nim. Ustalił rytm swoich kroków i pośpieszył w stronę obłoczka jak ćma do światła.

Jak gdyby przechodząc na drugą stronę lustra, znalazł się nagle w innym świecie, poza próżnią. Rzucił na ziemię plecak. Ustawiwszy się dokładnie pod chmurką, wyciągnął w górę ręce i zanurzył się w niebie.

Dotknął deszczu. Skrył się w nim, ciężkim i wilgotnym, wypełniającym całe jego ciało. Wreszcie zamknął oczy i pociągnął. Jedno małe szarpnięcie. I na ziemię spadła mżawka, zmoczyła jego ubranie, obmyła twarz. Maleńkie krople płynęły po powiekach, policzkach, napływały mu do ust. Miały słodki smak. Płynęły po jego szyi i wsiąkały w podkoszulek.

A więc był tu deszcz. Na szczęście to nie jego studnia wyschła. To wina tamtego miejsca. Tom stał nieruchomo, wdychając wilgotne powietrze jeszcze długo po tym, jak obłoczek całkiem zniknął. Pragnął pozostać w tym miejscu na zawsze, czując się częścią nieba, ale nie tego nad Goodlands, wrogiego i jałowego. Stał tak długo, czując wokół siebie deszcz, oddychając pełną piersią.

A wtedy, wiedziony poczuciem obowiązku, wkroczył ponownie w próżnię i ruszył w stronę Goodlands.

Butch Simpson stał cichutko w przejściu pomiędzy salonem a bawialnią. Na jednej ręce miał baseballową rękawicę, w drugiej trzymał czapkę. Matka nie lubiła, gdy on lub ojciec nosili czapki w domu.

Patrzył, jak ojciec ogląda telewizję. Z uwagą przeglądał taśmy, które nagrał w nocy. Na wszystkich były jakieś zwariowane kawałki. Ojciec już wcześniej chciał, żeby Butch obejrzał to razem z nim, ale matka nie zgodziła się, twierdząc stanowczo (bardziej stanowczo niż zwykle), że to nie są programy dla dzieci w jego wieku. Oczywiście, natychmiast go to zaciekawilo i gdy tylko rodzice wyjechali do miasta, włożył taśmy ojca do magnetowidu i z zapartym tchem oczekiwał wielkich wrażeń. Miał nadzieję, że zobaczy tam trupy, ludzi zakopanych żywcem w ziemi albo przynajmniej jakieś ostre porno. Niestety, bardzo się rozczarował. Na taśmach były tylko bzdury o końcu świata, latających talerzach i jakiś facet w transie, który plótł głupoty. Butch nie dotrwał nawet do końca pierwszego nagrania.

Czekał teraz, aż ojciec się odwróci, aby móc wywołać go na podwórko, gdzie mieli pograć w piłkę. Butch miał nadzieję, że jeśli ojciec ujrzy go w drzwiach, może zdecyduje się odejść od telewizora i trochę pobawić.

Nagle usłyszał za sobą ciche kroki. Obejrzał się przez ramię i zobaczył mamę.

- Hej, synku, nie chcesz wyjść na dwór i pograć w piłkę? - zapytała.

- Z tobą?! - zdziwił się Butch.

- Dlaczego nie?

Matka dotknęła czubka jego głowy dziwiąc się w duchu, jak szybko syn rośnie. Butch odsunął się trochę.

- Ty nie umiesz grać w piłkę - powiedział.

Ojciec, chociaż na pewno ich słyszał, ani drgnął.

- Chodź, to ci pokażę - nalegała matka.

- Ja chcę grać z tatą.

- Tatuś myśli, kochanie - wyjaśniła. - Nie przeszkadzaj mu - dodała cicho i wyprowadziła synka na podwórze.

Rzucali do siebie piłkę, a wielka rękawica taty śmiesznie wyglądała na drobnej dłoni mamy. Butch był zaskoczony. Mamie szło doskonale, wcale nie była zła w piłkę.

- Co się dzieje z tatą? Czemu cały czas ogląda te programy? - zapytał nagle.

Janet Simpson usłyszała w jego głosie niepokój, który sama także odczuwała.

Złapała piłkę w wielką rękawicę i odrzuciła. Starła się bardzo uważać na to, co mówi.

- Pamiętasz, jak rozmawialiśmy o suszy?

- Aha.

- Pamiętasz, wyjaśniałam ci wówczas, jak to się odbije na kredytach, co się dzieje z hipotekami i...

- Tak.

- No więc, z naszą farmą nie jest najlepiej, tatuś...

Janet z trudem dobierała słowa. Wiedziała doskonale, że prawda jest zbyt okrutna, aby mówić o niej dziecku.

- Tatusiowi jest ciężko, bo musi się przyzwyczaić do tego, co się dzieje. Dlatego się martwi - wyjaśniła.

- Dlaczego więc ogląda te głupoty o duchach, przybyszach z innego świata i całe to badziewie?

Janet złapała piłkę i odrzuciła Butchowi. Przez chwilę podawali do siebie w milczeniu.

- Tatuś w ten sposób reaguje na zmartwienia, Butch. Ludzie zachowują się bardzo różnie. Kiedy ja mam kłopoty, robię w domu porządki. To mi oczyszcza umysł. A tatuś ogląda telewizję.

Czuła się zadowolona z takiego wytłumaczenia, chociaż jedno spojrzenie na Butcha wystarczyło, by zrozumiała, że on w to nie wierzy. Była to bowiem tylko częściowo prawda. Carl od pewnego czasu był bardzo przygnębiony. Programy telewizyjne, w których poszukiwał odpowiedzi na dręczące go problemy związane z suszą, przedsta-

wiały ponure bajki o ponadnaturalnych zjawiskach i wyzwoliły w nim coś obcego jej duchowo. Przerazał ją czasami, gdy wieczorem opowiadał o swoich przemyśleniach. Oczekiwał, że będzie tego z uwagą wysłuchiwała. Miał obsesję na punkcie rządu i tego, CO ONI UKRYWAJĄ. Ostatnio jego opowieści stały się wyjątkowo dziwaczne. Coraz częściej cytował, jak ich nazywał, „proroków współczesności”, razem z ich przepowiedniami o nadchodzącym dniu sądu ostatecznego. Słuchając go, dostawała gęziej skórki. Ciągłe jeździł do księgarni w Bismarck i kupował sterty dziwacznych książek, o tytułach takich jak: „Przeżyć koniec tysiąclecia” lub „Kalendarz sądu ostatecznego”. Wydawał na to wszystkie pieniądze w sytuacji, gdy ledwo wiąźali koniec z końcem. To ją złościło. Ich sypialnia zaczynała wyglądać jak wnętrze mrocznej biblioteki. Janet wzdrygnęła się, chociaż panował upał.

- A więc - zaczął Butch, trzymając w ręku piłkę i patrząc uważnie na matkę - nadchodzi koniec świata?

- Gdzieś to usłyszał? - zapytała ostrym tonem.

Butch, widząc jej zdumienie, zaczął się tłumaczyć.

- Bo o tym są te programy, które tata nagrywa. - Wbił wzrok w ziemię. - Obejrzałem kiedyś jeden, gdy was nie było w domu.

- To nie są programy dla dzieci - powiedziała.

- Ale czy naprawdę świat się kończy?

Stanowczo pokręciła głową.

- Nie. To niemożliwe. Któregoś dnia spadnie deszcz i wszystko będzie dobrze.

Butch rzucił piłkę. Złapała ją i odrzuciła. Grali jeszcze przez kilka minut, ale opuścił ich beztroski nastrój.

Żadne nie miało ochoty wracać do domu. Janet usiadła na twardej, wysuszonej ziemi, a Butch huśtał się na starej oponie zawieszanej na drzewie i rozmawiali jeszcze o wielu sprawach.

Koło południa usłyszeli z drugiej strony domu warkot odjeżdżającej półciązarówki. Bez słowa, jakby się wcześniej umówili, weszli do domu na lunch. Zanim Janet zajęła się przygotowaniem posiłku, wyłączyła telewizor.

Koło południa Tom zatrzymał się i skręcił z drogi na pole, na którym rzędem rosły drzewa. Pewnie ktoś je zasadził w celu zatrzymania wiatru, pomyślał. Chciał skorzystać z ich cienia. Rzucił plecak na ziemię i usiadł, opierając się o pień.

Zauważył, że tam, gdzie siedział, nie było żadnej wilgoci. Drzewa wyglądały na martwe. Tu także, podobnie jak w całym Goodlands, czuć było okropną suchość. Dopiero po wkroczeniu na obszar, który nazywał strefą deszczu, wszystko znowu wracało do normalności.

Otworzył plecak szukając resztek sera, który wyjął z lodówki Karen. Znalezione kawałek popijał wodą z menażki. Woda była ciepła, o stęchłym smaku, ale i tak nie zepsuła mu przyjemności jedzenia. Zamknął oczy i wolno przelykał.

Krążył już wokół Goodlands od dobrych dwóch godzin. Mijał puste pola. Niektóre czekały, przygotowane, na wielu coś zasiano, ale na żadnym jeszcze nic nie urosło. Cztery lata suszy. Tom wątpił, czy ludzie mają jeszcze nadzieję, że kiedykolwiek będą uprawiać tę ziemię.

Jak do tej pory nie zastanawiał się jeszcze nad rolą Karen Grange w tej historii. W okolicy widział parę opuszczonych domów, z wybitymi oknami, oblażącą farbą i z tablicami „Na sprzedaż”. Wszystko to dało mu do myślenia. Karen Grange kierowała miejscowym bankiem, zastanawiał się więc, jak ona to znosi. Przejęcie hipoteki. Wywłaszczenie, tak się to nazywało, słowo brzmiące obojętnie, wywłaszczenie, tego słowa należało użyć, gdy przestawało bić serce tego miasta.

Karen Grange była egzekutorem; egzekucji dokonywano, oczywiście, na mieście.

Tom przelknął łyk wody i zakręcił menażkę. Skręcił sobie papierosa.

A więc rozwiązał małą tajemnicę. Karen napisała do niego list, ponieważ była czarną owcą w tej historii. Pozwolił sobie na słaby uśmiech. Wyobraził sobie, jak brała do ręki długopis i zaczynała pisać list. Gdy zobaczył ją po raz pierwszy, pomyślał, że jest żoną jakiegoś rolnika. Prosić mogą żony i córki, rolnicy bardzo rzadko. W sercu kobiety jest coś takiego, co pozwala jej, bardziej niż mężczyźnie, otworzyć się wobec drugiego człowieka. Może łatwiej wpadają w rozpacz. Tom pamiętał jednak, że niekiedy prosili go o przybycie miejsca urzędnicy, zwykle zresztą bardzo dyskretnie. Ale jak dotąd nigdy jeszcze nie był wzywany przez menedżera banku.

Najczęściej jednak Tom sam znajdował klientów. Zwykle szedł drogą, która dokądś wiodła, i gdy już tam dotarł, okazywało się, że potrzebują jego pomocy. Często nic mu nie płacili, nawet gdy ludzie wiedzieli, co dla nich zrobił. Nikt nie lubi przyznawać, że deszcz można

przywołać. A jeśli rzeczywiście został przywołany, wolą wierzyć, że stało się to dzięki jakiemuś urządzeniu, pigułce lub sprayowi. Metodę Toma trudniej zaakceptować.

Winslow w stanie Kansas było wyjątkiem. Tam właśnie go zaproszono. Lokalny urzędnik administracyjny, niejaki David Darling, dowiedział się, że Tom pewnego wieczora w barze w Topeka założył się i wygrał sto dolarów. Zakład dotyczył deszczu. W barze siedziało czterech gości, pili i rozmawiali o deszczu. Tom akurat tamtędy przechodził i wstąpił na parę piw. Dowiedział się, że w tej okolicy już od miesiąca nie padało i zapowiadało się suche lato. W istocie nie mieli powodu do zmartwień, bo Tom po drodze wyczuł deszcz o jakiś dzień lub dwa od Topeka. Wziął jednak od nich pieniądze i urządził przedstawienie. Wszyscy stawiali potem kolejki, przyglądając się przez otwarte drzwi baru, jak pada deszcz. „To ci dopiero porządnie wykonana robota!” Cały wieczór poklepywano Toma po plecach, a on czuł się jak bohater, zwłaszcza po szóstej czy siódmej kolejce. Upił się wtedy jak mało kiedy i spędził resztę nocy w ciężarówce jakiegoś faceta, słuchając przed zaśnięciem bębnienia kropli deszczu o plandekę. Obudził się dobrze po południu, głowa mu pękała, w ustach śmierdziało tak, jakby był martwy od środka. Gdy udało mu się zleźć z ciężarówki, zjadł obiad z jej właścicielem. Okazało się, że facet ma przyjaciela w Winslow, gdzie też od dawna nie padało. Zadzwonił do niego i opowiedział o zakładzie i deszczu.

- Nazywa się Darling - wyjaśnił Tomowi. - Chodziliśmy razem do szkoły. Teraz jest urzędnikiem magistrackim w Winslow, ale wciąż utrzymujemy kontakty. Powiedziałem mu, co zrobiłeś, i chciałby cię zaprosić do Winslow, abyś zobaczył, czy nie da rady zrobić tam tego samego.

Tom nie widział przeszkód, ale nie zamierzał wysilać się za mniej niż sto baksów.

Darlingowi zależało na dyskrecji. Nie chciał, aby jego szef, zadufany w sobie trzęsидуpek, dowiedział się, że posłał po przywoływacza deszczu.

W Winslow nie padało od osiemnastu miesięcy. Tom sprowadził tam deszcz już następnego popołudnia. Ludzie bardzo szybko zwieździeli się, jak to się stało. Darling nie był w stanie dłużej utrzymać tajemnicy. Ktoś ściągnął ekipę telewizyjną i zrobili reportaż o tym, jak Tom sprowadza deszcz. W ten sposób Karen dowiedziała się o jego istnieniu.

Gdy przyszło do podziękowania, okazało się, że aczkolwiek mieszkańcy Winslow bardzo cieszyli się z deszczu, byli raczej sceptycznie nastawieni do sposobu, w jaki się pojawił. Poza Darlingiem, który wsunął Tomowi w rękę sto dolarów, ludzie wynagradzali go jak ślamazarnego kelnera. W sumie dostał niecałe pięćset baksów Mógłby tyle zarobić w knajpianym zakładzie.

Tom zaciągnął się dymem i jego myśli znowu zaczęły krążyć wokół Goodlands. Tu od samego początku było zupełnie inaczej.

Jeśli się nad tym głębiej zastanowić, bardzo dziwne było już to, że list w ogóle do niego trafił. Dotarł do niego, chociaż Tom był ciągle w drodze. Zupełnie jakby list go ścigał.

Przechodząc z rąk do rąk, był przekazywany przez ludzi, którzy i w większości Toma nie znali. W końcu został mu dostarczony przez faceta, znającego kogoś, komu wydało się, że słyszał o jakimś człowieku, który zakładał się o pieniądze, że sprowadzi deszcz. Facet ten nosił ze sobą list przez dobre pół roku, koperta była poplamiona i zmięta, jeden jej koniec oddarty, ale można było jeszcze odczytać nadawcę.

- Właściwie nie wiem, czemu go tak długo przechowywałem - powiedział, wręczając Tomowi list z uśmiechem. - Dał mi go pewien barman, bo wiedział, że dużo podróżuję. Poza tym piję - zaśmiał się - a o ile dobrze wiem, ty także nie omijasz barów. Hm, skoro już o tym mowa... czy ty naprawdę potrafisz sprowadzić deszcz?

- Tak - odpowiedział Tom.

Facet mierzył go wzrokiem. Tom zaczął się zastanawiać, ile może mieć przy sobie gotówki. Pokazać ci? Mogę to zrobić za pięćdziesiąt baksów, zaproponował mu w duchu.

- Zamierzasz przeczytać ten list?

- Tak, może później odparł Tom.

Doręczyciel wyglądał na rozczarowanego, jakby spodziewał się, że coś mu się należy za tak długie przechowywanie przesyłki. Tom też tak uważał, ale nie otwierał koperty. Papier był chłodny i gładki, lecz wciąż go odpychał. To nie miało zresztą specjalnego znaczenia. Wiele rzeczy go odpychało. Charakter pisma wskazywał, że kopertę zaadresowała kobieta, a dla Toma było to zwiastunem złych nowin, wiadomości od kogoś, kto wciąż płacze lub w końcu stracił cierpliwość. Postanowił poczekać jeszcze i otworzyć list, gdy będzie po kilku drinkach. Wolał się pośmiać, niż mieć wyrzuty sumienia.

- A więc - facet nie dawał za wygraną - co robisz, aby zaczęło padać?

Tom uśmiechnął się myśląc o jego znoszonych butach i wytartym siedzeniu w tanim garniturze.

- Mogę sprowadzić deszcz za pięćdziesiąt baksów.

I rzeczywiście to zrobił.

Wydarzyło się to rok temu. List przeczytał późno w nocy, siedząc w krzakach między barem a jakimś domem, napompowany piwem, które postawił tamten facet. Rozłożył koc i rozpałił niewielkie ognisko, był już bowiem wrzesień i robiło się zimno. Przeczytał list przy ogniu. Miał go do tej pory, włożony pieczołowicie między kartki podręcznika do gramatyki jego matki.

List był bardzo oficjalny, każde słowo dobrze wyważone. Nic dziwnego, że patrzyła na niego takim bezbarwnym wzrokiem, a potem z podejrzliwością, gdy pojawił się pod jej domem. Prawdopodobnie spodziewała się kogoś w garniturze, jeżdżącego samochodem z napisem „Przywoływacz deszczu”. Może byłby tam też chwytny slogan reklamowy w rodzaju „Wierz w deszcz”. Oczekiwała, że zadzwoni przed przyjazdem, umówią się gdzieś na neutralnym gruncie, może w restauracji w Goodlands. Przyszłaby wówczas prawdopodobnie w eleganckim kostiumie, może z teczką i zapewne rozmowa toczyłaby się bardzo oficjalnie, formalna jak list. Dyskutowaliby o szczegółach, podpisali kilka dokumentów i wówczas mógłby już sprowadzić potoki deszczu, który uratowałby miasto. Zmarszczył brwi. Potoki deszczu.

Przed oczami stanęła mu Karen, ale nie ta, jaką pamiętał z poprzedniego ranka, w kostiumie kobiety na stanowisku, ze stosownym wyrazem twarzy. Była to Karen, jaką widział ostatniej nocy, z oczami szeroko otwartymi jak u dziecka, wyrażającymi zaskoczenie i zachwyty.

Dotarcie do niej zajęło mu prawie rok, bo zimę spędził na północy, gdzie człowiek mógł nocować pod gołym niebem i nie zamrznąć na śmierć.

Gdy tylko przeczytał jej list, pisany tym sztywnym, napuszonym językiem, z równym i kształtnym podpisem u dołu strony, od razu wiedział, że czeka go coś innego niż zwykle. Do diabła, taki list, który dotarł do niego na przekór wszelkim przeszkodom, musiał coś znać... Tom musiał zjawić się w Goodlands.

Musiał sprowadzić deszcz.

A więc dlaczego mu nie wychodziło? Dlaczego mimo gotówki i kobiety, która chciała, aby to zrobił, mimo dogodnych warunków nie

mógł otworzyć tych drzwi i sprawić, aby polało się z nieba, tak jak to robił niemal każdej nocy za mniejsze pieniądze w niemal każdym przydrożnym barze na Środkowym Zachodzie? Dlaczego nie potrafił sprawić, aby w Goodlands padało?

Zapłata była godziwa. Wystarczająco dużo forsy, aby udać się na długi czas w jakieś ciepłe i wilgotne miejsce. Tak nasączone własną wilgocią, że po obudzeniu się można spijać rosę z liści. Nachylić je tylko lekko i poczuć rosę spływającą prosto do ust, poczuć, jak ciało ją wchłania bez najmniejszego wysiłku. Za pięć tysięcy dolarów miały to przez długi czas. Zamknął oczy i wyobraził sobie takie miejsce. Obraz pojawił się wyraźny, Tom niemal mógł go skosztować wyschniętymi wargami: słodki, wilgotny, chłodny.

Było też inne wyjście: zapobiec dalszym stratom i wyjechać. Odwiedzić kolejne miasto, jest ich przecież wiele. Niech Goodlands będzie tylko przystankiem na trasie długiej podróży.

Tom zamyślił się. Było bardzo gorąco. Jeśli dłużej tu posiedzi, z pewnością zaśnie. Ogarnął go dziecinny lęk, jak wtedy gdy bał się, że coś okropnego skryło się pod łóżkiem. Wydawało mu się, że jeśli zaśnie, wyschnie na wiór i umrze, stając się częścią tego martwego krajobrazu.

Nie chciało mu się jednak opuszczać miłego cienia, wyjść na palące słońce, które sprawiało, że pot spływał mu spod czapki. Cóż, trudno, wszystko było lepsze niż pozostanie w tym miejscu. Potrzebował trochę czerwonego mięsa, aby krew w jego żyłach szybciej płynęła. A zatem podjął decyzję: musi znaleźć kilka grubych, krwistych befsztyków i - do cholery - poczęstować jednym Karen Grange.

Była zabawna. Ładna dyskretną urodą, którą zauważył dopiero ostatniej nocy, gdy z jej twarzy zniknął wyniosły, oficjalny grymas. Kiedy przyglądała się odrobinie wody w zagłębieniu dłoni, jej policzki jaśniały jakby oświetlone blaskiem błyskawicy, a oczy rozpromieniały uśmiech. W tamtej chwili wyglądała jak młoda dziewczyna, bezbronna i trochę naiwna. Toma nigdy takie cechy w kobietach nie pociągały, aż do owej nocy. Bardzo mu się podobała, tak bardzo, że patrzył łakomie na jej usta i zastanawiał się, jak smakują. Na szczęście dla nich obojga, szybko się opamiętał. A dziś rano zobaczył tę lakoniczną kartkę na drzwiach.

Miękkość dłoni, którą przytrzymał, i gwałtowne szarpnięcie, z jakim ją wyrwała. Łagodne spojrzenie. Miła. Zapewne jednak, gdyby spotkał Karen w przydrożnym barze, nigdy by na nią nie zwrócił uwagi.

Często o niej myślał. Zwłaszcza gdy była na tyle blisko, że czuł jej zapach. Pod strojem urzędnika bankowego był ktoś inny, kto bardzo przyjemnie pachniał, jak kwiaty w południe lub zaraz po zerwaniu. Tom wołał jednak nie sprawdzać, kto to jest. Oboje mogliby mieć wówczas poważne kłopoty.

W Goodlands pojawiła się nieznana kobieta.

Vida szła drogą, która zaczynała się jako Plum View Road, na końcu miasta zaś nosiła nazwę Highway Drive. Określano ją także jako droga numer 55. Mieli przy niej farmy Larry Watson i Dave Revesette. Dopiero spory kawałek dalej droga się rozwidlała. Można było iść dalej chodnikiem, dobrze utrzymaną, stanową drogą numer 55, albo skręcić w wysypaną żwirem dróżkę, wijącą się na wschodnich peryferiach Goodlands. Ta mniej uczęszczana droga biegła obok posiadłości Paxtonów.

Zbliżało się już południe, a Vida wędrowała od świtu. Nie miała ochoty na odpoczynek, gdyż ostatnio przepelniała ją energia. Energia płynąca z zupełnie nowego, wewnętrznego źródła.

Jak to zwykle bywa w rolniczych miejscowościach, szczególnie rano, kiedy jest mnóstwo roboty w gospodarstwie, droga była pusta. Vida nie spotkała nikogo. Nikt też jej nie zauważył. Zresztą nawet gdyby kogoś mijala, prawdopodobnie by tego nie zauważyła.

Zwykle chodziła krokiem dość ciężkim, aroganckim, co ostrzegало wszystkich przed ewentualnymi naprzykrzającymi się komentarzami. Teraz poruszała się miękko, dużo bardziej kobieco i ponętnie. Gdy szła, wydawało się, że tańczy, płynnie poruszając biodrami i kokieteryjnie skubiąc brzeg spódnicy (tej samej, którą miała na sobie wczoraj, nieco już nieświeżej). Nie miała pojęcia, czy ktokolwiek zauważył te zmiany, ale doskonale zdawała sobie z nich sprawę. Poza tym była bardzo skupiona, tak jak jeszcze nigdy. Miała do wykonania pewne zadanie.

Głos, który słyszała w środku, brzmiał teraz inaczej. Pragnęła, by ucichł. Był taki natarczywy, ogłuszający. Wywoływał ból głowy, sącząc się natrętnie i zmuszając do słuchania. Słuchała więc, przystając nawet na drodze, aby lepiej zrozumieć. Głos nakazywał jej podążać za niewidzialnym łańcuchem. Znaleźć tego człowieka. Musi go odnaleźć.

Z trudem uwalniała się od głosu i szła dalej. Czasami jednak zatrzymywała się na dłużej i stała wsłuchana, z nieobecny wyrazem

twarży, co wielu uznałoby za nieomylny znak, że należy do rodziny Whalleyów. Ale za każdym razem górę brała ciemna strona jej natury, ta, którą odkrył i wykorzystywał głos. Ta, która zawsze chciała odgrywać się na innych i ich krzywdzić. W tym sensie Vida i głos doskonale się dobrali.

Dwie tak bardzo do siebie podobne osoby w jednym ciele podążały za niewidzialnym łańcuchem.

Wagglesowie znowu zatrudnili na pewien czas Tammy Kowzowski. Chociaż Chimmy nie doznała poważniejszych obrażeń, doktor Bell zalecił jej kilka dni wypoczynku. Doznała lekkiego wstrząsu mózgu, gdy uderzyła głową o posadzkę. Miała też mnóstwo siniaków, paskudne rozcięcia nad nosem, gdzie wbił się odłamek szkła z rozbitego okna, i kilka mniejszych, ale głębokich skaleczeń na rękę. Doktor powiedział jej także, nie owijając w bawełnę, że powinna trochę schudnąć.

- Warstwa tłuszczu potrzebna jest zwierzęciu arktycznemu i kobiecie w ciąży - oświadczył stanowczym głosem. - Pani nie jest ani jednym, ani drugim.

Podał jej kilka wskazówek co do diety, wykluczających lody i inne słodczyce z lodówki, którymi objadała się zwykle w upalne dni. Zalecił natomiast ćwiczenia, które Chimmy zaczęła wykonywać zaraz po jego wyjściu, schodząc po schodach na dół, aby otworzyć drzwi Tammy Kowzowski.

Tammy nie miała nic przeciwko temu, żeby znowu pracować w sklepie. Chimmy była wesoła i bardzo rozmowna, dzień szybko przy niej mijał.

Znowu nie było prądu. Chimmy siedziała na swoim stolku i ręcznie wypisywała rachunki. Mimo zaleconego odpoczynku, ciągnęło ją do sklepu, gdzie była w środku wydarzeń. Znajomi wpadali tu na pogawędkę, oglądali nowe markizy i wprawione okno.

Tego ranka dowiedziała się wielu ciekawych rzeczy.

Jack Greeson wpadł po papierosy i opowiedział o wyrwie przy swoim podjeździe. Nie dalej jak w zeszłym roku położył tam asfalt i teraz się zastanawiał, czy nie zaskarżyć firmy z Weston, której zlecił robotę. Tylna oś jego wozu nadawała się do wymiany, podobnie jak opona, przebita przez wyszarpany kawałek nawierzchni.

Tammy była zdania, że w Goodlands znajduje się jakiś uskock geologiczny. W telewizji widziała program, w którym mówili, że takie uskoki mogą występować wszędzie.

- No dobrze, Tammy, nie chciałbym cię urazić, ale to nie była wyrywa w ziemi - powiedział Jack. - To było w asfalcie. A dokładnie w miejscu, gdzie kończył się asfalt i zaczynała droga. Cóż, chłopcy, którzy zmieniali nawierzchnię, musieli coś spieprzyć. Na Boga, ktoś powinien za to odpowiedzieć i naprawić szkody.

Chimmy skończyła wypisywać rachunek i wręczyła mu razem z papierosami, sięgając po resztę do blaszanego pudełka. Używali go, gdy nie było prądu.

Jack wskazał palcem nieczynną kasę.

- Teraz widzisz, na czym polega problem z rzeczami. Gdy nie ma prądu, nie możesz nawet używać kasy. Ludzie za bardzo przyzwyczaili się, że pracę wykonują za nich rzeczy. Nie widzę nic niewłaściwego w tym, że wypisujesz mi rachunek, a ja czekam na niego, jednak ludzie wolą włączyć maszynę, aby ona to zrobiła. Teraz miło sobie rozmawiamy, bo ta czynność zajmuje ci więcej czasu, a gdyby kasa była czynna, już dawno wyszedłbym stąd i odjechał bez pogawędki, rzucając tylko „Jak się masz”.

Ma rację, pomyślała Chimmy, chociaż Jack Greeson należał do ludzi, którzy nigdy nie kończą na „Jak się masz”. Tak czy inaczej opowiedziałby jej swoją historię, paląc papierosa, aby nie tracić czasu.

- To samo dotyczy tej sprawy z asfaltem. Chłopcy z firmy przywieźli jakąś maszynę i pracowali nią nie dłużej niż kilka godzin. W dawnych czasach musieliby to zrobić ręcznie i na Boga, stawiam dolary przeciw orzechom, że skończyłoby się to dobrze, nie tak, jak teraz. Wszystko dzieje się szybko, szybciej, jeszcze szybciej...

- Może i masz rację, Jack - powiedziała Chimmy, wierząc się na stołku - ale wydaje mi się, że kasa jest jednak dokładniejsza ode mnie.

Zachichotała widząc, że Jack ukradkiem sprawdził rachunek, gdy już wyszedł ze sklepu.

- Rozumiesz teraz - zwróciła się do Tammy - ile bym straciła, gdybym odpoczywała na górze.

Zaraz potem dowiedziały się o zbiornikach Larry'ego Watsona, z których wyciekła woda. Powiedział im o tym Gooner, który przyszedł do sklepu po napój w puszcze. Właśnie był w drodze do Watsona, miał przylutować nowe zatyczki.

- Co za nieprawdopodobna historia, cholera, byłem u niego i wszystko widziałem. Nie mam pojęcia, dlaczego wszystkie wyleciały. Wydaje mi się, że to się stało jakoś od środka. Zapytałem Larry'ego, czy nie zgromadził się tam jakiś gaz, który mógł zmieszać się z wodą,

czy coś takiego, no wiecie, co zwiększyłyby ciśnienie, ale powiedział, że zwierzęta piły to cały tydzień i nic im nie było. Nieprawdopodobna historia, cholera...

Chociaż raz Gooner nie opowiadał kiepskich dowcipów. Śpieszył się jak nigdy.

Gdy wyszedł, Tammy zaczęła sprzątać pod ladą.

- Wygląda na to, że wszędzie dzieją się jakieś dziwne rzeczy, prawda, Chimmy?

- No tak, mój dziadek mawiał, że nieszczęścia chodzą trójkami. Mieliliśmy już zwalone drzewo, podjazd Jacka i zbiorniki wodne. To już trzy nieszczęścia. Może się okazać, że za chwilę będzie znowu po staremu - powiedziała Chimmy.

- A co z pożarami?

- Inflacja - zażartowała. - Nieszczęścia chodzą teraz czwórkami.

Okolo trzeciej po południu Tammy siedziała za ladą, a Chimmy rozprostowywała nogi, chodząc po sklepie. Obie jednocześnie zauważyły przystojnego nieznajomego, który zmierzał prosto w stronę ich sklepu.

- A to kto? - zapytała Tammy.

Chimmy wyciągnęła szyję, aby lepiej widzieć, bo za oknem wciąż stało rusztowanie.

- Chyba się wkrótce dowiemy - powiedziała z nadzieją w głosie.

Tom doskonale zdawał sobie sprawę, jakie zaciekawienie wzbudzał wśród przechodniów. Wszyscy byli dla niego mili, przyjaźnie się kłaniali i usiłowali nie gapić się zbyt natrętnie. Tom przywykł już do tego. Prawie całe życie był obcy.

Główna ulica miasta przypominała mu filmy o Dzikim Zachodzie, tak samo usytuowana gdzieś w środku pustkowie. Miasto zbudowane było na planie kratownicy, wszystkie budynki ustawiono w równych rzędach, ulice i drogi przecinały się pod kątem prostym. Emanowało z niego dziwne, zorganizowane i próżne piękno, połączenie przeraźliwej mocy wszechobecnego nieba i ludzkiej ambicji. Gdyby Tom czuł się tu nieco lepiej, może zachwyciłoby go to piękno, ale teraz marzył jedynie o lufie szkockiej. Albo tequili. Ze szczyptą soli i plasterkiem cytryny. Popiłby to później wódką i zakończył kilkoma zimnymi piwami. Niestety, musiały mu wystarczyć befsztyki i trochę wina do splukania ulicznego pyłu z ust.

Wypatrzył sklep. Budynek był w stanie rozbiórki albo odbudowy, trudno było to jednoznacznie stwierdzić, ale szyld wiszący nad wejściem

głosił: ARTYKUŁY SPOŻYWCZE I INNE. Poniżej wyszczególniono: WYPOŻYCZALNIA KASET, PIWO I ALKOHOLE, PAPIEROSY. Wszystko, czego potrzebował współczesny człowiek.

Drzwi sklepu były otwarte na oścież i zastawione cegłą. Tom wszedł do środka, odprowadzany zaciekawionym spojrzeniem człowieka stojącego na rusztowaniu.

Za ladą były dwie kobiety. Tom skłonił głowę, na co obie uśmiechnęły się i jak na komendę razem się odkloniły. Grubsza miała opatrunek na twarzy, zasłaniający jej część nosa. Zapytała, czym może służyć.

- Czy dostanę tu dobre befsztyki?

- Ostatnio mieliśmy trochę kłopotów, co zresztą nietrudno zauważyć, sklep jest naprawiany. Łatwo psujące się towary trzymamy po drugiej stronie ulicy, w restauracji Kushnerów. Proszę tam pójść i powiedzieć, że przysłała pana Chimmy. - Pokazała mu przez okno, gdzie znajduje się restauracja. - Musi pan prosić Grace. Niech pan jej też powie, żeby dała panu świeży towar, przywieziony wczoraj.

- W porządku.

Tom zatrzymał wzrok nad kontuarem, gdzie stały butelki. Było tego sporo, głównie szkocka i żytniówka. Nie zauważył tequili. Ręka świerzbiła go, aby kupić dużą butlę taniej żytniówki.

Jednak Karen Grange nie wyglądała mu na wielbicielek tego trunku. Postanowił więc się powstrzymać, przynajmniej na razie.

- Chciałbym kupić butelkę wina - zwrócił się do grubej kobiety.

- Czerwone czy białe?

Karen wyglądała na taką, co lubi białe, ale nie chciał aż tak się poświęcać.

- Czerwone.

Chimmy zmarszczyła brwi i przyglądała się butelkom.

- Jest kilka gatunków czerwonego wina z Kalifornii. Może być?

- Jeśli nie ma nic innego - powiedział.

Chimmy poszła na koniec lady, do półek z butelkami.

- Nie sprzedajemy tu dużo wina - mówiła. - Ludzie z okolicy wolą wódkę i piwo. Więcej wina sprowadzamy w okolicach Bożego Narodzenia. A na Nowy Rok dobrze idą szampany. Ja osobiście nie mogę pić wina musującego, szkodzi mi. Nie mam natomiast nic przeciwko piwu, raz na jakiś czas.

Przysunęła sobie stół i wspięła się, aby sięgnąć po butelkę. Wielki brzuch przeważał ją do przodu, zachwiała się niebezpiecznie.

Młodsza kobieta czym prędzej podbiegła. Chimmy, pozwól, ja to zrobię.

- Nic mi nie jest, nic mi nie jest - zaprotestowała grubaska. Udało jej się dosięgnąć butelki, zeszła ze stołka i sapnęła z ulgą.

- Proszę. - Podeszła do Toma. - Pan przejazdem czy na dłużej?

- Myślę, że coś pośredniego - powiedział enigmatycznie, z uprzejmym uśmiechem.

Chimmy pokiwała głową i sięgnęła po blankiety rachunków.

- Dopóki nie skończą naprawy, nie będzie prądu. Mielśmy tu wczoraj osobliwy wypadek. Drzewo rosnące po drugiej stronie ulicy zważyło się nagle na sklep. Może sobie pan to wyobrazić? - zapytała, ale nie doczekała się odpowiedzi.

Chimmy wypisała na rachunku cenę befsztyków i wina.

- Coś jeszcze dla pana?

Tom potrząsnął głową. Chimmy zaczęła sumować kwoty, używając leżącego przy kasie kalkulatora.

- A zatem przyjechał pan do nas na jeden dzień? Umówił się pan z kimś na kolację? - wypytywała.

Tom zignorował pytania. Wciąż się miło uśmiechał.

- Ma pani mapę miasta?

- Mapę? Oczywiście, mamy. Może być mapa stanu?

- W zasadzie potrzebna mi tylko mapa miasta.

- Miasta chyba nie mamy, prawda, Tammy?

Młodsza kobieta nie odzywała się od dłuższego czasu, krzątała się przy ladzie. Słyszac, że Chimmy zwraca się do niej, spiekła raka.

- Hm, nie, chyba nie. Ale może przyda się panu jedna z tych, które kilka lat temu przygotowała pani Shoop?

- Tak, tak. To takie śmieszne mapy, no wie pan, z zabawnymi rysunkami, przedstawiającymi różnych mieszkańców miasta i ich zawody. Jakies dwa lata temu reklamowaliśmy okolice Goodlands jako miejsce, gdzie można polować i łowić ryby. Próbowaliśmy zachęcać turystów, lecz nie odniosło to większego skutku, tyle że ludzie, którzy kiedyś przyjeżdżali tu polować lub wędkować, przypomnieli sobie o nas i wrócili. Ale zostały mapy. Dostanie je pan w urzędzie miejskim - powiedziała i wychyliła się, aby pokazać mu przez okno budynek. - Ktoś tam jeszcze powinien być. Mapa kosztuje dolara. Nie wiem, czy są dokładne, jeśli chodzi o ulice, ale można się łatwo zorientować, jak gdzieś trafić. Nasz sklep też jest tam zaznaczony. Kosztowało nas to dwadzieścia pięć dolarów.

- Czy są tam zaznaczone granice miasta? - zapytał Tom.

Chimmy spojrzała na niego zdziwiona.

- Tak, z pewnością - przyglądała mu się dłuższą chwilę, a potem jeszcze raz sprawdziła rachunki.

- Jedenaście sześćdziesiąt za befsztyki i wino.

Tom wyciągnął jeden z dwudziestodolarowych banknotów, które trzymał zgniecione w kieszeni. Pieniądze Blake'a. Już wyschły. Rozprostował banknot, zanim podał go grubasce.

- A więc potrzebna panu mapa? Szuka pan czegoś? Może będę mogła pomóc - dopytywała się Chimmy.

- Robię zdjęcia - skłamał Tom. - Żeby potem wspominać miejsca, które odwiedziłem. Taki rodzaj pamiątki.

- Och, kocham robić zdjęcia! - zawołała Tammy. Oboje spojrzeli na nią, co znowu wywołało rumieniec na jej twarzy. - Naprawdę.

- Zdjęcia czego? - zapytała nieznajomego Chimmy.

- Domy, pola, takie rzeczy - odpowiedział Tom, posyłając im szeroki uśmiech.

To ciągle uśmiechanie zaczynało go już męczyć i zastanawiał się, jak wyjść, aby to nie wyglądało niegrzecznie. Chimmy spojrzała na jego plecak.

- Chciałybyśmy zobaczyć aparat - powiedziała głosem, w którym zabrzmiało niedowierzanie. - Tammy, chciałybyś zobaczyć aparat, prawda?

- Pewnie! Uwielbiam aparaty - zachwyciła się dziewczyna.

Później, niezadowolona z siebie, powtórzyła to przyjaciółce, szydząc z samej siebie: „Pewnie! Uwielbiam aparaty”.

Tom położył plecak na ładzie i pakował do środka wino. Zmrużył oczy tak bardzo, że prawie je zamknął. Pieczołowicie układał butelkę pomiędzy podkoszulkami, a potem sięgnął głębiej. Minęła długa chwila. Tom wyciągnął rękę.

- Oto on - powiedział cicho.

Na jego dłoni leżał mały aparat fotograficzny. Napis na obudowie falował i migotał. Po chwili znieruchomiał i można było przeczytać: „Nikon”.

- Ale maleńki! - zdziwiła się Tammy.

- Robi znakomite fotografie - powiedział Tom.

Nagle podrzucił go w górę i złapał tą samą ręką. Na jego twarzy malował się szeroki uśmiech. Szybko wsunął dłoń do plecaka i aparat zniknął.

Chimmy wpatrywała się w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą widziała aparat. Gdy podniosła głowę, miała szklany wzrok. Przetarła dłonią oczy, patrząc z niedowierzaniem na Toma.

- Bardzo dziękuję za pomoc. To urocze miasteczko. Chociaż trochę tu sucho... - Tom zarzucił plecak na ramię i skinął głową.

- Do widzenia - powiedziała Tammy.

- Do widzenia - powtórzyła Chimmy, ale Toma już nie było w sklepie. Widać go było przez witrynę, szedł do urzędu miejskiego. - Dziwny facet - skwitowała.

- Moim zdaniem bardzo miły - rzekła Tammy tonem pełnym zadumy.

- Nigdy nie widziałam takiego małego aparatu - dodała Chimmy, bardziej do siebie niż do dziewczyny, która sprzątała pod ladą.

- O rany, tu jest pełno patyków. To z tego drzewa...

- Tammy, idę na chwilę na górę - przerwała jej Chimmy. Wciąż przecierała oczy. - Muszę trochę odpocząć.

- Dobrze. Ja wszystkiego przypilnuję - powiedziała Tammy z troską w głosie.

Ekspedientka w stoisku informacyjnym w urzędzie miejskim była sama. Nie zadawała mu żadnych pytań i sprzedawała mapę za dolara.

- Czy jest dokładna? - zapytał Tom.

Rozpostarł ją na ladzie. Była mała, o wymiarach mniej więcej trzydzieści na czterdzieści centymetrów po rozłożeniu. Ale bardzo kolorowa. Pola pomalowano na jaskrawożółto, co miało się zapewne kojarzyć z dojrzewającym zbożem; trakty komunikacyjne na szaro, a znajdujące się przy nich znaki drogowe na niebiesko. Wzdłuż dróg i ulic namalowano cudaczne budynki, których najwięcej było oczywiście w centrum miasta, a obok nich przedstawiono jeszcze śmieszniejsze postacie ludzi z wielkimi głowami, którzy uśmiechali się i machali radośnie rękami.

Kobieta nachyliła się razem z nim nad mapą.

- Wszystko jest zaznaczone bardzo dokładnie, z wyjątkiem rozmiarów domów w centrum miasta. Ale to widać gołym okiem - powiedziała i zakreśliła palcem na mapie granice miasta. - To jest Godlands - dodała.

Jej palec znieruchomiał na nitce stanowej autostrady, tuż przed tablicą informacyjną z napisem „Oxburg”, gdzie znajdowała się strzałka wskazująca miejsce poza mapą.

- Jeżeli potrzebuje pan mapy samochodowej, polecam mapę stanu zaproponowała, kładąc kilka na ladzie.

Tom wpatrywał się w rozłożoną mapę. Przeciągnął dłonią po papierze, jakby chciał wygładzić zagniecenia.

- Nie, dziękuję - odpowiedział, nie patrząc na ekspedientkę.

- Jak pan sobie życzy. Przyjechał pan w odwiedziny?

- Nie.

Wręczył jej dolara.

- Jeszcze raz dziękuję.

Donna Carpenter obserwowała wychodzącego. Był przystojny, a w Goodlands nie było wielu młodych, reprezentacyjnych młodzieńców. Miło byłoby z nim chwilę poflirtować, ale chyba nie był w nastroju do rozmowy. Westchnęła, gdy wyszedł, a potem wzięła głęboki oddech. Zaraz potem to poczuła. Czysty, chłodny, wspaniały zapach. Dopiero po dłuższej chwili go rozpoznała. Deszcz. Wyraźnie czuła wilgotny zapach deszczu, który niemal natychmiast zniknął.

Dziwne. Potrząsnęła z niedowierzaniem głową. Zebrała mapy z kontuaru. Zauważyła, że w rogu jednej z nich, w miejscu, którego dotykał nieznamy mężczyzna, papier jest lekko wklęsnięty. Położyła tam palec. Przez moment czuła, że ślad jest wilgotny.

Zmarszczyła brwi i wsunęła wszystkie mapy pod ladę.

Tego dnia Toma widziało co najmniej trzydzieści osób. Ponieważ przez pewien czas krążył po centrum Goodlands, było jasne jak słońce, że ludzie zwrócą na niego uwagę. Był przecież obcy.

Chodził po mieście w typowy dla siebie sposób, bez pośpiechu, rytmem kroków ani wyrazem twarzy nie zdradzając, jakie myśli krążą mu po głowie. Miał dziwne uczucie, że spaceruje nie po mieście, ale wewnątrz cytadeli i każdy jego krok jest bacznie śledzony. Przez to samo, co zablokowało miasto. Zrozumiał wreszcie, że był tu wrogiem. Bo rzucił wyzwanie niebu, a także temu, kto je tak szczelnie zamknął nad miastem Goodlands.

Plecak zrobił się ciężki od mięsa i wina. Toma bolało ramię. Od pewnego czasu czuł ten sam dziwny niepokój, który objawiał się ścisaniem w dołku.

Vida Whalley stała na skrzyżowaniu Parson Road i Main Street, rozmyślając o zawaleniu się drzewa na sklep i planując kolejną akcję

na tę zadowoloną z siebie głupią Charlenę Waggles, gdy obok przeszedł obcy mężczyzna.

Rozpamiętywała moment, kiedy wielki klon miażdżył witrynę sklepu. Najpierw usłyszała wtedy trzask łamiącego się drzewa, poczuła, jak odrywające się z pnia drzazgi drapią ją boleśnie po nogach, a potem rzuciła się do ucieczki widząc, że olbrzymie drzewo chwieje się przed upadkiem. Całkiem zatopiła się we wspomnieniach i zanim zauważyła nieznajomego, siła jego fizycznej obecności podziałała na nią jak podmuch wiatru.

Poczuła silny ból, krew napłynęła jej do głowy. Musiała natychmiast zasłonić uszy. W jej wnętrzu coś potwornie wyło. Nie słyszała własnych myśli.

Odwróciła głowę w stronę, z której nastąpiło szarpnięcie. Ludzie mijali ją, a Vida miała wrażenie, jakby czas płynął wolniej. Mrugnęła kilkakrotnie, aby uzyskać ostrość widzenia. W uszach szumiało jej tak mocno, że zastanawiała się, czy inni tego nie słyszą. Serce waliło jak młotem. Czarne miejsce w jej wnętrzu twardniało niczym skała. Poczuła, jak niewidzialny łańcuch szarpie jej trzewia.

Zobaczyła go daleko na drodze. W miarę jak się oddalał, szum w jej uszach słabł i serce wracało do normalnego rytmu. Głos we wnętrzu zaczął znowu zawodzić i piszcząć, nie pozwalając się jej skupić.

To był on. Ten jedyny.

Nagle poczuła szarpnięcie za łańcuch. Ruszyła za nieznajomym.

Rozdział 7

Karen Grange od czterech lat uczestniczyła w pracach Rady Handlowej Goodlands, która powstała zimą pierwszego roku suszy. Goodlands było wówczas zamożnym miastem, ustabilizowanym ekonomicznie, w którym polityka nie wpływała nadmiernie na życie mieszkańców, nie istniały żadne społeczne plagi, jak również niespodziewane okresy krótkotrwałej prosperity, zdarzające się w innych miastach. W Goodlands życie toczyło się spokojnie i beztrzesko, a jedyną niepewność rodziły kaprysy aury, dość przychylny tej okolicy.

Rada powstała właśnie w związku z silną i stabilną sytuacją ekonomiczną miasta. Na spotkaniach jej członkowie zastanawiali się, jak rozwinąć turystykę, planowali inwestycje ekonomiczne, usiłując przekonać władze miejskie, że powinny dodać kilka nowych festiwali do krótkiej listy już istniejących imprez, takich jak festiwal lodowy w połowie stycznia, czerwcowy piknik czy rodeo w dniu sportu w sierpniu. W ciągu pierwszego roku istnienia Rada Handlowa Goodlands zajęła się organizowaniem jarmarku rzemiosła i wielkiej sprzedaży wypieków, jakie odbyły się pod koniec listopada i odniosły ogromny sukces, a także wydłużyła o jeden dzień sierpniowe rodeo. Planowano także zorganizowanie pod koniec sierpnia w Goodlands wielkiego barbecue pod nazwą „Pożegnanie lata”, ale zanim Rada Handlowa zebrała się w tej sprawie, susza już mocno dała się we znaki i postanowiono odłożyć decyzję do następnego roku. Ale wtedy zaczęły się już ciężkie czasy.

Członkowie Rady spotykali się raz na sześć tygodni, zawsze w środy, i zajmowali się nieistotnymi sprawami, kończąc wieczór ploteczkami

i pyszną kawą, którą dostarczali Kushnerowie, właściciele restauracji (w ramach dziesięciodolarowych rocznych składek członkowskich). Czasami gościli Betty Washington, przedstawicielkę władz stanowych, która przynosiła ciasto własnej roboty. Funkcja przewodniczącego obrad była wybieralna, rotacyjna.

W poprzednich latach Karen bardzo lubiła te spotkania, odbywały się bowiem na tyle rzadko, że nie stały się dla nikogo ciężarem. Dawały jej szansę na poznanie ludzi, których zwykle widywała w kontekście spraw bankowych. Poza tym z uwagi na społeczny charakter Rady Handlowej, atmosfera na spotkaniach była przyjemna i relaksująca. Ed Clancy, na przykład, ciągle opowiadał nowe dowcipy. Karen podejrzewała, że zmieniał je trochę, aby nie raziły niczyich uszu, ale i tak były bardzo śmieszne.

Jednak w ciągu ostatniego roku członkowie Rady coraz wyraźniej zdawali sobie sprawę, że ich spotkania nie mają już sensu. Interesy podupadły, a pomysł zebrania funduszy na cokolwiek wydawał się całkowicie absurdalny. Niektórzy członkowie byli za tym, aby działalność Rady zawiesić przynajmniej do końca suszy. Karen przewidywała, że jeśli tego lata sytuacja się nie polepszy, na jesieni nie będzie się już po co spotykać.

To środowe spotkanie nie mogło wypaść w bardziej niekorzystnym dla niej czasie. Marzyła tylko o tym, aby jak najszybciej znaleźć się w domu i sprawdzić, co się tam dzieje.

Już w pierwszym roku działalności Rady Handlowej posiedzenia nazwano oficjalnie „spotkaniami przy kolacji”. Zbierali się w restauracji Kushnerów. Grace serwowała im swoje specjały, w związku z tym celebrowanie posiłku było równie ważne, jak samo spotkanie. To skończyło się już pierwszego roku suszy, członkowie Rady bowiem uznali, że nie powinni delektować się jedzeniem rozmawiając o pogarszającej się sytuacji ekonomicznej miasta. Nikt jednak nie postulował zmiany godziny posiedzenia, tak więc każdy mógł przed nim wpaść do domu i chwilę odsapnąć.

Czerwcowe spotkanie było ostatnie przed letnią przerwą, bo w lipcu i sierpniu ci, których było jeszcze na to stać, pakowali się i wyjeżdżali na kilka tygodni z miasta. Inni oddawali się typowym letnim rozrywkom, urządzając barbecue w ogródkach lub spędzając weekendy nad sztucznym jeziorem w Weston. Tylko nieliczni wypełniali w tym roku wodą podwórkowe baseniki dla dzieci i montowali zraszacze dla najmłodszych.

Ale najgorsze było to, że tym razem przewodniczącym miał być Leonard Franklin. Ach, gdybym tak mogła znaleźć dobre usprawiedliwienie na swoją nieobecność, pomyślała Karen. Ale byłoby jeszcze gorzej, gdyby się nie pokazała. Zajęła więc miejsce na samym końcu długiego dębowego stołu, marząc, by nikt jej stamtąd nie wywoływał.

Ludzie schodzili się powoli w czasie odczytywania porządku zebrania i sprawdzania listy obecności, a przy stole toczyły się stłumione rozmowy. Najważniejsza część zebrania rozpoczęła się, gdy pojawił się ostatni członek Rady Handlowej, Larry Watson. Karen poczuła wtedy, że w restauracji jest coraz mniej ludzi, którym może patrzeć prosto w oczy bez obaw.

- Proszę o spokój, panie i panowie, pierwszym punktem porządku naszego spotkania jest czerwcowy piknik - oznajmił Leonard.

Mimo sztucznego entuzjazmu, z jakim wypowiedział te słowa, spotkały się one z milczeniem reszty zebranych.

- No dobrze, o ile mi wiadomo, jak na razie wszystko jest na dobrej drodze - spojrzał pytająco na Eda Shoopa, który lekko skinął głową - a zatem puszczam teraz w obieg listę, na której uprzejmie proszę, by wpisywali się ochotnicy do dyżurowania w namiocie naszej Rady. Każdy godzinę, zresztą i tak wszyscy będziemy na pikniku, mam rację? W tym roku mamy miejsce tuż obok stoiska z wypiekami, przewiduję więc wyśmienite jedzenie. Niech to będzie dla was zachętą - zakończył i podał kartkę Larry'emu Watsonowi, który wpisał się na nią i przekazał sąsiadowi.

- Następny punkt programu ...

- Chwileczkę - przerwała mu Chimmy. - Nie przewidujesz żadnej dyskusji?

- Na temat naszego namiotu na pikniku? Omawialiśmy to już na poprzednich spotkaniach, Chim.

- Moim zdaniem nie powinniśmy w tym roku w ogóle organizować tego pikniku - oświadczyła. - Co, do diabła, będziemy świętować? Jesteśmy w połowie najgorszego roku w historii Goodlands, nikt nie ma pieniędzy i osobiście uważam, że nikt też nie ma najmniejszej ochoty na zabawę. - Skończyła i splotła ręce na piersiach.

Karen zamknęła oczy. Miała ochotę wyjść. Jakże żałowała, że nie można cofnąć czasu o kilka godzin. Chciałaby znowu znaleźć się w swoim biurze o drugiej po południu, kiedy to siedząc przy biurku

i pracując, spojrzała przez niewielkie okno i zobaczyła na niebie mały obłoczek. Przez jedną cudowną chwilę wierzyła, że zaraz się zacznie. Serce podskoczyło jej z radości do gardła. Już niedługo niebo ześle najcudowniejszą mannę. Okazało się jednak, że to wcale nie była chmura, po prostu złudzenie optyczne wywołane załamaniem się światła na szybie. Karen była już pewna, że to na pewno nie stanie się tego dnia. Jeszcze przez kilka minut patrzyła w okno, przyzywając siłą woli ten niewielki obłoczek, ale się nie pojawił.

A teraz Chimmy Waggles, nadąsana, z bandażem pod nosem próbowała zmusić ich do filozoficznej dyskusji o tym, czy powinni czwartego roku suszy świętować powstanie ich powiatu. Karen wahała się, czy pozwolić sobie na głośne westchnienie z dezaprobatą, czy raczej nie ujawniać jeszcze swojej obecności. Jedno spojrzenie na Leonarda skłoniło ją do milczenia.

Przewodniczący zebrania przeciągnął dłonią po włosach.

- W zasadzie miałem zamiar wstrzymać się z tym na koniec naszego spotkania, ale ponieważ rozpoczęła się dyskusja, powiem to teraz. Ja i moja rodzina nie weźmiemy udziału w pikniku. Chciałbym jednak skorzystać z okazji, że tu jestem, i zaprosić was na wyprzedaż naszych rzeczy, którą urządzamy za dwa tygodnie.

- Co takiego?! - zawołał zdziwiony Dave Revesette.

Kilka osób spojrzało na Karen, która poczerwieniała.

Dwa tygodnie? Dlaczego nie mogą jeszcze poczekać? - zastanawiała się zaskoczona. Do końca sierpnia przysługuje im okres respektowy. A jeśli do tego czasu zaczęłoby padać, co z pewnością się stanie, mogliby zyskać odroczenie spłaty. Dave spojrział na nią kosym wzrokiem.

- Wiecie, że zbankrutowaliśmy. Nasi przyjaciele w Minnesocie wyjeżdżają na rok do Europy - uśmiechnął się z wyraźnym przymusem - i powiedzieli nam, że możemy w tym czasie mieszkać u nich i pilnować domu. To ładne miejsce, blisko szpitala. Jesse jest zadowolony, z powodu dziecka i w ogóle. Na pewno znajdę tam jakąś pracę. Tak więc wszystko dobrze się układa. Musimy się przenieść dość szybko, bo ci ludzie wyjeżdżają już za miesiąc i trzeba ze wszystkim zdążyć.

Na sali zapanowała pełna wyczekiwania cisza. Policzki Karen płonęły. Chciała wstać i krzyknąć: „Niebawem zacznie padać! Może nawet jutro. A poza tym to nie moja wina!” Siedziała sztywno, czekając niecierpliwie, aby głos zabrał ktoś inny, kto skupiłby na sobie uwagę.

- Jest mi naprawdę cholernie przykro, Leonardzie, że wyjeżdżasz.

Jesteś wspaniałym obywatelem i znakomitym rolnikiem - powiedział Dave Revesette.

- To bardzo zły znak - dodał Ed Shoop, potrząsając głową. - Nasze miasto opuszczają najlepsi ludzie. Jesteś pewien, że to jedyne rozwiązanie? - patrzył wprost na Karen.

Kilka innych osób także spojrzało w jej stronę. Oczywiście, kto powinien odpowiedzieć na to pytanie. Tak jakby była władna zmienić decyzje powzięte przez zarząd banku. Wiedziała jednak, że nie potrafi ludziom tego wyjaśnić.

- Hm... zawsze jest jakaś alternatywa. Szkoda', Leonardzie, że nie porozmawiałeś ze mną. Czy możemy się spotkać, zanim zrobicie coś nieodwołalnego?

Oczy Leonarda zwięzły się w szparki.

- Nie będę dzierżawcą na swojej własnej ziemi.

Karen poczuła, jak ogarnia ją straszliwe poczucie winy, a w gardle dławi smutek. Sama doświadczyła szybkiej podróży do piekła długów i doskonale wiedziała, że następnym etapem w łańcuchu nieszczęść będzie rozpacz. W jej przypadku nastąpiło odroczenie kary i zesłanie do Goodlands. Leonard nie ma jednak szansy na ratunek. Policzki zaczerwieniły się jej jeszcze mocniej i czuła, że niepotrzebnie w ogóle się odzywała. Cokolwiek by powiedziała, i tak była na z góry przegranej pozycji.

- Jest mi bardzo przykro, Leonardzie - wyszeptała.

Przez chwilę miała wrażenie, że nie wytrzyma i wybuchnie płaczem.

Znowu zapanowała pełna napięcia cisza i przez chwilę nikt nie podnosił wzroku. Siedzący obok niej Dave Revesette robił pilnie jakieś notatki. Wreszcie zabrał głos Ed Shoop, burmistrz.

- To nie jest ani czas, ani miejsce na zajmowanie się osobistymi sprawami - oświadczył. - Czy zatem zgadzamy się, żeby nie dyskutować już na temat pikniku? Jestem za tym, aby pozostawić wszystko tak, jak było zaplanowane.

- Słyszysz, Chimmy? - zapytał Larry. - Ludzie chcą się zabawić i oderwać od złych myśli.

Leonard przełknął ślinę i prowadził dalej zebranie, jakby nic się nie stało.

- Punkt drugi: czy ktoś chce zabrać głos na temat basenu?

Karen z roztargnieniem przysłuchiwała się burzliwej dyskusji.

Nikt nie chciał dokładać do finansowania basenu, bo nikt nie miał

już pieniędzy podobnie zresztą jak miasto Goodlands. Poza tym pozostawał jeszcze drobny problem, skąd wziąć wodę, aby basen napełnić.

Karen zmrużyła oczy. Myślała o człowieku, który miał sprowadzić deszcz. O pieniądzach. O mieście. Gdyby tylko umiała im to powiedzieć. Sądziła, że ludzie ją obwiniają za swoje problemy. Jej przyjaciele. Czy aby miała jeszcze przyjaciół? Zapewne uważali, że z jej winy utracili dobytek. A przecież była tylko szeregowym pracownikiem, zesłanym tu za niepłacenie długów, i wykonywała jedynie polecenia zarządu banku, z którego nikt nie mieszkał w Goodlands. Dla banku to miasto stwarzało tylko problemy, błyskawicznie zwiększając swoje obciążenia finansowe. Przedstawiciele zarządu wiedzieli o Goodlands tyle, ile zdołali zobaczyć przez okno jej biura. Nawet jeśli rzeczywiście zaczęłoby padać, nikt z siedzących przy tym stole ludzi nie dowiedziałby się nigdy, że to jej zasługa. Nic już nie poprawi jej reputacji. Nawet deszcz.

Spotkanie toczyło się dalej, a nastrój Karen wciąż się pogarszał, tak że na koniec ledwo była w stanie powiedzieć wszystkim do widzenia.

Do domu przyjechała tuż przed ósmą. Oczy i nos miała czerwone, twarz opuchniętą. Przez całą drogę do domu płakała. Nie była w stanie się opanować i stanowczo kładła to na karb zbliżającego się okresu. Gdy skręciła na podjazd, łzy już niemal obeschły, a gdy zaparkowała samochód, wytarła nos w chusteczkę i przysięgła sobie, że już koniec z mazaniem się. Za dużo naraz się działo i nie było przed tym żadnej ucieczki, zarówno od problemów w pracy, jak i w domu. Czekał tam na nią ten dziwny gość. Może zbyt się wszystkim przejmowała. Spojrzała we wsteczne lustro i stwierdziła, że wygląda fatalnie. Musi jak najszybciej obmyć twarz w zimnej wodzie.

W brzuchu burczało jej z głodu, stopy bolały po dwunastogodzinnym noszeniu eleganckich, ale niezbyt wygodnych pantofli i czuła, że zaczyna się migrena. Gdy tylko weszła do domu, zrzuciła z nóg ścisnąjące ją jak imadła buty i kopnęła je pod ścianę. Chłodna i płaska posadzka dawała ukojenie zmęczonym stopom. Karen niemal jęknęła z przyjemności.

Powstrzymała się jednak, zastanawiając się, czy jej gość znajduje się w domu. Wewnątrz panowała kompletna cisza. Grube zasłony nie dopuszczały tu słonecznych promieni i sprawiły, że w domu panował

przyjemny chłód. Zachodzące już słońce świeciło z drugiej strony, zaglądając do kuchni. Salon wyglądał tak samo jak rankiem, gdy stąd wychodziła, poduszki na kanapie leżały w tej pozycji, w jakiej je zostawiła, pilot do telewizora wciąż spoczywał na małym stoliku, jedwabne kwiaty, zastępujące prawdziwe, stały w wazonie, a obok nich leżały starannie ułożone kolorowe magazyny, stare, ale wciąż jeszcze nie przeczytane. Wszystko było tak, jak to zostawiła, nie tknięte.

Nie, zatem nie było go tutaj.

O tej porze dnia światło w kuchni było niemal różowe, gdyż słońce wisiało nisko nad horyzontem. Przeświecało przez kwadratowe szyby, padało na stół i podłogę.

Karen zajrzała do kuchni, niepewna swojej reakcji, gdyby go tam zastała. Kuchnia była pusta, podobnie jak reszta domu.

Na stole leżała kartka.

„Panno Grange - przeczytała Karen - jestem na polanie z kilkoma befsztykami. Jeden jest dla pani”. Wiadomość nie była podpisana. Karen wyjrzała przez okno, mrużąc oczy przed promieniami zachodzącego słońca, i zobaczyła wąską smużkę dymu nad polaną.

- Szalenciec - mruknęła do siebie. Ale na myśl o jedzeniu, i to przygotowanym przez kogoś, natychmiast poweselała. Poza tym może wreszcie usłyszysz, co z deszczem. Weszła do łazienki i odkręciła kran. Popłynęła lekko brązowa woda. Świadczyło to o tym, że poziom wody w studni znowu się obniżył i powinna zadzwonić do Grease'a Greesona, aby ją pogłębił. Spryskując wodą twarz, czuła w palcach i na policzkach piasek.

W sypialni, po upewnieniu się, że zasłony są szczelnie zaciągnięte, przebrała się w miękkie, białe podkoszulek i szorty. Musiała zmienić strój na coś wygodniejszego, przekonywała się w duchu, chociaż zaraz potem się zacerwieniła.

Gdy wyszła tylnymi drzwiami na podwórko, od razu zauważyła, że smużka dymu z ogniska zniknęła. Z niepokojem spojrzała na zegarek. Było wpół do dziewiątej. Może uznał, że już nie przyjdzie, i zgasił ogień.

Poruszała się jak najciszej, zadowolona, że ma na nogach tenisówki, a nie zwykłe pantofle. Tenisówki pozwalały jej stawiać kroki niemal bezgłośnie.

Skradała się pod gałęziami drzew. Na ziemi leżało kilka zeschniętych liści, które szeleściły pod jej stopami. Postanowiła poruszać się

ostrożniej. Zatrzymała się na skraju polany, nie wychodząc z cienia. Miała stamtąd doskonały widok na człowieka, który może przywołać deszcz.

Siedział po turecku na trawie, wpatrując się w małe ognisko. Unosząca się nad ogniem wąziutka smużka dymu rozwiewała się w powietrzu, zanim dosięgnęła wierzchołków drzew. Dlatego jej nie widziała. Palenisko otoczone było podwójnym kręgiem kamieni, na których leżało coś, co przypominało ruszt.

Założę się, że to mój grill, pomyślała. Zaraz potem doleciał do niej zapach smażonego mięsa. Poczowała, jak skręca ją w żołądku i na przekór wszechobecnej kampanii propagandowej o szkodliwości jedzenia mięsa, dają o sobie znać drapieżni przodkowie. Tom nie patrzył w jej stronę. Siedział nieruchomo i wpatrywał się w ogień.

Może jej powie, dlaczego dziś nie padało, chociaż czekała na to cały dzień. Przypomniało jej się, jak zobaczyła obłoczek przez okno. Bardzo się cieszyła, dopóki nie okazało się, że to złudzenie optyczne. Może on jej wyjaśni, dlaczego nie spadł deszcz. Czy to kwestia warunków atmosferycznych? W zasadzie powinna być wściekła. I była. Ale nie miała dosyć energii, aby okazywać tę wściekłość, i na przekór sobie cieszyła się, że nie spędzi tego wieczora samotnie. Obserwowała go ciągle. Siedział bez ruchu, zapatrzony w ogień, a z jego twarzy nic nie można było odczytać.

Na swój sposób był przystojny, lecz Karen nie umiałaby powiedzieć, co jej się w nim podobało. Nie wyglądał na intelektualistę, nie miał okularów ani teczki, jak ten mężczyzna z banku, na którego kiedyś zwróciła uwagę. Nic z tych rzeczy. Długie i nieuczczesane włosy związał z tyłu głowy. Był szczupły i krzepki, prawdopodobnie od częstego wędrowania na piechotę, pomyślała. Ramiona miał szerokie i dobrze umięśnione. Kanciasta twarz o silnie zaznaczonych szczękach była ogorzała od wiatru i słońca. Wydawał jej się bardzo męski, władczy, choć nie starał się tego podkreślać zachowaniem.

Patrzyła, jak pochyla się i sięga po coś do plecaka. Gdy ponownie usiadł, zobaczyła, że ma w rękach ser, którego odkroił mały kawałek i zjadł. Taki ser miała w lodówce.

Z trudem powstrzymała uśmiech. Ten człowiek bez skrupułów brał, czego chciał. Oczywiście, nie chodziło tylko o ser ani o to, że wchodził do jej domu bez pukania, a jeśli nawet pukał, to z przekonaniem, że nikt mu nie odmówi. Myślała o nim w taki sam sposób, jak o wszystkich innych mężczyznach, których poglądy i metody działania bardzo odbiegały od jej własnych, którzy zupełnie inaczej rozumie-

słowo „odpowiedzialność”. Miała wrażenie, że ten typ, do którego zaliczyła także Toma, jest jej dobrze znany. Jeżeli nawet wydawał się jej atrakcyjny, to wiedziała, była pewna, że podobnie jak w przypadku innych mężczyzn, zainteresowanie wkrótce minie.

Pamiętała poprzednią noc na polanie, kiedy sprawił, że poczuła w dłoni deszcz. Przypomniła sobie wyraz jego twarzy, czystą radość, jaka się na niej malowała. Olśniewająco białe, mocne zęby. To klasyczny uwodziciel, przystojny, uśmiechnięty, zwodniczy. Pachnący deszczem...

- Czy wreszcie pani stamtąd wyjdzie?

Jego głos na chwilę ją sparaliżował.

- Oczywiście - odrzekła rozdrażniona.

Wyszła zza splecionych koronami drzew na polanę.

- W naszej okolicy ogłoszono zakaz palenia ognia, wie pan o tym - powiedziała. Ciekawe, od jak dawna wiedział, że tam stała.

- To bardzo małe ognisko - wyjaśnił.

- Jeżeli chciał pan zrobić barbecue, trzeba było wziąć cały sprzęt.

- To jest prawdziwe barbecue, panno Grange.

Karen stała niepewnie przy ogniu, z rękami założonymi na piersi. Rozkoszowała się zapachem pieczonego mięsa. Zaczerwieniła się, gdy zaczęło jej głośno burczeć w brzuchu.

- Jest pani głodna - stwierdził Tom.

- Miałam dziś do późna spotkanie i nie zdążyłam nic zjeść.

- Befszyki będą gotowe za kilka minut. Lubi je pani?

Karen rozglądała się, szukając miejsca, gdzie mogłaby usiąść. Tom siedział na gołej ziemi. Spojrzał na nią i wstał.

- Chwileczkę - powiedział.

Wyciągnął z cienia koc, rozpostarł go przy ognisku. Z uśmiechem wygładził brzeg i podał Karen rękę.

- Proszę bardzo. Wyściełane siedzenie.

Nie odpowiedziała, ale usiadła na kocu. Tom przyglądał się jej z łobuzerskim uśmiechem.

- Zadowolona? - spytał.

- Tak, dziękuję - odpowiedziała, usiłując znaleźć wygodną pozycję bez krzyżowania nóg. Podciągnęła kolana pod brodę i objęła je rękami. Tom usiadł obok. Spojrzała na niego zdziwiona, a on odwzajemnił się uśmiechem, tym razem bez pokazywania zębów.

Skrzywiła się, gdy wziął do ręki patyk i przesunął nim jeden kawałek mięsa na środek grilla.

Nie patrzył na nią, ale domyślił się, jak na to zareagowała.

- Wziąłem z kuchni talerze i sztućce. Pomyślałem, że nie lubi pani jeść palcami.

- Jaki pan domyślny - rzuciła przez zaciśnięte zęby.

- Proszę się odprężyć. Jemy kolację poza domem - zaśmiał się. -

Jak na randce - dodał prowokacyjnie.

- To nie jest randka - poprawiła go cierpko.

- Może nie dla pani - powiedział poważnie.

Rzuciła mu szybkie spojrzenie i znowu się uśmiechnął. Żartował.

Popchnął patykiem jeszcze jeden kawałek mięsa na środek rusztu.

Karen siedziała za blisko ognia. Poczowała, jak podkoszulek zaczyna się jej lepić do ciała.

- Gdy byłem dzieckiem - zaczął Tom - mieliśmy tak zwaną letnią kuchnię. Wie pani, na zewnątrz domu, żeby nie nagrzewać mieszkania. Bardzo lubiłem, gdy mama przyrządzała tam posiłki. Smakowały inaczej. To jak z hot dogami - najlepiej smakują na stadionie podczas meczu.

Karen się zdziwiła. Po raz pierwszy powiedział coś o sobie. Domyśliła się, że chce być miły, a nie tak sztywny jak ona. Uśmiechnęła się.

- Uważam, że powinniśmy porozmawiać - oświadczyła.

- Nie było dzisiaj deszczu - wyręczył ją.

- No właśnie. A czy kiedykolwiek będzie?

Czuła narastające w nim napięcie. Był tak blisko, że docierało do niej ciepło jego ciała i specyficzny zapach, który wyczuwała mimo intensywnej woni pieczonego mięsa. Czuła także własny zapach, mieszaninę potu i aromat proszku do prania.

- A zatem nadszedł czas, abym opuścił pani dom. Chyba że będę mógł najpierw coś zjeść - powiedział trochę żartem, a trochę poważnie.

- Chcę, żeby pan zrobił to, co miał pan zrobić - odparła stanowczo.

Bała się odwrócić głowę i spojrzeć na niego, choć powinna. Jeśli rozmawiali o interesach, a klient nie dotrzymywał warunków umowy, powinna panować nad sytuacją. Powinna dać mu do zrozumienia, że to ona trzyma na wszystkim rękę. Rzuciła mu szybkie spojrzenie spod oka. Tylko na tyle mogła się zdobyć, siedząc tak blisko niego.

Tom nie odpowiadał. Wyciągnął z plecaka butelkę i scyzoryk z korkociągiem. Ściągnął z szyjki folię, otworzył wino.

W ogóle nie pytał o pieniądze. Widocznie uznał, że wszystko jest w porządku, kiedy powiedziała, że je ma, a przecież mogła kłamać.

Nie chciał ich nawet zobaczyć, chociaż tak właśnie załatwia się te sprawy, znała to z książek i z banku. Forsa na stół i wtedy można rozmawiać. A on wcale ją o to nie prosił. Pieniądze wciąż leżały w torebce w jej garderobie.

Chyba że już je sobie wziął, przestraszyła się nagle. Były tam z pewnością rano, sprawdzała to co dziesięć minut, przygotowując się do pracy. Ręce świerzbily ją, aby zabrać je ze sobą. Po wielokroć wyobrażała sobie, jak wnosi je do banku, wkłada do sejf, a potem na powrót wyjmuje. W końcu zdecydowała się zostawić je tam, gdzie były. Zaufała temu brudnemu, obdartemu włóczędze, przybyłemu nie wiadomo z jak daleka. Teraz miała ochotę zerwać się z ziemi, pobiec do domu i sprawdzić, czy pieniądze tam jeszcze są. Rozsądek podpowiadał jej jednak, że nie powinna się obawiać. Gdyby je ukradł, dawno by go tu nie było.

- Jeśli zje pani ze mną kolację, opowiem o wszystkim - rzekł nagle, przerywając jej rozmyślenia.

- Czemu robi pan z tego taką tajemnicę?

Pociągnął łyk z butelki.

- Bo to tajemnicza sprawa - wyjaśnił lakonicznie i podał jej butelkę. - Niestety, nie mamy kieliszków.

- A co powstrzymało pana od wzięcia moich? - zapytała z ironią w głosie.

- Za dużo noszenia. - Wciąż trzymał w wyciągniętej ręce butelkę wina. - Nie jestem niczym zarażony, przysięgam. To wino jest całkiem niezłe. O ile pamiętam, z Kalifornii. Nie żadne stare roczniki, bardzo młode. Wypijmy za udany wieczór.

Wzięła od niego butelkę, ale jeszcze się przez chwilę zastanowiła. Jeśli się napije, będzie to znaczyło, że przyjmuje jego warunki i zje z nim kolację. W końcu uniosła butelkę do ust i pociągnęła łyczek. Zaraz potem oddała mu wino.

- Rzeczywiście bardzo orzeźwiająca - potwierdziła.

A więc stało się, przyjęła jego warunki. Tom pokiwał głową z uśmiechem.

- W porządku. - Mogło to wiele znaczyć. - Te bestie przestały już skwierczeć, a zatem są gotowe.

Nalozyl kawalek mięsa na talerz i wręczył Karen, wraz z widelcem i własnym scyzorykiem.

- *Bon appetit* - powiedział. - To po francusku znaczy: „Można żuć”.

Zaśmiała się.

Rozpoczęła się kolacja z przywoływaczem deszczu.

Henry Barker zasiadł przed telewizorem. Przeszukiwał kanały, aż znalazł prognozę meteorologiczną. Rozparł się wygodniej, odpiął guzik w spodniach i westchnął, wspominając obfity obiad.

Do salonu weszła Lilly.

- Tym razem nie zmusisz mnie do oglądania pogody - oświadczyła buńczucznie.

- Jeszcze sekundka - poprosił.

Stała tuż obok kanapy, obserwując męża. Dobry z niego człowiek. To ona namówiła go, aby przyjął posadę szeryfa, i niejednokrotnie już tego żalowała. A w tym roku wyjątkowo często. Patrzyła na jego twarz: ściągnięte brwi, podkrążone oczy, opuchnięte z niewyspania.

- Chcesz ciasta? Upiekłam dziś placek z rabarbarem.

Henry stęknął, poklepując się po pełnym brzuchu.

- Z przyjemnością - odpowiedział.

Lilly skierowała się do kuchni.

- Przynies mi przy okazji pastylkę na wątrobę! - zawołał za nią.

Na ekranie pojawiła się mapa północno-środkowych stanów, a nad nią zdjęcie z satelity. Bez trudu zlokalizował Goodlands, chociaż miasto nie było tam zaznaczone. Przesuwały się nad nim animowane chmury.

Dziewczyno, nabieram otuchy, gdy patrzę na tę mapę pogody. Debbie jakaś tam, a więc można się spodziewać deszczu. Małe, uśmiechnięte słoneczka, na wpół zakryte puszystymi obłoczkami, także są optymistyczne. Chmury pokrywają całą mapę, w nocy spodziewane są ulewne deszcze...

Henry mógłby się jednak założyć, że gdy pojedzie później do Goodlands, niebo będzie czyste jak kryształ. Jak każdego wieczora potrzęsnał głową i zmarszczył brwi. Wyciągnął się na kanapie, usiłując zapewnić sobie nieco komfortu w tej fatalnej sytuacji.

Większość mieszkańców Goodlands przestała oglądać prognozy pogody na długo, zanim zaczął się czwarty rok suszy. Ale nie Ed Shop, burmistrz miasta. Chociaż już dawno nie dzwonił do biura meteorologicznego ani do Departamentu Stanu, nie mógł się powstrzymać od oglądania prognozy i sprawdzania co wieczór, czy są jakieś pomysne wiadomości dla Goodlands.

Stał w drzwiach między kuchnią a salonem, czekając na wiadomości dla poszczególnych stanów, które nadawano o dziewiątej.

Dwa lata temu zadzwonił nawet do stacji telewizyjnej w Bismarck i powiadomił ich o suszy. Przyjechali, zrobili krótki program, ale wszystko obrócili w żart. Puścili to na zakończenie prognozy pogody z jakimś głupim komentarzem, że w Goodlands dzieje się coś niesamowitego. Nigdy tu już nie wrócili, chociaż wielu ludzi mówiło Edowi, że dzwonili do telewizji z pretensjami. Dupki. Tacy są ci z telewizji. Nic dobrego.

Usłyszawszy, że nadchodzi żona, Ed szybko zmienił program na teleturniej, który lubiła oglądać po sprzątaniu kuchni. Do prognozy pogody z Dakoty Północnej zabrakło mu kilku sekund. Przepadło. Żona wściekała się na niego, kiedy oglądał ten program, i jeśli go na tym przyłapała, zmywała mu okropnie głowę.

Na końcu Parson Road, niedaleko posiadłości Manna, gdzie mieszkała Karen Grange, ale spory kawałek drogi od knajpy Clancy'ego, znajdowało się niezamieszkane rancho. W połowie lat osiemdziesiątych mieścił się tam sklep z kwiatami, potem bardzo krótko sprzedawano w nim miód. Od początku suszy budynek stał pusty. Widać było, że jest opuszczony i zaniedbany. Jakiś czas temu zainteresowała się nim duża firma handlująca nieruchomościami, ale już dawno nie było nawet śladu po tablicy z napisem „Na sprzedaż”. Okna od frontu i z tyłu były potłuczone. Winę za to częściowo ponosiły silne wiatry, częściowo zaś nuda i zmiany hormonalne, jakie zachodziły w tutejszej młodzieży. Drzwi były zamknięte, ale nie na klucz. Zasuwka gdzieś zginęła, zamki również.

Vida bez trudu wślizgnęła się do środka przez nikogo nie zauważona.

Ściemniało się. Uliczna latarnia pomiędzy posiadłością Manna a opuszczonym domem zapalała się automatycznie, o zmroku. Na razie Vida musiała się zadowolić słabym światłem, jakie wpadało do środka przez potłuczone szyby w oknach i tworzyło na ścianie tajemnicze cienie. To jej wystarczało. Nie miała zamiaru oglądać niczego wewnątrz domu, musiała tylko uważać na rozbite szkło. Uprzątnęła je jako tako, podsuwając butem w kąt, a później zajęła pozycję przy oknie.

Stała ukryta w ciemnym zakamarku i patrzyła w stronę sadu Karen Grange.

Nic się nie działo. Vida wiedziała jednak, że on tam jest. Czowała go. Inaczej niż wtedy, gdy mijał ją na ulicy w centrum miasta. Wtedy przeżyła szok, taki jak po dotknięciu klamki u drzwi po przejściu w kapciach po dywanie. Teraz miała wrażenie, że dotyka ręką ula.

Vida była pewna, że tak właśnie objawiała się jego bliskość. Z zewnątrz nie widać, czy pszczoły są w ulu, ale można je usłyszeć. Gdy się przybliżysz, poczujesz je. Wydobywające się ze środka bzyczenie sprawia, że sam ul wydaje się żywą istotą, Jego licha obudowa słabo cię broni przed tym, co jest w środku. Jeśli pszczoły zaatakują, nie ma przed nimi ucieczki.

Pomiędzy nią a nim stał ten dom. Vida poczeka i zobaczy. Tak będzie najlepiej. Wciąż czuła się, jakby wyciągała rękę w kierunku ula, ale jeszcze go nie dotykała. Bała się. Liczyła na to, że ta w środku powie jej, co zrobić.

Gdy żona Henry'ego poszła spać, a on włączył ponownie prognozę pogody, kiedy Carl Simpson zapisał w notesie, co jego zdaniem naprawdę dzieje się w Goodlands, zapaliła się wreszcie lampa stojąca między domem Karen Grange a opuszczonym budynkiem.

Vida cały czas czekała. I patrzyła.

Wino i befsztyki, ale przede wszystkim wino, wspaniale podziały na Karen. Odprężyla się. Usadowiła się wygodniej, po turecku, wciąż blisko ognia.

Żadne z nich nie wspominało o zagaszeniu ogniska, nie sięgnęło po pół kubelka drogiej wody, który stał w gotowości tuż obok. Karen pomyślała, że może właśnie z powodu tej porcji wody trzeba będzie pogłębiać studnię. Z kranu leciała teraz woda z piaskiem, pobierana z samego dna. Pewnie zabrakło tej niewielkiej ilości, która spełniała rolę bufora. W każdym razie mogło to mieć jakiś związek. Karen była lekko oszołomiona alkoholem. Patrzyła jak zafascynowana w płomienie, które działały na nią hipnotyzujące

Prawie się do siebie nie odzywali. Kończyli befsztyki i ser, delektując się przyjemnym nastrojem i pełnymi brzuchami, zatopieni każde we własnych myślach. Karen czuła się wspaniale. Rzadko pijała alkohol, ale tym razem chyba właśnie tego potrzebowała. Wydawało jej się, że rozumie, dlaczego ludzie wracając z pracy do domu udają się wprost do barku, jak często widywała na filmach. Dawno już zapomniała o łzach, które wylała dziś z żalu nad sobą. Mężczyzna, który

przywołuje deszcz, leżał obok niej, wsparty na łokciu. Karen się nie odsunęła. Chociaż tłumaczyła to sobie ilością wypitego wina, niewątpliwie świadomość jego bliskości była... przyjemna towarzysko. Dwaj kumple w leśnej kryjówce. Zamknęła oczy. W głowie jej szumiało.

- Jest za gorąco - wyszeptwała.

- Słucham? - odezwał się Tom.

Usiadł, przysuwając się do ognia, ale wciąż był bardzo blisko niej.

- To przez ognisko. Jest za gorąco.

- Lubię ogień - powiedział.

Karen spojrzała na niego. Przypomnił jej się Henry Barker i pytania, jakie jej zadał. Ogień. Szybko odpędziła tę myśl. Byłoby śmieszne posądzać Toma Keatleya o podpalenie. Nie po befsztykach i winie. Winie z Kalifornii.

- Woda, powietrze, ziemia i ogień - powiedziała nagle. - Starożytni alchemicy wierzyli, że wszystko, co istnieje, powstało z tych żywiołów. A niektóre rzeczy i istoty żywe składają się z więcej niż jednego.

Na przykład ludzie.

- A pani z czego jest zrobiona?

Karen zamyśliła się, patrząc w ogień.

- Ja jestem z ziemi. A pan... z powietrza. Chociaż może powinnam powiedzieć, że z wody. - Spojrzała na niego badawczo. - Ale nie. Myślę, że jest pan z powietrza.

Tom zaśmiał się cicho.

- Z powietrza? - powtórzył, unosząc brwi.

Karen nie podjęła gry. Wino uderzyło jej do głowy, lecz nie zakłócało zdolności logicznego myślenia. On był z powietrza. Miał do czynienia z chmurami. A gdy zrobi, co ma zrobić, zniknie nagle i pojawi się w innym miejscu. Wdychała go jak powietrze, ale gdy po chwili zrobi wydech, jego już może tu nie być.

- Upiła się pani - powiedział.

- Skądże! - zaprzeczyła, niezadowolona z siebie i swoich wizji.

Wyprostowała się i zaczęła szukać w myślach jakiejś ciętej riposty. Nie chciała jednak, aby sądził, że łatwo może ją wyprowadzić z równowagi.

- Czemu mi pan nic nie opowiada? - Zmieniła temat. - Kolacja już się skończyła.

Podciągnęła kolana i objęła je ramionami. Była teraz bliżej Toma, wręcz otarła się o niego ręką. Starła się nie zwracać uwagi na ciepło bijące od jego ciała, silniejsze niż żar ogniska.

Przez długą chwilę nic nie mówił.

- Goodlands przypomina mi jedno miejsce, które kiedyś odwiedziłem - odezwał się wreszcie. - To było w Iowa, w domu pewnego starego człowieka, nie pamiętam już nawet nazwy tego miasta. Byłem tam dziesięć lat temu i nigdy nie miałem ochoty wracać. Dwa lata temu ponownie byłem w Iowa, ale ominąłem to miasto. Bez żadnej specjalnej przyczyny. Po prostu nie chciałem tam zaglądać.

Napił się wina. Przysunął butelkę do Karen, ale odmówiła stanowczo. Tom wypił jeszcze łyk za nią.

- Mieszkał tam stary mężczyzna, miał sporo ponad siedemdziesiątkę, razem z młodą żoną. Może nie tak zupełnie młodą, ale dużo młodszą od niego. Miała wtedy około czterdziestki. Gospodarzyli na trzydziestu hektarach, wysuszonych na pieprz. Ten stary złapał mnie na swojej ziemi i strasząc bronią przyprowadził do domu. Nie miałem wielkiego wyboru - uśmiechnął się. - Nie wiem nawet, dlaczego znalazłem się na jego terenie, po prostu szedłem drogą i nagle... zostałem wciągnięty. Na jego ziemi było coś, co dosłownie kazało mi tam wejść. Było tam tak sucho jak tutaj. Mieszkałem z nim i jego żoną przez tydzień. Gdy tylko powiedziałem, kim jestem, stary schował strzelbę i poprosił, abym z nimi został. Zgodziłem się. Zrobiłem, co mogłem dla nich zrobić, i poszedłem swoją drogą.

Tom pociągnął kolejny łyk wina z butelki, która była już prawie pusta. Tym razem nie poczęstował Karen. Przyglądała mu się spod oka, słuchając z zaciekawieniem.

- I co dalej? - zapytała.

Zwiesił głowę.

- To było bardzo dziwne miejsce - powiedział cicho. - Jego żona miała na imię Della. Rzucił pod jej adresem niesmaczne uwagi, czasami cicho, czasami tak, że z pewnością to słyszała. Opowiadał, co robią w łóżku. Ciągłe przypominał mi, że jest jego żoną. Wydawało mi się, że ona go nie kocha, że w jakiś sposób się poświęca. Hodowali świnie, które zresztą w większości wyzdychały, zanim się tam pojawiłem. Ale wszędzie czuć było smród gnoju. Co prawda, po kilku dniach nie zwracało się już na to uwagi. Moim zdaniem ten stary był skończonym łajdakiem. Łajdakiem, który zasłużył sobie na wszystko, co go spotkało. Nazywał się Schwitzer.

Tom nie powiedział Karen, że pierwszej nocy, gdy został na farmie, Della przyszła do niego. Mogła to zrobić, ponieważ stary upił się do nieprzytomności, może zresztą mieli niepisaną umowę, że Della

sprawi sobie z Tomem przyjemność. Kochali się w pokoiku na strychu, tuż nad sypialnią starego. Kochali się w milczeniu, tylko Della wzdychała podczas orgazmu. Był to dźwięk przypominający syk powietrza uchodzącego z balonu. Opuszczała pokoiik Toma bez słowa, tak jak przychodziła. Wracała co noc. W ciągu dnia, w obecności starego, zachowywali się jak przypadkowi znajomi.

- I co się stało z tą suszą? - Karen przerwała jego wspomnienia.

- To była bardzo dziwna susza - powiedział Tom. - Może panią zainteresować. Panowała tylko na ich ziemi. Tylko tam. W okolicy nie było kłopotów z deszczem.

- A zatem to zdarzało się już wcześniej! - zawołała Karen. - To, co się dzieje u nas, musi mieć jakieś wytłumaczenie! I co stało się dalej?

- Sprowadziłem deszcz. - Tom powiedział to cicho, tak cicho, że Karen ledwo go słyszała.

- A zatem to samo może zdarzyć się u nas. Może pan to zrobić jeszcze raz... - rozmarzyła się.

Tom zaczął skręcać papierosa. Nic nie mówił. Robił skręta bardzo powoli, zamyślony lub skupiony, a każdy ruch jego palców był pełen miłości. Gdy skończył, włożył skręta do ust i zapalił od końcówki rozżarzonego patyka, którym poprawiał befsztyki. Zaciągnął się, wypuścił dym.

- Sprawię, że będzie padało pod koniec tygodnia. Następnego dnia wyjadę - powiedział, nie wspominając, że pewnej nocy Della przyszła na stryszek i zanim się rozstali, coś mu szepnęła. - Jak już wspominałem, kilka lat temu przejeżdżałem ponownie przez to miasto i zatrzymałem się w przydrożnym barze. Della i ten stary byli tematem rozmów przy piwie. Dowiedziałem się, że kiepsko im się wiodło. Po suszy, którą wszyscy jeszcze pamiętali, jakaś choroba zniszczyła zbiory. Potem wyzdychały zwierzęta, o ile dobrze pamiętam, mieli starego konia i kilka krów. W tym samym roku Della nagle zachorowała i także umarła. Koroner stwierdził podobno, że było to zapalenie mózgu. Stary jednak wszystko przeżył i miał wówczas około osiemdziesiątki - zakończył Tom.

- Chryste! - westchnęła Karen.

Zaśmiał się cicho.

- Ale ja dowiedziałem się jeszcze czegoś o starym i jego Delii.

- Co takiego?

- To był jej ojciec. - Tom wrzucił niedopałek do ognia.

W ustach czuł niesmak. Sięgnął po butelkę i wypił resztę wina.

- Skończyło się - oznajmił.

- Mój Boże! szepnęła Karen, myśląc o Delii. Natychmiast wspomniła swojego ojca, zawsze czulego i delikatnego. - Dlaczego mi pan o tym mówi?

- Jest takie powiedzenie: „Kiedy Bóg zamyka drzwi, otwiera okno”. Moim zdaniem można też powiedzieć tak: Gdy Bóg zatrzaśnie drzwi, a ktoś chce wyważyć okno, może się spodziewać, że Bóg także je przed nim zatrzaśnie. Wydaje mi się, że istnieją na świecie miejsca, które muszą za coś odpokutować.

- I myśli pan, że to dotyczy także Goodlands? - zapytała Karen, lekko podenerwowana. - Uważa pan, że na Goodlands spadła kara za jakiś występki? - spojrzała na niego, marszcząc ze złości brwi.

- Przeszedłem dziś całe miasto. Czy wie pani, że jeśli chociaż o pięć kroków przekroczy się niewidzialną granicę między miastem a resztą świata, można znaleźć deszcz?

Tom przysunął się bliżej i spojrzał Karen głęboko w oczy. Wciąż była zagniewana, ale też trochę zmieszana.

- Dlaczego tak się dzieje? - zapytał.

- Skąd mam wiedzieć? Czemu ja mam to wiedzieć? - oburzyła się.

- To pani miasto. Zna je pani lepiej niż ja. - Nie spuszczał wzroku z jej twarzy.

- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi. Wiem tylko, że panuje tu susza i wynajęłam pana, aby sprowadził pan deszcz. Jeśli nie potrafi pan tego zrobić i chce zwalić na coś winę, opowiadając mi tu duby smalone, możemy natychmiast zerwać umowę. - Wstała. Tom także.

- Czemu pan się w to angażuje? - zapytała trochę za głośno. Na jej policzkach pojawiły się czerwone plamy. - Co to pana obchodzi, czy ta susza się skończy, czy nie? Przecież może pan się spakować i wyjechać. Ale ja nie zamierzam opuszczać Goodlands!

Okręciła się na pięcie, zamierzając odejść. Tom schwycił ją jednak za rękę i zatrzymał. Przyciągnął i zmusił, by spojrzała na niego.

- Pani Grange, Karen - powiedział cicho, przepraszająco.

- Co pan sugeruje? - zapytała już bez złości, ale z urazą. - Czy uważa pan, że ze mną jest coś nie tak? Że mam coś wspólnego z tą suszą?

- Nie. Nic takiego nie powiedziałem, ale tu dzieje się coś niedobrego. Coś nie dopuszcza deszczu do Goodlands. Nigdy nie spotkałem się z czymś podobnym, nawet u tamtego łajdaka. To miejsce przypomina mi cmentarz, wokół jest martwe. Proszę się rozejrzeć. To

nienaturalne... - chciał wyznać, że nie wie, czy uda mu się tu sprowadzić deszcz, ale się zawahał. - Usiłuję znaleźć przyczynę.

- No dobrze, ale to nie ma nic wspólnego ze mną - zachnęła się Karen.

Tom delikatnie pogładził ją po ramieniu. Karen spojrzała na niego zdziwiona, jakby nie dowierzała, że to zrobił.

- To się zaczęło, gdy tu przyjechałam - powiedziała, jakby czytając w jego myślach. - Nie chcę niczego ukrywać. Lubię to miasto... wiele dla mnie znaczy - dokończyła, z trudem wymawiając ostatnie słowa.

- Rozumiem - rzekł Tom cicho.

W jej oczach wciąż widział ból. Żałował, że opowiedział jej historię o Schwitserach. Stali nieruchomo, Tom wciąż trzymał ją za rękę, a ona nie zrobiła nic, aby się wyswobodzić.

Oddech Karen pachniał winem. Tom miał ogromną ochotę ją pocałować i wydawało mu się, że mu na to zezwoli. Po raz drugi okoliczności mu sprzyjały.

- Wracam do domu - wyszeptła, ale nie ruszyła się z miejsca.

Stała jeszcze chwilę i Tom miał wrażenie, że myślała o tym samym. Jednak zaraz potem delikatnie uwolniła się z jego uścisku i powoli poszła w stronę podwórka.

- Jutro - powiedział.

- Jutro? - zatrzymała się.

- Wydaje mi się, że mam pomysł. Chciałbym powiedzieć coś więcej, ale po prostu czuję, że mi się uda. Sprowadzę deszcz.

Kiwnęła głową i zniknęła między drzewami. Idąc po omacku, potknęła się o leżącą na ziemi gałąź. Upadłaby, gdyby nie chwyciła nisko rosnącego konara jabłonki. W głowie szumiało jej od wypitego wina i niedawnej złości. Przesuwała dłonią po korze drzewa. To właśnie ta martwota, o której mówił Tom. Karen wyprostowała się, ale wciąż stała w miejscu. Pod dłonią, którą cały czas opierała na gałęzi, czuła wibrację. Słabą jak puls. Odsunęła się od drzewa z niesmakiem, jakby dotknęła czegoś obrzydliwego. Gdy dotarła wreszcie na ciemne podwórko, po plecach przebiegały jej dreszcze. Niczego tak nie pragnęła, jak uciec, skryć się przed otwartym niebem. Spojrzała w górę. Wyglądało tak jak zawsze, ale Karen zaczęła się nagle zastanawiać, co tam się znajduje. Czuła, że jest obserwowana.

Kiedy znowu przeszły ją ciarki, przypomniało jej się, jak matka mówiła, że to zwiastuje coś złego. Miała nawet na to właściwe określenie.

- Ktoś przeszedł po moim grobie - wymamrotała do siebie Karen i pobiegła do domu.

Na ganku stanęła na chwilę, aby się uspokoić. Zastanawiała się, czy Tom będzie spał na polanie, czy na podwórku. Gdy weszła wreszcie do domu, nie zamknęła drzwi na zasuwkę.

Tom zalał ognisko wodą z kubelka uważając, aby dokładnie zagaścić każdy kawałek drewna. Polana tonęła w sinym świetle księżyca. Wyciągnął z plecaka mapę. Było wystarczająco jasno, aby mógł zobaczyć granice Goodlands.

Zamknął oczy i w myślach zaczął wędrówkę wzdłuż obrzeży miasta, tak jak to robił w ciągu dnia. Wyobrazić sobie chciał najdalej wysunięte miejsca, do których nie dotarł. Tam właśnie był deszcz, wokół Goodlands. Musiał przyciągnąć go bliżej granic miasta. Czy ma dość siły?

Złożył mapę we czworo i schował do plecaka. Jego myśli krążyły wokół Karen. Rozpamiętywał chwile, gdy stali blisko siebie, gdy trzymał dłoń na jej ramieniu. Na jej bladej twarzy miękko malowały się ciemne usta. Wargi przynajmniej raz nie były ściągnięte z niezadowolenia lub zmartwienia, ale rozchylone z niedowierzania, a może także z lęku. Powinien był ją wtedy pocałować. Cieszył się jednak, że tak się nie stało. Gdyby do tego doszło, mógłby się nie zatrzymać, dopóki z jej twarzy nie zniknąłby lęk. Całowałby ją, aż oboje poczuliby się lepiej.

W butelce po winie zamigotało odbicie księżyca. Niestety, była pusta. Ogarnął go smutek. Chciał się jeszcze napić. Wystarczy mu piwo. Żeby zasnąć. Bez tego będzie trudno. Tylko jedno piwo. No, może dwa. Usiłował wyrzucić z głowy tę myśl, ale całkowicie nim zawładnęła. Poza tym musiał się przejść. Pomyśleć. Wsłuchać się w siebie.

Szybko przeszedł sad i znalazł się na podwórku. W domu było ciemno i przez moment zastanawiał się, czy Karen już zasnęła.

Widział jak na dłoni jej podwórko, zeszpecone stojącą na środku pagoda czy altanką, jak to ona nazywała. Jeśli domy na prerii wyglądały tak, jakby zostały zrzucone z góry, ta niegustowna konstrukcja przypominała raczej chwast, który wyrósł spod ziemi. Zresztą ziemia wokół fundamentów wciąż wyglądała jak świeżo skopana.

Ruszył powolnym krokiem w stronę altanki, rozmyślając nad pokutą, którą musiało odbyć Goodlands.

Tuż przy wejściu przykucnął. Miał wrażenie, że w tym miejscu ziemia została niedawno zaorana, chociaż było to nieprawdopodobne. Dokładnie przyjrzał się podstawie altanki. Wszędzie to samo. Dotknął grudek ziemi. Była ciepła. Wsadził w nią palec. Mięka. Podniósł garść ziemi i zacisnął mocno.

Nagle ze wschodu powiał chłodny wiatr. Podmuch był na tyle silny, że zmierzwił mu włosy i strącił z dłoni nieco ziemi. Tom obserwował, jak jej drobinki suną wzdłuż kciuka, a później odlatują w górę.

Zaraz poczuł, że jego dłoń robi się ciepła. Gorąca. Ziemia, którą wciąż ścisnął w rękę, zaczęła się ruszać. Zaskoczony, otworzył pięść.

Miał dłoń pełną robaków, które wiły się i skręcały.

Podskoczył jak oparzony i strząsnął je, wytarł dłoń mocno o spodnie. Wzdrygnął się i ukucnął, usiłując dojrzeć w mroku nocy, co to było. Małe, białe, nieforemne, skręcające się we wszystkie strony i usiłujące z powrotem skryć się w ziemi. Już po chwili nie było po nich śladu. Larwy much.

Pośpiesznie wrócił między jabłonie. Wiatr, który pojawił się tak niespodziewanie, nagle zaniknął. Ale zanim ustał, Tom mógłby przysiąc, że słyszał jakiś głos.

Odwrócił się w stronę domu. W dalszym ciągu był ciemny. Szyby martwo odbijały spojrzenie.

I wtedy usłyszał to znowu. Cienki, wysoki głos, głos kobiety. Nie dobiegał od strony domu. Jego wzrok spoczął na altance. Tam też panowała cisza, ale cisza pełna napięcia.

Pod stopami poczuł nagle to samo dudnienie, które poznał już wcześniej.

Zawahał się przez moment, a potem wszedł dalej w sad. Bardzo chciał się napić. Nawet nie skończył się na jednym piwie. Wyszedł na drogę i ruszył w stronę knajpy Clancy'ego.

Rozdział 8

W przydrożnym barze wrzało jak w ulu. Powodem był mecz baseballowy, nadawany przez satelitę. Cincinnati straciło właśnie kolejny punkt na korzyść drużyny z Montrealu i tłum zgromadzony w knajpce zawył złowrogo. Na szczęście tego wieczora wśród gości nie było żadnego Kanadyjczyka.

Jeszcze przed trzecią rundą wypito olbrzymie ilości piwa. Ed Clancy był piekielnie zadowolony, że zdecydował się na zakup anteny satelitarnej, chociaż dał za nią tyle co za elektryczną kosiarkę do trawy. Może żałował trochę, że nie poczekał jeszcze i nie kupił któregoś z tych mniejszych urządzeń, jakie mają teraz niemal wszyscy. Jego wielka miska jest ulubionym celem okolicznych gówniarzy, rzucających w nią kamieniami. A jeden ze sprytniejszych wdrapał się nawet kiedyś na dach i napisał sprayem „Nie bój się narkotyków”. Clancy miał teraz dużo więcej kanałów, lecz bywały i takie dni, że poza mydlanymi operami nie można było znaleźć niczego, co przyciągnęłoby uwagę gości. W sumie niewiele lepiej niż na kablówce. Ale raz na jakiś czas zdarzała się transmisja meczu albo walk bokserskich, która sprowadzała do baru wielu gości. Gdy robił potem kalkulacje, dziękował Bogu, że zainwestował w antenę.

Z uwagi na mecz tego wieczora nikt nie włączał szafy grającej. Kanadyjczycy zawsze dostarczali kibicom wielkich emocji. Dbając o swoją kasę, Clancy kilka dni wcześniej wywieszał przy barze kartkę z informacją o zbliżającym się meczu. Miał dwa dwudziestosiemioocalowe telewizory, które niemało go kosztowały, ale wciąż działały znakomicie. Jeden zamontowano na końcu barowego kontuaru, aby

sam przy nalewaniu piwa mógł oglądać program, a drugi w kącie sali przy stole bilardowym. Mecze zawsze przyciągały pijących kibiców.

Knajpa Clancy'ego znajdowała się blisko północno-zachodniej granicy Goodlands, na końcu Parson Road. Było stąd niedaleko do miasta Telander, gdzie w ogóle nie mieli baru, a także do Avis, Mountmore i Washington. W żadnej z tamtejszych restauracji nie było anteny satelitarnej. W Mountmore kwitł hazard, co w weekendy z pewnością odciągało Clancy'emu klientelę, ale za to w sportowe wieczory ledwo mieścił gości z całej okolicy.

Jego bar mógł pomieścić najwyżej sto osób. Znajdował się w dawnej wytwórni lodu, zbudowanej w latach pięćdziesiątych. Clancy kupił ją, gdy już od dwudziestu lat stała pusta, i ustawił w środku beczki z piwem. Budynek miał betonową podłogę i stalowe filary podtrzymujące strop. W zimie trudno go było ogrzać i wszyscy marzli, ale za to w upalne lato panował tu przyjemny chłód. Clancy pozbył się wszystkich pozostałości po wytwórni lodu i sam urządził lokal. Rezultat był taki, że knajpka bardziej przypominała świetlicę niż typowy bar, ale gościom to odpowiadało. Na zewnątrz budynek wciąż wyglądał jak obiekt przemysłowy. Od czasu do czasu przejezdni turyści zastanawiali się nawet nad możliwością rozkręcenia tu jakiegoś interesu. Ofert jednak nie było. Gdyby pojawiła się jakaś poważna propozycja, Clancy z pewnością natychmiast by z niej skorzystał, a potem wskoczył do swojego starego forda i pojechał na Florydę, nie zatrzymując się po drodze.

Chociaż interesy w Goodlands szły fatalnie, Clancy na razie nie narzekał. Wszystko zawdzięczał piwu. Ostatnia zima była dla niego bardzo niepomyślna, ale jakoś dał sobie radę. Sezon letni zwykle był lepszy, studenci wracali do domu, pojawiali się także turyści. Jednak na skutek lokalnych problemów Clancy'emu także siwiały włosy.

Tamtego wieczora w barze było przyjemnie tłoczno. Wypełniali go głównie mieszkańcy Goodlands, którzy wpadli tu obejrzeć mecz i wypić kilka piw. W sobotnie noce pojawiali się w knajpie Clancy'ego także młodzi ludzie, którzy w tygodniu pracowali poza miastem, a na weekendy wracali do domów. Nie mając tam jednak wiele do roboty, przychodzili do baru i upijali się na umór, wszczynając awantury. Większość z nich wywodziła się z Badlands. Wszyscy wiedzieli, że Clancy trzymał pod kontuarem elektryczny bat do poskramiania bydła.

Jak dotąd ani razu jeszcze go nie użył, ale wciąż powtarzał sobie, że zrobi to, gdy będzie taka potrzeba, chociaż byłoby to prawdopodobnie nielegalne.

Kiedyś Krebs Whalley upił się - prawdę powiedziawszy, Krebs upijał się co wieczór, ale czasami odbijało mu bardziej niż zwykle i wtedy Clancy zastanawiał się, czy nie sięgnąć pod ladę po bat - i usiłował sprzedać w barze pędzony przez siebie bimber. Clancy postraszył go policją. Obawiał się nawet, że rozwszczyci tym Whalleya, ale nic się nie działo. Clancy chodził do szkoły z Krebem, który już wówczas miał zadatki na wykolejeńca. Gdy dorósł, był już zupełnie zdeprawowany.

Krebs, razem z innymi, oglądał tego wieczora mecz. Byli tam wszyscy Whalleyowie, oprócz dziewczyny. Vida nigdy tu nie przychodziła. Razem z nimi siedział Ben Larabee. Dość porządny facet, chociaż ostatnio za dużo zadawał się z tymi ochlaptusami. Susza nie sprzyjała zbieraniu robaków dla wędkarzy, z czego się utrzymywał, a poza tym żona zostawiła go i wyjechała do siostry. Clancy domyślał się, że Ben znajduje się chwilowo w ciężkiej sytuacji, ale nie wyobrażał sobie, by długo wytrzymał w takim towarzystwie.

Ludzie wchodzili i wychodzili, a w barze wyczuwało się atmosferę rozkręcającego się przyjęcia. Panował tłok. Połowa knajpy oddana została do dyspozycji tak zwanych chłopców. Teddy Lawrence, Larry Watson, Leonard Franklin, Teddy Boychuk, Bart Eastly, Ed Kushner, Henry Barker, Jeb Trainor i jeszcze kilku przyszli do Clancy'ego obejrzeć mecz i trochę się rozerwać. W miarę upływu czasu zachowywali się coraz głośniejsze, a obsługujący ich kelner mógł liczyć na większe niż zazwyczaj napiwki, jednak poza Watsonem żaden nie nadużywał alkoholu. Watson zaś był w tej szczęśliwej sytuacji, że jego syn pracował w barze, więc w razie czego miał eskortę w drodze do domu. Pozostali z umiarem raczyli się piwem.

- Hej! Clancy! Dla nas jeszcze jedna kolejka! - zawołał Bart Eastly w stronę baru, a potem wrócił do przerwanej wątku: - Co za piorun-ska sprawa. Wyobraźcie sobie, że droga jest tutaj - wskazał dłonią jakieś miejsce na stole - a podjazd tam. Koła wisiały nad krawędzią jak stopy dzieciaka, siedzącego nad rzeką i machającego z radości nogami. Oczywiście, wał napędowy jest do wymiany. Greeson był przybity. Będzie go to kosztowało niezłą sumkę, a bardzo wątpię, czy był na to przygotowany.

Bart właśnie wysączał ostatnie krople ze swojej puszki, gdy syn Larry'ego, Dave Watson, przyniósł zamówioną kolejkę.

- Kto za to płaci? - zapytał patrząc na ojca, który fundował kilka poprzednich.

- Ja! - zawołał Bart, wyciągając plik banknotów.

W rzeczywistości piwo powinien postawić Leonard Franklin, ale nikt z kolegów nie chciał mu na to pozwolić. Dave wycofał się, rzucając badawcze spojrzenie na czerwoną twarz ojca, na której malował się gorzki grymas. Watson nie pijał często, ale to był naprawdę fatalny dzień.

Henry Barker kończył drugie piwo i usiłował zapomnieć o bólu w krzyżu. Chociaż oficjalnie skończył już pracę, w zasadzie nigdy nie czuł się po służbie i dlatego pozwalał sobie na wypicie co najwyżej czterech piw. Był potężnej budowy, wysoki i tęgi, tak więc po czterech piwach nie szumiało mu w głowie, musiał tylko co pół godziny biegać do toalety. Pretekstem do spotkania był mecz z Kanadyjkami, ale tak naprawdę nikt poza Lawrence'em i Boychukiem nie śledził akcji. Pozostali ograniczali się do sprawdzania co jakiś czas wyniku i gadali o wydarzeniach ostatnich dni.

- No i jak to wyjaśnicie? - zapytał Jeb.

- A jak ty to wyjaśnisz? - odwzajemnił się pytaniem Bart.

- Drogi pękają. Drogi po prostu czasami pękają. Tamta niedawno miała poprawianą nawierzchnię, może dlatego - powiedział Jeb.

- Ja wam powiem, ja jestem człowiekiem dróg! - zawołał chępliwie Bart.

Chyba najbardziej na świecie lubił się przechwalać w gronie kolegów swoimi doświadczeniami kierowcy.

- Ja się na tym nie znam, chodzę na piechotę - przerwał mu Kushner i wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Bart nie zwracał na to uwagi.

- Gdyby zdarzyło się to w styczniu, mógłbym rzeczywiście powiedzieć, że droga pękła z powodu pogody, ale do diabła, nie w samym środku najbardziej gorącego w tym stuleciu lata, to po prostu niemożliwe.

- Co się więc dzieje, człowieku dróg? - zapytał Henry.

- Nie mam pojęcia - przyznał Bart, marszcząc brwi. - Wydaje mi się, że to jakiś przedziwny wypadek.

- Jeśli chodzi o mnie, całe to pieprzone miasto pełne jest przedziwnych wypadków - oświadczył Larry bełkotliwie.

Rozmowy przy stole umilkły i wszyscy skupili się na przebiegu meczu. Watson był już pijany. Na szczęście ma transport do domu, pomyślał Henry.

Przed wyjściem do Clancy'ego jeszcze raz wysłuchał prognozy pogody. Lilly tak już miała dość tego kanału, że wręcz zachęcała męża, by wyszedł się napić. Mówili to samo co zawsze. Na jutro i pojutrze zapowiadano deszcze i zachmurzenie. Dokładnie tam, gdzie znajdowało się Goodlands. Jednak Henry mógłby założyć się o całą farmę, że tu nie spadnie ani kropla.

Blue Jays zdobyli punkt przewagi nad drużyną Cincinnati i goście zawyli z wściekłości.

W zasadzie wszystkie wypadki, jakie miały miejsce tego dnia, można było jakoś wyjaśnić. Pozornie. Można było się upierać, że obsuniecie ziemi na podjeździe pomiędzy domem Jacka Greensona a drogą nastąpiło wskutek zmian tektonicznych albo też tłumaczyć to odkształceniami nawierzchni wywołanymi przez upał. Można podejrzewać, że ktoś świadomie powyciągał zatyczki w zbiornikach Watsona i z niewiadomych przyczyn pozbawił go zapasów wody. Podobnie zresztą można zwalić winę na jakiegoś łobuza, który zniszczył ogrodzenie na farmie Revesette'a i wypłoszył konie na autostradę. Można przyjąć, że jacyś nieznani sprawcy weszli na teren Paxtonów - dość miłych ludzi, chociaż nieco zdziwaczałych - i z nieznanых powodów powalili krzyż. Wszystko to można było jakoś wyjaśnić, ale tylko pozornie i zakładając udział nieznanых sprawców.

Ale weźmy na przykład krzyż Paxtonów. Henry dobrze mu się przyjrzał. Miał ponad cztery metry wysokości, poprzeczna belka była przycięta i zamocowana śrubami do pionowej, zakopanej w ziemi na metr głęboko. A także zacementowanej. Aby zwalić taki krzyż, trzeba byłoby kilku silnych facetów z linami i łopatami, a cała operacja z pewnością zajęłaby im co najmniej godzinę. Aby zaś odczepić poprzeczną belkę, należało użyć wiertarki. Krzyż był przecięty na dwie części, ale nikt niczego nie słyszał ani nie widział.

A przypadek Watsona? Zatyczki nie tylko zostały wyjęte, ale zniknęły. Ktoś wyciągnął je ze zbiorników i zabrał. Watson powiedział, że szukał ich całe rano, nawet na drodze prowadzącej do farmy, podejrzewając, że może tam je wyrzucono. Nic nie znalazł. Tylko odcisk małej tenisówki. Rozmiar raczej dziewczęcy. Za duży jednak na jego córki, a za mały jak na but żony. Nie podejrzewał oczywiście, że mogła to zrobić któraś z nich (nie mogła tego zrobić, chociaż...), ale i tak

rozmiar tenisówki nie pasował. Chyba że sprawca działał z przyjaciółką, jak Bonnie i Clyde.

Tak więc można było wyjaśnić, co wydarzyło się u Greesona, Reevesette'a, Watsona, a także u Paxtonów, ale tylko pod warunkiem że nie analizowało się zbyt dociekliwie faktów. A chłopcy nie wiedzą jeszcze, co się stało u Bellów. W żaden sposób nie dałoby się bowiem wytłumaczyć, w jaki sposób samochód, który jeszcze poprzedniej nocy znajdował się pod wiatą, znalazł się nagle dziesięć metrów dalej, na ich czystym, ogrodzonym podwórku. Leżał na dachu i wyglądał jak wielki czerwony żółw przewrócony na grzbiet. W żaden sposób nie dało się tego wytłumaczyć. Na trawie powinny być zostać ślady kół. A przy okazji, była to chyba jedyna zielona trawa w Goodlands. Bellowie kupowali wodę do podlewania trawnika, ale to już zupełnie inna historia. Powinny zatem być ślady kół mazdy i pojazdu, który ją holował spod wiaty na podwórko. Co najśmieszniejsze, nie było tam miejsca, aby wykonać taki manewr. W dodatku ze czterech mężczyzn musiałoby rozkołysać samochód, aby przewrócić go na dach. Henry brał oczywiście udział w przyjęciach, gdzie robiono takie numery, ale zawsze zmówić się musiało kilku facetów i nigdy nie obyło się bez hałasu. Pomijając jednak nawet kwestię jak, pozostawało wciąż pytanie dlaczego.

Leonard Franklin wstał, pogrzebał w kieszeni i rzucił na stół piątkę.

- Dzięki za piwo, chłopaki. Muszę już iść do domu. Jessie nie czuje się najlepiej.

- Mogę zabrać się z tobą ciężarówką, Len? - zapytał Ed Kushner, także wstając.

- Pewnie.

- Co, do diabła, przyszedłeś tu piechotą? - zdziwił się Boychuk.

- Musiałem zostawić samochód Gracie. I tak była wściekła, że wychodzę. Powiniennem jej przynajmniej pomóc zamknąć lokal.

- Zostawiasz samochód kobiecie, która całą noc pracuje? Chyba zdumiałeś do reszty.

- Może - zgodził się Kushner, ruszając za Leonardem.

- W następny weekend jest aukcja Franklinów - powiedział Jeb, gdy obaj zniknęli za drzwiami. - Szkoda, że nie mam forsy. Chętnie kupiłbym jego kasztana. Wspaniały koń.

Wszyscy zajęli się oglądaniem meczu.

- Franklin i Campbellowie wyjeżdżają - przerwał ciszę Larry. -

Jak prędko przyjdzie pora na nas? Cholera, jestem pewien, że nie trzeba będzie długo czekać. - Mówił coraz bardziej bełkotliwie i Henry zauważył znaczące spojrzenie Jeba.

- Pieprzę głupków z Oxburga - kontynuował głośno Larry. - W Oxburgu nie mają pojęcia o rolnictwie. - Spojrzał na Henry'ego i uderzył się z całej siły w pierś. - Nikt nie będzie nic wiedział o rolnictwie, kurwa, dopóki nie przeżyje czterech lat bez wody, kurwa. Mam rację? No, mam rację?!

- Ciszej, Larry. Za tobą jest Bert Maule - powiedział Henry.

Bert Maule i jego dwaj kumple przyjechali tu z Oxburga. Maule zajmował się handlem nieruchomościami na terenie całego powiatu. Był to kawał lajdaka i niewiele potrzebował, aby zacząć awanturę. Plotka nosła, że jego żona także zajmowała się handlem nieruchomościami, tylko gdzie indziej.

- Pieprzę to - rzucił Larry, ale już normalnym tonem.

Bart Eastly odwrócił się od telewizora.

- Hej, Henry, kto to wszystko robi? - zapytał.

- Skąd mam wiedzieć, do diabła? Czy jestem prorokiem?

- To byłby znakomity sposób, aby tchnąć w ludzi odrobinę zaufania do władzy, Henry - zaśmiał się Trainor.

- Do diabła z wiarą - żachnął się Henry. - Wiem tyle co każdy z was, a może nawet mniej. Wcale się nie przechwalam - zażartował.

Jeb poszedł po kolejne piwo. Boychuk i Lawrence oglądali mecz. Larry chwycił Henry'ego za ramię, patrząc na niego mocno przekrwionymi oczami.

- Jestem skończony - wyszeptał. - Studnia nam wyschła. Nie ma w niej kropli wody. Wydałem wszystkie oszczędności, zaskórniaki Dave'a, wszystko. Nic nie mamy. Potrzebuję nowych zbiorników na wodę, bo inaczej padną mi zwierzęta. Co mam zrobić? Co wszyscy mamy robić? - Patrzył na Henry'ego błagalnie.

Henry myślał o mapie pogody, deszczowych chmurach, rozciągających się nad ich stanem, nad Goodlands. A także o Carlu Simpsonie, który jeździł ciężarówką po okolicy i wypatrywał ubranych na czarno facetów z rządu, wkradających się do podziemnych wyrzutni raketowych i pracujących nad tajnymi eksperymentami z pogodą.

- Nie wiem, Larry. A co z ubezpieczeniem?

- Ubezpieczenie? - Larry Watson zaśmiał się głośno, opluwając Henry'emu koszulę. - Na Boga, jesienią przestałem płacić składki. Nikt z nas już nie ma ubezpieczenia. - Westchnął chrapliwie. Puścił

ramię Henry'ego i zakołysał się nad blatem. Oczy miał zamknięte. Henry zaniepokoił się, że Larry upadnie nieprzytomnie pod stół.

Bart Eastly wstał.

- Wychodzę już. Jestem umówiony rano z Greesonem. Mam mu podzyrować pożyczkę, a poza tym pomóc naprawić podjazd. Dobry ze mnie kolega, prawda? - Rzucił na blat jednodolarówkę. - To napiwek. Nie weźcie tego dla siebie, chłopaki.

- Może podrzucisz Larry'ego do domu? - zaproponował Henry.

Bart spojrział na pijanego sąsiada z niechęcią.

- Wstawaj, Watson. Tylko nie zarzygaj mi auta, mamuśka niedawno czyściła tapicerkę.

Larry nie polemizował, stał kołysząc się na nogach i usiłował wsadzić rękę do kieszeni. Wreszcie udało mu się, sypnął na stół trochę drobnych.

- To napiwek - wybełkotał, usiłując naśladować Barta. - Niech nikt z was tego nie zwinie.

Pochylił się nad Henrym.

- Całe nasze miasto to dziwny przypadek. Powinieneś trzymać się z daleka, bo inaczej pochłonę cię gównem.

Mrugnął i wykrzywił twarz w kwaśnym uśmiechu. Wyciągnął rękę, Henry uściśnął ją, a Larry znowu puścił oko i zataczając się, odpłynął do drzwi.

Henry pomyślał, że sam powinien był go odwiedzić. Bez problemu mógłby wysadzić go pod samym domem. Poza tym powinien też wpaść do nich na chwilę i zażegnać wysoce prawdopodobną awanturę z żoną. Sęk w tym, że nie był jeszcze gotów do wyjścia. Czuł, że jest to jedna z tych nocy, kiedy musi się coś wydarzyć. To po prostu wisiało w powietrzu. Może jakaś bijatyka, a wtedy powinien być na miejscu.

Jeb wrócił do stołu i rozejrzał się z niepokojem.

- Larry chyba nie pojechał sam?

- Zabrał się z Eastlym - uspokoił go Henry.

- To śmierdząca sprawa z tymi zbiornikami wodnymi. Ktoś trafił go w czułe miejsce.

- Zgadzam się.

Jeb przysunął krzesło bliżej Henry'ego. Spojrział na Lawrence'a i Boychuka, którzy oglądali mecz, jakby nic niepokojącego się ostatnio nie działo. Może z ich punktu widzenia rzeczywiście sytuacja się nie

pogarszała. Henry wiedział, że Boychuk jest na zasiłku dla bezrobotnych. Od czasu do czasu wyjeżdżał z miasta szukać pracy gdzie indziej, a kiedy coś znajdował, dołączała do niego reszta rodziny. Jakiś rok temu stracili farmę i mieszkali teraz u teściowej. Być może, przywykli już do biedy i pogodzili się z losem.

- Coś trzeba z tym zrobić, Henry - powiedział Jeb.

- Z czym?

- Chodzi mi o miasto. Goodlands umiera, a my siedzimy na dupach i czekamy na deszcz. Wszystko wskazuje na to, że ktoś, nie wiadomo dlaczego, krąży po okolicy i wyrządza ludziom krzywdy. Słyszałem o zwalonym krzyżu Paxtonów. Oczywiście, są zdrowo rąbnięci, ale nie zasłużyli na coś takiego.

- Wiem, o co ci chodzi, Jeb. Ale nic nie mogę na to poradzić.

Jeb Trainor był, jak to się mówiło w rodzinie Henry'ego, „dobrym człowiekiem”. Solidny, odpowiedzialny, wzbudzający szacunek, może trochę zarozumiały, ale zawsze gotów pierwszy podać rękę potrzebującemu. Henry znał go niemal od dziecka.

- Przed przyjściem tutaj wpadłem na chwilę do Revesette'a. Tam dzieje się coś niedobrego, Henry - potrząsnął głową. - Namawiałbym cię, abyś do niego wpadł i sam zobaczył, ale nie jestem pewien, czy ci ktoś nie odstrzeli głowy.

- O czym ty mówisz? - Henry zeszytniał. - Widziałem Dave'a dziś rano.

- Wiem. Rozstawił swoich chłopców po całym ranczu. Siedzą tam z nabitą bronią i pilnują terenu. Mówiłem mu, że napyta sobie jeszcze biedy. Powiedział, że nikomu nie ufa. Powiedział też, że nie ma zamiaru czekać, aż ty rozwiążesz jego problem, ale to tak na marginesie.

- Cholera!

- Ludzie są przemęczeni. Carl Simpson jeździ bez przerwy po okolicznych drogach, wolno i z dziwnym wyrazem twarzy. Ktoregoś wieczora przejeżdżał koło mojego domu i świecił latarką do ogródka. Siedziałem na ganku z papierosem - Lizzie myśli, że rzuciłem palenie - ale w ogóle nie odpowiedział, kiedy go zagadnąłem. Tylko popatrzył na mnie. Moja żona widziała na poczcie Janet i powiedziała, że wyglądała, jakby brakowało jej snu. A komu nie brakuje?

- Kilka tygodni temu widziałem się z Carlem. Zamierzam go jeszcze odwiedzić... - tłumaczył Henry.

- Czy zauważyłeś, że Gordonowie omijają ostatnio Goodlands? Jakby panowała tu jakaś zaraza. Nie wiem, jak to powiedzieć, ale

wydaje mi się, że ludzie chcą się odseparować. Widziałem niedawno na drodze starego Eda Gordona, który na mój widok się odwrócił. Wszyscy tak robią. Zachowują się dziwnie, jakby widzieli duchy. - Jeb westchnął ciężko.

Gordonowie byli miejscowymi agentami ubezpieczeniowymi i Henry wcale się nie dziwił, że w ostatnich czasach nie mieli pracy. Ale kiedy agenci ubezpieczeniowi unikają ludzi, jest to rzeczywiście znak, że wszystko stanęło na głowie.

- Coś ci powiem - ciągnął Jeb. - Cztery miesiące temu zgłosiliśmy się do agencji nieruchomości. Sprzedajemy farmę. Proszę cię jednak o dyskrecję, Henry, nie chciałbym, aby nasi znajomi myśleli, że jak szczury opuszczamy tonący statek. Muszę szukać jakiegoś wyjścia z tej sytuacji. Chociaż nie jestem już młody, wydaje mi się, że lepiej będzie rozpocząć coś nowego, niż siedzieć tu z założonymi rękami. I chyba nie ja jeden tak myślę. W Weston widziałem kilka znajomych twarzy. Wszystkie w pobliżu biura agencji nieruchomości. To oczywiście mógł być przypadek, ale nie sądzę, zważywszy, po co ja tam przyjechałem.

Henry pokiwał głową. Jeb miał rację. W Goodlands działo się coś niepokojącego, z czym nigdy przedtem się nie spotkał. Ludzie stracili optymizm, co w aktualnej sytuacji nie powinno nikogo dziwić, ale oprócz tego wyczuwało się coś więcej. Jak to zwykle bywa w rolniczych społecznościach, mieszkańcy Goodlands byli z natury dość zamknięci w sobie i samowystarczalni. Nie prowadzili ożywionego życia towarzyskiego, bo mieli wiele pracy. Ostatnio można było jednak zauważyć, że unikają się nawzajem. Rodziła się między nimi wrogość. Henry słyszał o awanturze, jaka wybuchła tydzień temu przy stacji pomp w Telander. Nic wielkiego, zwykła utarczka słowna na temat, kto był pierwszy w kolejce, ale odbyło się to w bardzo nieprzyjemnej atmosferze i zupełnie nie w stylu Goodlands. Bo w Goodlands zawsze do tej pory sąsiad szanował sąsiada. I właśnie to się zmieniło.

- Wiem, co masz na myśli, Jeb.

- Słyszałeś, że Greg Washington kilka dni temu zastrzelił swoje psy? Nie było dla nich już pracy na farmie. Greg sprzedał wszystkie zwierzęta. Musiał psy zastrzelić. Ten czarny miał już piętnaście lat. To był ukochany pies Grega. Okropne, gdy człowiek zabija swojego ulubionego psa.

Przy stole zapadła cisza, obaj zwrócili głowy w stronę telewizora na barze. Mecz już się prawie kończył, a Cincinnati miało wygraną w kieszeni. Dave Watson podszedł i zaproponował jeszcze jedną kolejkę.

- Ja dziękuję, muszę już iść - powiedział Jeb i wstał.

- Czy ojciec pojechał już do domu? - zapytał Dave.

- Tak, Bart go zabrał. Jesteś dziś wolny.

Jeb wyciągnął kilka banknotów i podał Dave'owi.

- To za moją kolejkę, a to dla ciebie. Jesteś naprawdę znakomitym kelnerem. Chociaż masz chyba za chude nogi.

Pożegnał się i wyszedł, zostawiając Henry'ego w towarzystwie dwóch Teddych, którzy śledzili grę i byli mało rozmowni. Henry zauważył, że Boychuk jest mocno zarumieniony od alkoholu. Obu naturalnie błyszcząły się oczy i mieli obrzmiałe powieki. Chyba każdy w Goodlands miał problemy ze snem.

Dave przyniósł nowe piwa. Henry zastanawiał się właśnie, czy po wypiciu tej puszki nie powinien już zbierać się do domu, gdy do baru wszedł nieznajomy. W żyłach Henry'ego szybciej popłynęła krew. Z niepokojem obserwował, jak nowy gość ruszył pewnym krokiem do kontuaru i wcisnął się pomiędzy dwóch facetów z Avis.

To mógł być każdy. Ale Henry miał przeczucie, że jest to ten sam podejrzanie wyglądający człowiek, którego widział Gooner i Tindalowie. Właściciel niedopałka papierosa.

Obserwował go, przelękając wolno piwo. Na czole pojawiły mu się krople potu, chociaż w barze było stosunkowo chłodno.

Mężczyzna zamówił u Clancy'ego piwo, bez większego zainteresowania popatrzył na ekran telewizora, a potem rozejrzał się dookoła. Za piwo od razu zapłacił. Henry nie spuszczał z niego wzroku.

Porównywał go z zapamiętanym rysopisem.

To mógł być każdy. Przecież Henry nie znał wszystkich w powiecie Capawatsa. Zauważył jednak, że nie tylko on przygląda się gościowi z uwagą.

Bezwiednie dotknął ręką kieszeni w spodniach. Znajdowała się tam torebka, którą powinien był umieścić w teczce z materiałami dowodowymi. Torebka z niedopałkiem znalezionym na podjeździe Karen.

Mężczyzna przy barze sięgnął do kieszeni. Henry nie widział go dobrze, gdyż między nimi stało kilka osób, ale wydawało mu się, że wyjął jakieś zawiniątko. Gdy Cincinnati zdobyło następny punkt i wszyscy rzucili się do telewizorów, zobaczył, że obcy oparł się łokciami o kontuar i robi sobie skręta.

- Idę rozprostować nogi. - Henry wstał od stołu.

Jego koledzy nie oderwali nawet oczu od ekranu telewizyjnego.

Tom wypił łyk piwa i rozejrzał się po barze. Skręcał papierosa w podobny sposób, w jaki chodził, powoli i rozważnie, ciesząc się tym zajęciem tak samo, jak mającym wkrótce nastąpić paleniem.

Bardzo wyraźnie czuł, że prawa dłoń, w której trzymał ziemię z podwórka Karen, wciąż jest gorąca.

Włożył skręta do ust i zapalił. Zaciągając się, otworzył dłoń i przyjrzał się jej z uwagą. Skóra wewnątrz była zgrubiała, w głęboko żłobionych liniach papilarnych widać było brud. Nie patrząc, wytarł rękę o nogawkę spodni.

Po słodkim winie piwo bardzo mu smakowało. Był zresztą piwo-
szem. Nie lubił mocnych trunków. Zostawiał je sobie na najgorszy
czas, gdy opadały go czarne myśli, z którymi w żaden sposób nie mógł
sobie poradzić. Czasami, jeśli zdarzało mu się to podczas wędrówki,
kupował sobie pół litra i popijał po drodze. Teraz też o mało nie za-
mówił czegoś mocniejszego, ale się powstrzymał.

Starym zwyczajem oszacował gości w knajpie. Gdyby zaszedł tu po
drodze, może udałooby mu się zarobić parę dolców, chociaż większość
gości miała w oczach lęk, jakby znaleźli się na krawędzi nieszczęścia.
Bez trudu można było zidentyfikować mieszkańców Goodlands. Tu-
bylcy pili jak smoki, co go akurat wcale nie zdziwiło.

Tom przypuszczał, że cokolwiek powodowało suszę w Goodlands,
znajdowało się w ziemi. Stamtąd właśnie dochodziła go ta ledwo wy-
czuwalna wibracja. Była przytłumiona, jakby rodziła się gdzieś w
głębi ziemi, i pewnie dlatego nikt inny jej nie wyczuwał. Tom zaś żył
dzięki temu, że był spostrzegawczy.

- Jak leci? - usłyszał nagle za sobą.

Odwrócił głowę i zobaczył utkwione w siebie przekrwione oczy.
Zrobił przejście, sądząc, że jakiś gość chce się dostać do baru. Jednak
mężczyzna nie ruszał się. W rękę trzymał piwo. Wyciągnął do niego
rękę.

- Henry Barker - rzekł z uśmiechem.

- Miło mi - powiedział Tom.

- Jest pan fanem baseballu? - zapytał Henry, wskazując ręką z
piwem na ekran telewizora.

- Raczej nie.

Tom strząsnął popiół z papierosa do popielniczki na barze. Henry
zauważył, że nieznajomy pali skręta. Znaleziony niedopałek był reszt-
ką takiego właśnie skręta.

- Lubię Orioles. - Henry wciąż się starał nawiązać rozmowę. -

Właściwie nie wiem dlaczego. Chyba każdy przywiązuje się do zespołu, któremu kibicował w dzieciństwie.

Tom nie reagował.

- Nie usłyszałem pańskiego nazwiska - powiedział Henry.

- Nie przedstawiłem się.

- To taki uprzejmy...

- Naprawdę nie jestem w nastroju do rozmowy, panie Barker - przerwał mu Tom.

- Zauważyłem, że pali pan papierosa, i domyśliłem się, że nie jest pan stąd - ciągnął Henry. - Pogoda nam ostatnio nie sprzyja, mamy suszę i tutejsi mieszkańcy są bardzo ostrożni, jeśli chodzi o palenie.

- Pogoda się na was raczej uwzięła - stwierdził Tom i znowu odwrócił się do szeryfa tyłem.

- Nasze miasteczko jest bardzo miłe. A to najprzyjemniejszy bar w promieniu trzydziestu kilometrów. - Henry uśmiechnął się. - Jest pan tu przejazdem?

Zapanowała długa cisza. Tom bardzo wolno odwrócił głowę i spojrział na Henry'ego. W tej samej chwili szeryf poczuł, że powietrze między nimi bardzo się ochłodziło, jakby od dołu powiał nagle zimny wiatr. Jednocześnie poczuł jakiś znajomy zapach. Bardzo przyjemny, w przeciwieństwie do wyrazu twarzy faceta przy barze.

- Przyszedłem tu ma piwo - powiedział Tom. - Ma pan coś do mnie? - Mówił wyraźnie, powoli. - Jeśli nie, chciałbym się spokojnie napić piwa. Jak już wspomniałem, nie jestem w nastroju do rozmowy.

Zimny powiew zniknął i Henry'emu znowu było gorąco. Po czole spływały mu strużki potu.

- Jestem tutejszym szeryfem - wyjaśnił.

- Czy chce pan ze mną porozmawiać oficjalnie?

- Może. - Henry poczuł, że zaschło mu w gardle. Próbował odkasłać, ale w przelyku wciąż go paliło. - Chcę tylko wiedzieć... kto się tu kręci.

- A więc, jestem tu przejazdem - odpowiedział Tom, uśmiechając się i nie spuszczać oczu z szeryfa. Jego uśmiech był zimny. Po chwili skinął lekko głową i odwrócił się w stronę kontuaru.

Henry wciąż stał, jakby nie zauważył, że ten facet nie zwraca już na niego najmniejszej uwagi. Wyglądało na to, że rozmowa jest skończona. Henry ciągle miał sucho w gardle. Przełknął duży łyk piwa. Trochę pomogło. Zapach, który czuł chwilę wcześniej, znowu doleciał do niego od posadzki. Nie umiał go nazwać, ale był bardzo znajomy.

Przywodził mu na myśl wspomnienie ciepłego, niedzielnego poranka, gdy jako mały chłopiec strzygł trawnik. Sugestywny głos dziewczyny zapowiadającej pogodę... Miał to dosłownie na końcu języka. A potem zniknęło.

- Mam nadzieję, że piwo będzie panu smakować. Miło się rozmawiało - powiedział do mężczyzny przy barze.

Czuł się trochę dziwnie, jakby lekko oszołomiony. Na nieco sztywnych nogach wrócił do kolegów. Spędził w ich towarzystwie resztę wieczora, wypijając w końcu pięć piw zamiast czterech. Cały czas miał w gardle sucho.

Obserwował nieznanego, czekając na rozwój wypadków.

Karen leżała w łóżku. Nie była jeszcze śpiąca, wypite wino wciąż przyjemnie rozgrzewało jej ciało, chociaż uczucie to zaczynało już słabnąć i nadchodził ból głowy. Karen pragnęła zapaść w głęboki, odprężający sen, ale była tak pobudzona, że mogłaby wstać, wziąć prysznic i posprzątać dom. Albo pobiec w koszuli nocnej w dół Parson Road, aby zużytkować tę rozpierającą energię. Biec, dopóki ciało nie spłynie potem, oczyszczającym jak dobry, obfity deszcz.

Nie wstała jednak. Wsłuchiwała się w swoje ciało i wciąż wracała w myślach do rozmowy z przywoływaczem deszczu. Fragmenty tego nocnego spotkania wracały do niej, jakby cofała taśmę wideo.

Była w stanie podobnym do jazdy na karuzeli, kiedy przypinają cię do siodełka i machina zaczyna się obracać w kółko i w kółko, ziemia umyka w dole, a ty jesteś tam w górze, podczas gdy cały świat tańczy pod nogami. Nie grozi ci upadek, siła odśrodkowa wciska cię mocno w fotelik, ale i tak ściskasz kurczowo oparcie. Tylko że Karen nigdy nie jeździła na karuzeli. Widziała jednak, jak inni schodzili z niej z czerwonymi twarzami, z błyszczącymi oczami, roześmiani, przestraszeni, czasami nawet ustawiali się w kolejce, aby przeżyć to natychmiast jeszcze raz.

Tak właśnie się czuła: jakby świat tańczył daleko w dole pod jej nogami.

Nie myślała ani o suszy, ani o tym, jak jej zaradzić. Nie myślała także o tym, że ktoś w Komercyjnym Banku Kredytowym dla Rolników (albo co gorsza sam Larry Watson) odkryje małwersację. Nie myślała o swojej pracy ani o mężczyźnie, śpiącym gdzieś na terenie jej posiadłości. Na dobre czy na złe, kręciła się teraz na karuzeli i czekała, aż przywoływacz deszczu zatrzyma maszynę i pozwoli jej zejść. A wtedy, obiecała to sobie, wszystko wróci do normalnego stanu. Na dobre lub na złe.

On odejdzie, a ona pozostanie. Zacznie padać i w Goodlands życie potoczy się normalnie. Odzyska swoją pozycję w mieście, ludzie będą ją pozdrawiać na ulicy i przyjaźnie zagadywać w sklepie. Będą do niej dzwonić z prośbą, by została członkiem komitetu, aby upiekła coś na sprzedaż, podarowała coś na aukcję, pomogła zbierać fundusze na corocznym festynie strażackim. On odejdzie, ona zostanie. Za parę lat pojawi się w mieście nieznajomy. Może będzie to weterynarz, może prawnik zatrudniony w Weston, a mieszkający w Goodlands, w każdym razie na pewno nie rolnik. Pozna go, zaprzyjaźnią się, pokochają, wezmą ślub i będą mieli dzieci. Zamieszkają w Goodlands i zostaną tu już do końca życia. A wspomnienia o tym, co wydarzyło się pewnego tygodnia w czerwcu, czwartego roku legendarnej suszy, żyłoby w jej pamięci jak coś zupełnie nieprawdopodobnego, jak historia, którą opowiada się na przyjęciach.

Czekała na to i była pewna, że się doczeka, zasłużyła sobie przecież. Prawda była bowiem taka, że jeśli ktoś w Goodlands powinien odbyć pokutę, to właśnie ona. Popełniła grzech pożądlivosti i zapłaciła za niego.

Wszystko zaczęło się, oczywiście, z powodu nędzy, w jakiej upłynęło jej dzieciństwo i młodość.

Nie skończyło się jednak w momencie, gdy dostała pierwszą pracę ani gdy założyła skromny rachunek w banku, ucząc się jeszcze w wyższej szkole. Ani też gdy otrzymała dyplom i wyprowadziła się do własnego mieszkania. Nie ustało również z chwilą śmierci rodziców, ani też gdy zaczęła robić ekstrawaganckie zakupy, które w końcu zaprowadziły ją do Goodlands. Trwało to aż do czasu, gdy się tu osiedliła. Niezaspokojone pożądanie i desperacja minęły, ustępując miejsca zadowoleniu, które rosło wraz ze spokojem i ciszą panującą w małym domku na krańcach miasta. Tu, siedząc na ganku, patrzyła na świat i wreszcie nie widziała niczego, co chciałaby mieć.

Już jako dziecko pożyłała rzeczy. Chodziła do szkoły z dziećmi takimi samymi jak ona, których rodzice z trudem wiązali koniec z końcem, ubieranymi w używane, wypłowiałe ciuszki, dziećmi, które miały strzyżone domowym sposobem włosy, a skromne drugie śniadania przynosiły w zatłuszczonych brązowych torebkach, wykorzystywanych tak długo, dopóki się nie podarły. Niemal wszystkie żyły w podobnych warunkach, ale Karen zawsze zazdrościła dziewczynce o imieniu Becky. Teraz nie mogła sobie już przypomnieć jej nazwiska ani niczego więcej. Pamiętała tylko, że bardzo jej zazdrościła.

W katalogu Searsa tamtego roku była śliczna szkocka spódniczka w czerwono-granatową kratę, wełniana, z mięciutkimi frędzelkami, zapinana na boku dużą srebrną agrafką. Becky chodziła w takiej samej do szkoły. Spódniczka podobała się wszystkim dziewczynkom, ale najbardziej Karen. Karen po prostu jej pożądała. Pewnego wieczora zaczęła nawet błagać matkę, aby jej taką kupiła. Mama spojrzała na cenę w katalogu.

- Ależ ona kosztuje dwadzieścia siedem dolarów! - wykrzyknęła i sprawa była skończona.

Gdy więc następnego dnia Becky przysłała do szkoły w tej spódniczce, Karen odczekała, aż dziewczynki wyszły z szatni na lekcję gimnastyki, i ukradła - nie spódniczkę, bo to byłoby niemożliwe, ale błyszczącą srebrną agrafkę. Miała ją przez wiele lat, nawet podczas studiów. Nigdy jej jednak nie nosiła, nikomu też nie pokazywała, trzymała ukrytą w pudełku z sekretami, które chowała w szafie, między butami. Buty zmieniała co roku (czasami nawet częściej, na przykład w szkole wyższej, gdy zaczęła rosnać bez opamiętania, aż rodzice to wypomnieli twierdząc, że rachunki za jej ubranie i jedzenie zaprowadzą ich do schroniska dla ubogich, chociaż i tak już byli w połowie drogi, i to z własnej winy), ale pudełko pozostało wciąż to samo, używane później do chowania innych zakazanych rzeczy, jak papierosy czy puszka piwa.

Kradzież zapinki o mało nie złamała serca biednej Becky, chociaż rodzice po kilku dniach kupili jej nową. Mała myślała, że zgubiła agrafkę. Karen, oczywiście, nie powiedziała ani słowa i bezwstydnie współczuła jej po lekcji razem z innymi.

Ta agrafka nigdy już nie została użyta do spięcia szkockiej spódniczki w kratkę ani jako broszka ozdabiająca bluzkę. Nie o to jednak chodziło. Karen chciała ją po prostu mieć. Czasami wyjmowała ją z pudełka, otwierała i zapinała, wsłuchując się w delikatny dźwięk, jaki zapinka wydawała, przesuwała ostrym końcem po opuszkach palców lub ubraniu, zachwycając się lśnieniem srebra w świetle żarówki.

Gdy dorosła już Karen przypominała sobie historię z agrafką, wstydziła się swojego uczynku. Ale pamiętała też uczucie, jakie ogarnęło ją, gdy wreszcie posiadała upragniony skarb. Szum w głowie, suchość w ustach, przyśpieszone bicie serca i ucisk w dołku. To właśnie pamiętała z ciemnego okresu swojego życia. Kiedy kupowała coś bardzo drogiego, ogarniało ją podobne podniecenie.

Liczyła na to, że pozbędzie się swych irracjonalnych pragnień, gdy opuści dom i zacznie żyć na własny rachunek. Osiągnęła w życiu to,

czego nie zdołali osiągnąć jej rodzice: niezależność finansową. Miała pieniądze na jedzenie i ubranie, skromne, ale pewne. Jednak chcąc zaspokoić pragnienia, popełniła błąd, sięgając po rzeczy zbędne i kosztowne. Przez lata, gdy ulegała rozpaczliwemu pożądaniu, wytworzył się w jej życiu straszny finansowy bałagan, który przywiódł ją do Goodlands. I oto znalazła się tutaj, po raz pierwszy czując, iż wstyd, rozpacz i desperacja nie wynikały z faktu, że czegoś nie posiadała, ale ze świadomości, co zrobiła.

Przywoływacz deszczu mylił się zatem, jeśli sądził, że nie jest uwiłkana w tę sytuację.

Uleczyła ją w końcu budowa altanki. Gdy George znalazł szczątki tej nieszczęsnej kobiety, która została tam zakopana sto lat temu, wymarzony budynek zupełnie stracił urok. Karen zaś poczuła się wolna. Potraktowała to jako znak, tak właśnie na to patrzyła. Budowa altanki, wydanie na nią pieniędzy było swego rodzaju testem. Ostatnim kaprysem, który miał pokazać, czyjeż pożądanie wciąż jest żywe. Okazało się, że nie. Nie poczuła nic, gdy altanka w końcu stanęła w ogrodzie. Może odrobinę przyjemności posiadania, chociaż altanka sama w sobie była tylko małym krokiem do fantazji zupełnie innego rodzaju. Romantycznych marzeń o kimś, z kim tańczyła na posadźce, stukając obcasami w rytm płynącej z domu muzyki. Samo pojawienie się altanki nie pomogło w realizacji żadnego jej marzenia. Była tylko pustym budynekciem obok domu, wymagającym odświeżenia nową warstwą farby, na którym ciąży nieszczęście innej kobiety.

Jednak Karen nie oczekiwała, iż wybudowanie altanki w jakiś magiczny sposób zamknie pewien etap w jej życiu. Jeżeli w ogóle można mówić, że odegrało jakąś rolę, to dlatego, że raz na zawsze przestała czuć potrzebę posiadania. W pewien sposób przyniosło jej także to, czego naprawdę potrzebowała - zadowolenie z życia.

W Goodlands Karen odnalazła zadowolenie z życia. Rzeczy, które kupowała, nie roztaczały nad nią władzy. Rozsmakowywała się w tym ukojeniu, usypiającym czujność. Goodlands zaoferowało jej pozycję w lokalnej społeczności, przyjaznych sąsiadów, dobrą pracę, możliwość pozostawienia za sobą złej przeszłości i zaczęcia wszystkiego od początku.

A teraz musiała odbyć pokutę. Znowu zaczął ją dręczyć niepokój. Znowu obudziło się w niej pragnienie posiadania.

Ale tym razem pragnęła przywoływacza deszczu.

Gdyby została dłużej na polanie, przy ognisku, przy tym mężczyźnie, mogłaby się zupełnie zatracić. Byłaby to najdroższa transakcja, jaką kiedykolwiek zrobiła, a poza tym stałoby się to, co zawsze zdarzało się z rzeczami, które kupowała. Okazywały się niepotrzebne. A zwykle drogo za nie musiała zapłacić.

Powinno być inaczej. Zaplanowała sobie, że poczeka, aż sprowadzi się do Goodlands sympatyczny weterynarz lub prawnik o delikatnych dłoniach i dobrych manierach i zdecyduje się tu zostać. Ich przyjaźń przemieni się w miłość, pobiorą się i będą mieli dzieci. Taki był plan.

Nie zamierzała tracić wszystkiego dla jakiegoś wędrowca, który pojawił się w mieście z obietnicą i prawdopodobnie był w środku twardy jak skała, o czym świadczył ten jego sztuczny uśmiešek.

Wszystko się pomieszało, najpierw przez suszę, a potem przez tego mężczyznę, którego zobaczyła w telewizji. Stał w strugach deszczu, odgarniając mokre włosy z oczu i uśmiechając się z zadowoleniem do kamery, podczas gdy woda spływała mu po ramionach. Nie mogła sobie pozwolić, aby z powodu tego mężczyzny stracić głowę. Czekwała na właściwy moment i właściwego mężczyznę. Miała dużo do zaferowania i wiele do stracenia.

W jej planach nie było przywoływacza deszczu. Nawet gdyby miała się z nim tylko przespać - zabawna perspektywa, zakładając jej brak doświadczenia z mężczyznami. Nie należała do dziewcząt, które idą do łóżka z chłopakiem po czwartej kolacji lub trzecim kinie, w zależności od aktualnie panujących zwyczajów. Była bardzo ostrożna w dokonywanych wyborach i bardzo jej to odpowiadało. Posługiwała się własnym zbiorem zasad. Chłopak numer jeden był jej wielką miłością w szkole średniej. Chłopak numer dwa był już prawie mężczyzną i jego jednego naprawdę żałowała. Chłopak numer trzy był już prawdziwym mężczyzną. Poznali się w banku, poszli do łóżka po dwóch miesiącach spotykania się - w drugim miesiącu na tyle często, że pozbyła się wątpliwości - i rozwinęło się to w trwający rok związek. Skończyło się, gdy on chciał się do niej wprowadzić. Był dla niej za wesoły, nie brał życia wystarczająco serio. To nie byłoby dobre małżeństwo.

Może jednak nie tak złe jak z przywoływaczem deszczu. Oczywiście, chłopak numer trzy nigdy nie sprawił, że czuła, jakby ziemia umykała jej spod nóg. Karen pragnęła przywoływacza deszczu. Ten kaprys mógł ją wiele kosztować.

Rozdział 9

Vida trwała na swoim stanowisku w starym, zrujnowanym ranczu. Na krótko zapadła w sen. Zmęczona i wyczerpana po całym dniu przełazenia przez płoty, krycia się w stodołach i przemykania po podwórkach, poczuła się jak zegar, którego nikt nie nakręcił. Jej ciało, pozbawione jedzenia i picia, odmówiło w końcu posłuszeństwa.

Gdy tylko wślizgnęła się do tego opuszczonego domu niedaleko miejsca, gdzie mieszkała Karen Grange, natychmiast zajęła stanowisko przy oknie. Po pewnym czasie ukucnęła, opierając podbródek na parapecie, z którego wcześniej uprzątneła odłamki szkła. Skaleczyła się przy tym, machinalnie wytarła dłoń o brudną sukienkę. Choć ranka była niewielka, już wkrótce zaczęła ją boleć. Nastąpiło to wkrótce po tym, jak Vida usiadła pod oknem, walcząc ze snem, który nachodził ją mimo niewygodnej pozycji. Kiedy Karen Grange i przywoływacz deszczu spierali się w kwestii odkupienia winy, spała już mocno.

Wiele godzin później ziemia pod jej stopami zaczęła wibrować, a drzenie dotarło do samych trzewi. W jej wnętrzu rozległ się ostry, świdrujący głos, który ją obudził, chociaż nie był słyszalny na zewnątrz. Vida zasłoniła sobie uszy, ale nic to nie dało. Zdezorientowana, usiłowała wstać, lecz buty ślizgały się na odłamkach szkła. Upadła na tyłek. Okropnie bolały ją kostki, a zdrętwiałe stopy przeszywały tysiące igieł. Vida jęknęła.

Wstała wreszcie i wyprostowała się, ale tylko tyle. Smak przygody i zabawy dawno przeminął. Głos był natrętny, już nie partnerski, raczej zniewalający, władczy. Vida trochę się bała. Czowała, że zaczyna poddawać się rozkazom tego głosu, który znalazł w niej schronienie.

Ukryta wewnątrz ciemnego budynku obserwowała okolicę. Jej oczy przywykły do mroku, który rozpraszało słabe światło ulicznej latarni.

Księżyc był już wysoko na niebie. Jego zimny blask nadawał się doskonale do zadania, jakie miała spełnić Vida.

Jej ciało, całkowicie już przebudzone, stężało w napięciu. Pusty żołądek skręcał się w oczekiwaniu. Włoski na rękach stanęły dęba. Nadchodził. Jeszcze go nie widziała, ale słyszała jego kroki, regularne i powolne, odbijające się echem po szerokiej, pustej drodze. Czula go, czula jego wyjątkową energię. Czekala.

Co mam zrobić? Pytanie to skierowała do wnętrza siebie. Dziwne, ale odpowiedziała jej cisza.

- Co mam z nim zrobić? - zapytała na głos.

Zmusić, aby odszedł.

Vida zmarszczyła brwi. Ta informacja dotarła do jej świadomości bez słów. Jak ma go zmusić do odejścia? Nie pojawił się jeszcze w polu widzenia, słyszała jednak odgłos jego kroków.

- Jak? - wyszeptala. Znowu ta sama dziwna cisza.

Vida poczula, jak jej usta same rozciągają się w wymuszonym uśmiechu. Wcale nie chciała się uśmiechnąć. Czula się z nim upiornie, słysząc wewnątrz siebie: Zabij go.

Potrząsnęła stanowczo głową. Na ustach wciąż miała ten uśmiech, który należał do głosu i który nie pozwalał jej wymówić żadnego słowa. Nie, nie, sprzeciwiała się w myślach raz za razem. Głos milczał.

Nie mogę, powtarzała. Nie. Próbowala wypowiedzieć swój sprzeciw na głos. Próbowala jeszcze raz potrząsnąć głową, ale jej szyja zrobiła się nagle sztywna. Vida wpadła w panikę. Walczyła z własnym ciałem. Próbowala oderwać ręce od okiennego parapetu, ale tylko mocniej się zaciskały. Usta nie chciały się otworzyć. Stopy jakby wrosły w ziemię. Nagle poczula ostry, jak cięcie nożem, palący ból w piersiach. Krzyknęła przerażona, ale był to tylko krzyk duszy.

Po chwili się uspokoiła. Zapadła głęboko w swoje wnętrze i pozostała tam, podczas gdy jej ciało prężyło się w gotowości, a oczy promieniowały niezwykle energią.

Mężczyzna wszedł w krąg światła ulicznej latarni.

Zaklinacz deszczu przeszedł przez światło. Spod jego butów wzbijały się w górę drobiny pyłu, aby po chwili opaść z powrotem na ziemię, zgodnie z rytmem jego kroków. Oczy Vidy śledziły go, ale widziała go kobieta, która była w jej wnętrzu.

Vida znajdowała się w próżni między działaniem a ruchem. Kroki mężczyzny oddalały się coraz bardziej, a ich odgłos dobiegał do niej jeszcze z podjazdu, gdzie skręcił z drogi, przy której stał opuszczony dom. Vida wychyliła się przez okno i zdołała dostrzec, jak nieznajomy znika na tyłach domu Karen Grange.

Niezdecydowana, wciąż wyglądała przez okno. Po chwili usłyszała odgłos innych kroków, głośniejszych i mniej zdecydowanych. Gdy rozpoznała, kto nadchodzi, szybko schowała się w mroku.

Henry poczekał, aż facet poznany przy barze skierował się do wyjścia, i szybko wstał od stołu.

- Idę już - poinformował kolegów.

Mecz dobiegał końca. W dziewiątej rundzie Cincinnati dało w kość Kanadyjczykom i zdecydowanie prowadziło. W barze panowała powszechna radość, wszyscy oprócz Henry'ego cieszyli się wygraną. Stawiali sobie nawzajem piwo, rozliczali się z zakładów, w których, z uwagi na brak Kanadyjczyków, niewielu było przegranych.

- Fantastyczny mecz! - powiedział Boychuk. - Pozwól, że postawię ci piwo, Henry.

Szeryf potrząsnął głową.

- Nie, dzięki, muszę już iść do domu. Wlałem w siebie już tyle, że i tak będę stawał co pół kilometra, żeby się odlać.

Boychuk i Lawrence zachichotali.

- W porządku, możesz zatrzymać się przy moich polach i je skropić - ryknął wesoło Lawrence.

Podniósł rękę i kiwnął na Dave'a Watsona.

- Jeszcze jedna kolejka, bez Henry'ego.

Ostatnie słowa w efekcie nadmiaru alkoholu wybełkotał już prawie niezrozumiale i młody Watson prawdopodobnie ich nie usłyszał.

- Ale to już ostatnia kolejka, Boychuk - przykazał im Henry srogo.

Jazda po pijanemu nie była w tej okolicy niczym nieznanym, chociaż obeszło się ostatnio bez poważniejszych wypadków. Kilka lat temu jakiś facet tuż za miastem wjechał na drzewo. Lawrence miał już rzeczywiście dobrze w czubie, ale Boychuk wciąż jeszcze się trzymał.

- Mówisz to jako szeryf, Henry?

Już po raz drugi tej nocy Henry wystąpił służbowo. Był zmęczony. Zmęczony tym cholernie długim dniem.

- Tak, jako szeryf - westchnął.

Podniósł z podłogi swoją czapkę baseballową. Miał dużą głowę i nawet gdy przesunął zapięcie na ostatnią dziurkę, czapka zawsze wyglądała jak wciśnięta siłą. Odruchowo zsunął ją na potylicę, zastępując srogi wyraz twarzy pocziwą miną. Z okrągłą, rumianą gębą i okrągłymi oczami wyglądał jak zbyt dobrze odżywiony, dobrotliwy wieśniak. Ci, którzy go znali, wiedzieli, z kim mają do czynienia. Wszyscy inni dawali się nabrać.

Henry wyszedł z baru.

Za drzwiami rozejrzał się dookoła mając nadzieję, że człowiek, którego szuka, nie wszedł do samochodu i nie odjechał. Jeżeli słusznie się domyślał, facet powinien skierować się na północny zachód, w stronę Parson Road, skąd było już niedaleko do domu, gdzie mieszkała Karen Grange. Henry ruszył tą drogą.

Nie pracował długo jako szeryf, ale pilnując, aby obywatele powiatu Capawatsa przestrzegali prawa, odkrył, że ma nosa do tych spraw, zupełnie jak gliniarze z seriali telewizyjnych. Czytał wiele kryminałów, które traktował jak podręczniki szkoleniowe, studiując uważnie nawet najbardziej makabryczne opisy. Zawsze pasjonowało go znalezienie rozwiązania zagadki kryminalnej, metodyczne, systematyczne dochodzenie do prawdy, co udawało się zwykle po wielokrotnej analizie faktów. W kryminałach zawsze łapano mordercę. Henry oczywiście wiedział, że w życiu nie zawsze tak bywa i że fakty można interpretować na wiele sposobów. Gdy spojrzy się na nie pod innym kątem, dochodzi się nieraz do zaskakujących konkluzji. Henry umiał wyciągać wnioski z analizy faktów, takich jak na przykład odcisk drobnej stopy w zaschniętym błocie czy niedopałek skręta, leżący na podjeździe do domu niepalącej pracownicy tutejszego banku. Teraz próbował ustalić, czy istnieje jakiś związek między nieznanym mężczyzną, widzianym na drodze w okolicy niedawnego pożaru i opisanym dość dokładnie przez kilku świadków, a cholernie rzeczowym śladem w postaci niedopałka skręta. Zaraz po pojawieniu się tego obcego w okolicy wydarzyła się seria trudnych do wyjaśnienia wypadków. Facet w barze pasował tu jak ulał i Henry gotów był nazwać się skończonym osłem, jeżeli nie miał racji.

Niemal w tej samej chwili zobaczył nieznanego na zakręcie. Ruszył za nim, zachowując bezpieczną odległość i starając się nie stracić go z oczu. Na długiej i prostej drodze nie było to trudne.

Szli tak około pięciu minut, a człowiek przed nim ani razu się nie obejrzał. Z początku Henry był pewien, że nieznajomy nie zdaje sobie sprawy, że ktoś go śledzi. Oświetlony parking przy barze Clancy'ego pozostał już dość daleko w tyle. Tak samo jak uliczne latarnie w okolicy knajpy. Zagłębili się w mrok nocy, rozświetlany tylko zimnym blaskiem księżycy. Droga odbijała to światło i jej nawierzchnia delikatnie połyskiwała. Na szosie nie oznaczono liniami pobocza, wąski pas wydeptanej ziemi zlewał się z czernią biegnącego obok rowu. Po pewnym czasie Henry zaczął się zastanawiać, czy facet z baru nie wie jednak, kto za nim idzie. Może w którymś momencie odwróci się i zrobi... coś nieprzewidzianego?

Chociaż myśl była dość niedorzeczna, Henry przystanął. Fantazja zaczęła działać i niebezpieczeństwo wydało mu się nagle tak realne, że miał ochotę przykucnąć, aby być jak najmniej widocznym celem, może nawet zsunąć się do rowu i stamtąd obserwować nieznajomego. W gruncie rzeczy nie wyobrażał sobie, co właściwie ten mężczyzna mógłby mu zrobić, a jednak miał się na baczności. Po chwili poczuł się nieco głupio. Odczekał więc, aż obserwowany facet oddali się o kolejne sto kroków, i ruszył za nim.

Tamten szedł, nie oglądając się za siebie.

Gdy znalazł się w kręgu światła, rzuconego przez przydrożną latarnię, Henry znowu się zatrzymał. Byli blisko domku Karen Grange. Nieznajomy miał już tylko trzydzieści, czterdzieści kroków do podjazdu. Henry stanął i patrzył, ciągle zachowując bezpieczny dystans.

W pewnej chwili zauważył, że coś wyfrunęło z kieszeni mężczyzny. Płynęło w powietrzu jak spadający z drzewa jesienny liść. Mimo stojącego powietrza w upalną, czerwcową noc, coś popłynęło w stronę drogi i upadło pod latarnię. Z miejsca, gdzie stał Henry, wyglądało to jak kawałek papieru.

Serce zaczęło mu mocniej bić. Znieruchomiał. Czekał.

Mężczyzna skręcił na podjazd prowadzący do domu Karen Grange i, czego Henry się spodziewał, ruszył żwirową alejką w kierunku budynku, ani razu nie oglądając się za siebie.

Zniknął na tyłach domu. Po odczekaniu jeszcze kilku minut Henry na gumowych nogach ruszył w stronę latarni, drżąc z podniecenia. Oczy utkwił w przedmiocie, który tam leżał, zastanawiając się, czy to nie jest jakaś pułapka, trik z gatunku dolara na nitce, który ucieka, gdy chce się go podnieść, i człowiek wychodzi na kompletnego idiotę.

Dobrze jednak wiedział, że to nie jest dolar na nitce. Nie wierzył też, że ucieknie, gdy się po to schyli. Przewidywał raczej, że gdy tam podejdzie, stanie się coś zupełnie innego. Dokładnie nie wiedział co, ale z pewnością coś okropnego.

Na drodze leżał niewielki kartonik. Wyglądał jak wizytówka. Szerzył popatrzył w stronę, gdzie zniknął nieznajomy. Obawiał się, że gdy wejdzie w krąg światła, wystawi się na cel i będzie zupełnie bezbrony. Wokół jednak panował spokój i cisza.

Henry podszedł do latarni i podniósł kartkę. To rzeczywiście była wizytówka, dość zniszczona i pocięta na brzegach, jakby długi czas spoczywała w czymś portfelu. Odczytał napis:

THOMPSON J. KEATLEY
PRZYWOŁYWACZ DESZCZU

Pod grubymi drukowanymi literami znajdował się jeszcze reklamowy slogan:

WIERZ W DESZCZ

Henry zmarszczył brwi i odwrócił wizytówkę. Z tyłu nie było nic. Żadnych notatek, zapisków, tylko plama w prawym dolnym rogu.

Nic szczególnego, poza tym, że wizytówka była ciepła. I wilgotna. Podniósł ją do nosa. Przed oczami znowu pojawiły mu się obrazy pogodnego niedzielного poranka.

Świeżo ścięta trawa... strzyżony trawnik... zapach żywej, wilgotnej ziemi.

Stał w świetle lampy i dłuższy czas wpatrywał się zdziwiony w wizytówkę. Czuł się, jakby ktoś zrobił z niego głupca.

Gdyby Carl Simpson wiedział, że Vida, podobnie jak on, pełni nocną wartę, niewątpliwie znalazłby z nią coś wspólnego. Oczywiście łzawił mu z niewyspania.

Nie było go w domu przez cały dzień i większość nocy. Nie miał pojęcia, czy żona wie, gdzie się podziewał. Nie znaczyło to wcale, że o nią nie dbał. Chociaż od kilku miesięcy umysł miał zasnuty mgłą, bardzo troszczył się o rodzinę. W pewnym sensie właśnie dla nich to robił. A zajmował się obserwowaniem.

Carl spędził cały dzień i noc jeżdżąc po polach na tyłach Goodlands i patrolując okolicę. Chociaż nie miał do końca pewności, czego szuka, doskonale wiedział, czego ma pilnować. Pilnował podziemnych wyrzutni raketowych. Był przekonany, że tam właśnie znajdzie odpowiedź na dręczące go pytania.

Krajobraz wokół Goodlands rzeczywiście był podziurawiony podziemnymi wyrzutniami jak ser szwajcarski. Podobnie zresztą jak niemal cała Dakota Północna. W okolicy Goodlands nie było ich więcej niż w pobliżu każdego innego miasta na tym terenie i to właśnie było takie niepokojące. Carl uważał, że oni po prostu wybrali jego miasto. Wyciągnęli jego nazwę z kapelusza, wyliczyli - ene, due, like, fake - albo rzucali strzałkami do mapy, przypiętej na ścianie czerwonymi pinezkami, których kiedy indziej używali do oznaczenia wyrzutni raketowych. Carl był przekonany, że wybrali Goodlands na chybił trafił, i nie mógł się pogodzić z taką nikczemnością.

Nie wiedział, co oni tak naprawdę tu robili, ale podejrzewał, że może cztery lub pięć lat temu ktoś zakradł się do Goodlands pod osłoną nocy i otworzył maleńką buteleczkę z jakąś tajemniczą substancją chemiczną, wyprodukowaną gdzieś we wschodnich stanach, a może w Teksasie lub Kalifornii, w każdym razie w jednym z tych miejsc, do którego Carl i setki takich jak on nie mieli cienia zaufania. I cokolwiek było w tej buteleczce, dostało się do nieba i wysuszyło je. Tylko nad Goodlands. Carl podejrzewał też, że w jednej z takich wyrzutni pod ziemią, nawet wówczas, gdy je obserwował, pracowali przy komputerach ludzie z rządu, robiąc pomiary, ile trzeba czasu, aby niebo uległo całkowitemu wysuszeniu, jak sucha może być ziemia, zajmując się podobnymi sprawami. Carl zastanawiał się, czy mierzą także inne efekty suszy. Na przykład, po jakim czasie zmarnieje uprawiana przez całe życie farma, kiedy udręczony troskami mężczyzna przestanie sypiać z żoną, ile czasu trzeba, aby rozpadły się rodziny, aby zamknięto sklepy, szkoły i przedsiębiorstwa. Carl był ciekaw, czy to także mierzą na swoich komputerach.

Chociaż siedzieli gdzieś pod ziemią, muszą przecież od czasu do czasu wychodzić na powierzchnię. A wtedy Carl na pewno ich zobaczy. Wówczas będą mogli zapisać w komputerach coś konkretnego. Świat powinien o tym wiedzieć.

Carl po raz pierwszy od dłuższego czasu czuł, że robi coś użytecznego. Zamiast siedzieć z założonymi rękami i patrzeć, co dzieje się z jego rodziną i przyjaciółmi, patrolował okolice Goodlands. Ale było

jeszcze coś. Te jazdy wokół Goodlands ożywiły wspomnienia, do których od lat już nie wracał.

Przypominał sobie, jak z kolegami ze szkoły zabierali swoje dziewczyny do kamieniołomów niedaleko farmy Eda Kramera, tego samego, któremu kilka dni temu spaliło się pole, i wypróbowywali na nich najstarsze sztuczki świata. „Upijemy je, będą łatwiejsze” - żartowali w drodze po dziewczyny, ale w ich śmiechu oprócz podniecenia można było także wyczuć strach. Zamierzali tak długo częstować je drinkami, aż ulegną. Żadna nie uległa. Dziewczyna Carla, Sharon Gillespie z okolic Telander, nie wypila prawie nic. Spróbowała łyk wina i natychmiast wypluła ze wstrętem. Przez resztę wieczoru piła colę i nie pozwoliła Carlowi na więcej niż dotykanie przez bluzkę swoich piersi. Dziewczynie Drakera smak aż tak bardzo nie przeszkadzał, ale po wypiciu czterech drinków zasnęła i musieli ją wnieść przez okno sypialni. Cały miesiąc siostra ją szantażowała.

Carl uśmiechnął się do tych wspomnień.

Dopiero od swojej żony, Janet, uszczknął odrobinę tego, o czym marzył. Oczywiście, jeszcze zanim się pobrali, były to przecież lata sześćdziesiąte i wszyscy to robili, nawet panienki z dobrych domów w Goodlands.

Carl i Janet chodzili do tej samej szkoły. Znał ją tak dobrze, jak tylko mały chłopiec może znać małą dziewczynkę, nie zwracając na nią większej uwagi. W małych miasteczkach, gdy widuje się kogoś tak często, staje się on bardziej niewidzialny niż rodzina. Po prostu jest zawsze obok, niby element krajobrazu, podobnie jak silosy zbożowe, wagony kolejowe i podziemne wyrzutnie. On i jego kumple nie mogli się doczekać, kiedy pójda do średniej szkoły w Telander i spotkają wreszcie prawdziwe dziewczyny. Umawiali się z każdą świeżo poznaną dziewczyną, każda wydawała się piękna jak obrazek... A swoją drogą to ciekawe, jak wielu z nich związało się z dziewczynami z rodzinnego miasteczka. Carl z Janet, Draker z Peggy, Andy z Marg Bell, która miała brata lekarza.

Kiedy zrobił to z Janet po raz pierwszy, już po kilku dniach udało mu się powtórzyć. Chociaż jednak Janet powiedziała, że było „miło”, nie pozwoliła zrobić mu tego ponownie wcześniej niż na trzy tygodnie przez ślubem, a i wtedy musiał długo nalegać. Twierdziła, że nie chce, aby się do tego przyzwyczaił. On zaś pomyślał, że chyba straciła zmysły, jeśli uważa, że można się przyzwyczaić do rozkoszy tak cudownej, boskiej. Jak mógłby kiedykolwiek się tym znudzić? Janet powiedziała,

że jeśli poczekają, ich noc poślubna będzie bardziej fascynująca dla nich obojga. I miała rację. Zanim jeszcze skończyła się ceremonia, Carl był już gotowy ją porwać do małego hoteliku w Weston, gdzie mieli zostać do następnego dnia, kiedy to wyruszą w podróż poślubną do Bemidji w stanie Minnesota. Niestety, czekało ich jeszcze przyjęcie, podczas którego wznoszono toasty na ich cześć, a także tańczone. Mimo że bawił się dobrze, nie upił się za bardzo. Janet natomiast wypila trzy szampany i była na lekkim rauszu, co w połączeniu z ogarniającym ją podnieceniem sprawiało, że wszystko wydawało się znacznie bardziej niesamowite niż wcześniej, gdy spotykali się na ciężarówce, mając nad sobą błękitne niebo.

Carl nigdy się do tego nie przyzwyczaił. Niemal cały pierwszy rok małżeństwa spędzili w łóżku. Pewnego razu, podczas niespodziewanej wizyty jej rodziców, musieli się w pośpiechu ubierać i wybiegać z sypialni. Jednak teść zdążył ich zobaczyć w negliżu i następne kilka minut było dla wszystkich bardzo krępujące. Po tym wydarzeniu rodzice Janet już nigdy nie odwiedzali ich bez zapowiedzi. Oboje z żoną śmiali się z tego potem jak szaleni i natychmiast wrócili do łóżka, aby dokończyć to, co przerwali im teściowie.

Jedynym powodem do zmartwień w trakcie pierwszych lat ich małżeństwa było to, że Janet nie mogła zająć w ciąży. Zaczęła się tym przejmować mniej więcej w rok po ślubie. Wszyscy pytali bez przerwy, kiedy spodziewają się maleństwa. Carl pocieszał ją, że te sprawy wymagają cierpliwości i czasu. Przekonywał, że nie ma powodu do smutku, że są jeszcze bardzo młodzi i może Pan Bóg chce, by trochę wydorosleli, zanim pojawi się dziecko, o które trzeba się umieć zatroszczyć. I czekali.

Farma z każdym rokiem dawała coraz większe zyski. Minęło dziesięć lat, w czasie których Janet trzy razy poroniła, zanim przyszedł na świat Butch. Nagle otworzyło się niebo, Bóg ofiarował im syna. Zanim to się stało, przechodzili mniejsze lub większe kryzysy małżeńskie. Carl spędzał za dużo czasu z kolegami poza domem, Janet wydawała za wiele pieniędzy, chciała też wystąpić o adopcję, a Carl wołał jeszcze poczekać na własne dziecko, no i oczywiście bardzo przeżywali wszystkie trzy poronienia. W ciągu tych lat zdążyli się już sobą znudzić, a Janet nie umiała czerpać satysfakcji z życia na farmie i wykonywania codziennych obowiązków. Była to ciężka fizyczna praca w polu, w obejściu, przy oporządzaniu zwierząt. Janet wiedziała oczywiście, na co się decyduje, gdy za niego wychodziła i, prawdę

powiedziawszy, kochała takie życie, podobnie jak jej mąż, ale chciała i siebie, i jego poddać próbie. Któregoś roku wyprowadziła się do siostry w Minneapolis, gdzie znalazła pracę w sklepie spożywczym. Cztery miesiące trwało, zanim uświadomiła sobie, czego chce. Wróciła do męża i do domu z nowym nastawieniem, raz na zawsze przekonana, że tu jest jej miejsce. Dokonała wyboru.

Ich małżeństwo dotknęły typowe kryzysy, jednak Carl i Janet wyszli z tego zwycięsko. I wtedy zaczęła się susza. Po pewnym czasie pojawiły się między nimi nowe napięcia. Carl domyślał się, że to coś więcej niż dotychczasowe kryzysy, ale nie przywiązywał do tego większej wagi. Powtarzał Janet, że czasami mężczyzna musi po prostu zrobić to, co robi.

Zdawał sobie sprawę, że już pierwszego roku, gdy zaczęła się susza, powinien był sprzedać kawałek ziemi. Nie zrobił tego jednak. Podobnie jak wszyscy myślał, że przemęczy się jakoś przez rok, a potem sytuacja powoli zacznie się polepszać. Farma przynosiła jeszcze wtedy zyski, głównie dzięki hodowli świń. Kiedyś trzymali także krowy i sprzedawali mleko, ale odkąd wybudowano w pobliżu wielką mleczarnię, przestało się to opłacać. Mieli kilka krów, wyłącznie na własny użytek.

Janet nie wierzyła, gdy jej powiedział, co się dzieje. Nawet kiedy jej wytłumaczył, że na to właśnie liczy rząd. Spodziewają się, że ludziom to nie przyjdzie do głowy, że będą siedzieli z założonymi rękami. Dopóki cały świat nie runie w gruzy, a wtedy będą już mogli jedynie gryźć ziemię. Ostatnie słowa wykrzyczał, a Janet słuchała go w milczeniu, przerażona. W nocy długo nie mogli zasnąć. Leżeli obok siebie, wsłuchani w swoje oddechy.

Janet nie miała Carlowi nic więcej do powiedzenia poza tym, że martwi się o niego, i poradziła, aby znalazł sobie kogoś, z kim mógłby o tym porozmawiać. Wtedy właśnie odwiedził Henry'ego Barkera, który cierpliwie go wysłuchał. Ale Carl nie był głupcem, skończył szkołę średnią, a nawet liźnął czegoś jeszcze i doskonale wyczuwał, kiedy nie traktuje się go poważnie. Osobiście nie dbał o to, co stanie się z Barkerem. On także go nie rozumiał.

Dookoła wszystko już było zniszczone, a oni siedzieli na tyłkach i czekali na deszcz, który nie nadchodził. Było już za późno, aby sprzedać ziemię i wyjechać. Carl powoli tracił wszystko. Spodziewał się jeszcze nie w tym miesiącu - jeśli Bóg się zmiłuje, to dopiero w następnym - telefonu od Karen Grange z banku. Zanim to jednak nastąpi,

chciałby wiedzieć. Pragnął udowodnić wszystkim, że zrobili im to ludzie, a nie Bóg. I to ludzie przez nich samych wybrani. Potrafiłby to udowodnić. Wtedy pomachałby zdjęciami, a może jakimiś dokumentami przed nosem tych w banku i zobaczyłby, co zrobią.

Mężczyzna nie powinien siedzieć na tyłku i pozwalać, aby jego rodzina zaopatrywała się w żywność w innym mieście. Tak nie postępuje prawdziwy mężczyzna. Prawdziwy mężczyzna działa.

Janet nie rozumiała, że chodzi o Minneapolis ani o kupowanie żywności w innym mieście, ani nawet o to, że czekali aż dziesięć lat na dziecko. Chodzi o męskość. O odpowiedzialność za rodzinę.

Carl zjechał półciężarówką na suche, martwe pole i zgasił silnik. Sięgnął na sąsiedni fotel po lornetkę. Nadszedł czas obserwacji.

Znajdował się daleko za miastem, na ziemi, która kiedyś należała w całości do Johannasona. Jego syn ożenił się z dziewczyną z Telander i wyprowadził się tam. Później zajął się polityką i został senatorem. Gdy zmarł, nazwano jego imieniem lokalną szkołę. Ale wcześniej jego rodzina sprzedała ziemię i wyjechała. Pola Johannasona zostały włączone do okolicznych farm. Niektórzy właściciele opuścili je, gdy sytuacja w Goodlands stała się ciężka do wytrzymania.

Carl rozsiadł się wygodnie w samochodzie i obserwował po kolei każdą z okolicznych podziemnych wyrzutni. Zastanawiał się, czy mają tam w środku toalety. Na pewno tak, bo inaczej zauważyłby, gdyby wychodzili sikać na zewnątrz.

Ze swojego punktu obserwacyjnego za płotem na końcu posiadłości Manna śledził z uwagą najbliższą okolicę. W przerwach pocierał dłonią oczy i często mrugał. Były czerwone i szczypały go od pyłu, który wpadał przez otwarte okno samochodu, oraz od wytężonego, nieprzerwanego patrzenia.

W pewnej chwili coś zauważył.

W lornetce pojawił się jakiś facet, którego Carl nie rozpoznał, lecz uznał za niezwykle podejrzanego. Miał długie włosy i z pewnością jakieś złe zamiary. Szedł wolno Parson Road. Carl zauważył, że coś wypadło za nim na ziemię. Nie widział dokładnie co, ale zauważył drżenie światła i cienia, gdy opadało w dół. Pomyślał, że należałoby sprawdzić, co zgubił ten podejrzanie wyglądający, długowłosy młodzieniec. Obserwowany zniknął za domem należącym niegdyś do Manna. Carl oczekiwał, że za chwilę wyłoni się z drugiej strony budynku i pójdzie dalej Parson Road. Oczywiście, zamierzał sprawdzić, kto to jest. Poczeka jeszcze kilka minut, a później uruchomi samochód

i pojedzie za nim. Pomyślał, że dogoni go na skrzyżowaniu Parson Road i Concession 5. Concession 5 to dawna droga polna, ostatnio praktycznie nieużywana, gdyż obie farmy, które łączyła, były już od dawna opuszczone. Podobnie jak wiele innych w okolicy.

Chwilę później wydarzyło się coś bardzo interesującego.

Carl zamierzał już odłożyć lornetkę, gdy w polu widzenia pojawił się nie kto inny, jak szeryf Henry Barker we własnej osobie i podniósł z ziemi to, co upuścił nieznajomy mężczyzna. I, co ciekawsze, przeczytał to.

Henry Barker, lokalny stróż prawa.

Henry Barker, człowiek, który powinien wiedzieć o wszystkim, co dzieło się w lokalnej społeczności. Człowiek z kontaktami w rządzie, aczkolwiek niezbyt istotnymi. Człowiek, który zdawał się nie wierzyć w ani jedno słowo o podziemnych wyrzutniach rakietowych.

Carl poczekał, aż Henry pójdzie w swoją stronę, i dopiero wtedy schował lornetkę do futerału. Następnie włączył silnik, mając nadzieję, że nikt go nie usłyszy, a nawet gdyby, będzie go to gównem obchodziło. Tak bowiem zachowują się ludzie pokroju Henry'ego Barkera. Gównem ich obchodzi, co się dzieje. Ale nie Carla. On się tym przejmuje. Bardzo się przejmuje.

Z prędkością nie większą niż piętnaście kilometrów na godzinę pojechał ze zgaszonymi światłami aż do miejsca, gdzie Concession 5 przecinała się z Parson Road. Dał Henry'emu czas na powrót do samochodu. Nie chciał go spotkać. Miał zamiar pierwszy znaleźć tego nieznajomego. Wtedy zobaczymy, co powie Henry. Może już tej nocy. A może jutro. Zobaczymy.

Carl skręcił na Parson Road.

Mogłoby się wydawać, że Tom niczego nie podejrzewał i nie zwracał uwagi, co się wokół niego dzieje, ale doskonale zdawał sobie sprawę, że jest śledzony. Czuł na sobie czyjeś natrętne oczy. Wiedział na pewno, że obserwują go dwie osoby, zastanawiał się też, czy nie robi tego jeszcze ktoś trzeci, w sensie dosłownym i w przenośni ukryty w cieniu. Tej postaci nie mógł zidentyfikować, był to ktoś niezwykle, kto wymykał się jego percepcji. Tom wiedział, że szedł za nim gliniarz z baru. Widział go bardzo dokładnie, jakby cały czas patrzył wprost na niego. Szybko się zorientował, że szeryf okropnie się denerwuje, i nie mógł się powstrzymać przed splątaniem mu figła.

Tego drugiego trafiły jakieś okropne problemy. Jego postać spowita była w czarną chmurę zmartwienia. Promieniował od niego strach i niepewność. Człowiek ten rozpaczliwie czegoś szukał, nie wiedząc, że goni za urojeniem. Teraz obserwował Toma, który jednak nie przewidywał w związku z tym kłopotów. Zresztą już wkrótce to wszystko się skończy.

Trzeciej osoby Tom nie mógł dostrzec, bo ukryła się w cieniu, na krawędzi jego świadomości, nie pozwalając się do siebie zbliżyć. Ktokolwiek tam się krył, był dla niego niedostępny.

Tom nagle zatrzymał się na słabo oświetlonym podwórku na tyłach domu Karen.

Miał nadzieję, że porządna kolacja zjedzona na świeżym powietrzu i kilka piw dobrze mu zrobi. Niestety, wszystko zawiodło. Przez cały dzień coś go prześladowało, a może w ogóle towarzyszyło mu, odkąd pojawił się w Goodlands, teraz zaś miał wrażenie, że go w końcu dopadło. Serce ciążyło mu w piersiach i nie mógł się uwolnić od przeżucia, że nadchodzi coś nieuchronnego. Koło się zamyka.

Ci, którzy go śledzili, nie stanowili prawdopodobnie większego zagrożenia. To tylko tutejsi mieszkańcy, którzy nie mają wiele do roboty i muszą jakoś zabić czas. Sfrustrowany facet wybrał się pewnie na przejażdżkę, aby zastanowić się nad swoimi problemami i tak się akurat złożyło, że go zauważył. Nic nadzwyczajnego. A ten drugi, szeryf, robił po prostu to, co do niego należało. W małych miasteczkach każdy obcy jest od razu podejrzany. Goodlands miało własne kłopoty i miejscowy przedstawiciel prawa chciał się tylko upewnić, czy Tom nie przysporzy mu nowych. O trzeciej śledzącej go osobie, a może duchu, nic nie potrafił powiedzieć.

Ta sytuacja nie powinna więc raczej wpływać na samopoczucie Toma. Jego przeświadczenie, że nieuchronnie zdarzy się coś niedobrego, coś, na co on sam nic nie może zaradzić, miało inne źródła. Spodziewał się, że będzie miał zdecydowanie lepszy nastrój, nawet znakomity, jak zawsze przed sprowadzeniem deszczu. Zwykle wpływało to z niego i deszczu, z magnetycznych właściwości, które stanowiły o jego talencie. Oczekiwanie na otwarcie się nieba, sprowadzenie na ziemię potoków deszczu, uwolnienie tak długo więzionego w górze zwierzęcia, to wszystko podniecało go i upajało radością. Powinien był się czuć piekielnie dobrze wiedząc, że już jutro niebo znowu otworzy się nad Goodlands, wszystkie przeszkody zostaną zniesione. Niestety, był daleki od zadowolenia.

W Winslow, w stanie Kansas, spadł dobry deszcz. To miasteczko długo na taką ulewę czekało. Tom nie potrafił tłumaczyć zjawisk natury. On sam odgrywał najczęściej rolę katalizatora, ślusarza, nawigatora, który lokalizuje problem i wskazuje go. Mieli tam bardzo dobry deszcz.

Ale nie zawsze tak bywało.

Opowiedział Karen o Schwitzerach. To nie był jedyny taki przypadek. Były też inne, podobne.

Tom przypomniał sobie historię sprzed dziesięciu laty, pewne miasteczko gdzieś w Dakocie Południowej. Wędrował wzdłuż autostrady, co jakiś czas zatrzymując samochód i coraz wyraźniej czując nad sobą wysuszone niebo. Po pewnym czasie zrobił sobie przerwę na posiłek i wtedy ogarnęła go fala złych przeczuc. Nie potrafił tego wytłumaczyć i zastanawiał się nawet, czy z jego głową jest wszystko w porządku. Złe myśli napływały nieprzerwanie, na przemian gorącosuche i zimno-wilgotne. W takim stanie znowu ruszył w drogę. Szedł na wschód. Gdy dotarł do najbliższego miasta, był już pewien, że jest u celu.

Miasto było małe, chociaż nieco większe niż Goodlands i jeszcze bardziej na uboczu. Najbliższa miejscowość znajdowała się o dobrą godzinę jazdy samochodem. Tom przebył długą drogę, ale gdy tylko przekroczył granice miasta, już wiedział.

Zbliżył się tam pod osłoną nocy, widząc z drogi jakieś światła, które okazały się reklamą czynnego całego noc baru. Domyślił się, że niedaleko jest jakieś miasto, skąd napływa klientela. Postanowił się tam zatrzymać - posiedzi, zje coś ciepłego i nie pogryzą go komary. Chciał przekonać się, czy to miejsce ma coś wspólnego z jego gorącosuchymi i zimno-wilgotnymi odczuciami.

Było tam dość sucho, to prawda, czuł to wyraźnie. Ale na Środkowym Zachodzie takie zjawisko to nic nienormalnego. Burze przychodzą tu zwykle w nocy i deszcze zalewają miejsce, gdzie od tygodni nie spadła ani jedna kropla wody. Dlatego Tom nie w pełni mógł ufać swoim przeczuciom i wewnętrznemu radarowi. W takich sytuacjach musiał polegać na tym, co mówili mu ludzie. Jeżeli był im naprawdę potrzebny, potrafili go wypatrzeć w tłumie. Często nawet bezwiednie.

Na parkingu przed barem stały trzy samochody. Tom po raz ostatni sprawdzał czas, zanim wyruszył na autostradę, ale intuicja mówiła mu, że dochodzi pierwsza w nocy. Minęła godzina duchów, jak mawiała jego matka. Bar był jednak rześkie oświetlony, jak w

karnawale, paliły się wszystkie światła, a przez okna widać było, że interes się kręci. Kobieta za barem myślała szklanki, gruby facet w białym fartuchu kucharza przekomarzał się przy kontuarze z jakimś starszym gościem.

Tom usiadł i zamówił kawę.

- Nie zauważyłam, jak pan podjechał - powiedziała barmanka przepraszającym tonem, podając mu kubek z kawą, do której włożona już była łyżeczka.

- Przyszedłem pieszo - wyjaśnił.

- Skąd?

- Przewędrowałem kawałek drogi - odpowiedział wymijająco.

Kobieta pokiwała głową i nie pytała już o nic. Wróciła do myciaszklanek, odwrócona plecami. W gruncie rzeczy nikt tutaj nie zwracał na niego uwagi. Wydawało mu się to dziwne, gdyż gdziekolwiek się pojawiał, zawsze był obcym i przywykł już do rzucanych ukradkiem spojrzeń.

Kucharz wciąż rozmawiał ze znajomym. Gdy Tom wchodził do baru, zatrzymał na nim na chwilę wzrok, nie przerywając konwersacji. Nawet nie kiwnął głową na przywitanie. Stary zaś w ogóle na niego nie spozjrzał. Inny gość, siedzący w głębi sali, miał oczy utkwione w blat stolika.

Toma ogarnęła fala tych samych uczuć, jakich doświadczył przed przyjściem do baru. Gorąco-suche i zimno-wilgotne. Płynęły od ludzi, od ziemi, a może nawet od tego baru.

Barmanka podeszła i zaoferowała jeszcze jedną porcję kawy.

- Czy długo macie tutaj suszę? - zapytał Tom.

- Owszem. Deszcz nie pada już ponad miesiąc. Dla nas to nic nie-normalnego. Czy pan jest farmerem?

- Nie.

Ani na jej twarzy, ani w oczach nie było najmniejszego śladu uczuć lub emocji. Uśmiechnęła się do niego sztucznie, jakby jakieś niewidzialne struny rozciągały jej wargi w konwencjonalnym grymasie.

Tom wypił tylko pół dolanej mu kawy i zapłacił. Chciał jak najszybciej wyjść. Gdy ponownie znalazł się na autostradzie, przywołał dla nich trochę deszczu. Było to łatwe, jakby deszcz sam już się zbierał do padania.

Po dwudziestu minutach zabrał go z drogi jakiś komiwojażer. Jechali razem przez resztę nocy. Tom wysiadł w miejscowości o nazwie Bellston i pomachał mu na pożegnanie.

Był już bardzo głodny i postanowił coś zjeść. Zatrzymał się w pierwszym napotkanym barze, kompletnie innym od tamtego odwiedzonego w nocy. Odetchnął z ulgą, czując znów na sobie niechętnie spojrzenia gości, i uśmiechnął się do ciekawskiej kelnerki, starszej kobiety ze śladami dawnej urody, o włosach farbowanych na przedziwny żółty kolor, mający ukrywać siwiznę.

Mimo głośnych rozmów i brzękania talerzami dało się słyszeć z radia głos spikera. Była pora śniadaniowa i w barze panował tłok. W pewnej chwili kelnerka uciszyła gości i podkręciła radio.

Nadawano wiadomości. Ostrzeżenie o tornado.

Tornado szalało w Wellesby, a może Wellbee, gdzie zginęło już kilkanaście osób.

„Do końca dnia spodziewane są ulewne deszcze. W dalszym ciągu utrzymuje się zagrożenie tornadem. We wszystkich miejscowościach w tej okolicy ogłoszono stan alarmowy, który trwać będzie do następnego dnia. Stanowe Biuro Meteorologiczne przewiduje...”

Tom nie dosłyszał reszty, gdyż w barze znowu wrzało jak w ulu.

Wiedział bez sprawdzania, że tornado zniszczyło bar, w którym pił poprzednią kawę, i dałby głowę, że wśród ofiar byli także ludzie, których tam spotkał. Widział to w ich oczach. Dlatego mieli takie puste twarze, pozbawione uczuć. Jeszcze tego nie wiedzieli, ale już wówczas byli martwi.

Zaraz pojechał dalej. Jak się dowiedział, tornado nie nawiedziło Bellston. Spadł tylko deszcz, a nawet ulewa, ale niegroźna.

Tom wiedział, że był to jego deszcz. Nie umiałby powiedzieć dlaczego, krople były przecież takie same, po prostu wiedział. Był również pewien, że to, co zdarzyło się w miasteczku Wellesby, a może Wellbee, nie było jego dziełem. To musiało się tam zdarzyć. On posłużył jedynie jako katalizator.

Czasami deszcz ma swoją cenę. Tom nie mógł jej jednak przewidzieć, podobnie jak ci ludzie w barze nie wiedzieli, że wkrótce umrą.

Natura sama czasami podejmuje decyzje. Gdy Tom zbliżał się do tego miasta, czuł, że w powietrzu wisi coś niedobrego. Nie był jednak medium, nie potrafił przewidzieć, co stanie się w przyszłości. Odbierał przekaz odnoszący się do chwili teraźniejszej, a i na nim nie zawsze mógł polegać. Był tylko świadkiem czegoś, co już się działo, a natura sama podejmowała decyzje. On decydował jedynie, czy wziąć odpowiedzialność za deszcz.

Schwitzerowie także byli już wcześniej skazani. W ich przypadku deszcz spełnił tylko rolę katalizatora. Cena, jaką musieli zapłacić, nie miała nic wspólnego z deszczem sprowadzonym przez Toma. To wszystko było im pisane.

Jeśli więc Goodlands rzeczywiście musi za coś odpokutować, Tom pewnie się o tym nie dowie. Nigdy nie wiedział, co się stanie, gdy spadnie deszcz, jakie uruchomi siły i żywioły. Tak było w miasteczku Wellesby, a może Wellbee, ze Schwitzerami i w wielu innych przypadkach. Być może, w Goodlands nie zdarzy się nic szczególnego. Może zaczną padać, a ludzie poczują się lepiej, odzyskają swoje farmy, Karen nie straci pracy i będzie szczęśliwa, że mieszka w Goodlands, gdzie wszyscy darzą ją szacunkiem. Tom mógłby tu zostać i zapomnieć, jak mocno miasto załazło mu za skórę, a także o ponurym, podziemnym dudnieniu i przeczuciu nieuniknionego nieszczęścia.

Takie przeczucie często towarzyszyło mu w dzieciństwie, zwykle na dzień lub dwa przed powrotem ojca z kilkudniowej hulanki. Zarówno jemu, jak i matce dopisywał zwykle dobry nastrój, który znikał jednak tuż przed przyjściem ojca. Czuli wówczas, że szykuje się coś niedobrego. Oboje stawali się bardzo rozdrażnieni, kłócili się bez wyraźnej przyczyny. Każdy, najmniejszy nawet szelest powodował, że wlepiali spojrzenie w drzwi. Przeczowali nieszczęście. Gdy ojciec wracał do domu, oddychali z ulgą, że chodziło tylko o to. Przynajmniej wiedzieli, czego mogą się po nim spodziewać.

„Masz to, na co sobie zapracowałeś” - mawiała jego matka. Czasami stanowczym głosem, i wtedy brzmiało to jak ostrzeżenie, czasami z westchnieniem smutku. W dzieciństwie Tom myślał, że jest to jedno z wielu niezrozumiałych zdań, jakie wygłaszają dorośli, a znaczenie stanie się dla niego w dalekiej przyszłości absolutnie jasne. Pojął, o co chodzi, już w wieku dwunastu lat.

Jego matka dostała właśnie to, na co sobie zapracowała.

Zanim znalazła się w szkole średniej, uważana była za bardzo niesforne dziecko. Po „wypadku”, jaki miał jego ojciec, Tom usłyszał pewnego dnia rozmowę dwóch sąsiadek. Szeptały między sobą, że jego matka całe życie szukała mocnych wrażeń, a już jako nastolatka „latała za chłopakami”. Tom nie rozumiał wówczas tego sformułowania, domyślał się jedynie, że oznacza coś nagannego. I że rzuca złe światło na nich wszystkich. Kumoszki paplały później, że z Tomem będą w przyszłości kłopoty, niezależnie od tego, dokąd pójdzie i co będzie w życiu robił. A jego matka na dobre zmarnowała sobie życie,

wybierając „tego”. To znaczy jego ojca. Pamiętał, jak matka powiedziała mu kiedyś, że to był najgorszy wybór w jej życiu. Mówiąc to, śmiała się, ale Tom już wówczas wiedział, że wcale nie było jej wesoło.

Masz to, na co sobie zapracowałaś. To zdanie można odnieść do wielu różnych sytuacji. Na przykład do suszy.

Jeśli Goodlands odbywa pokutę, Tom nie był w stanie niczego zmienić. Podobnie jak nie mógł zatrzymać deszczu, gdy już go przywołał.

Nie zależało mu specjalnie na tym mieście. Nie było jego. Ale mieszkała tam Karen.

Z jej powodu było mu ciężko na duszy. Jeżeli miałoby się tam zdarzyć coś złego, za żadne skarby nie chciałby, aby ją to dotknęło. Była dobra. Wbrew temu, co mówił wcześniej, był już pewien, że sprowadzając go tutaj, miała wyłącznie dobre intencje. Z pewnością nie działała z pobudek egoistycznych. Szukała, próbowała zamknąć koło, zupełnie jak on. Mieli ze sobą wiele wspólnego.

Polubił tę dziewczynę i nie chciał, aby jej się coś przytrafiło. Polubił ją tak bardzo, że wciąż zastanawiał się, czy nie powinien wyjechać rano bez pożegnania. Może dla niej byłoby lepiej, gdyby wszystko zostało po staremu. I dla miasta, które stanowiło zamknięcie jej koła. Niech natura robi swoje, ale bez jego udziału.

I wtedy nagle, stojąc w ciemnościach, pomiędzy domem i polaną, zapragnął ją zobaczyć. Zobaczyć jej twarz. Sprawdzić, czy nie jest pusta, bez wyrazu, jak u tych ludzi z naznaczonego piętnem nieszczęścia baru. Tylko zobaczyć.

Odwrócił się w stronę domu. Chciał ją tylko zobaczyć. Wszedł na tylny ganek i zapukał. Zauważył, że wewnętrzne drzwi są otwarte. Zapukał jeszcze raz i usłyszał, że Karen nadchodzi.

- Chwileczkę! - zawołała zaspąnym głosem.

Obudził ją.

Gdy ją ujrzał przecierającą oczy, z włosami w nieładzie i nierówno zapiętym szlafrokiem, pożałował, że ją niepokoi. Nie był już nawet pewien, czego się spodziewał.

- Co się stało? - wyszeptła.

Rozmawiali przez uchylone drzwi.

- Chciałem tylko powiedzieć dobranoc.

Pokiwała głową i spojrzała mu w oczy. Pchnęła lekko drzwi i wyszła na ganek. Drzwi zamknęły się za nią lekko. Stali w milczeniu, wpatrując się w noc.

Gdy patrzyło się w odpowiednim kierunku, widać było niezmiernie obszary bezludnej prerii. Nad nimi rozciągało się bezkresne niebo. W dali, jakąś godzinę drogi samochodem, pojawiła się chmura. Jutro gdzieś spadnie deszcz. Reszta nieba była w kolorze indygo.

- Niebo jest czyste - powiedziała Karen z niedowierzaniem w głosie.

Tom kiwnął głową. Patrzył na jej oświetlony blaskiem księżycy profil. Wyglądała pięknie. Światło padało z jednej strony na jej policzki, włosy miała zmierzwiłone, a powieki ciężkie od snu. Odwróciła się i zobaczyła, że ją obserwuje.

- Jutro będą chmury - powiedział.

Spuściła wzrok, ale nie odwróciła głowy. Wydawała się zakłopotana.

- Nie idę jutro do pracy - powiedziała. - Zadzwoń i powiem, że jestem chora. Co pan o tym sądzi?

Pokręcił głową. Karen spojrzała mu w oczy, a następnie otworzyła drzwi, zamierzając wejść do domu.

Tom pocałował ją bardzo delikatnie w usta. W momencie gdy dotykał jej warg, czuł, że jej serce bije głośniejsze. Zobaczył szeroko otwarte, zdziwione oczy.

- To na szczęście - rzekł.

Karen stała nieruchomo.

- Rozumiem - odpowiedziała po chwili.

Weszła do domu i zniknęła w ciemnej kuchni. Nie odwróciła się. Tom słyszał, jak cicho zamyka za sobą drzwi do sypialni. Zszedł po schodach i ruszył w stronę polanki. Potrzebował snu.

Jutro będzie padać, a on powinien zebrać siły, aby sprostać zadaniu. A potem zapomnieć o Goodlands, zapomnieć o tej kobiecie. Wziąć pieniądze i zaszyć się w jakimś miejscu, gdzie zawsze jest wilgotno, gdzie można upijać się powietrzem gęstym jak woda. Gdzie nie będzie musiał ciągle patrzeć w niebo. Tutejsze niebo było zbyt wielkie. Tom pragnął znaleźć się w miejscu, gdzie mógłby spijać rosę wprost z liści.

Karen kręciło się w głowie. Weszła do sypialni i lekko pchnęła drzwi, nie dbając o to, czy się zamkną. Dotknęła palcami ust. Pocałował ją.

Czuła to całym ciałem, wciąż jeszcze to czuła. Była jak naelektryzowana, a serce waliło jej nieprzytomnie.

Jutro nie pójdzie do pracy i przeniesie skalny ogródek w kąt podwórka. To będzie dobra wymówka. Tak naprawdę bowiem zamierzała

poczekać na deszcz... i na niego. Nigdy nie lubiła ogródka, a zwłaszcza skalniaka. Nie znajdowała przyjemności w zajmowaniu się kamieniami i ziemią. Ogród najpierw zarósł chwastami, potem wysechł i wyglądał jak martwy. Zostały tylko kamienie, ułożone w wymyślny wzór, jakiego nigdy nie stworzyłaby natura. Mogła je po prostu rozrzucić po całym podwórku, aby wróciły do natury, porosły mchem i skryły się w roślinach, które wyrosną, jak tylko pojawi się trochę wilgoci.

To był bardzo delikatny pocałunek. Na szczęście, powiedział. Ale Karen poczuła wtedy, że ziemia umyka jej spod stóp, zupełnie jak na karuzeli.

Po raz pierwszy pozwoliła sobie na takie wirowanie.

Carl dobrze obliczył czas. Jechał Parson Road wolno, ze zgaszonymi światłami. Do posiadłości Manna dotarł akurat na czas, aby zobaczyć, jak długowłosa mężczyzna przemierza podwórko i kieruje się w stronę rosnących nieopodal drzew.

Spodziewał się, że spotka go idącego dalej drogą. Najpierw zobaczył biały dach altanki na tyłach domu, a zaraz potem tego mężczyznę. Widział go już wcześniej. Był tego pewien.

Dojechał wolno, wciąż ze zgaszonymi światłami, do końca Parson Road i zaparkował na poboczu. Zgasił silnik i czekał. Co chwila ogłądał się za siebie, jakby sprawdzając, czy nikt go nie śledzi. Chciał mieć pewność, że jest sam. Po kilku minutach wysiadł i skierował się w stronę posiadłości Manna. Samochodu w ciemnościach nie było widać.

Carl musiał sprawdzić, dokąd poszedł tamten facet.

Na terenie posiadłości Manna nie było podziemnych wyrzutni rakietowych. Nie znaczyło to jednak, że nie znajdowało się tam coś innego. Wiedział, że teraz mieszka w tym domu urzędniczka z banku. Z pracownikami banków zawsze są kłopoty. Mają brudne ręce.

Przemknął chyłkiem przez podwórko. W domu nie paliło się żadne światło. Jeżeli był tam nawet ktoś jeszcze poza pracownicą banku o brudnych rękach, z pewnością wszyscy już spali.

Jak najciszej przeszedł przez podwórko i zatrzymał się na skraju sadu. Rosnące tam drzewa od wielu lat nie owocowały, a susza wypaliła w nich resztę żywotnych soków. Schylił się, usiłując dojrzeć coś poprzez gałęzie i krzaki. Żałował, że nie wziął ze sobą lornetki, chociaż z miejsca, gdzie stał, nie zauważał w najbliższej okolicy żadnego

ruchu. Było to znakiem, że albo śledzony mężczyzna poszedł gdzieś dalej, albo po prostu się nie ruszał. Carl nie widział innej możliwości.

Po chwili namysłu wszedł między drzewa. Miał na nogach ciężkie buciory, ale starał się stąpać bezszelestnie.

Gdy był już blisko polany, zauważył leżącego na ziemi mężczyznę.

Spoczywał na plecach, na kocu lub śpiworze, zakrywając jedną ręką oczy przed mocnym blaskiem księżyca. Gdy Carl był małym chłopcem i chciał, aby ktoś towarzyszył mu w nocy na podwórku, jego dziadek zawsze mawiał: „Chłopcze, tam jest tak jasno, jakby ktoś zapalił sześćdziesięciowatową żarówkę”. Leżący mężczyzna miał zasłonięte oczy, aby móc spać. Carl nie ruszał się z miejsca. Zastanawiał się, czy ten człowiek naprawdę śpi, czy tylko udaje i czeka, aż Carl wyjdzie na polanę, aby odstrzelić mu głowę specjalną rządową spluwą, która nie zostawi śladu po rolniku z Goodlands.

Gdy był już absolutnie pewien, że facet jednak śpi, zaczął się powoli do niego skradać. Nie trzasnęła ani jedna gałązka, nie złamał się pod jego stopami żaden patyk, nie drgnął ani jeden krzak. Nieznajomy nadal spał.

To był ten sam człowiek, którego Carl widział na drodze. Nie zdjął nawet butów. Obok znajdowało się na wpół zasypane ognisko i Carl pomyślał, że tylko głupiec rozpala ogień w taką pogodę. Gdy podszedł bliżej, wyczuł jeszcze w powietrzu zapach dymu. Tuż przy głowie mężczyzny leżał plecak, który nie sprawiał wrażenia szczególnie wypakowanego.

Po chwili zauważył, że z kieszeni plecaka wystaje jakiś papier.

Tego właśnie oczekiwał. Zbliżył się na palcach i ukląkł obok. Delikatnie odchylił klapkę kieszeni, wyciągnął papier. Od razu się zorientował, co wpadło mu w ręce.

Była to mapa Goodlands, którą kilka lat temu wydał burmistrz. Janet przytwardziła kiedyś taką samą magnesami na lodówce i mapa wisiała tam, dopóki się nie zniszczyła. Wtedy spalili ją w piecu. Od początku była niewiele warta, wszyscy tak uważali.

Carl stłumił chichot. W rogu, za który trzymał, widniała uśmiechnięta karykatura Barta Eastly'ego. Stał przed swoim zakładem samochodowym i wskazywał kluczem francuskim na szyld.

Odechciało mu się jednak śmiać, gdy zobaczył, że dookoła miasta ktoś zakreślił czarnym flamastrem grubą linię. Linię, która dokładnie pokrywała się z granicami Goodlands.

Wszystko się zgadzało. Przez kilka sekund Carl przyglądał się śpiącemu badawczo. Potem, nie trując się nawet, aby odłożyć mapę dokładnie na miejsce, wstał i wycofał się tą samą drogą, którą przyszedł. Starał się iść równie cicho jak przedtem, oglądał się co chwila za siebie. Śpiący ani drgnął.

Gdy Carl wrócił do samochodu, zaczynało już świtać. Przetarł zaczerwienione oczy i uruchomił silnik. Chciał być jak najszybciej w domu. Był niezmiernie zmęczony.

A poza tym bał się.

Powinien był zajrzeć głębiej do plecaka. Powinien był dokładnie przejrzeć wszystko, co było w środku. Powinien był spróbować rozwiązać zagadkę, czemu ten długowłosy, obszarpany włóczęga ma w plecaku mapę Goodlands z zaznaczonymi granicami strefy suszy i dlaczego biwakuje na podwórku urzędniczki bankowej. A także dlaczego Henry podniósł to, co wypadło nieznanemu z kieszeni.

Carl naprawdę się bał. Zaczęły mu drżeć ręce i musiał mocniej uchwycić kierownicę.

Jutro zadzwoni do Henry'ego i będzie się domagał wyjaśnień. Gdy tylko się obudzi, poprosi do telefonu tego zadowolonego z siebie, napuszonego dupka i dowie się, kim jest ten człowiek i co Henry ma z nim wspólnego. Dotrze do sedna sprawy.

Jutro będzie o tym wiedziało całe miasto. Carl powie wszystkim. Ci, co sądzili, że nie potrafi rozwikłać tej tajemnicy, grubo się mylili.

Jadąc cały czas bez świateł, Carl objechał centrum miasta, rozglądając się na wszystkie strony. Podejrzewać musiał każdego, chociaż wątpił, aby zwykli ludzie, jego przyjaciele, rolnicy, lokalni biznesmeni, którzy mieli sporo do stracenia, maczali w tym palce. To raczej ci u władzy. Urzędnicy są podobni do węży.

Dojechał do domu, nie włączając ani na chwilę świateł. Wystarczyła mu świecąca na niebie sześćdziesięciowatowa żarówka. Szybko wszedł do domu i wślizgnął się do łóżka koło zaspanej Janet.

- Gdzie byłeś? - zapytała, gdy przykrywał się kołdrą. W jej głosie słychać było niepokój.

Zapalił lampkę na nocnym stoliku i powiedział żonie wszystko.

Rozdział 10

Tom obudził się tuż przed świtem. Przez dłuższy czas leżał bez ruchu na plecach i patrzył w górę. Gdy ciemnogrnatowe niebo zaczęło się powoli rozjaśniać, odwrócił głowę na bok i poprzez gałęzie jabłoni obserwował wschód słońca.

Z długiej szczeliny na horyzoncie rodziło się światło. Zmiany były ledwo zauważalne, jednak noc umierała. Przez zmrużone oczy Tom obserwował, jak promienie słoneczne rozpędzają ciemność. Ochra, rdza, sjena... zmiany zachodziły coraz szybciej i kolor nieba zmieniał się z minuty na minutę. Tom widział wschody słońca w całym kraju, od Kalifornii do Nowego Jorku. Widział, jak budzi się dzień w Wirginii, na Florydzie, w Teksasie. Za każdym razem były to piękne chwile, chociaż żadna niepodobna do drugiej.

W Goodlands słońce wstawało niczym olbrzymi, unoszący się nad miastem potwór i krążyło nad nim jak sęp. Ponure piękno okraszone światłem. Do południa będzie tu już panował upał nie do zniesienia.

Do południa, pomyślał z nadzieją Tom, będzie tu już padało.

Zamknął oczy. Deszczu wciąż tutaj nie było. Chmury znajdowały się tuż za granicą miasta. Czuł to. Czuł deszcz. Niezbyt daleko stąd, pocieszał się. Niezbyt daleko. Wyciągnął z plecaka pogniecioną mapę i rozpostarł ją przed sobą na trawie. Obrysował palcem czarną linię, którą zaznaczone były granice Goodlands.

Głęboki, pozbawiony marzeń sen nie osłabił przeczucia o nieuchronności nieszczęścia. Tom podniósł się z koca i stanął pośrodku polany, skąd mógł obserwować nie zasłonięte gałęziami jabłoni niebo. Niepostrzeżenie stał się dzień. Dzień.

Tom oczyścił swój umysł ze wszystkich zbędnych myśli. Zniknęły z niego drzewa, mały domek stojący kilkadziesiąt metrów dalej, Karen, historie z jego życia, wysuszona ziemia. Pozostał tylko on i niebo. Wtedy był gotów.

Zaczął od mapy Goodlands, którą miał w głowie.

Zamknął oczy i starał się wydobyć z zakamarków pamięci obraz granic miasta, wzdłuż których wczoraj spacerował. Pracował nad tym w wielkim skupieniu, przypominając sobie krok po kroku całą trasę, a gdy miał ją już na nowo w głowie, zaczął pokonywać drogę raz jeszcze, tym razem w myślach. Obraz po obrazie, wyłoniły się z jego pamięci zarośla, płoty, drogi, brud i żywirowe alejki, niby długi film kręcony na krańcach Goodlands. Towarzyszyły im wspomnienia zapachów ziemi, pyłu, powietrza, nieba i słońca. Nie były to już tylko fragmenty wspomnień, ale zapachy, dźwięki, smaki, głosy, materie istniejące w kontekście nieba rozpościerającego się nad tym miejscem, a wszystko to wyczarowane na potrzeby mających niebawem spaść kropli deszczu.

Gdy Tom miał już w głowie wizerunek miasta, sięgnął wyżej.

Minęło już co najmniej osiem godzin, odkąd Vida weszła do opuszczonego domu niedaleko posiadłości Manna, a dwa razy tyle, od kiedy po raz ostatni coś jadła. Drzemała, ale bardzo płytkim snem; dręczyły ją koszmary. Strasznie chciało się jej pić, w gardle wprost czuła ogień. Poza tym była głodna. Ubranie, którego nie zmieniała od trzech dni, zabrudziło się już porządnie, a spódnica była rozerwana. Prawdopodobnie Vida zaczęła o gwóźdź w płocie, gdy wypuszczała konie Revesette'a. Na całym ciele miała masę siniaków, zadrapań, a skaleczenie na dłoni zaczerwieniło się i spuchło. Włosy spływały jej z ramion skołtunione i pozbawione połysku. Oczy miała mocno zaczerwienione i obrzęknięte z niewyspania. Na jej twarzy malował się uśmiech, wyrażający chytrość i okrucieństwo, niesamowity uśmiech. Vida pragnęła wzbudzać strach w mieszkańcach miasta. Bez okazywania siły, bez pomocy istoty w jej wnętrzu.

Na brodzie miała głębokie zadrapanie, którego pochodzenia nie mogła sobie przypomnieć. Bezwiednie masowała to miejsce.

Ciało Vidy domagało się odpoczynku. Zapadła w niespokojny sen, chociaż jej umysł nie chciał na to pozwolić. Niezupełnie jej umysł. Vida nie była sama.

Spierały się ze sobą, zamknięte w jednym ciele. Nad ranem Vida zamilkła. Nie mogła, niestety, przestać słuchać. Przez całą noc obca

istota maltretowała ją obrazami miotanego furii ciała. Jej własną wściekłość głos skierował na drugą stronę drogi, gdzie znajdował się nieznamy. Udało się. Serce dziewczyny biło nienawiścią, nie było w nim miejsca na nic więcej.

Vida poczuła, że jest gotowa do wyjścia.

Minęła ósma rano, gdy pojawiła się na podwórku starego domu, w którym spędziła noc. W szparach między betonowymi płytami tworzącymi chodnik powyrastały kępy chwastów. One także nie oparły się suszy. Żółte i mizerne, na rachitycznych łodygach bez kropli wilgoci, przykrywały kawałki gruzu z rozpadającego się budynku i śmiecie, które przywiał z drogi wiatr. Vida, mrużąc oczy, spojrzała w słońce.

Gdy szła, burczało jej w brzuchu. Głos nie milkł, napelniał jej głowę obrazami.

Vida stąpała sztywno po betonowych płytach. Drobila małe, śmieszne krociki jak marionetka. Przed domem znajdował się wysypiany drobnymi kamyczkami podjazd, także porośnięty chwastami. Jeżdżące tędy przez lata samochody wbiły żwir w ziemię, ale wciąż jeszcze było go widać. Wokół domu rozpleniły się zarośla, które stanowiły jego naturalną osłonę.

Dziewczyna zatrzymała się na końcu alejki i spojrzała w kierunku posiadłości Manna. Przed wejściem stała czerwona honda, samochód kobiety z banku. Pył pokrył cienką warstwą maskę auta, jak wszystko w tym mieście. Na pustym podwórku panowała absolutna cisza. Zaszłony we frontowych oknach były zaciągnięte. Ani śladu życia. O tej porze na drodze nie było żadnego ruchu. Powietrze stało nieruchomo. Było tak cicho, że gdyby nie oślepiający blask słońca, można by pomyśleć, że jest środek nocy. Vida nie widziała ani mężczyzny, ani kobiety z banku. Tylko samochód i dom.

Weszła na Parson Road i wolno ruszyła w stronę czerwonego samochodu. Na jej chmurnej twarzy malowała się złość. Spod butów wzbijał się pył, spowijający drobną dziewczęcą postać szarą chmurą. Była to jedyna chmura w Goodlands.

Głos szeptał nieustannie: znajdź go, znajdź go. Gdy Vida nie mogła już tego znieść, karciała go. Jednak z jej ust nie wydobywał się żaden dźwięk.

Zamknij się, uciszyła ponaglący ją głos i uśmiechnęła się na myśl o tym, co zamierzała zrobić. Poczwała w środku kocie ciepło. Zadowolenie z płonącego wewnątrz gniewu. Lubiała to. Oblizwała wargi suchym

językiem. Nagle coś się w niej gwałtownie szarpnęło. Vida poczuła piekący ból i na sekundę zamknęła oczy. Zachwiała się na nogach, jednak już po chwili wyprostowała się i ruszyła dalej, jakby nic się nie stało. Głos i ból ucichły.

- Nie waż się zrobić mi krzywdy - powiedziała Vida rozgniewana, tym razem głośno.

Znalazła się na podjeździe, gdzie zaparkowana była honda. W tym czasie nikt nie przejeżdżał drogą, nikt też nie wyszedł z domu. Nikt jej nie widział. Wszędzie panowała cisza i bezruch.

Zatrzymała się na chwilę, gdyż znowu ogarnęła ją niepewność. Wiedziała, co ma zrobić, ale nie wiedziała, jak się tam dostać i czy powinna zdać się całkowicie na rozkazy głosu.

Z zewnątrz dom wyglądał bardzo przeciętnie. Pomalowane na biało ściany domagały się już odświeżenia, chociaż wytrzymałyby jeszcze rok albo nawet dwa. Farba nie łuszczyła się ani nie odpadała, po prostu zszarzała. Wykroje okien i drzwi obramowane były błękitnym paskiem. Drewniany ganek w szarym kolorze, nawiązującym do stylu dawnych lat, był bardziej zniszczony. Podobnie jak wiodące nań trzy wydeptane stopnie. Kuchenne wejście było zapewne w jeszcze gorszym stanie. Vida postanowiła skorzystać z frontowych drzwi.

Dom wyglądał zupełnie normalnie. Cóż tak niepokoiło tę siłę, co sprawiało, że głos był tak natarczywy i zaleźniony? Czyżby ten mężczyzna był wewnątrz?

Vida doznała nagle jasności myśli. Podniosła rękę do ust. Jej dziwne spojrzenie przesunęło się po drzwiach, oknach, aż zatrzymało się na podwórku na tyłach domu. Widziała też kawałek sadu, w którym rosły pozbawione owoców i liści jabłunki.

Zrób to.

- Zamknij się - odpowiedziała głosowi szeptem, chociaż nikt nie mógł jej usłyszeć.

Przykucnęła za samochodem, zastanawiając się, po co tu przyszła i co chciała zrobić.

Głos pomógł jej trochę.

Znajdź go, rozkazał. Vida nie wiedziała jeszcze, co zrobi, gdy go znajdzie. W jej myślach pojawiła się niewyraźna postać, za którą wczoraj podążała. Sylwetka mężczyzny, do którego nie chciała się zbliżyć. Bała się, że spotkają coś złego, zupełnie tak jak dziecko, które instynktownie pojmuje, że piec jest gorący, nóż ostry, a schody niebezpieczne.

Jeśli nawet nie było go w domu, z pewnością znajdował się tam ktoś inny, bo przecież samochód stał na podjeździe o tak wczesnej porze.

Mogłaby ich zmusić. Vida uśmiechnęła się okrutnie. Zmusić do czego? Mogłaby ich zmusić do wszystkiego.

Vida nie знаła kobiety z banku. Widywała ją czasami w mieście, ale nigdy nie podeszła bliżej. Pamiętała jej ciemne włosy, tak ciemne jak Vidy, tylko proste i gładkie, oraz jej ubrania, które wyglądały jak prosto z magazynów mody, o których Vida nie śniła w najśmielszych nawet marzeniach. Czysta, wypielęgnowana, dobrze odżywiona, taka była kobieta z banku. Do czego Vida mogłaby ją zmusić? Może chciałaby ją zobaczyć brudną? Ale czy mają skrzywdzić? Ta kobieta nigdy nawet na nią nie spojrzała. Choć Vida wyznawała bardzo szczególną moralność, nawet dla niej było to za mało, by kogoś skrzywdzić.

Doskonale wiedziała, że nigdy nie będzie miała ani takiego samochodu, ani domu. Małe czerwone auto nie było niczym specjalnym, udawało tylko sportowy wóz. Nawet Vida widziała, że nie jest to szybki samochód. Po prostu samochód, całkiem nowy. Dom zaś był taki, jakich pełno w Goodlands, Weston czy Fargo. Nie różniłby się nawet wiele od domu Whalleyów, gdyby tamten był remontowany w ciągu ostatnich dwudziestu lat. Dom Whalleyów był nawet większy, miał jeszcze piętro.

Vida nie czuła żalu do kobiety, którą ledwo знаła z widzenia. Nie miała też powodu, aby się jej bać czy dłużej o niej myśleć. Jeśli tylko będzie się trzymała z daleka od tego mężczyzny, Vida z pewnością nie zrobi jej krzywdy. Głos jej nic o niej nie mówił.

Wciąż siedziała w kucki za samochodem, nogi ją już rozboleły. Głos znowu rozpoczął monotonne zawodzenie. Vida rozdrapała strupek na dłoni. Pokazała się krew.

Trawnik był krótko przycięty, ale trawa jak w całym Goodlands miała brązowy odcień. Trawa przed domem Whalleyów nigdy nie była przycinana, w każdym razie Vida tego nie pamiętała. Zresztą może to i lepiej. Przynajmniej zakrywała piętrzące się przed domem śmiecie, od lat nie sprzątane: chłodnice samochodowe, szpule kabli, jakieś liny, druty, worki pełne różnych odpadków, które nie wiadomo dlaczego nie trafiły na śmietnik, niezliczone puste butelki po piwie, czekające tam na kogoś zdesperowanego i spragnionego, kto chciałby zamienić je na marne grosze. Fragmenty garderoby, takie jak kapelusze i

rękawiczki, które pogubili jej bracia, powracający w środku zimy z knajpy, pończochy i bielizna dziwek z baru, które przychodziły razem z nimi. Kapsle od piwa, pety, szkło, papierki po cukierkach, wszystko zakopane pod hałdami innych śmieci na podwórku. Między tymi domami była też jeszcze jedna, znacząca różnica. Dom Whalleyów znajdował się po drugiej stronie miasta. Po tej złej. Dom kobiety z banku znajdował się w lepszej części.

Chociaż były podobne w konstrukcji, dzieliło je wiele kilometrów, daleka droga, dosłownie i w przenośni. I dlatego Vida wcale nie chciała do niego wchodzić.

To było zupełnie co innego niż wejście na podwórko Watsona i opróżnienie jego zbiorników na wodę albo zrobienie wyrwy na podjeździe Greesona. Tamtych ludzi znała od dziecka i miała powody, aby ich nienawidzić. Poza tym nie dzieliło ich tak wiele od Vidy i jej świata. Kobieta z banku była zaś jedną z Nich. To była władza, zamknięte drzwi, których otworzenie groziło niewyobrażalnymi konsekwencjami.

Podniecenie, jakie Vida czuła na myśl o swojej sile, o szansie na odplacenie za wszystko, powoli słabło. Dziewczyna zaczęła tęsknić za domem. Jednak aby się tam znaleźć, musiała najpierw zadowolić głos, a także swoją własną, słabnącą już potrzebę wyładowania na kimś złości.

W tym momencie usłyszała jakiś dźwięk.

Budzik Karen zadzwonił o szóstej trzydzieści, jak każdego ranka. Przez dziesięć minut, dopóki nie zadzwoni jeszcze raz, będzie mogła leżeć w łóżku, drzemiąc i porządkując myśli.

Spała mocno, bez żadnych snów, z wyjątkiem krótkiego momentu tuż przed dzwonkiem budzika. Śniło jej się wówczas, że kręci się na karuzeli w wesołym miasteczku. Pod nogami wirowała ziemia, niewyraźny, zamazany obraz, który nigdy się nie wyostrzył. Nie czuła żadnych zawrotów głowy ani mdłości, jedynie radosne podniecenie.

Karen wzięła prysznic, wysuszyła włosy, a następnie włożyła stare dżinsy i podkoszulek, strój w sam raz do pracy w ogródku.

Zadzwoniła do Jennifer, aby jej powiedzieć, że dzisiaj nie przyjdzie, i włączyła ekspres do kawy.

Wyjęła z kredensu kubek.

Czekała na kawę, wyglądając przez okno i bębniąc palcami o blat. Zauważyła, że jest trochę zachlapany wodą, wytarła go więc do sucha,

zastanawiając się jednocześnie, gdzie mogą być jej rękawice do pracy w ogrodzie. Znowu wyjrzała przez okno. Potem oblizła lekko usta, myśląc o wczorajszym pocałunku.

Na podwórku nie było nikogo widać, a drzewa zasłaniały polanę.

Karen nalala sobie kawy i wyszła przed dom, aby jak najszybciej przystąpić do likwidowania tego szkaradzieństwa w kącie podwórka. Ciężka praca.

Gdy tylko otworzyła drzwi, natychmiast spojrzała w niebo. Nie było na nim ani jednej chmurki.

Postanowiła czekać.

Vida odwróciła się, palce zgięła w szpony, stężała w oczekiwaniu. Nie opuszczając kryjówek za hondą, usiłowała zidentyfikować źródło tego dźwięku.

To drzwi. Otwarte i kołyszące się na zawiasach lub sprężynie. Miała trudności z nazwaniem tego odgłosu, gdyż był zbyt oczywisty. Czasami ktoś obudzi się w środku nocy i zastanawia, czy ponure buczenie lodówki nie jest przypadkiem pomrukiem zwiastującym coś złowrogiego.

Ale to były tylko drzwi. Drewniane drzwi na tyłach domu. Ktoś je otworzył i zamknął. Słyszała też na schodach czyjeś kroki.

Wysnuła z tego logiczny wniosek. Jeśli ktoś otworzył drzwi, to znaczy, że wyszedł z domu.

Podniosła się ostrożnie z kucek i usiłowała dojrzeć coś przez zakurzone okna hondy. Jednak na odcinku między tylną ścianą domu a rosnącą nieopodal kępą drzew nic się nie działo.

Znowu zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Vida w napięciu przenosiła wzrok z werandy na tyłach domu na rachityczne jabłonie, spodziewając się, że w każdej chwili na podjeździe może ukazać się ktoś idący w stronę samochodu.

Gdyby tak się stało, musiałyby zaatakować. Vida lubiła niespodzianki. Lubiała szybko podejmować decyzje.

Nikt się nie pojawił.

Po dłuższej chwili daremnego wyczekiwania uznała, że z pewnością się jej przywidziało. Zaczęła się zastanawiać, czy nie powinna po prostu wejść do domu.

Dziwiło ją, że głos zamilkł. Może przytłumiło go głośnie bicie jej serca. Chociaż głos nie ponagłał, Vida wiedziała, że musi odnaleźć tego mężczyznę.

Nie było czasu na zastanowienie. Czowała skurcze w żołądku i przymus pochodzący gdzieś z głębi trzewi, aby iść. Wyprostowała się i ruszyła w stronę domu, zatrzymując się jedynie na moment przed wejściem na schody. Zapukała dwa razy, a gdy nikt nie odpowiedział, lekko pchnęła zewnętrzne skrzydło drzwi. Otworzyły się. Przekreśliła galkę drzwi wewnętrznych. Ustąpiły.

Vida weszła do środka.

Karen wyciągnęła ze schowka na tyłach domu skromny zestaw narzędzi ogrodniczych. Była tam jedynie motyka i mała łopatka z ułamanym trzonkiem.

Słońce ostro już operowało, grzejąc niemilosiernie w plecy. Karen wiedziała, że musi szybko skończyć pracę, gdyż z każdą godziną będzie coraz gorzej. Ciekawe, czy na polanie też było tak gorąco.

Co pewien czas robiła przerwę, aby napić się kawy, która nie stygła w promieniach słońca. Karen była bez śniadania, kawą nie dało się oszukać ssania w żołądku, mimo to miała jednak energię do pracy. Zastanawiała się, czy nie powinna wrócić do domu po kapelusz.

Prawie cały czas myślała o deszczu. Co się będzie działo, gdy wreszcie spadnie? Jaki dźwięk wydają krople uderzające o twardą, suchą ziemię? Myślała też o pyle wzbijającym się w powietrze w pierwszych chwilach ulewy, o zimnym prysznicu, jaki poczuje na twarzy, rękach, stopach. O tym, jak zmieni się wówczas jej życie. Wszystko się zazieleni. Nie trzeba będzie co tydzień transportować z daleka wody. Wolno jej będzie podczas prysznicu puszczać wodę do woli, bez konieczności zakręcania jej na czas mydlenia. (Co powie przywoływacz deszczu, gdy będzie już po wszystkim? Czy po prostu odwróci się do niej plecami i odejdzie?) Karen zamknęła oczy. Wyobraziła sobie, że czuje na twarzy uderzenia kropel deszczu, które spływają jej też po włosach, po całym ciele. Przypomniała sobie smak deszczu, podobny do słodkiej miękkiej wody, jaką podawał jej ojciec w wielkiej warzączwi przy becze z deszczówką.

Pochyliła się i zaczęła kopać suchą ziemię wokół kamienia, aby łatwiej go było ruszyć z miejsca. Przedtem rzuciła jeszcze okiem na niebo i w stronę sadu jabłoni. Nic nie zauważyła.

Drobinki kurzu zawirowały w smudze światła. Vida nic nie widziała, oślepiąca nagłym przejściem z jasności do mroku. Czekając, aż oczy przyzwyczają się do nowych warunków, zmagiała się ze strachem,

który był tak silny, że myślała o ucieczce. Stała, do bólu zaciskając palce na mosiężnej gałce przy drzwiach.

Nic się jednak nie działo. Po chwili zauważyła przed sobą wejście do eleganckiego salonu. W półmroku widziała jedynie zarysy mebli. W całym domu panowała cisza.

Vida puściła gałkę i poczuła się trochę pewniej. Przymknęła drzwi, ale przez pozostawioną szczelinę w dalszym ciągu wpadał promień światła. Stała w niewielkim holu, po jej prawej ręce znajdowała się garderoba. Minęła ją i weszła do salonu.

Wstrzymała z zachwyty oddech.

Pokój był piękny. Zupełnie jak w książce.

Stanęła jak wryta i syciła oczy tym widokiem. Usta rozchyliła w niemym podziwieniu. Co chwila dostrzegała rzeczy niezwykle.

Na wprost okna znajdowała się komoda, przykryta koronkową serwetą. W środku połyskiwał srebrny serwis do herbaty, dobrze widoczny mimo półmroku. Obok komody ustawiono masywny fotel, obity jaskrawą tapicerką, stolik, na nim lampę z delikatnie rzeźbioną nóżką i niewielką fotografię, oprawioną w srebrną ramkę. Środek salonu zajmowała kanapa, przy której stała długa, niska ława. W domu Whalleyów kanapa przystawiona była do ściany, jak należy, ale ta tutaj wyglądała znakomicie, jakby zrobiono ją właśnie po to, aby była wysunięta na środek pokoju.

Na okrągłym dywanie, schowanym nieco pod kanapą, stały dwa fotele dość blisko siebie, a pomiędzy nimi kwadratowy stolik do kawy. Obok - duży kryształowy wazon ze sztucznymi jedwabnymi kwiatami. Na stoliku za stertą książek Vida wypatrzyła oprawione w różne ramki fotografie i jakiś wysoki ciemny przedmiot. Z niczym się jej nie kojarzył, więc pomyślała, że to pewnie jakieś dzieło sztuki.

Kobieta, która tu mieszkała, miała wszystko. Otaczały ją piękne przedmioty, żyła w większym zbytku, niż Vida umiała sobie w ogóle wyobrazić.

Wszystko w tym salonie znajdowało się na swoim miejscu, każdy przedmiot był pieczołowicie ustawiony. Żadnego przypadku ani bałaganu. Nawet tygodniki na ławie leżały ułożone równolegle do jej krawędzi. Ani śladu śmieci, resztek. Nie było na stole brudnego grzebieńca, puszek po piwie, starych gazet, przepelnionych popielniczek (Vida nie zauważyła nawet czystej), żadnych szklanek, plam na blacie stołu, psiej sierści, kurzu.

Doskonałość.

Otoczona symbolami dostatniego życia Vida poczuła się znieważona. Uczucie to ogarnęło ją niespodziewanie.

Nagle dotarła do niej niesprawiedliwość tego świata.

Trzeba coś z tym zrobić.

Z okrzykiem radości na ustach machnęła ręką nad stolikiem. Książki, fotografie w ramkach i ciężki wazon upadły z głośnym hukiem na podłogę. Kryształowe szkło rozbiło się na tysiące małych kawałków, a papiery wylądowały w nieładzie na dywanie.

Vida przewróciła stolik do góry nogami. Nie złamał się ani nie pękł, ale narobił sporo hałasu.

Kobieta z banku miała to wszystko wyłącznie przez przypadek, bo urodziła się w lepszej rodzinie.

To także dzieje się przez przypadek, pomyślała Vida, podnosząc jeden z foteli. Uniosła go wysoko i upuściła. Podłoga zadrżała. Jedna noga fotela pękła, ale nie odpadła. Vida słyszała trzask łamanego drewna. Fotel potoczył się w stronę biblioteczki, z której powypadały książki.

Pokój wyraźnie tracił na urodzie. Vida podeszła do biblioteczki i zrzucała metodycznie wszystko, co stało na półkach: książki, ozdobne figurki, fotografie. Małej porcelanowej pasterce odpadła głowa i kawałek spódniczki. Vida zachichotała wesoło. Uniosła nogę nad małą główką figurki i z premedytacją zmiażdżyła ją na proszek. Stała na niej całym ciężarem, wsłuchując się z lubością w chrzęst porcelany.

Szła przez pokój, niszcząc wszystko, co nie miało nic wspólnego z życiem, jakie sama wiodła. Siły dodawała jej straszliwa złość. Tym razem nie miała nic wspólnego z głosem w jej wnętrzu, który wciąż milczał, jakby przyczajony.

Karen usłyszała jakiś hałas od strony domu. Najpierw pomyślała, że to strzał w gaźniku. Spojrzała na swoją hondę, a potem na drogę. Zastygła w oczekiwaniu, z motyką wyciągniętą przed siebie niczym dzidą. Po chwili usłyszała coś jeszcze, ale tym razem brzmiało to jak brzęk tłuczonego szkła. Nie miała już wątpliwości, że hałas dobiega z domu.

Zaraz potem usłyszała coś, co przypominało okrzyk radości.

Zupełnie bez związku Karen spojrzała w stronę polany. Zmrużyła oczy, usiłując dojrzeć coś między drzewami. Słońce było jeszcze dość nisko na niebie i świeciło jej prosto w oczy, nic zatem nie widziała.

Rozległ się kolejny okrzyk.

Karen rzuciła motykę i nie zdejmując rękawic, zrobiła kilka kroków w kierunku domu.

Po chwili dobiegł ją głośny brzęk, jakby spadło na podłogę coś bardzo ciężkiego. Pobieгла do kuchennych drzwi.

Jeszcze zanim je otworzyła, zorientowała się, że ktoś jest w środku i że dzieje się tam coś strasznego. Nie zastanawiając się ani chwili dłużej, pchnęła drzwi. W półmroku salonu zauważyła kobietę albo dziewczynę, która trzymała coś wysoko nad głową.

- Przestań! - krzyknęła Karen. - Przestań!

Kobieta stała tyłem do niej, trzymała w górze ciężką dębową komodę ze srebrem. Minimalnie się odwróciła, wtedy Karen zobaczyła zarys jej policzka i cień uśmiechu. W tym samym momencie komoda runęła na podłogę, zawiasy puściły i srebrna zastawa rozsypała się na wszystkie strony.

Karen zasłoniła dłonią usta, patrząc z przerażeniem na rozsypane na podłodze sztuce. Pięćdziesiąt sześć sztuk połyskujących na wyfrotowanej posadzce w zdewastowanym salonie.

- Co robisz?! - krzyknęła Karen. - Przestań!

Tym razem kobieta błyskawicznie się odwróciła. Jej ręce zakolysały się nerwowo. Karen z trudem oderwała wzrok od zniszczeń i przyjrzała się osobie, która tego dokonała.

To był istny potwór. Czerwoną z wysiłku i zlaną potem twarz okalały zmierzwione włosy. Białka oczu miała przekrwione, spojrzenie upiorne. Szyja i ręce brudne, ubranie porozrywane i utyłane w jakimś paskudztwie. Wyglądała jak ktoś, kto właśnie wypełził z nory.

Potwór uśmiechnął się nagle radośnie, pokazując zęby.

- Hops! - zawołał głośno.

Karen zdała sobie nagle sprawę, że to dziewczyna. Nie potwór. Po prostu dziewczyna.

- Wszystko jest już kupą śmieci! - zawołała do Karen. Oparła dłonie na biodrach. - Śmiecie! Śmiecie! Śmiecie! - krzyczała, akcentując każde słowo wściekłym kopnięciem, rozrzucając po podłodze sztuce, kawałki komody i ramki od zdjęć. Karen słyszała jej głośny, chrapliwy oddech, rwący się ze zmęczenia lub podniecenia.

Wstrząśnięta widokiem zrujnowanego pokoju, postąpiła kilka kroków. Jej ruch był dla Vidy zaskoczeniem. Cofnęła się, dziki uśmiech zniknął z jej twarzy.

- Jak mogłaś...! Kim jesteś?! - zawołała Karen. - Dlaczego?!

Dziewczyna patrzyła na nią pustym wzrokiem. Milczała.

- Natychmiast wzywam policję!

Karen sięgnęła do telefonu, ale go nie było na stałym miejscu. Vida, nie spuszczać wzroku z Karen, schyliła się i podniosła aparat telefoniczny z podłogi. Jednym szarpnięciem wyrwała sznur.

- Proszę - powiedziała grzecznie, wręczając Karen słuchawkę. Sznur dyndał w powietrzu. - Dzwon! - zawołała i zaśmiała się szatańsko.

Karen poczuła strach. Dziewczyna chichotała.

- Rozmyśliłaś się? - zapytała.

Rzucona na podłogę słuchawka upadła z głośnym stukiem.

- Jak śmiesz! Kim jesteś?

Dziewczyna przestała się krztusić od histerycznego śmiechu.

- Jestem kotem w... - zaczęła i nie dokończyła.

Wybałuszyła oczy, wykrzywiła twarz jak pod wpływem silnego bólu.

Z jej ust wydobył się głośny jęk, ale tylko Vida wiedziała, że pochodzi z trzewi. Dźwięk, podobny do wilczego skowytu, torował sobie drogę przez otwarte usta. Vida zadarła głowę w górę, paznokciami drapała twarz do żywego mięsa. Na policzkach pojawiły się krwawe smugi. Wciąż skowyczała jak katowany pies.

Przeżrana Karen odruchowo postąpiła krok w jej stronę, ale dziewczyna wyciągnęła nagle przed siebie rękę.

- Nie! - zawołała.

Karen natychmiast się cofnęła. Ten głos był zupełnie inny od tego, jakim dziewczyna mówiła wcześniej. Wydawał się echem czegoś, co odzywało się w jej wnętrzu, nie przypominał głosu żadnej ludzkiej istoty.

Dziewczyna, nie zwracając uwagi na Karen, ruszyła w stronę kuchennych drzwi.

- Nie! Nadchodzi! - zawołała znowu.

Zaraz potem z jej gardła wydobył się jeszcze inny głos, niepodobny do poprzedniego, cienki, skamlący. Brzmiał jak zawroźnienie małego dziecka.

Vida wyciągnęła przed siebie ręce i dosłownie wyważyła kuchenne drzwi, zrzucając je z górnego zawiasu. Zawisły w tej pozycji. Dziewczyna wyszła na ganek.

- Nadchodzi! To chce mnie użyć!

Karen oparła się o framugę, nie miała siły się ruszyć. Potrząsała głową, usiłując zrozumieć coś, czego nie sposób było zrozumieć.

Nadchodzi?

Nie dotknęła mnie nawet, a mimo to zatoczyłam się na ścianę, pomyślała. Nie mogła tego pojąć. Salon wyglądał jak po przejściu trąby powietrznej.

Nadchodzi? Z podwórka dobiegł krzyk dziewczyny. Karen natychmiast pomyślała o Tomie.

Nadchodzi.

O mój Boże!

W tym samym momencie Karen poczuła głuchą wibrację, dochodzącą jakby z wnętrza ścian jej domu. Natychmiast zdała sobie sprawę, że nadchodzi...

Deszcz.

Tom stał na polanie, mocno wsparty o ziemię, chociaż dotykał jej tylko dużymi palcami u stóp. Resztą ciała unosił się w górę, zanosząc prośbę przed bezkresne błękity.

Dłonie zwinął w pięści, które zaciskał z całej siły nie ze złości lub strachu, ale z wysiłku. Zbielałe kostki palców odcinały się od jego opalonej skóry. W rękach trzymał deszcz.

Cały sphywał potem. Dzień był upalny i słońce paliło niemiłosiernie na pozbawionej cienia otwartej przestrzeni, chociaż wciąż znajdowało się na wschodzie. Tom nie miał pojęcia, która jest godzina, nie wiedział też, że tuż obok rozgrywa się ludzki dramat. Był jedynie świadom walki, jaka toczyła się za jego przyczyną pomiędzy niebem a ziemią.

Tom trwał już godzinę w takiej pozycji, gdy usłyszał dalekie grzmienie. Rozpoznał je natychmiast. Dźwięk rósł, aż stał się tęnym skrzekiem, który świdrował mu w uszach. Dobywał się z ziemi i przebiegał po jego stopach jak prąd elektryczny. Tom wciąż przytrzymał deszcz.

Spędził cały ranek na przyciąganiu w to miejsce chmur, zarówno z daleka, na przykład z Minnesoty, jak i z bliska, z Telander. Ciągnął je powoli, holował, szarpał, trącał i przymilał się, aż zebrał wystarczającą ilość. Następnie rozpoczął powolną pracę sprowadzania ich jak najbliższej Goodlands, a pomruki spod ziemi zmieniły się w groźny ryk. Kiedy Vida i istota, która miała ją w swoim posiadaniu, opuszczały dom Karen, Tom mógł jedynie trzymać w mokrych i spoconych dłoniach to, co udało mu się tu przyciągnąć.

Ciągle to przytrzymywał. I wtedy nastąpiło przesunięcie w ziemi.

Gdy rozległy się pierwsze, odległe grzmoty, Vida była całkowicie we władzy nieznannej istoty, która głośno zawodząc, kołyszącym się krokiem zataczała kręgi na podwórku, oszołomiona i zaniepokojona dziwnymi wibracjami powietrza.

Ona była ich źródłem.

Chodziło o to miejsce. Mężczyzna był bardzo niedaleko. Nie wiedziała dokładnie gdzie, nie widziała go, nie słyszała, czuła jedynie, że wysysa z niej energię, odbiera moc i wysyła gdzieś w górę. Był tu i nie było go zarazem. Warczała, jęczała i mimo osłabienia, trzymała Vide w swej mocy jak w imadle. Dlaczego nie może go znaleźć? Co ją powstrzymuje?

Zatrzymała się, skrzecząc z wściekłości i sprawiając, że ciałem Vidy wstrząsały drgawki. Z ust dziewczyny wydobywały się różne głosy.

- Zostaw mnie! - zawołała Vida, drżąc od silnych wibracji, które rodziły się w jej wnętrzu, bolesne i nie pozwalające zebrać myśli. Jej ciało każdym nerwem domagało się, aby zniszczyła źródło cierpienia.

- On mnie wykorzystuje! - zaskrzeczał inny głos.

Karen obserwowała to wszystko z werandy. Ukucnęła, aby się ukryć. Zesztywniała ze strachu, słuchając wypowiedzianych skrzeczącym głosem słów, których znaczenia nie rozumiała. Domyślała się, że tym, którego przeklinała dziewczyna, mógł być tylko Tom. Karen zamarła, zastanawiając się gorączkowo, czy dalej śledzić rozwój wydarzeń na wypalonym słońcem podwórku, czy biec do Toma. Postanowiła, że gdy tylko dziewczyna skieruje się na polanę, pójdzie za nią.

Nie ruszała się więc z miejsca, usiłując cokolwiek pojąć z tego, co widziała. Dziewczyna wydawała jej się znajoma, ale nie mogła sobie skojarzyć skąd. Kimkolwiek jednak była, działo się z nią coś... złego. Coś się odłączyło, jakby dzikie oczy zupełnie się nie kontaktowały z umysłem. Na jej twarzy toczyła się walka, brutalna i niepokojąca. W ułamku sekundy, zanim dziewczyna zatoczyła się na bok w niezdarnym tańcu, Karen dostrzegła na jej twarzy cień, może lęk. Zaraz potem dziewczyna skrzywiła się w strasznym cierpieniu, jakby przeżywała horror lub gwałt.

Ta wątła istota, prawie dziecko, podniosła w górę niezwykle ciężki dębowy stół do kawy, ten sam, który z trudem wniosło do domu dwóch silnych mężczyzn. Chwilę potem o mało nie wyłamała nogi fotela, ważącego trzydzieści kilogramów.

Wciąż ukryta za drzwiami, nie spuszczać wzroku z szalonej dziewczyny, Karen wyciągnęła do tyłu rękę i tak długo macała podłogę za sobą, aż natrafiła na trzonek motyki, którą upuściła wbiegając do domu. Zaciśnęła na nim dłoń. Postanowiła, że jeśli dziewczyna skieruje się w stronę polanki, nie zawaha się tego użyć.

Bezszelестnie przysunęła motykę bliżej. Podjęta przed chwilą decyzja dodała jej siły. Napięcie i strach ustąpiły.

Karen prześlizgnęła się przez uszkodzone drzwi i wyszła na ganek.

Dopiero po chwili dotarło do niej, że stała się łatwym celem. Vida jednak nie zwracała na nią najmniejszej uwagi. Zachowywała się jak osoba pozbawiona zmysłów. Karen zeszła po schodach pamiętając, aby ominąć skrzypiący stopień. Zeskoczyła lekko na ziemię i zaraz znowu przykucnęła. Mimo strachu czuła w sobie siłę. Będzie się bronić. Nie miała jednak na tyle odwagi, aby wysunąć się dalej w głąb podwórka. Obiema rękami trzymała skromną broń i obserwowała dziewczynę. Gdy trzeba będzie, natychmiast ruszy do przodu.

Cały czas nie mogła sobie uświadomić, co w tej małej jest takiego znajomego. Nie chodziło zresztą o fizyczne podobieństwo, raczej o jakieś skojarzenia. Jakby to była stara znajoma, ktoś, kogo Karen знаła, ale nie mogła sobie przypomnieć okoliczności.

Dziewczyna zamarła, przerywając niezgrabne płasy, wciąż wykrzywiona w przeraźliwym grymasie. Gdy zobaczyła Karen z uniesioną motyką, zmrużyła oczy, a na jej ustach pojawił się uśmiech. Zrobiła niepewny krok i otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć.

Wtedy obie to usłyszały.

Odległy, ale wyraźny i znajomy grzmot przetaczał się po niebie. Vida błyskawicznie zwróciła się w stronę, skąd dochodził.

Pomruk, który raził jej uszy, natychmiast zagłuszyło nieprzyjemne skrzeczenie. Odrzuciła głowę do tyłu i otworzyła szerzej usta. Z jej gardła wydobył się jęk, który napełnił powietrze i wchłonął dobiegające z góry dudnienie. Zapomniała o Karen.

Nie mogą go znaleźć!

Vida spojrzała w stronę miasta. Był jeszcze inny sposób.

Przez jedną straszną chwilę Karen wydawało się, że dziewczyna rzuci się na nią. Uniosła wyżej motykę, gotowa do zadania ciosu. Ale Vida ruszyła biegiem w kierunku drogi prowadzącej do miasta.

Zniknęła za rogiem domu, odgłos jej kroków zamierał na żwirowym podejździe. Karen opuściła drżące z napięcia ręce, ale nie zwolniła uścisku na trzonku motyki. Ostrze uderzyło ją boleśnie w udo. Karen wypuściła wreszcie długo powstrzymywane w piersiach powietrze. Oddychała szybko i płytko, w głowie czuła dziwną lekkość.

Serce waliło jej w piersiach i czuła intensywny zapach własnego potu. Upuściła motykę na ziemię i wtedy zauważyła, że narzędzie nie rzuca cienia.

Przez chwilę zastanawiała się nad tym. Ona też nie miała cienia. Spojrzała w górę. Niebo było czyste, bezchmurne, ale nie było na nim słońca. Stała na drżących nogach, a potem wykonała niezgrabny krok w stronę polany, podobny do tych, jakie wykonywała tu niedawno obłąkana dziewczyna. Gdzie jest słońce? Jej umysł intensywnie pracował. Co się stało ze słońcem? Musi odszukać Toma.

Nagle zauważyła coś kątem oka.

Na granicy Goodlands, tam gdzie znajdował się bar Clancy'ego i biegła droga prowadząca do Weston, zauważyła...

Chmurę. Postrzępioną i szarą. Ciemną i nabrzmiąłą. To ona zasłoniła słońce.

I zaraz pojawiła się następna.

Thompson Keatley nie zdawał sobie sprawy ani z horroru, jaki przeżyła Karen, ani z jej późniejszej radości. Nie wiedział, co wydarzyło się w jej domu, nie widział też niespodziewanej ucieczki Vidy. Był bardzo daleko.

Nagi od pasa w górę, lśnił od potu jak gladiator. Na jego skórze perlila się wilgoć, która spływała strużkami w dół, poczynając od linii włosów, zbierała się na chwilę w zagłębieniach zamkniętych powiek, aby następnie popłynąć do ust i dalej, po szyi i torsie.

Każdy mięsień miał napięty jak postronek, powieki zaciśnięte tak mocno, że na skroniach tworzyły się wachlarzyki zmarszczek, usta naprężone w trudnym do odczytania grymasie. Gdyby nie ruch jego dłoni, mógłby uchodzić za posąg, żyjący, dyszący ciężko, zlany potem posąg.

Ręce trzymał sztywno wyciągnięte na boki. Delikatnie otwierał i zamykał dłonie, otwierał i zamykał. Za każdym ruchem palców jego ramiona zginały się w łokciach. Przymilał się. Popuszczał i zaciskał.

Przyciągał i szarpał kropelki deszczu spoza granic zniewolonego miasta Goodlands. Ciągnął, kusił, przypochebiał się, błagał, zaciskał kurczowo dłonie na każdej odrobinie deszczu, którą udało mu się zdobyć i zgromadzić wokół miasta.

Tom Keatley znajdował się daleko od polany na tyłach domu Karen. Faktycznie w ogóle nie było go w Goodlands. Nie mógł zatem wiedzieć, że rozpoczęła się tam wojna.

Rozdział 11

Carl zamknął Janet i Butcha dla ich bezpieczeństwa w sypialni.

- Oni mają przed ludźmi wiele tajemnic, Janet - usiłował wyjaśnić żonie. - Ukrywają się za bezpieczeństwem narodowym i rzucają nam tylko okruchy informacji, w zasadzie dezinformacji, resztę zaś trzymają dla siebie.

- O kim mówisz? Czyś ty stracił głowę?

Janet usiłowała rozmawiać z mężem racjonalnie, ale jej nie słuchał. Gdy nastał ranek, wygłaszał niekończące się tyrady. Nie można było tego inaczej nazwać. Tym przerażał ją bardziej niż oglądaniem głupich programów w telewizji i nocnymi jazdami po mieście.

- Jak sądzisz, dlaczego rząd przeznacza tyle pieniędzy na AIDS, chociaż znacznie więcej ludzi umiera każdego roku na raka? Powiem ci czemu. - Zaczynał już krzyczeć. - Wyrzucają tyle forsy na AIDS, ponieważ ta zaraza pochodzi od nich. Wynaleźli ją i pozwolili, aby wydostała się z laboratoriów. Zarazili nią ludzi i teraz mają setki milionów królików doświadczalnych. Świat dla nich to tylko olbrzymie laboratorium.

Carl tak blisko się przysunął, że mówiąc pryskał na Janet kropelkami śliny.

- Zwykle przeziębienie i grypa przenoszone są przez mutujące wirusy. To cholernie interesujące. Czy uważasz, że zakłady chemiczne, produkujące leki na grypę i przeziębienie, nie mają z tym nic wspólnego? Gadają, że ludziom szkodzi palenie papierosów, a tu nagle ktoś umiera z pieprzonego przeziębienia, bo wirus zmutował i wywołuje chorobę, od której gnije twoje ciało. Albo weźmy taki Internet! -

krzyknął Carl, wyrzucając w górę ramiona. - Internet to nie innego, jak olbrzymia organizacja szpiegowska. Czy myślisz, że ktoś z nich siedzi przy komputerze i szuka informacji o UFO, kryzysie kubańskim, zamachach na prezydentów lub naturalnych metodach hodowli roślin, czy twoim zdaniem rząd zastanawia się, co dzieje się w Internecie?

Gdy Janet usiłowała mu przerwać, zatkał jej usta dłonią. Niezbyt silnie. Po prostu fizyczna sugestia, do której postanowiła się przychylić.

- Chcesz popatrzeć sobie na cycki Kristie Alley w satelitarnej telewizji albo przejrzeć materiały o UFO, zdobyć spis wyrzutni rakietowych w najbliższej okolicy? I myślisz, że oni o tym nie wiedzą? Zapisują to wszystko w twojej teczce, a potem zaczynają dochodzenie, dlaczego interesują cię, na przykład, rakiety. Tu nie ma żadnych wątpliwości, Janet. Nie ma też sekretów. Tylko kłamstwa.

- Carl, czemu ty to robisz? - zapytała Janet ostrożnie.

Starła się męża uspokoić, ale wcale jej nie słuchał.

- Piszesz, dajmy na to, list do członka Kongresu z twojego stanu na temat dopuszczalności aborcji. I co? Może wierzysz, że on przeczyta i ci odpisze? Przekaze wyrazy wdzięczności za poparcie i poprosi, abyś wsparła jego kampanię wyborczą przekazem na sto dolarów? Myślisz, że tak to się odbywa? Nie! Oni przesyłają twój list do CIA, a ty trafiasz na listę potencjalnych komunistek, zabójców nienarodzonych. Teraz jest już za późno. Wiedzą, co oglądałem i co czytałem. Całe życie byłem demokratą, a teraz cholernie tego żałuję. Jestem na tyłu zasranych listach, że gdy nadejdzie dzień wielkiej zmiany, przyjadą tu szybciej, niż uda mi się splunąć, i znikną razem z tysiącami innych demokratów, a moja żona i syn zostaną zesłani na jakąś farmę, gdzie odbywa się pranie mózgow. Rozumiesz to? Czy rozumiesz, na ilu listach już jestem?

- Dzień wielkiej zmiany? Carl, co ty wygadujesz?!

- Czy twoim zdaniem w Goodlands jest susza, bo tak chcą bogowie? Czy może jest to jakaś piekielna, kosmiczna pomyłka, gwiazdy nie ustawiły się w jednym szeregu z Jowiszem i teraz nasz los wisi na włosku? A może przyszło tu pewnego dnia kilku dupków w ciemnych garniturach z całkiem nowym deflektorem pogody i usadowili się w jednym z silosów, albo nawet w dziesięciu, i po przekręceniu jakiejś gałki zafundowali nam suszę? Która z tych możliwości brzmi najbardziej prawdopodobnie, Janet? Pewien agent zatrzymał się tutaj. - Carl wskazał palcem w nieokreślonym kierunku, jakby szturchał

kogoś w niewidzialną pierś. Jest tu pierdolony tajny agent, który zatrzymał się na końcu Parson Road, i Henry Barker wie coś o tym. Zastrany gangster zatrzymał się tutaj!

Ta rozmowa toczyła się nad ranem. O ile Janet było wiadomo, Carl w ogóle nie spał, chociaż przez kilka godzin w domu panowała cisza i zastanawiała się wtedy, czy mąż jednak się nie zdrzemnął. Nic z tych rzeczy! Zamknął ją i syna w sypialni, w tej samej, w której położyli Butcha. Powiedział, że to dla ich dobra.

Spędził z nimi trochę czasu, spisując na kartce swoje spostrzeżenia. Janet wiedziała, że robi to, by ich uspokoić. Powiedział jej, że zanotował wszystko, co przedtem jej powiedział, a także kilka innych rzeczy, które wydały mu się ważne, i jeśli nie wróci do domu, ma to zanieść lokalnemu działaczowi ruchu praw obywatelskich z siódmego kanału telewizji. Kusilo ją, aby zapytać, czy nie podejrzewa, że ombudsman także jest w zмовie. Był to chudy, niewysoki mężczyzna około pięćdziesiątki, który zajmował się głównie sprawdzaniem, czy urzędnicy miejscy dostają mandaty w takiej samej wysokości jak przeciętni obywatele.

Carl wyrwał ze ściany sypialni kabel telefoniczny, a potem przyniósł im karton mleka oraz kanapki. Prosił też, aby zachowali spokój i niczym się nie przejmowali.

- Ochroń mnie - powiedział cicho do żony.

Pocałował ją i Butcha. Wniósł im także telewizor. Poinformował Janet, że jeśli mu nie wierzy, o jedenastej może sobie obejrzeć „Sekrety rządu”, program dotyczący teorii spisków. Autorzy byli już dwa razy sądzeni i musieli niektóre twierdzenia odwoływać. Janet nie podjęła dyskusji. Do jedenastej było jeszcze bardzo daleko.

Butch nic nie mówił, patrzył tylko na mamę szeroko otwartymi oczami. Gdy w domu zapadła cisza, odważył się odezwać.

- Co tata chce zrobić? - zapytał szeptem.

- Nam na pewno nie zrobi nic złego - zapewniła małego stanowczym tonem.

Była o tym przekonana. Była też przekonana, że mąż wierzy we wszystko, o czym mówił. Wypadki mogły się potoczyć w dwóch kierunkach. Albo Carl zadzwoni do Henry'ego Barkera i szeryfowi uda się go uspokoić, albo Henry wezwie pomoc i Carl będzie musiał się długo leczyć. Janet głęboko wierzyła w tę pierwszą ewentualność.

Włączyła telewizor, by Butch się czymś zajął, a sama przygotowała mu kanapki na śniadanie. Sobie też zrobiła jedną, jedząc ją ostentacyjnie, ale

gdy tylko syn nie patrzył, wrzuciła resztę do worka na śmiecie. Potem zmusiła się też do obejrzenia z Butchem kolejnego odcinka kreskówki o Scooby Doo, chociaż ani przez chwilę nie ludziła się, że któreś z nich rzeczywiście śledzi akcję filmu.

Znakomita zabawa z tym Scooby Doo. W każdym odcinku występuje duch, który usiłuje kogoś przestraszyć. Tylko że na końcu wszystko jest na odwrót i zjawia okazuje się bardzo ludzka. Prawdziwymi potworami są ludzie, pociągający za sznurki, brzęczący łańcuchami, a wszystko to wynika z bardzo ludzkich pobudek, najczęściej zawiści. Jednak negatywni bohaterowie zawsze wpadają i lądują w więzieniu. Albo skruszeni przepraszają i wszyscy razem idą na pizzę.

Janet zaczęła się zastanawiać nad niektórymi teoriami Carla. Zwykle przeziębienie nigdy nie zamienia się w zabójczą chorobę, palenie papierosów naprawdę jest szkodliwe, a na badania nad AIDS wydaje się ogromne sumy, ponieważ jest to straszliwa plaga. Jeżeli zaś chodzi o Internet, może on być narzędziem propagandy i agitacji. To prawdopodobne, zwłaszcza że prawie każdy ma do niego dostęp. Stwarza również znakomite możliwości dla niezadowolonych i wrogo nastawionych ludzi, którzy mogą tam głosić swoje poglądy na wielką skalę (a przynajmniej dotrą do użytkowników komputerów).

Janet stwierdziła, że Carl miał słuszość jedynie w przypadku suszy. Goodlands odwiedziła najstraszniejsza susza w historii tego miasta. Gorsza niż ta w 1988 roku, gorsza nawet od kłęski z lat trzydziestych. Żyło jeszcze sporo ludzi, którzy pamiętali tamte ciężkie czasy kryzysu i mówili, że teraz jest znacznie gorzej. Ed Kramer, którego farma spaliła się w tym tygodniu, powiedział jej kiedyś, że w latach trzydziestych ludzie szli po zapomogę dopiero wtedy, gdy już nie widzieli żadnego ratunku, gdy zjedli ostatnią świnie, ostatniego kartofla i cebulę. Powiedział jej także, że obecnie połowa jego sąsiadów, nie wykluczając jego samego, pobiera odszkodowanie za nieurodzaj lub jest na zasiłku.

To nie była normalna sytuacja. Janet nie wierzyła jednak w przeznaczenie ani zły układ planet. A jeżeli to była kara boska, to za co?

Chociaż Carl miał rację co do suszy, nie zgadzała się z nim, że Henry Barker ma z tym coś wspólnego albo wie na ten temat więcej niż inni. Nie była w stanie wyobrazić sobie, aby Henry Barker w jakikolwiek sposób współpracował z agentami CIA, no chyba że byłaby to zabawa w Disneylandzie pod hasłem „Spotkaj się z tajnymi agentami”.

Rządowe placówki nie w tej sprawie nie zrobiły. Poza tym że zaprzeczały istnieniu klęski suszy. Przynajmniej w tym mogła się zgodzić z Carlem. Nie przysłali tu nikogo, kto przyjrzałby się z bliska ich tragedii. Nikt dla nich niczego nie zrobił, poza odnotowaniem faktu anomalii pogodowych, zresztą byli tu tylko w pierwszym roku. Później miasto Goodlands zostało całkowicie zapomniane.

Janet przeraziła się swoich myśli. Nagle usłyszała, jak Carl łączy się z kimś przez telefon, i podeszła do drzwi, aby usłyszeć rozmowę.

Henry Barker dowie się wreszcie, z kim zaczął, zrozumie, że nie ma już żadnego ruchu. Carl rozłożył przed sobą na stoliku wykonane wcześniej notatki. Spisał wszystko czytelnie. Nie chciał zrobić szeryfowi żadnej krzywdy. Wystarczy, jak Henry potwierdzi to, co Carl i tak już wie, i zejdzie mu z drogi.

Przelknął ślinę i wsłuchiwał się w sygnał telefonu, dzwoniącego wiele kilometrów stąd, w kuchni Henry'ego Barkera.

- Słucham - rozległ się w słuchawce głos szeryfa.
- Henry, mówi Carl Simpson.
- Carl! Zamierzałem do ciebie zadzwonić. Co słyszać?
- Dzwonię w sprawie służbowej, Henry. Chciałbym z tobą o czymś porozmawiać.

W słuchawce zapadła cisza. Carl wyobraził sobie, jak na czole Henry'ego zbierają się krople potu.

- Dobrze, Carl, ale właśnie wychodzę. Może zadzwonię do ciebie z biura?

- Chcę porozmawiać teraz.
- No więc słucham - zgodził się Henry. - Mam jednak mało czasu.

O co chodzi?

Carl wziął głęboki oddech.

- Zastanawiałem się ostatnio, Henry, dla kogo pracujesz...

Carl poczuł, jak serce żywiej mu zabiło. Z natężeniem nasłuchiwał na linii dźwięku, wskazującego na uruchomienie magnetofonu.

- Co? Przecież wiesz, dla kogo pracuję, Carl - odpowiedział spokojnie szeryf.

- Nieprawda, wcale nie wiem.

Henry westchnął głośno.

- Chryste, Carl! Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Nie mam teraz czasu. Zadzwonię do ciebie później z biura.

- Lepiej porozmawiaj ze mną teraz, Barker. Widziałem cię ostatniej

nocy. Widziałem ciebie i twojego przyjaciela. Widziałem, jak przekazywał ci informacje.

- Do diabła, o czym mówisz, Carl? Powiedz mi wprost, bo inaczej odłożę słuchawkę.

- Co było na tej kartce? Może godzina i miejsce spotkania? Powiem ci, że sprawdziłem tego faceta. Widziałem jego mapę. Od jak dawna jesteś w to zamieszany? Całe cztery lata, Henry? Sądziłeś, że nikt cię nigdy nie zobaczy? Ciebie i twojego przyjaciela? Co oni tam robią przy domu tej kobiety z banku? Czy ona też jest w to zamieszana?

Henry był zaskoczony zastrasżająco poważnym tonem głosu Carla.

- Powiedz mi o tym coś więcej, wtedy może będę ci umiał logicznie wyjaśnić...

- Kim jest twój przyjaciel? Ostatniej nocy widziałem, jak szedłeś na Parson Road za informatorem, czy kim on tam jest. Widziałem, jak upuścił na ziemię wiadomość, informację czy instrukcję. Widziałem też ciebie. Jakie więc jest to twoje logiczne wyjaśnienie?! - Carl stracił panowanie nad sobą i wrzeszczał do telefonu.

Gdyby to nie był Carl, szeryf zaśmiałyby się i odłożył słuchawkę.

- Chryste! - Henry przetarł dłonią oczy. - To sprawa policji, nie twoja. Nie mam już czasu, cholera, żeby z tobą gadać...

- Nie jestem głupcem! Nie jestem głupcem! - krzyczał Carl. - Jadę tam zaraz. Zbiorę po drodze kilku chłopaków, zrobimy z tym porządek. Damy nauczkę temu tajniakowi...

- Rany boskie, Carl! Ja naprawdę nie znam tego człowieka. Upuścił wizytówkę, więc ją podniosłem. To ktoś, kto przywołuje deszcz. Został chyba wynajęty. Nic złego nie zrobiłem, tylko podniosłem tę cholerną wizytówkę i przeczytałem nazwisko kanciarza, który chce nabrać naiwnych. Błagam cię na wszystkie świętości, daj mi Janet, natychmiast! - krzyknął Henry, którego też poniosły nerwy.

Carl wpatrywał się niewidzącym wzrokiem przed siebie. Twarz zastrygła mu w nieprzyjemnym grymasie. Co takiego? Przywoływacz deszczu, Henry nazwał go przywoływaczem deszczu. Przywoływacz deszczu. Na linii panowała cisza.

W końcu Carl się odezwał:

- Henry, czy uważasz mnie za kretyna? Takiego beznadziejnego kretyna? - Wykrzywił się w niepokohamowanej złości. - Nie wątpię, że on zajmuje się deszczem, i założę się, że wiem, kto go wynajął. Nikt ci nie uwierzy w te kłamstwa, Barker. Nie jestem głupcem.

- Carl, posłuchaj mnie. Mam to tutaj, poczekaj, to ci przeczytam...
- Lepiej postaraj się zdążyć przede mną do miasta, Henry. Jestem pewien, że jak wyjaśnię chłopakom parę spraw, ruszą ze mną pogadać z tym przywoływaczem deszczu. Rozumiesz?

- Daj mi Janet!

Henry był purpurowy z wściekłości. Odkręcił się na krześle, na ile pozwalał mu okazały brzuch, i próbował wsadzić rękę do kieszeni koszuli, wiszącej na oparciu. Miał ją na sobie ostatniej nocy.

Wciąż słyszał w słuchawce oddech. A więc Carl nie poszedł po Janet. Henry wątpił, by Carl mógł skrzywdzić kogoś z rodziny, chociaż... zachowywał się bardzo nienaturalnie.

Znalazł wreszcie tę kieszeń i szukał w niej po omacku prostokątnego kartonika wizytówki, którą podniósł w nocy z szosy. Czuł ją pod palcami przez cienką bawełnę, wilgotną w miejscu, w którym się z nią stykała, i dziwnie ciepłą.

- Sekundę, Carl, znalazłem ją.

Przyciskając nieporadnie słuchawkę do obojczyka, sięgnął wreszcie do tyłu obiema rękami. Jedną chwycił przez materiał wizytówkę, a drugą usiłował odpiąć guzik, skręcając przy tym niezdarnie szyję, aby cokolwiek widzieć. Aż się spocił z wysiłku.

- Jeszcze chwila - uspokajał Carla.

Wreszcie odpiął guzik i sięgnął palcami do kieszeni. Kieszeń była pusta. Pusta. Przez moment czas zatrzymał się w miejscu. Henry wstrzymał oddech. Palce znieruchomiały. Palce drugiej ręki, którymi, jak mu się wydawało, trzymał wizytówkę, także natrafiły na pustkę. Materiał w tym miejscu był niewytłumaczalnie wilgotny i ciepły.

Gdzie, do cholery, podziała się ta wizytówka? Przecież miał ją w ręku, czuł pod palcami. O mało co nie upuścił słuchawki.

- Daj mi Janet! - zawołał do Carla.

- Janet nie może teraz podejść - usłyszał stanowczą odmowę.

Krew uderzyła mu do głowy. Zostawił w spokoju koszulę. Coś w głosie Carla go przeraziło. Przybliżył słuchawkę do ust.

- Nie zrobiłeś żonie nic złego, Carl?

- No coś ty!

Henry odetchnął z ulgą. Chryste!

- Więc gdzie ona jest? Dlaczego nie może ze mną porozmawiać?

- Bo to jest sprawa między nami, Henry. Janet to nie dotyczy.

Henry pomyślał, że wizytówka jest pewnie gdzie indziej i przywidziało mu się, że wyczuł ją palcami. Odwrócił się i sięgnął do drugiej kieszeni. Również była pusta. Spodnie zostały w sypialni.

- Posłuchaj, nie mogę teraz znaleźć tej cholernej wizytówki, ale pokażę ci, jak tylko ją odszukam. To jakiś dowcipniś, może zwykły oszust. Mam zresztą do niego jeszcze inną sprawę, ale to nie jest nikt niebezpieczny. Żaden facet z rządu, on nie ma o niczym pojęcia. Słyszysz, co do ciebie mówię?

- Niech sam mi to powie. Jadę do miasta, skrzyknę paru chłopaków i odwiedzimy jego obozowisko. Ostatniej nocy palił tam ogień. Ognisko w Goodlands! Dlaczego go nie aresztujesz?

- Może to zrobię. Jeśli wcześniej nie zaaresztuję ciebie za zakłócanie spokoju. Nie waz się niczego robić na własną rękę. Masz na mnie poczekać, rozumiesz, Carl? I powiedz Janet, żeby do mnie zadzwoniła.

Pamiętał, że wkładał tę wizytówkę do prawej kieszeni koszuli. Zawsze wkładał tam wszystko, co mogło być jakimś śladem. A poza tym czuł ją przecież, mógłby przysiąc. Jeszcze raz przeszukał dokładnie obie kieszenie, przytrzymując słuchawkę brodą.

- Postaraj się być jak najszybciej w mieście - usłyszał głos Carla, a potem połączenie się przerwało.

Henry zaklął i rzucił słuchawkę na widelki.

- Co się dzieje? - zapytała Lilly, która właśnie weszła do kuchni.

- Gdzie są spodnie, które miałem na sobie tej nocy?

- Na podłodze, tam gdzie je zostawiłeś - prychnęła z wymówką.

- Mogłabyś mi je przynieść?

Nie dawał za wygraną. Rozłożył koszulę na blacie stolika. Może pomylił się i sprawdził jedną i tę samą kieszeń. Wsadził rękę do prawej. Pusto. Ale na dole, dokładnie tam, gdzie wydawało mu się, że czuje pod palcami prostokątny kartonik, widniał ciemniejszy, wilgotny kształt, przypominający rozmiarem wizytówkę. Henry wiedział, że tam była, i wiedział, że zniknęła. Po prostu ulotniła się jak kamfora.

Dla porządku przeszukał jeszcze kieszenie w spodniach, ale niczego nie znalazł.

Poczuł znajome skurcze w brzuchu. To uczucie nie zwiastowało niczego dobrego.

Vida uciekała przerażona. Chciała być jak najdalej od tego, czym interesował się głos, odkąd tylko zdała sobie sprawę z jego istnienia.

Trwoga ją obezwładniała. Głos uspokoił się, przestał być taki stanowczy, jakby się od niej oddzielił. Najwyraźniej tracił moc.

Nie wykonała zadania. Trwoga i gwałtowne emocje, jakie ogarnęły ją po spotkaniu z kobietą z banku, sprawiły, że trzęsa się na całym, ciele i była bliska paniki. Schizofreniczne rozszczepienie, jakie dotychczas czuła tylko w swoim wnętrzu, przeniosło się teraz na wszystko dookoła.

Trapiło ją jeszcze coś, co miało związek z tą kobietą. Niestety, panujący w jej mózgu chaos nie pozwalał na jednoznaczne odróżnienie, czy to był jej niepokój, czy tej drugiej istoty, niemniej natrętnie nachodziły ją myśli o kobiecie z banku.

Jedno tylko wiedziała z absolutną jasnością - musi wykonać zadanie. Czuła, że będzie zgubiona, jeśli tego nie zrobi. Musi spełnić polecenia, uciszyć ten głos wewnątrz siebie. Chociaż niewiele o nim wiedziała, nie miała wątpliwości, na czym mu najbardziej zależy. Na zemście. Doskonale rozumiała to uczucie. Dla niej znaczyło to, na przykład, kamień w dłoni, którym można wybić szybę w oknie. Było też wiele innych sposobów. Vida uczyła się ich od lat.

Droga za nią migotała i wibrowała w słońcu, jakby znajdowało się tam lustro wody. To wina straszliwego żaru. Asphalt topił się, a jego powierzchnia marszczyła się i falowała jak na rzece.

Vida szła, a droga za nią płynęła.

Musiała się śpieszyć. Już przed domem kobiety z banku wyczuła, że coś wisi w powietrzu. Na małym podwórku niemal nie było czym oddychać, a kiedy ruszyła w stronę miasta, czuła to jeszcze wyraźniej. Oglądając się co jakiś czas z lękiem za siebie, jakby ścigało ją coś złego, dostrzegła wreszcie, co było przyczyną tych zmian.

Na zachodzie niebo stawało się coraz ciemniejsze. Napływały chmury. Głos lamentował coraz głośniejsze. Miała już bardzo mało czasu. Przyśpieszyła kroku i uporządkowała myśli. Zadanie musi zostać wykonane, a wtedy głos zostawi ją w spokoju. Chodziło o miasto. Głos nienawidził go tak samo jak Vida. Odegra się na tym mieście.

Tuż za nią na drodze rozległ się jakiś łoskot i grzmotnęło, jakby uderzył piorun.

W końcu obie dokonają swojej zemsty.

Nie minęło jeszcze piętnaście minut od zakończenia rozmowy z Henrym Barkerem, gdy Carl Simpson wszedł do restauracji. Od dziesiątej aż do lunchu Kushnerowie mieli komplet gości. Rzadko kiedy

bywało tam o tej porze na tyle spokojnie, aby ludzie, wymieniający poranne ploteczki przy kanapkach i ciastkach, byli w stanie zwrócić uwagę, kto wchodzi do środka. Jednak Carl wkroczył do restauracji w taki sposób, że wszyscy zwrócili się w jego stronę.

Zwykle dokładnie ogolony, tym razem pojawił się z ciemnym jednodniowym zarostem, a pod oczami miał sine kręgi. Inni też, być może, nie wyglądali lepiej z powodu chronicznego niedospania - kto zresztą w Goodlands dobrze się wysypiał - ale Simpson sprawiał wrażenie ciężko chorego.

- Carl nie wygląda najlepiej - powiedziała Betty Washington do Chimmy Waggles.

Piły kawę przy stoliku w środku sali. Chimmy spojrzała na Carla i wzruszyła ramionami.

- A kto teraz dobrze wygląda?

Obie wróciły do przerwanej rozmowy. Zastanawiały się, czy chłopak Waltera i Betty Sommersetów ożeni się z dziewczyną, którą poznał w szkole. Doszły do zgodnego wniosku, że będzie kompletnym głupcem, jeśli to zrobi.

Carl obserwował salę. Goście zajęci byli swoimi sprawami, rozmowy nie toczyły się głośno, ale towarzyszyło im stukanie talerzyków i sztućców oraz syczenie ekspresu, co w sumie powodowało spory zgiełk. Podeszedł do stolika służbowego w przedniej części sali, gdzie siedzieli „chłopcy” z miasta. Pochylił się nad nim i zaczął mówić.

Rozmowa, toczona przy stoliku przed pojawieniem się Carla, urwała się natychmiast i „chłopcy” z coraz większym zdumieniem słuchali jego słów.

Przy głównej ulicy Goodlands, która nazywała się po prostu Main Street, stał posąg upamiętniający poległych w drugiej wojnie światowej (był to pomnik nieznanego żołnierza, któremu dziwnie uformowany nos nadawał wygląd boksera), obok ustawiono ławkę, wzdłuż chodnika zaś, na wysokości sklepu Wagglesów, rosły strzeliste drzewa, jakby po to, aby podkreślić, że ten sklep jest trochę ważniejszy od pozostałych. Po wielkim klonie, najstarszym drzewie na tej ulicy, nie było już prawie śladu, jeśli nie liczyć niebezpiecznego kikuta pnia, który okoliczne dzieciaki rozszarpały na drzazgi. Na wprost sklepu stała jeszcze jedna ławka, należąca do restauracji Kushnerów. W czasie świąt Bożego Narodzenia do ulicznych latarni przywiązywano długie sznury kolorowych lampek. Ponieważ jednak nie był to czas

Bożego Narodzenia, nikt by nie poznał, że to główny deptak w mieście. Uliczne latarnie i tak nie były tu potrzebne, bo restauracja, jedyny lokal w Goodlands czynny wieczorem, zamykana była o ósmej. Rzęsienie oświetlona główna ulica nie była temu miastu w ogóle potrzebna.

Niemal wszystkie rosnące wzdłuż ulicy drzewa niszczały z braku należytej opieki i nadmiaru spalin, a także, oczywiście, suszy. Niektóre były nawet dość wysokie, ale żadne nie dorównywało obwodem pnia zwalonemu klonowi.

Vida zatrzymała się obok jednego z nich, łapiąc oddech. Biegła prawie całą drogę z Parson Road.

Z trudem panowała nad wściekłością. Głos wewnątrz niej szalał, ponaglał, ale ponad nim górowały osobiste żądze, które trawiły ją jak gorączka i nie sposób było ich powstrzymać. Istota w jej wnętrzu nie była już partnerem, ledwo uchwytnie rozdzielenie, które cały czas wyczuwała, stawało się wyraźniejsze. Sprawiało ból.

Dwie dusze Vidy nie zgadzały się ze sobą. Nie chodziło już tylko o mężczyznę, o którym mówił głos obcej istoty. Teraz Vida miała własny cel i chciała „im dołożyć”. Ślepa zemsta obu skrzywdzonych.

Obserwowała ludzi wchodzących i wychodzących z restauracji. Gdy tylko chwilę odpocznie, ruszy za nimi.

Karen odwróciła się w stronę polany. Oddychała głęboko, wdychając tę jedyną w swoim rodzaju woń, zapomnianą już, a przecież znaną tak dobrze jak własne imię, woń deszczu.

Naprawdę nadchodził.

Gdzieś w górze zadudnił odległy grzmot. Nadciągała burza. Karen starała się już nie myśleć o dziwnej dziewczynie. W tym momencie najważniejszy był zapach i odległy grzmot. Powoli ruszyła na polanę. Nie mogła o niczym myśleć, pragnęła tylko, żeby wreszcie to zrobił. Chciała być tam, gdy to się stanie.

Tak długo czekała.

Minęła podwórko i spojrzała w niebo. Przyglądała się płynącym chmurom, które gromadziły się wolno i pojawiały nie wiadomo skąd. Zaczęło się na zachodzie, gdzie niebo zmieniło kolor z błękitnego na ciemnogrnatowy. Chmury dosłownie otaczały Goodlands, sięgając na wschodzie do Badlands, na południu aż do pól należących do mleczarni Hillton-Shane, dalej wokół jej domu i baru Clancy'ego, a na północy aż do pasa podziemnych wyrzutni raketowych.

Na skraju sadu Karen schyliła się, by wejść między jabłonie. Nie chciała tracić magicznego widowiska na górze, ale gałęzie przesłoniły jej niebo. Próbowwała wypatrzeć coś na polanie. Jak najciszej przedzierała się przez nisko wiszące konary, od czasu do czasu podnosząc głowę i szukając Toma.

W połowie drogi nareszcie go zauważyła.

Stał wyprostowany, wręcz wyciągnięty w górę i patrzył w niebo. Dopiero po chwili zauważyła, że jego twarz pozbawiona jest jakiegokolwiek wyrazu, jakby duchem był zupełnie gdzie indziej. Jego pierś lśniła od potu albo deszczu. Wyglądał tak, jakby przed chwilą złapała go ulewa. Stał nieruchomy jak cisza. Zakłęty w kamień. Piękny.

Patrzyła jak urzeczona. Nagle rozległ się kolejny grzmot. Karen poczuła, że wokół niej powietrze się zmienia. Zauważyła to, wciąż schowana między drzewami. Nos jej to mówił.

Słyszała swój oddech, powolne bicie własnego serca. Czekala.

Carl w drodze do miasta układał sobie, co im powiedzieć. Bardzo starannie dobierał słowa, zdając sobie sprawę, że jeśli coś zabrzmii w jego ustach niewiarygodnie lub głupio, nikt go nie będzie słuchał.

Udało mu się ułożyć wywód w logiczną całość. Chociaż niektóre rzeczy - było mu naprawdę przykro z tego powodu - musiał zmyślić. Wszystko w imię dobra ludzkości. Cel uświęca środki.

- Posłuchajcie - powiedział do nich.

Nachylił się nad blatem stołu. Wokół siedzieli jego starzy znajomi. Koledzy i przyjaciele. Ufał im i miał nadzieję, że oni ufają jemu.

- Przy Parson Road dzieje się coś dziwnego. Wiecie, że starałem się rozwiązać tajemnicę tej suszy.

Tyrady, jakie w ciągu ostatnich kilku miesięcy wygłaszał Carl, niejednego słuchacza przyprawiły o skręt kiszek. Panowała powszechna opinia, że zbzikował. Jednak tym razem ich uwagę zwróciły nie tyle słowa Carla, ile sposób, w jaki się do nich zwracał.

- Co chcesz nam powiedzieć, Carl? - zapytał Jeb Trainor.

- Na pastwisku dawnej posiadłości Manna, zaraz przy sady, biewakuje jakiś obcy. Widziałem go. Dziwny gość. Osobiście uważam, że to może być ten facet, o którym wszyscy mówią, pewnie on podłożył ogień na polu Kramera...

- Co takiego? - zdziwił się Jack Greeson.

Był jednym z tych, którzy wtedy na ochotnika gasili pożar.

- Widziałem go - ciągnął Carl. - Palili tam ognisko, wprawdzie nie wtedy, kiedy ja tam byłem, ale popiół był jeszcze gorący. Miał ze sobą plik map - dodał szybko, aby słuchacze nie skoncentrowali się na pożarze. - Także mapy Goodlands. Moim zdaniem to jakiś agent rządowy. Podejrzewam, że ma coś wspólnego z suszą.

Sześć par oczu wpatrywało się w niego z napięciem.

- Uważam, że powinniśmy tam pojechać i zadać mu parę pytań - dorzucił prędko.

Jego głos brzmiał tak pewnie, tak stanowczo, że niektórzy pokiwalili głowami.

- Skąd ty to wszystko wiesz? - zapytał Kushner.

Kilku mężczyzn już wstało. Bart zaproponował, że jeśli nie przeszkadza im jazda na budzie, może ich podwieźć ciężarówką.

- Jakie to ma znaczenie? - zdziwił się Carl. - Jadę tam. Muszę usłyszeć, co ten facet ma do powiedzenia. Kto jedzie ze mną?

- Ja - oświadczył Bart, wstając z miejsca.

Z pewnością perspektywa przygody pociągała go bardziej niż wyjaśnianie jakichś faktów. Chciał wziąć udział w rozróbie, by choć trochę urozmaicić nudny dzień.

- I ja - rzucił Jack Greeson, także wstając. - Rusz się, stary! - zawołał do Teddy'ego Lawrence'a, waląc go w plecy.

Teddy pokiwał głową i szybko dopił kawę. Wstał. Jeb odsunął krzesło i stanął pomiędzy nimi.

- Chwileczkę, panowie, chwileczkę! - zawołał. - W którym miejscu na Parson Road? Tam wszędzie są tereny prywatne. Nie możecie tak po prostu wsiąść do ciężarówki, wjechać na czyjś teren i obskoczyć jakiegoś faceta, którego nikt z was nawet nie zna. Carl, skąd wiesz, że to agent rządowy?

Wzburzony Jeb podniósł głos o kilka tonów. Reszta gości w restauracji zaczęła się przysłuchiwać.

- Nazywasz mnie kłamcą, Jeb? - nastroszył się Carl.

- Dobrze wiesz, że nie. Chcę ci tylko powiedzieć, że to nie jest racjonalne działanie. Nie możesz bez dowodów traktować człowieka jak kryminalistę. Napadać go tylko dlatego, że twoim zdaniem mógłby być w coś zamieszany! Ściągniesz kłopoty na wszystkich. Powiedz nam, co wiesz.

- Wiem, że ma przy sobie mapy terenów, na których jest susza! Wiem, że węszy dookoła. Wiem, że odkąd się tu pojawił, wydarzyła się seria dziwnych wypadków i on musi mieć z tym coś wspólnego!

A ty co o tym sądzisz, Trainor? Może to ktoś z firmy Fuller Brush Man i przyjechał tu wyczyścić kilka kibli?

W restauracji zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Carl i Jeb stali na wprost siebie, Teddy Lawrence nerwowo przysiadł na brzegu krzesła. Gdy do stolika zbliżyła się Grace, Ed Kushner wszedł pomiędzy spierających się mężczyzn.

- No dobra, ustalmy coś. To jest miejsce publiczne, nie wszczy-najcie tu żadnych kłótni. Jeb, posłuchajmy, co Carl ma do powiedzenia. Może warto posłuchać.

- No więc, co takiego się dzieje na Parson Road? - zapytała Gracie.

W rękę trzymała dzbanek z kawą, gotowa cisnąć nim w tego, kto pierwszy użyje pięści. Jeśli będą zachowywać się w jej restauracji jak zwierzęta, postąpi z nimi jak ze zwierzętami.

- W porządku, Gracie - uspokoił ją mąż. - To tylko różnica poglądów. Już będzie spokój. Nalej Carlowi kawy, dobrze?

Z drugiego końca sali rozległ się czyjś piskliwy głos.

- Carl, chcę usłyszeć, co masz do powiedzenia! Coś ty mówił o suszy?

Była to Debbie Freeman z urzędu miejskiego. Jej ojciec przeżył rok temu zawał. Teraz uczył się znowu chodzić, ale mówił jak pięcioletnie dziecko. Debbie winiła za to nieszczęście suszę. Ludzie zgadzali się z nią, chociaż nikt nie powiedział tego wprost. Jej ojciec nie był jedynym człowiekiem zniszczonym fizycznie lub psychicznie przez suszę. Kilku gości poparło ją głośnym pomrukiem.

Carl stanął na środku kawiarni.

- Widziałem faceta nasłanego tu przez jakąś rządową agencję, który zatrzymał się na terenie dawnej posiadłości Manna. Tam gdzie teraz mieszka Karen Grange. Biwakuje w jej sadzie. Chcę tam tylko pojechać i zadać mu kilka pytań. Nie wiem jak wy, ale mam już dość tego ciągłego okłamywania. - Podniósł głos. - Chcę wiedzieć, co oni z nami robią! Chcę wiedzieć, jakie testy na nas przeprowadzają! - zaakcentował słowo „testy”, mając nadzieję, że wszyscy znają jego znaczenie. - Niech nam to wreszcie powiedzą. Przecież to jest nasze miasto! - Jego głos zabrzmiał bardzo stanowczo. - Jadę tam natychmiast. Kto chce, niech jedzie ze mną.

W restauracji rozległ się gwar stłumionych dyskusji, w większości popierających propozycję Carla. Kilka osób wstało i ruszyło ku drzwiom.

- Poczekajcie! - zawołał Jeb. - Przecież nie wiemy, kim jest ten człowiek. Może to jakiś inspektor, może zwykły włóczęga nocujący pod gołym niebem, a może przyjaciel Karen Grange. Dlaczego nie chcecie Karen spytać, kto to jest? Przecież przebywa na jej terenie, powinna go znać. Kushner, zadzwoń do banku i zapytaj ją - poprosił.

- Karen jest chora - odezwał się Leonard Franklin spod okna. - Nie pracuje dzisiaj. Byłem w banku po kilka formularzy.

W restauracji zaległa cisza.

- Hm, może ona również jest w to zamieszana - zauważył Carl.

Nagle wszyscy zaczęli mówić jednocześnie. Jedni szykowali się, aby jechać z Carlem, inni woleli wracać do domów. Jakaś kobieta zasloniła sobie ręką usta i siedziała nieruchomo, rozglądając się dookoła przerażonym wzrokiem.

Jedna Grace zauważyła, że drzwi restauracji się otworzyły. Do środka weszła kilkunastoletnia dziewczyna. Uśmiechała się dziwnie, jakby coś z nią było nie w porządku. Dopiero wtedy Grace ją rozpoznała. To córka Whalleyów. Zrobiła coś z włosami, pomyślała Grace w roztargnieniu.

- Widziałem jego mapy - mówił Carl do gości. - Bart, Gooner, John Livingstone, Tindalowie... oni widzieli w pobliżu pola Kramera jakiegoś faceta. Rysopis się zgadza. Teraz ten obcy znajduje się na terenie prywatnym, coś tam robi i ja chcę wiedzieć co...

- Ja także go widziałam.

Słowa te zostały wypowiedziane donośnym, chociaż dziwnie brzmiącym głosem. Jakby dobiegał z głębokiego tunelu, tak przynajmniej określali to ludzie później. Jakby to było echo, dobiegające z bardzo daleka. Wszyscy odwrócili się, aby zobaczyć, kto mówi. Z początku nikt jej nie rozpoznał, podobnie jak Grace, dopiero po chwili zorientowali się, że to Vida. Dziewczyna Whalleyów.

- Wiesz, o kim mówię? - zdziwił się Carl.

Vida pokiwała wolno głową. Było coś nienaturalnego w jej zachowaniu. Nie zwracano jednak na to uwagi, chociaż niektórzy krzywili się na jej widok.

- Miał ze sobą... maszynę - skłamała.

Bez pytania i bez przysłuchiwania się rozmowie wiedziała, co było jej tematem. Czowała emanującą z tłumu energię. Czowała niepokój ludzi i ich przerażenie. Sprawiało jej to przyjemność.

- Maszynę? - zdziwiła się Grace.

- Komputer - wymyśliła na poczekaniu Vida. - Coś z nim robił.
- Idziemy - zarządził stanowczo Carl, idąc do wyjścia. Wielu gości ruszyło za nim.

Powstrzymał ich czyjś głos.

- Wierzcie temu, co mówi jedna z Whalleyów?! - zawołała Chimmy Waggles. - Przecież ona nie powiedziała jeszcze w życiu słowa prawdy! Ludzie, opamiętajcie się na litość boską!

W tym momencie Betty Washington wymierzyła jej siarczysty policzek. Był taki głośny, że wszyscy w kawiarni zamilkli. Grace Kushner aż otworzyła usta ze zdumienia.

Jednak nikt nie wyglądał na bardziej zaskoczonego tym, co się stało, od Betty Washington.

- Nie wiem... co się stało - popatrzyła na swoją rękę tak, jakby należała do kogoś innego, a potem, straszliwie skonsternowana, zerknęła na Chimmy. - Nie chciałam cię uderzyć... nie wiem, jak to się stało...

Tylko tyle zdołała powiedzieć, bo Chimmy doszła do siebie i zamachnęła się z całej siły pięścią. Cios był źle wymierzony. Betty uchyliła się i Chimmy trafiła ją gdzieś w okolicy ucha, strącając okulary, które przeleciały kilka metrów, odbiły się od piersi Charleya Blakeya i upadły na podłogę. John Waggles zerwał się na równe nogi, aby rzucić się żonie na pomoc.

Nagle drogę zastąpił mu Lou McGrath.

- Nie wtrącaj się, przyjacielu - poprosił grzecznie.

Potem jednak grzecznie się nie zachował. Pchnął całkowicie zaskoczonego, wątego Johna na stoliki. Filizanki spadły z brzękiem na podłogę, podobnie jak siedzące obok Mary Taylor i Marylin Jorgensen. Spódnica Marylin zadarła się wysoko w górę, odsłaniając majtki. Nikt nie zwrócił uwagi na tłumiony chichot, jaki słychać było przy drzwiach.

Vida Whalley była w swoim żywiole.

- Mój Boże, tak mi przykro, John - wybełkotał Lou, pomagając mu wstać. - Nie wiem, co we mnie wstąpiło.

John odtrącił jego pomocną dłoń i wstał o własnych siłach.

Na twarzach ludzi malowało się bezbrzeżne zdumienie, niemniej jednak do bijatyki włączało się coraz więcej restauracyjnych gości, na przekór zdrowemu rozsądkowi i niechęci do wszczynania burd. Ci, którzy usiłowali rozdzielać walczących, wbrew własnej woli sami się na innych rzucali. Wkrótce wszyscy bili się ze wszystkimi.

Nikt nie zauważył zmrużonych oczu dziewczyny ani tego, jak spokojnie spacerowała w tę i z powrotem przy wejściu. Nikt też nie słyszał jej śmiechu. Nikt nie zwrócił uwagi, jak po cichu coś do siebie mówiła, jakby sama ze sobą toczyła jakiś spór. Ani na to, że nagle zeszytniała i schwyciła się mocno lady, by nie upaść. Do tego czasu sprawy zaszły już tak daleko, że wszyscy o niej zapomnieli.

Ludzie wytoczyli się z restauracji na ulicę.

Henry bał się, że Carl przyjedzie do miasta przed nim. Musiał jednak nadłożyć drogi i pojechać najpierw do jego domu. Chciał sprawdzić, co się dzieje z Janet i Butchem.

Dom Carla był pusty. Henry zapukał, poruszył klamką, lecz drzwi były zamknięte. To zupełnie niepodobne do Simpsonów, ale przecież Carl także nie zachowywał się ostatnio normalnie. Henry krążył pod oknami jego domu i wołał Janet. Obszedł dom od tyłu. Kuchenne drzwi też były zamknięte. Henry postanowił jeszcze sprawdzić okna. Od południowej strony znalazł wreszcie to, czego szukał. W jednym z okien nie było siatki. Po rodzaju zasłon domyślił się, że to sypialnia. Okno było uchylone, a na ziemi widać było ślady butów. Ktoś przez nie wychodził. Henry kilkakrotnie zawołał Janet i Butcha, ale nikt mu nie odpowiedział. Przez chwilę rozważał, czy nie poszukać drabiny i nie zajrzeć do środka, lecz zaraz uznał, że dom z pewnością jest pusty. Jedne ślady były małe i miały śmieszne wzory na podeszwie, co wskazywało, że mogły to być buty Butcha. Henry domyślił się, że Janet z synem wyszli przez okno, być może po to, by znaleźć Carla. Henry też powinien go czym prędzej odszukać.

Idąc do samochodu zastanawiał się, czy nie powinien ominąć miasta i pojechać prosto do Karen Grange. Może uda mu się powstrzymać Carla przed zrobieniem jakiegoś głupstwa.

Pewnie było już za późno, ale miał nadzieję, że zapobiegnie większej rozróbie. Na przedmieściach Goodlands zatrzymał go jakiś człowiek w czerwonej półciężarówce. Henry żałował, że nie ma w samochodzie koguta ani ogłuszającej syreny. Musiał się więc zatrzymać, gdy kierowca wozu pokazał mu, że chce z nim porozmawiać. Oba auta stanęły na środku drogi.

- Hej! - zawołał facet z półciężarówki przez okno. - Chciałem pojechać Parson Road, ale tam coś się stało, niech pan to obejrzy i zawoła kogoś. Nie mam pojęcia dlaczego, ale ta droga jest straszliwie popękana. Do cholery, jechałem częściowo po chodniku, a częściowo

wzdłuż jakiejś rozpadliny na środku jezdni. To wygląda, jakby przeszło tamtędy trzęsienie ziemi - wyrzucił z siebie jednym tchem.

- Co? - zapytał Henry.

- Powiedziałem już, nie wiem, do kogo trzeba zadzwonić. Nie mogę pomóc, bo właśnie wyjeżdżam z miasta, przepraszam!

Półciężarówka odjechała. Henry zamknął na chwilę oczy, próbując zrozumieć, co się tu dzieje. Nie miał czasu na szukanie telefonu, musiał natychmiast jechać dalej.

Wjechał na prawy pas i przycisnął gaz do dechy. Nie miał koguta ani syreny, ale mógł przecież dodać gazu. Spojrzał w niebo. Zamrugnął, przekonany, że coś wpadło mu pod powiekę. Jednak gdy przetarł dłonią oczy i spojrzał jeszcze raz, obraz się nie zmienił.

- A niech to wszyscy diabli! - Henry otworzył usta ze zdumienia.

Wskazówka szybkościomierza w jego samochodzie ciągle przechylała się na prawo.

Vida nie wiedziała o tym jeszcze, ale próbując wykonać zadanie, popełniła bardzo wielki błąd.

Straciła z oczu cel. Resztki mocy, jaką czuła jeszcze w swoim wnętrzu, skierowała na ludzi. Działała w takim amoku, że nie zauważyła, co się dzieje, chociaż powinna była się tego domyślić.

Potyając się, wyszła z restauracji skulona. Trzymała się rękami za brzuch. Twarz wykrzywiła jej grymas bólu. Głos ją ranił.

Tłum, który chwilę wcześniej wyległ na ulicę, zachowywał się jak ogarnięty zbiorowym szałem. Mężczyźni, znający się nieraz od dziecka, okładali się pięściami i wyglądało na to, że każdy z każdym ma na pieńku. Kobiety płakały. Grace Kushner usiłowała rozdzielić Betty i Marylin. Wykrzykiwano na głos najtajniejsze sekrety, odzywały się stare urazy i żale, dały o sobie znać napięcia, jakie nawarstwiały się między ludźmi w ciągu ostatnich czterech lat.

Vida już niemal zupełnie straciła panowanie nad mocą w swoim wnętrzu, a to, czym jeszcze mogła rządzić, skierowała na tłum. Chciała w ten sposób załatwić własne sprawy.

Chimmy Waggles miała złamany nos. Vida kazała osobie stojącej tuż obok zamachnąć się z całej siły i Chimmy upadła twarzą na ławkę przed restauracją. Vida wyobraziła sobie nawet, że słyszy chrzęst pękającej kości. Nie mogła jednak tego słyszeć, gdyż okropnie szumiało jej w uszach, a istota w środku sprawiała, że jej serce uderzało niesłychanie szybko, powodując zamęt w głowie i chaos myśli. Z trudem

koncentrowała się na tłumie. Ludzie stanowili jedną kłębiącą się masę. Gdzieś rozpląnął się jasny, słoneczny dzień, jaki zapowiadał się od rana.

Z Vidą działo się coś niedobrego. Było jej gorąco, tam gdzie wcześniej słyszała głos, teraz czuła płomienie, w uszach dźwięczał straszliwy krzyk. Włosy coraz ciaśniej opinały jej czaszkę.

Agresja powoli słabła. Ludzie stali na ulicy w małych grupkach, wyzywając się i oskarżając nawzajem. Ktoś nazwał Barta Eastly'ego pedalem. Epitet był oczywiście obraźliwy, chociaż nie wiadomo, czy prawdziwy. Bart otworzył ze zdziwienia usta, niezdolny do riposty. Gooner, jego przyjaciel, podszedł do oszczercy i pchnął go mocno. Facet upadł na tyłek. W powietrze wzbił się pył.

- Nie waż się nigdy więcej tak mówić o Barcie! - wrzasnął Gooner.

Leonard Franklin przyglądał nerwowo włosy. Miał rozcięte wargi, po brodzie płynęła mu strużka krwi. Dostał pięścią w twarz od Eda Kushnera.

- Myślisz, że jestem leniwy? Uważasz, że jestem leniwy? - Kushner powtórzył to kilka razy, stojąc twarzą w twarz z Leonardem.

- Ed, nigdy nie powiedziałem... - W tym momencie Leonard poczuł na twarzy pięść przyjaciela.

Grace próbowała powstrzymać męża i też dostała w nos, na szczęście lekko.

- To ja uważam, że jesteś leniwy! Nigdy nie spotkałam takiego nieroba. Jesteś najbardziej leniwym człowiekiem na świecie! Nie masz pojęcia, jak często w nocy nie mogę spać i zastanawiam się nad sposobem...

Kushnerowie rozpoczęli regularną kłótnię małżeńską. Dla nich to nic nowego. Po prostu przenieśli ją z sypialni na ulicę. Grace po raz kolejny wykrzykiwała mu w twarz, że jedynym powodem, dla którego go jeszcze nie zabiła, było to, że nie jest wart trudu wypełniania formularzy polisy ubezpieczeniowej.

Vida była zupełnie sama. Chociaż miała szeroko otwarte oczy, wydawało się jej, że na świecie zrobiło się ciemno. Stała zgięta w pół, z trudem łapała oddech.

Nadchodzi, nadchodzi! W kółko to samo, nieubłagane jak tortura. Vida nie mogła nic poradzić na wściekłość, jaka się w niej zagnieżdziła, ani na cierpienie, jakie jej sprawiała.

Jęczała z cicha. Nikt nawet na nią nie spojrział.

Wreszcie głos pozwolił się Vidzie wyprostować. Ból nieco osłabł.

Obej mężczyzna! Znajdź obcego mężczyznę! Nadchodzi!

Vida stała wyprostowana. Wyglądała jak uosobienie nieszczęścia: błędne spojrzenie, włos w nieładzie, najmniejszy nawet ruch sprawiał jej widoczny ból. Nie była już zła, raczej przerażona i wyczerpana. Ruszyła chwiejnym krokiem w stronę zgromadzonych na ulicy ludzi.

- Poczekaście - powiedziała nagle i podniosła rękę. Nikt nie słuchał. - Przestańcie - spróbowała jeszcze raz. Nie mogła już prawie mówić, szeptała. Ponowiła próbę, machając anemicznie ręką. Po policzkach płynęły jej łzy.

I wtedy go poczuła. Z nieba spadła kropla deszczu i potoczyła się po jej ramieniu.

Nagle ludzie na ulicy się uspokoili. Ustały bijatyki, wrzaski, krzyki i wzajemne oskarżenia. George Kleinsel zastygł zgięty wpool, ktoś inny nie zdążył oddać ciosu, gdyż jego rękę powstrzymał w powietrzu Leonard. Zapanowała pełna napięcia cisza.

Ludzie zwrócili twarze ku niebu.

Czarne, nisko wiszące chmury układały się w dziwny, niespotykany wzór, gromadząc się wzdłuż granic miasta. Ludzie patrzyli w górę, potem rozglądali się dookoła, następnie znowu w górę, nie mogąc się nadziwić temu, co widziały ich oczy.

Leonard Franklin, dla którego było już za późno, uśmiechnął się z nadzieją.

Ktoś wybuchnął głośnym śmiechem, ale nikt się nie odzywał. Nie trzeba było żadnych słów.

W ciągu kilku minut krople zgęstniały. Z nieba polała się woda. To niewiarygodne. Istny cud. Spadł deszcz. Czysty, prawdziwy deszcz. Uderzał o ziemię monotonnym rytmem, podnosząc w górę czteroletnią warstwę kurzu. Asfalt na drodze i betonowe płyty na chodniku pociemniały. Coraz częściej słyhać było śmiech. Wkrótce śmiali się już wszyscy. Nastrój tłumu zmienił się, gniew znikł. Ludzie patrzyli w niebo, otwierali usta, mrugali oczami, w których zimne krople padające z nieba mieszały się ze łzami radości.

Tom trzymał deszcz, dopóki nie zdrętwiały mu ręce, ciągnął go naprężonymi do bólu mięśniami, prowadząc stada chmur z wilgotnych okolic poza granicami Goodlands. Włókł chmury i szarpał, błagał i obiecywał, aż przybliżyły się do miejsca, gdzie stał, sztywny jak posąg pośrodku umierającej polany.

Twarz miał zlaną potem, który spływał mu do ust, ciepły i słony, a gdy deszcz był już blisko, nawet słodki.

Najpierw go poczuł. W ustach słodki, zimny smak, a w nozdrzach zapach. I wtedy już wiedział.

Chwilę później wszystko to zniknęło. Drzwi się otworzyły.

Najpierw w górze, na zachodzie, straszliwie zagrzmiało, a zaraz potem niebo przeszła błyskawica. Siła grzmotu wprawiła ciało Toma w wibrację. Dudnienie wzmagało się i wznosiło w górę, trzymając się Toma tak samo silnie, jak on trzymał deszcz. Następny grzmot nadszedł z północy, jakby w odpowiedzi na pierwszy. Tom poczuł, że coś się dzieje z jego dłońmi. To było szarpnięcie z góry. Otworzył oczy i spojrzał w niebo. Sunęły po nim czarne chmury, nadciągające ze wszystkich stron. Wtedy ogarnął go lęk.

Chmury z ogromną prędkością zbliżały się do polany. Do niego.

Stracił nad nimi panowanie. Nagle poczuł tak silne szarpnięcie za ręce, jakby zostały wyrwane ze stawów.

Drzwi się otworzyły. Deszcz był bardzo blisko i sunął już teraz sam, gwałtownie, z wściekłością, jakby chciał nadrobić czas, kiedy go tu nie było.

Tom nie mógł już niczego zmienić. Stał w tej samej pozycji, w której trwał od rana. Oczy wzniesione w górę, teraz już otwarte, ciało sztywne i nieugięte, mięśnie naprężone, ręce wyciągnięte w błagalnym geście o moc nieba, dłonie otwarte.

Chmury toczyły się i mrucały. Szybciej, coraz szybciej. Światło słoneczne zniknęło całkowicie pod ich grubą pokrywą. Powietrze wokół Toma stało się ciężkie, niemal za ciężkie, by oddychać. Twarz oblepiała mu wilgoć, grubszą warstwą wokół nosa i ust, skąd spływała w dół. Grzmoty dudniły głucho w uszach. Był to jedyny dźwięk, jaki do niego docierał, na tyle głośny, aby stłumić łomot serca.

Tom poczuł na sobie pierwszą kroplę. Odrzucił w tył głowę i wydał z siebie przeciągły krzyk.

Karen słyszała tylko bębnienie deszczu dobiegające ze wszystkich stron. Wyszła na polanę zza drzew, gdy Tom zaczął krzyczeć i wyciągnął w górę ręce z zaciśniętymi pięściami. To był zwierzęcy krzyk, głęboki i pierwotny. Karen nie tylko go słyszała, czuła go także w sobie.

Tom odwrócił głowę w jej stronę, jakby wiedział, że cały czas tam stała. Nie był zdziwiony, szukał jedynie potwierdzenia. Na jego twarzy pojawił się uśmiech, prawie tak samo zwierzęcy jak okrzyk do niebios.

Czuła na sobie jego oczy. Były gorące.

Deszcz przemoczył ją do suchej nitki. Włosy lepily jej się do twarzy i szyi, ubranie przylgnęło do ciała. Karen czuła się zupełnie naga. Wzniosła twarz do nieba i zamknęła oczy pozwalając, aby deszcz płynął po niej. Otwartymi ustami lyla ciężkie krople.

Gdy ponownie spojrziała na Toma, stał w tym samym miejscu z rękami wyciągniętymi ku niej w geście zaproszenia.

Nie zastanawiała się ani chwili, podbiegła. Tom jednym ruchem przyciągnął ją do siebie i skrył twarz w zagłębieniu jej szyi, spijając stamtąd krople deszczu.

Karen mu na to pozwoliła.

Poczuła na wargach jego usta. Były zimne jak deszcz. I wilgotne.

Tom tulił ją mocno. Dłonie Karen przesuwaly się po jego skórze, po nagich, muskularnych plecach, mokrych i śliskich od deszczu i potu. Tom poczuł ogarniającą go gorącą falę, jakby rodziła się w nim gorączka. To ciepło przeszło także na Karen, a deszcz studził ich ciała. Tom rękami błądził po jej plecach, grzał ją swoim ciepłem. Ciało Karen pragnęło jego ciała. Zaczęła zdierać z siebie ubranie. Chciała czuć bicie jego serca, jak uderzenia kropli deszczu na skórze.

Ręce, usta, smak, dotyk. Leżeli na ziemi, a deszcz padał na nich i wokół nich. Po niebie przetaczała się burza.

Tom nic nie mówił. Poza jednym słowem.

- Karen - wyszeptał, a zabrzmiało to jak grzmot w niebie.

Henry Barker zatrzymał samochód na środku Main Street. Ludzie stali jak kolekcja posągów, z głowami odrzuconymi do tyłu, wyciągniętymi w górę rękami, a z nieba na wszystkich padał deszcz. Szeryf wysiadł z auta. Nie chciał się do nich zbliżyć. To była ich wielka chwila. Obserwował mieszkańców Goodlands zza samochodu. Na ulicy panowała całkowita cisza, tylko monotonicznie szumiał deszcz, uderzając o asfalt i dach samochodu.

Wtedy Henry zobaczył tę dziewczynę.

Wyszła z tłumu, wirując wokół własnej osi i co chwila się potykając. Dłońmi oplatała głowę, twarz zasłaniały jej zmierzwione włosy. Henry nie mógł jej rozpoznać. Nagle wyrzuciła w górę ręce, a z jej gardła wydobył się zwierzęcy skowyt, pełen bólu i wściekłości. Zaczęła wrywać sobie włosy z głowy, krzycząc jak opętana, dopóki starczyło jej tchu.

Ludzie niechętnie odrywali oczy od nieba i zwracali je w stronę wyjącej dziewczyny. Patrzyli na nią, ale nikt się nie ruszał. Przyglądali się zmieszani, niezdolni wyzwolić się spod zaklęcia, jakie rzucił na nich deszcz. Patrzyli, mogli jedynie patrzeć. Henry wyciągnął rękę do dziewczyny, ale mu się wywinęła. Wirując i potykając się, odchodziła, cały czas wydając z siebie nieludzki ryk. Wirowała, dopóki nie upadła. A właściwie nie upadła. Henry opowiadał później żonie, że wyglądało to tak, jakby ktoś ją popchnął, chociaż nikogo przy niej nie było. Wiła się w spazmatycznych konwulsjach, jakby trawiona straszliwym bólem. Z jej gardła wydobywały się nieartykułowane wrzaski.

- Niech jej ktoś pomoże! - zawołała nagle z tłumu jakaś kobieta.

Henry rzucił się w stronę dziewczyny, która tarzała się na ulicy.

Chwyił ją za ramię. Jej głowa leżała na chodniku. Dziewczyna wpatrywała się w niego świdrującym wzrokiem.

- Odejdź! - zaskrzeczała.

Henry cofnął się przerażony. W tym momencie zobaczył jej oczy, zamglone, nieprzytomne.

Było w nich błaganie o pomoc.

Głowa dziewczyny uniosła się i z głośnym stukotem opadła na betonowe płyty. Uderzenie było bardzo silne, w sekundę później się powtórzyło. Dziewczyna głośno westchnęła, a z jej ust wydobył się dziwny obłoczek, przypominający dym. Potem znieruchomiła. Z jej twarzy powoli zniknęło napięcie i grymas bólu, jakby zasypiała po koszmarnym śnie.

Henry nachylił się nad nią i zbadął puls na tętnicy szyjnej. Wyczuł jedno, słabe uderzenie, a potem nic.

Już nie żyła. Dopiero po chwili szeryf zorientował się, kim była, tak bardzo ciało leżącej na trotuarze dziewczyny różniło się od zarozumiałej, niegrzecznej nastolatki, jaką pamiętał. Z całą pewnością była to jednak Vida Whalley. Henry podłożył pod jej policzek dłoń i delikatnie odwrócił głowę, jakby wciąż nie dowierzając, że to ona. Gdy to zrobił, usta martwej dziewczyny się otworzyły.

Znowu wydobył się z nich mały obłoczek, który przez moment snuł się wokół rozchyłonych warg. Henry przyjrzał się temu dokładnie. To nie był dym, ale pył. Zwyczajny szary pył.

Cofnął się ze wstrętem i wyszarpnął rękę. Rozejrzał się dookoła. Nikt nie interesował się martwym ciałem leżącym na drodze.

Ludzie wolno się rozchodzili, niektórzy z niesmakiem, inni z poczuciem winy, ale wszyscy z nadzieją spoglądali w niebo.

Rozdział 12

Goodlands świętowano. Zawsze już, gdy ktoś zapyta: „Gdzie byłeś, kiedy padało?”, z pamięci mieszkańców miasta będzie się wylinał wyraźny, i jedyny w swoim rodzaju moment, który wszyscy zapamiętali na całe życie.

Jennifer Bilken, kasjerka w Komercyjnym Banku Kredytowym dla Rolników, stanęła na schodach razem z Marty Shane z mleczarni, jej jedyną klientką tamtego dnia.

Chciała zobaczyć, co się dzieje, gdyż usłyszała krzyki i niecodzienne hałasy. Ze zdumieniem przyglądała się bijatyce na środku głównej ulicy miasteczka. Jednak już wkrótce jej uwagę przyciągnęły zmiany, jakie zachodziły na niebie. Pociemniało od czarnych chmur. Gdy spadły pierwsze krople deszczu, odwróciła się na pięcie i pobiegła z powrotem do banku, aby zadzwonić do ojca. Telefon dzwonił, dzwonił i dzwonił. Nikt nie podnosił słuchawki, ale Jennifer cierpliwie wsłuchiwała się w sygnał. Domyśliła się, że matka wywiozła ojca z domu w fotelu na kółkach, aby zobaczyć to na własne oczy. Bez trudu wyobraziła sobie dwoje staruszków na ganku, wpatrujących się w deszcz, który był ratunkiem dla ich farmy.

Jennifer czekała przy telefonie, wyglądając przez wielką frontową szybę. Na ulicy ludzie już się nie bili, wpatrywali się w niebo i wyciągali ręce, aby nałapać deszcz.

Wyobraziła sobie twarz ojca. Podbródek trząsał się jej ze wzruszenia, nie rozpląkała się jednak.

W innej części miasta płakał na swojej farmie Bruce Campbell. Stał na podwórku, obejmując ramionami żonę i brata. Wszyscy troje

mieli zwieszane głowy, a ich łzy mieszały się z deszczem, uderzającym o ziemię, z której wznosiły się obłoczki pyłu.

Wszystko będzie dobrze. Na pewno bank udzieli im zgody na zwłokę. Wezmą jeszcze jeden kredyt, wydzierzawią z powrotem swoją farmę i wszystko znowu będzie po starymu.

Larry Watson leżał pod przyczepą. Właśnie umocował na niej kolejny zbiornik i miał jechać do Oxburga, aby przywieźć zapas wody. Tego dnia był już tam dwa razy. Zamierzał wyruszyć po raz trzeci, gdy w przyczepie pękła opona. Klnąc na czym świat stoi, wylazł z kabiny i stwierdził, że złamała się oś.

Dzień i tak zaczął się dla niego fatalnie, a teraz zamienił się po prostu w kupę gówna. Larry podniósł przyczepę lewarkiem i wczołgał się pod spód, sprawdzić rozmiary zniszczenia.

Leżąc tam, usłyszał w pewnej chwili odległe, delikatne stukanie, dochodzące ze stojącego na przyczepie zbiornika. Pomyślał, że to pewnie ptaki srają do środka albo zrzucają tam ziarenka z koryta przed oborą.

Obmacywał oś, badając pęknięte miejsce, ale po chwili zorientował się, że wciąż słyszy to stukanie, regularne i natarczywe. Serce podskoczyło mu do gardła na samą myśl...

Niemożliwe!

Przez moment leżał nieruchomo, bojąc się wyczołgać, sprawdzić, ba, nawet rozważyć taką ewentualność...

Wysunął na zewnątrz rękę. Coś upadło mu na dłoń. Stukanie nie ustawało. Wstrzymał oddech i czekał dalej. Następna kropla. I następna. Zacisnął pięść i coś zimnego, wilgotnego przeciekło mu przez palce.

Larry leżał pod przyczepą jeszcze całą minutę, rozkoszując się dotykiem deszczu na rękę, zanim wyczołgał się i pobiegł do domu.

- Mindy! - krzyknął. - Mindy!

Jego żona wyszła na ganek, wycierając ręcznikiem dłonie.

- Co tak krzyczysz...

Nie dokończyła zdania. Rozejrzała się dookoła zdumiona i zobaczyła męża biegnącego do niej z otwartymi ustami.

- Pada! - zawołał zupełnie niepotrzebnie.

Podbiegł do żony, okręcił ją w pasie, a potem oboje zaczęli tańczyć na podwórku. Po chwili przybiegli ich dwaj dorośli synowie i najęty do pracy pomocnik. Wszyscy skakali, krzyczeli i cieszyli się, a deszcz padał.

Jessie Franklin wsadziła trzyletnią córeczkę do samochodu, a następnie ostrożnie wcisnęła się za kierownicę, uważając na wielki brzuch. Tym razem nie martwiła się, co będzie, gdy ich gruchot rozkraczy się w drodze do miasta. Tego dnia będzie tam taki ruch, że z pewnością ktoś je podrzuci.

Cały czas radośnie szczebiotała do Elizabeth, co deszcz zmieni w ich życiu. Usiłowała sobie przypomnieć, czyjej córka kiedykolwiek widziała deszcz. Możliwe, że dla małej było to coś zupełnie nowego. Jessie obserwowała deszcz przez przednią szybę. Ulewa narastała. Na drodze rzeczywiście był duży ruch, samochody zmierzały w stronę miasta.

Gdy auta, w których widać było same znajome twarze, uformowały niewielki konwój, Jessie zauważyła dziwną rzecz. Żaden z kierowców nie włączył wycieraczek. Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że ona także ich nie włączyła. Podobnie jak wszyscy, chciała zobaczyć Goodlands przez strugi deszczu.

- Pada śnieg, mamusiu - powiedziała Elizabeth.

- Nie, kochanie, to pada deszcz - poprawiła ją, nie mogąc powstrzymać się od uśmiechu. - Deszcz jest dużo bardziej potrzebny.

Jessie jechała do męża. Nie zastanawiała się, jak niewiele deszcz może zmienić w ich sytuacji. Ale w szerszym planie nie miało to zupełnie znaczenia.

Główna ulica w Goodlands wyglądała jak podczas największego święta, ale było na niej więcej ludzi niż w czasie obchodów Dnia Niepodległości, więcej niż kiedykolwiek wcześniej, a wciąż pojawiali się nowi. Przybyli także mieszkańcy pobliskiego Weston, aby cieszyć się szczęściem sąsiadów, którym niewiele mogli pomóc w czasie przeżywanego przez nich nieszczęścia. Byli też ludzie z Oxburga, Telander, Avis i Mountmore, chociaż oczywiście zdecydowaną większość stanowili mieszkańcy Goodlands.

Przed pomnikiem upamiętniającym czasy drugiej wojny światowej stał Ed Shoop, burmistrz Goodlands na dobre i na złe, jak lubił o sobie mówić. Próbował wygłosić przemówienie. Nikt go jednak nie słuchał. Zrezygnował, gdy pojawił się Jim Bean z gitarą oraz Andy Dresner z harmonijką. Zaczęła się prawdziwa zabawa.

Ludzie zbierali się w grupki, rozchodzili, znowu gromadzili, przeciskając się pomiędzy zaparkowanymi w najdziwniejszych miejscach samochodami. Dzieci, kobiety i mężczyźni wyskakiwali z aut, często zostawiając szeroko otwarte drzwi, nie dbając, że deszcz zmoczy tapicerkę i wykładzinę na podłogach.

Dzieciaki biegały, rozchlapując kałuże, układały piosenki i śpiewały je głośno, zaśmiewając się wesoło, gdy któreś zmieniło słowa, i podchwytyjąc nową wersję.

„Deszcze, deszcze, nie odchódźcie, przyjdźcie do nas jeszcze”.

Drzwi do restauracji były otwarte na oścież i wszyscy częstowali się kawą. Jennifer Bilken zamknęła bank i też tam przyszła. Ludzie żartowali, że powinna ugościć każdego podobnie jak Grace, ale mówili to bez cienia złośliwości. Kobiety całowały mężów, dzieci chwytały się za ręce i wesoło tańczyły. Mężowie, zarówno pracujący na farmach, jak i ci, których praca zależała od pomyślności rolników, wydawali się oszołomieni tym nagłym wybuchem radości.

Ludzie tańczyli, nawet śpiewali, deptali się po butach na szczęście, ale w centrum uwagi nie byli ani muzykanci, ani nawet Ed Shoop, który przechadzał się po ulicy z napuszoną miną, jakby osobiście przyczynił się do tego, że spadł deszcz. Najważniejsze działo się na górze. Chmury gnały po niebie, a deszcz padał ludziom na głowy nieprzerwanym strumieniem, niezmienny, chłodny, obojętny.

Leonard Franklin i Henry Barker dyskretnie nakryli ciało dziewczyny kocem. Nie musieli uważać na ślady - co najmniej tuzin ludzi widziało, jak Vida Whalley, lat dziewiętnaście, zamieszkała na Plum View Road 27 w Goodlands, Dakota Północna, dostała jakiegoś ataku, przewróciła się na ulicy i zmarła. Przyczynę zgonu z pewnością należałoby powiązać z tym straszliwym uderzeniem głową o płytę chodnika.

Henry zapisał coś w swoim notesie i uprzedził Leonarda oraz Jeba, że prawdopodobnie będą potrzebne ich zeznania. Następnie we trzech zanieśli ciało do sklepu Wagglesów i położyli na posadzce. Henry poprosił Johna, aby zamknął sklep. Chociaż właściwie nie musiałby tego robić. Ludzie nie interesowali się Vidą bardziej, niż gdyby dziewczyna przewróciła się i stłukła kolano. Henry zdławił w sobie wstyd za mieszkańców Goodlands. Przecież nie co dzień pada tutaj deszcz. Było mu bardzo żal tej małej. Gdy ją nieśli, wydawała się lekka jak piórko.

Zadzwoił do żony, aby jej powiedzieć o deszczu, i tylko wspomniał o Vidzie Whalley. Następnie zatelefonował do koronera. Jego asystent, Jim Daley, obiecał, że połączy się z nim przez radio i poprosi, aby jak najszybciej przyjechał do Goodlands.

- Kto to? - zapytał jeszcze przez ciekawość.

Śmierć w małym miasteczku zwykle ujawnia najrozmaitsze powiązania, chociaż w tym przypadku raczej nie należało się tego spodziewać.

- Vida Whalley z Plum View - odpowiedział.

- Ach tak? Popelniła samobójstwo?

Henry przypomniał sobie przedziwny taniec dziewczyny, a także odgłos, gdy uderzyła głową o chodnik. Pył w jej ustach. Zamknął oczy i z trudem przełknął ślinę, pamiętając, że ciało Vidy leży tuż obok.

- Poczekamy z tym na koronera, Jim - stwierdził oschle i odłożył słuchawkę.

Nie miał już nic więcej do zrobienia, poza omijaniem wzrokiem podłużnego kształtu nakrytego kocem i wsłuchiwaniem się w deszcz. Przez witrynę przyglądał się mieszkańcom Goodlands, którzy wciąż tańczyli na ulicy z radości.

Czasami zdarzają się zabawne rzeczy.

Leonard zdążył mu coś niecoś opowiedzieć o bijatyce, jaka rozgorzała w restauracji na chwilę przed ulewą. Powiedział mu też, że Carlowi Simpsonowi zupełnie odebrało rozum i że ktoś powinien z nim porozmawiać. Tak właśnie się wyraził, „odebrało rozum”.

- Na szczęście wszystko dobrze się skończyło - mówił Leonard. - Zaczęło padać i ludzie chyba o wszystkim zapomnieli. Moim zdaniem, to wina nerwów. - Pożegnał się i wyszedł od strony zaplecza, by dołączyć do świętujących.

Henry obserwował, jak kolejny samochód zaparkował niemal na środku skwerku. Wsiadł z niego wielebny Liesel, pastor. Wmieszał się w tłum, wznosząc w górę ręce, a jego twarz promieniała radością. Urządzał w kościołach sesje modlitewne w intencji deszczu. Jednak Henry nie pamiętał, aby odbyła się jakaś w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Prawdopodobnie przestali je ogłaszać, bo nie były dobrą reklamą. Teraz pastor uśmiechał się, ścisnął ludziom dłonie. Zapewne sobie przypisze zasługę i spotka się to z protestem ojca Grady'ego. Katolicy przez ostatnie kilka lat robili mniej więcej to samo. Rok temu Goodlands odwiedził nawet wędrowny ewangelista. Z tego może wynikać prawdziwa święta wojna.

Henry machinalnie dotknął kieszeni na piersiach, gdzie poprzedniej nocy znajdowała się wizytówka. Chociaż minęło już wiele godzin, poczuł w tym miejscu odrobinę wilgoci. To pewnie wina deszczu. Koszula zmokła, bo pada deszcz, pomyślał.

Tak albo nie.

„Więcej jest rzeczy na ziemi i w niebie, niż się wam śniło”. Czy jakoś tak. Henry zorientował się, że powiedział to na głos. W niemal pustym sklepie jego głos zabrzmiał zabawnie i głucho. To chyba napisał Szekspir, zastanowił się Henry. A może Milton. Nie wiadomo dlaczego, zawsze mylił tych dwóch. Szkoła jest śmieszną instytucją, ładuje człowiekowi do głowy setki cytatów, zupełnie niepotrzebnie i pewnego dnia nagle przypomina się jeden z nich. Jak ten. W niebie i na ziemi jest więcej rzeczy, niż możemy sobie wyobrazić. Na przykład ktoś znajduje wizytówkę jakiegoś przybysza, zgubioną w mieście ogarniętym kryzysem, i następnego dnia pada deszcz.

Na wizytówce było przecież napisane, że jest przywoływaczem deszczu. A pod tym jakiś głupi slogan. Coś z wiarą. Wierz i nie grzesz, coś w tym guście. Wizytówka była mokra i Henry nie potrafił wyjaśnić dlaczego. Chyba że ten facet nie rozstaje się z portfelem nawet pod prysznicem. Pachniała też wilgocią. Niesamowite! Może to jakiś żart. Henry wypił przecież tylko cztery piwa. Był zupełnie trzeźwy, gdy śledził tego człowieka po wyjściu z baru. A potem widział, jak facet upuszcza wizytówkę. Spłynęła na ziemię niczym niesiony wiatrem jesienny liść. Poetyckie jak cholera. Może to także z Szekspira.

Henry zaczął się zastanawiać, czy Karen Grange wynajęła tego przywoływacza deszczu. Pomysł doprawdy szalony, a ta kobieta sprawiała wrażenie bardziej rozsądnej. Cóż, dramatyczne czasy zmuszają do dramatycznych działań... Szeryf nie mógł jednak uwierzyć, że Karen mogła skłamać. A jeżeli tak, dlaczego to zrobiła?

Ponieważ była to tajemnica. Niespodzianka. Naprawdę głupia, niewiarygodna rzecz. Co więc miała zrobić? Wysłać ogłoszenie do „Weston Expositor”? „Nadchodzi! Przywoływacz deszczu! Uwolni nas od suszy! Stary domek Manna, kawa i pączki, dla dzieci balony”. Gdyby Karen powiedziała o tym ludziom, wyśmialiby ją, jeśli nie odesłali do psychiatrii.

A może nie. Henry z pewnością śmiałyby się z wygodnej pozycji swojej werandy w dobrze nawilgoconym Weston. Podobnie jak mieszkańcy z Oxburga, Telander i innych miast w okolicy. Ci na pewno by ją wyśmiali. Dziennik „Weston Expositor” zamieściłby może nawet opowieść o deszczowej damie z Goodlands, a zarząd Komercyjnego Banku Kredytowego dla Rolników dyskretnie przeniósłby ją do innej placówki. I to byłby koniec tej historii.

A zatem czy Karen Grange sprowadziła przywoływacza deszczu? I co to za człowiek?

Jak ty to robisz, bracie? Znowu przypomniał sobie jakiś cytat z Szekspira (albo z Milтона). Nie chciał już o tym myśleć, ale paranoja Carla Simpsona zasiała w nim ziarno niepewności. Przecież równie dobrze deszcz mógł spaść sam z siebie. Na Boga, kiedyś musiało zacząć padać, tak właśnie pocieszali się ludzie w Goodlands przez ostatnie cztery lata. Pogoda ma swoje kaprysy i przyszła kolej na Goodlands. Wiele osób wierzyło w to durne gadanie o globalnym ociepleniu i Bóg jeden wie, czy to nie wiąże się jakoś z ich sytuacją. Każdy cholerny naukowiec z dyplomem wywieszonym na ścianie mówił co innego. Henry nie wierzył w teorie Carla na temat spisku i eksperymentów z pogodą, ale byłby głupcem, gdyby ignorował opinie naukowców.

Nauka jest dokładna. Nie ma w niej miejsca na Szekspira (ani Milтона). Jednak tak się właśnie złożyło, że zaraz po pojawieniu się w okolicy przywoływacza deszczu - „wierz w deszcz”, przypomniał sobie wreszcie slogan z wizytówki - wydarzyło się tu wiele dziwnych wypadków. Pożar na polu Kramera to tylko jeden z nich. Oprócz tego kłopoty Revesette'a, Watsona zbiorniki na wodę, krzyż Paxtonów, przewrócony samochód Bellów i wyrwa na drodze przy domu Gresonów. Wszystko to zdarzyło się już po tym, jak do Karen zawitał gość. Henry nie miał zwyczaju tłumaczenia sobie faktów za pomocą magii, ale niewątpliwie ten facet był tutaj, gdy to wszystko się działo, nie wykluczając dziwnej śmierci Vidy Whalley. Do tej listy można by także dodać to, co się stało z drogą wiodącą do posiadłości Manna. To wszystko, przez przypadek, miało miejsce zaraz po przybyciu tego obcego. Doprawdy śmieszne.

Mimo szczęśliwego zbiegu okoliczności, jakim było pojawienie się deszczu, szeryf postanowił zadać Karen i jej przyjacielowi kilka pytań.

Kiedy wreszcie przyjedzie koroner? Henry chciał już wrócić do domu. Obejrzeć prognozę i sprawdzić, co przewidują mapy pogody.

Z nudów otworzył paczkę suszonych fig, a gdy zjadł jedną, przed sklepem pojawił się Bob Garrison, lokalny koroner. Obejrzał ciało, zadał kilka pytań, a później obaj przenieśli Vide do samochodu.

Bob wychylił głowę na deszcz.

- To dopiero coś, prawda?

- Też tak uważam - potwierdził Henry. Ludzie machali im wesoło i coś krzyčili.

- Zawiadomiłeś już rodzinę? Ktoś musi zidentyfikować ciało.

- Nie, Whalleyowie nie mają telefonu. Odwiedzę ich. Przyjadę do was prawdopodobnie z którymś jej bratem. Z tym, który będzie trzeźwy - dodał.

Bob pokiwał głową.

- Słuchaj, czy pamiętasz może, kto powiedział: „Więcej jest rzeczy na ziemi i w niebie, niż się wam śniło”, czy coś w tym rodzaju? - zapytał Henry.

- Obiecałem sobie, że jak tylko zaliczę egzamin z angielskiego, nigdy nie zajrzę do żadnej książki, której autor gryzie ziemię - Bob śmiał się, wsiadając do samochodu. - A po co ci to?

- Po prostu nie mogę sobie przypomnieć, czy to Szekspir, czy Milton.

Hałaśliwy śmiech Boba zwrócił uwagę przechodniów. Uśmiechnęli się myśląc, że szeryf i koroner cieszą się ze zmiany pogody.

- Milton? - zapytał wreszcie Bob. - Ten od „Raju utraconego”? Henry przytaknęła, czując się trochę głupio.

- No to do zobaczenia wkrótce - pożegnał się.

Samochód koronera wyjechał ostrożnie na ulicę, z trudem torując sobie drogę wśród tłumu.

Jakaś kobieta zapytała szeryfa, co się stało.

- Atak - odpowiedział krótko.

Kiwnęła głową ze współczuciem, ale niezbyt się przejęła.

- Cudownie, że pada! - rzuciła jeszcze.

- Jasne - mruknęła, ale kobieta już odeszła, śpiesząc do znajomych świętujących na Main Street.

Henry powolutku wycofywał samochód. Powinien coś powiedzieć ludziom, zakazać parkowania w niedozwolonych miejscach, ale nie miał serca. Skierował się w stronę domu Whalleyów. Musiał ich powiadomić o śmierci Vidy i zabrać kogoś do szpitala. Był jedynym, który opuszczał miasto, dziesiątki innych wozów mijały go, jadąc do centrum. Żałował, że nie mógł świętować ze wszystkimi. Lilly dołączy do nich pewnie później, ale on miał robotę.

Jadąc przypomniał sobie cytaty z Milтона.

„Kto zwycięża mocą, ten pokonał wroga w połowie”. Z „Raju utraconego”. Nie miał pojęcia, czemu akurat teraz mu się to przypomniało.

Po południu zabawa na głównej ulicy miała się ku końcowi. Ludzie nacieszyli się deszczem. Około drugiej trzydzieści zerwał się silny wiatr i zrobiło się zimno. Odzież, obuwie, stopy, wszystko było przemoczone. Pył, który pokrywał grubą warstwą każdą powierzchnię, zamienił się w błoto. Dzieci, dotychczas zawsze schludne i zadbane, były teraz oblepione nim od stóp do głów. Na tyłach domów odkryły błotne bajora, w których tarzały się radośnie, nie zważając na krzyki niezadowolonych matek. Kobiety zresztą zanadto się tym nie przejmowały. Deszcz zepsuł doszczętnie ich fryzury, splukał skromne makijaże, jakie nosiło się w Goodlands, a także zniszczył stroje. Podobnie jak tanie obuwie. Dzieci w większości nosiły niedrogie buciki, które miały klejone podeszwy i po zamoczeniu były do wyrzucenia. Ludzie byli zmęczeni radością i chcieli iść do domów. Chociaż nie mówili tego wprost, pragnęli dokończyć świętowanie na swojej ziemi, która tyle wycierpiała razem z nimi, a teraz otrzymała wreszcie to, na co tak długo czekała.

Zbierając się do domów, niektórzy podchodzili jeszcze do wielebnego Liesela, aby mu podziękować, inni zaś, co przewidział Henry Barker, ściskali rękę ojcu Grady'emu, który także pojawił się na ulicy zaraz po zakończeniu modlitw w kościele.

Również zgodnie z przewidywaniami Henry'ego, na ulicach zrobił się tak potworny korek, że wydostanie się z niego zajęło niektórym ponad dwie godziny. Kilku kierowców zostawiło swoje samochody i usiłowało dyrygować ruchem, chociaż tak naprawdę nikt się nie denerwował. Nikt też nie kłął, co niechybnie zdarzyłoby się w innych okolicznościach. Wreszcie ludzie porozjeżdżali się do domów.

Było także kilku poszkodowanych. John Livingstone, który naprawiał dach obory, był tak zaskoczony deszczem, że spadł na ziemię i skrzył nogę w kostce.

Ten i ów po powrocie do domu stwierdził, że dobrodziejstwo z nieba wlało się także do salonu. Susza uśpiła ludzką czujność, niektórzy gospodarze nie zauważyli, że dach ich domu wymaga naprawy.

Deszcz zalał też piwnicę Jeba Trainora, który by się nie martwił zanadto, gdyby nie przechowywał tam zapasów ziarna, ukrytych przed szkodnikami.

Poza tym dziewięć miesięcy od pierwszego dnia deszczu przyszło w Goodlands na świat siedmioro dzieci. Był to efekt niezliczonych toastów i podniosłych uczuć.

O wszystkich tych sprawach rozmawiano jednak wesoło i nie bez pewnego zadowolenia, podobnego do tego, z jakim hipochondrycy witają pojawienie się objawów grypy. Po prostu miło było brać w tym udział.

Tej nocy mieszkańcy Goodlands niechętnie kładli się spać. Wielu czuwało do wczesnych godzin porannych, nie chcąc opuszczać miejsca w oknie, w drzwiach, na werandzie, dokąd dochodził słodki zapach wilgotnej ziemi.

A deszcz ciągle padał.

Rozdział 13

Karen siedziała na werandzie i patrzyła na deszcz, który strumieniami lał się z dachu. Była to prawdziwa ulewa. Strugi wody rozpryskiwały się o poręcz balustrady, zimne, czyste, słodkie jak miód. Deszcz niczym orkiestra rozbrzmiewał na różne sposoby w zależności od miejsca na podwórku, skąd się go słuchało - był to plusk spływającej na werandę wody, głośnie stukanie kropeł o dach, chlupot kałuż na rozmięklej ziemi. Słysząc było także odległe grzmoty, lecz na ciężkich chmurach ani razu nie pojawiła się błyskawica.

Tom był w domu, wreszcie zaproszony, i spał w jej łóżku. Jeszcze przed chwilą słał się ze zmęczenia. Oczy miał zmęczone, okrągłe jak księżycy w pełni, podkrążone głębokimi cieniami. Karen obserwowała go, gdy patrzył na deszcz po tym, jak się kochali. Trawa pod nimi była sucha. Ulewa spadła na nich, nagła i zimna jak depesza. Tom leżał na plecach, na jego obmywanej deszczem twarzy pojawił się wyraz melancholii. Kiedy wstał, nagi, jego ramiona opadły z wycieńczenia. Wówczas właśnie zaproponowała, aby poszli do domu. Prawie ze sobą nie rozmawiali. Patrzyła w milczeniu, jak wkładał dzinsy i pakował rzeczy do plecaka. Sama także się ubrała w mokre rzeczy. Podkoszulek przyłgnął do jej ciała tak szczelnie, że równie dobrze mogłaby pozostać naga.

Gdy szli przez sad i podwórze, Tom trzymał ją za rękę. Poprowadziła go do swego łóżka. Nic nie powiedział na temat zniszczeń w salonie; uniósł tylko ze zdziwienia brwi, a ona wzruszyła ramionami.

- Wyjaśnię ci później.

Pokiwał głową. Będzie w stanie mu to wyjaśnić, kiedy sama zrozumie, co się tu stało i kim była ta dziewczyna. Zastanawiała się, czy

nie powinna zadzwonić na policję. Czowała się jednak zbyt... rozleniwiona. Nie miała ochoty na nic. Pragnęła jedynie siedzieć w deszczu i wsłuchiwać się w drżenie swojego ciała.

To wydawało się niewiarygodne, nierealne jak bajka, ale w jej łóżku naprawdę spał mężczyzna. Aż dwa razy wchodziła, żeby popatrzeć, i wciąż tam był, leżał na pościeli, pierś i stopy miał nagie. Za każdym razem ogarniał ją nieznanymi dotychczas dreszcz podniecenia i wołała wyjść z pokoju.

Mimo chłodu, jaki panował na dworze, jej ciało płonęło. Czowała też mrowienie skóry, jakby pocierała nią długo o coś szorstkiego. Nie jest to znowu takie dalekie od prawdy, pomyślała i zawstydzila się. Policzki miała rozżarzone, podobnie jak ciało.

Na werandzie stały teraz dwa krzesła. Karen siedziała na starym, to drugie przyniosła z kuchni, na wypadek gdyby Tom się obudził i chciał posiedzieć tu razem z nią. Co pewien czas oglądała się niespokojnie i raz nawet wydawało się jej, że widzi w oknie jakieś odbicie. Natychmiast przyglądała włosy, poprawiała upięty z tyłu głowy kokczek. Niemal czuła oddech Toma na szyi, wydawało jej się, że słyszy żarliwy szept... Zawstydzona, odwróciła się tyłem do okna, obiecując sobie już o tym nie myśleć. Chociaż w jej wyglądzie nic się nie zmieniło, czuła się zupełnie inaczej, jakby jeszcze cztery godziny temu była Karen Grange, a potem przeistoczyła się w kogoś innego, obcego, może Elizabeth Taylor, nie znała więc odpowiedzi na najprostsze nawet pytania, na przykład, jak ma na drugie imię czy gdzie jest łaźienka. Stała się po prostu kimś zupełnie innym.

Uznała to za niezwykle przyjemne doświadczenie, jednak coś ją niepokoilo. Coś, czego nie mogła nazwać. Nie były to skrupuły. Istniało na to z pewnością jakieś lepsze określenie. Jeśli byłaby w stanie skupić się dłużej, z pewnością by to rozpoznała, a wtedy mogłaby się przestraszyć. Jazda na karuzeli w wesołym miasteczku, nagły zawrót głowy... Nie mogła się otrząsnąć z tego uczucia, a to utrudniało jej kalkulację, dodawanie liczb po jej stronie kolumny tak, aby pasowały do jego. Kiedyś już to przeżywała; usiłując za wszelką cenę sprostać potrzebie dopasowania wszystkiego, wpadła w nie lada kłopoty. Zabrakło równowagi. Bała się, że jeśli wstanie, skieruje się natychmiast do domu. A dokładniej - w stronę leżącego w jej sypialni mężczyzny. Jeśli przyjrzeć się temu lepiej, ów brak równowagi nie był aż tak niemiły. Chociaż z drugiej strony był w jej życiu zupełnie nowy, niepodobny do niczego, co odczuwała przy swoich poprzednich, nielicznych

kochankach. Wtedy za każdym razem było podobnie, a z Tomem zupełnie inaczej.

Ogarnęły ją skrupuły kupującego. Radość i skrupuły kupującego. Radość posiadania, a zaraz potem rozpacz dłużnika. To brzmiało jak rozdział z podręcznika dla klientów: „Jak wpaść w kłopoty po nieprzemyślanym uleganiu pokusom”.

Nie powinna się teraz zastanawiać, z całą pewnością nie teraz, co dostanie w zamian. Ale przecież trudno się powstrzymać od wyciągnięcia rąk po jeszcze, gdy dostało się coś za darmo. Karen wiedziała jednak, że to założenie było fałszywe. Kobieta zawsze mogła powiedzieć „nie”, a w tym przypadku nie była mu już nic dłużna. W pewien sposób Karen wydała już ostatniego centa i wcale nie była pewna, co za niego dostanie. Skrupuły kupującego.

A właściwie co chciałyby dostać? Małżeństwo oczywiście nie wchodziło w rachubę. Tom nie wyglądał na stałego, z pewnością nie da się usidlić, jak to mówią faceci, nie będzie niczyją własnością, nie da się zatrzymać, nie zna słowa „na zawsze”. Nie można do niego zastosować kryteriów, jakimi zwykle w takich sytuacjach posługują się kobiety. Bo każde z tych kryteriów zakłada posiadanie. Czy Karen chciałyby mieć Toma na własność? Może raczej należałoby przyjąć, że jest to umowa wynajęcia, i nie wybiegać myślami poza fakt, że w jej łóżku znajduje się mężczyzna, a ona pragnie znowu znaleźć się w jego ramionach.

Nie uprzątnęła jeszcze bałaganu w salonie. Ta refleksja przebiła się przez marzenia o pieszczotach Toma. Karen z niezadowoleniem zmarszczyła brwi. W tej sprawie także coś nie dawało jej spokoju. Może to jakiś znak.

Powinna zadzwonić do Henry'ego Barkera. Tylko że wtedy wszystko by się wydało. Skłamała, że nikogo u niej nie było, a teraz musiałaby wytłumaczyć jakoś obecność mężczyzny w jej domu. Mogłaby go przedstawić jako kuzyna z Ohio, byleby podczas prezentacji nie chichotała ani nie gładziła Toma po piersi. Może umiałyby nad sobą zapanować, ale przecież Henry nie jest głupcem. Najlepiej po prostu wszystko posprzątać i nigdzie tego nie zgłaszać. Czy musi powiadomić policję?

Kim jednak była ta dziewczyna? Karen nie знаła jej, chociaż przez chwilę wydawała się do kogoś podobna. A zatem, kim była i czy może tu jeszcze wrócić? Najbardziej logicznym wytłumaczeniem było to, że dziewczyna jest żoną lub córką kogoś, kto zbankrutował. Co prawda

Karen jej nie rozpoznała, ale nie znaczyło to wcale, że nie była z Goodlands. Czy wróci? Dokonała już dzieła zniszczenia. Karen czuła pewien niepokój, ale pocieszała się tym, że nastąpiła cudowna odmiana. Spadł deszcz. Zostawiła buty na polanie i pewnie zamieniły się już w dwa skopki pełne wody. Stopy miała mokre i brudne. Wyciągnęła przed siebie długie nogi i oparła na poręczy werandy. Deszcz obmywał je, spływając z dachu szerokimi strugami. Zimny, mocny, cudowny.

Powinna sprawdzić, co ze zniszczonych rzeczy nadaje się do naprawy, a co należy wyrzucić. Pamiętała, że połamane zostały ramki od fotografii i potłuczone figurki z porcelany. Fotografie prawdopodobnie uda się uratować. Dębowy stolik był przełamany na pół. (Podświadomie nie mogła tego zaakceptować. Dąb? Pęknięty na pół? Jak to się mogło stać?) Zapłaciła za niego bardzo dużo. Wszystkie porcelanowe i kryształowe wazony, drogie jak jasna cholera, były potłuczone w drobny mak. Rozbitą kanapę i fotel spod okna dałoby się może zreperować, ale naprawa będzie bardzo kosztowna. Nieco muzealny wystrój jej salonu został całkowicie zniszczony. I może to wcale nie było takie złe? Może powinna odszukać tę dziewczynę i jej podziękować? Kto wie.

Karen była zdziwiona, że tak mało przejmuje się utratą tylu pięknych rzeczy. Jakby nie należały do niej. Jakby była kimś innym, wcale nie Karen Grange. Poza tym towarzyszyła temu zupełnie nieznaną jej dotychczas refleksją, że przecież to tylko rzeczy. I poczuła ulgę. Jakby komputer, na skutek jakiegoś błędu, nagroził ją dodatkową wypłatą, zamiast pomniejszyć konto. Jakby automat wydał jej dwadzieścia dolarów ekstra, ponieważ banknoty zlepily się ze sobą.

Fizycznie czuła się znakomicie. Ogarniało ją podniecające ciepło, emanujące z jej wnętrza. Wilgotne, miękkie ciepło rozchodzące się z miejsca, o którym Karen zwykle nie myślała.

Zastanawiała się także nad sprawą ubezpieczenia i formalnościami, które powinna załatwić. Zajmie się tym jednak później. Ubezpieczenie prawdopodobnie pokryje straty. Odruchowo wyliczając wysokość sumy, nagle uświadomiła sobie pewien zbieg okoliczności, coś zabawnego i dość pocieszającego w świetle ostatnich wydarzeń. Ubezpieczenie, jakie otrzyma za stratę cennych przedmiotów, które sprowadziły ją do Goodlands, pokryje w całości honorarium Toma. Jeśli to nie czary, z pewnością stała się Elizabeth Taylor. Wezwie agenta ubezpieczeniowego w przyszłym tygodniu.

W przyszłym tygodniu, gdy Tom odjedzie.

Ta myśl uderzyła ją jak obuchem w głowę.

Nie miała jednak czasu ani ochoty, aby się nad tym zastanowić. Z głębi domu dobiegły ją odgłosy krzątania. Zaraz potem usłyszała, jak otwierają się drzwi na werandę, i poczuła na ramionach duże, ciepłe dłonie.

- Karen - wyszeptał jej imię prosto w ucho. Ukucnął z tyłu za krzesłem. Był na tyle wysoki, że nawet w takiej pozycji górował nad nią.

Gorączkowo usiłowała wymyślić, co powiedzieć (Dobrze ci się spało? Jak się czujesz? Cześć, jak się masz?), ale nie była w stanie wydusić z siebie żadnego słowa. Odwróciła się. Pocałował ją natychmiast i znowu poczuła smak deszczu. Miała wrażenie, że piersi jej nabrzmiały i unoszą podkoszulek. Delikatnie zdjęła stopy z poręczy, zwinnie opuściła je na podłogę. Tom objął ją i przytulił mocno, delikatnie gładził po plecach. Odsunął się trochę. Po dłuższej chwili Karen otworzyła oczy.

Patrzył na nią z uśmiechem.

- Cześć - powiedział.

Policzki Karen płonęły. Tom po prostu przesywał ją wzrokiem, on, który wiedział, co zrobili. Co on jej zrobił. Zdumienie i zakłopotanie, radość i przewidywanie, dwie dziwne pary, przybývające na przyjęcie razem.

- Cześć - odpowiedziała zachrypniętym głosem.

Niechętnie wypuszczał ją z ramion. Wreszcie usiadł na krześle, które wyniosła z kuchni.

- Co się stało z twoim pokojem? Przegapiłem trzęsienie ziemi? - zapytał tak po prostu, jakby nic się między nimi nie wydarzyło.

Tak zwyczajnie, jakby mówił dzień dobry. I wpatrywał się w deszcz.

Karen spojrzała na niego z niedowierzaniem. Serce wciąż jej biło jak szalone. Tom odwrócił się i zobaczył jej oczy. Twarz zmieniła mu się w jednej chwili. Czytał w jej myślach.

Panującą między nimi ciszę wypełniło nagle to, co czuła Karen. Tom poczuł to także i wstał. Próbował się zaśmiać, ale wydał z siebie tylko cichy jęk. Gdy wyciągnął do niej ręce, oczy mu się zamglily, jakby uciekły do środka.

- Karen - powiedział. Poczuła swoje imię jak gorący, wilgotny oddech na karku. - Karen, Karen.

Pomógł jej wstać z krzesła. Zanurzył twarz w zagłębieniu jej szyi, smakując to miejsce wargami. Karen jęknęła i poczuła, jak uginają się pod nią kolana. Przytuliła się do niego, by nie upaść. Zniknęły wszelkie skrupuły.

Wślizgnęli się do sypialni i razem upadli na łóżko, zaczynając to, co przerodziło się w bardzo długi taniec.

Farma Carla mogła skorzystać z dobrodziejstwa deszczu. Gdyby natychmiast zabrał się do roboty, jak zrobiło to wielu sąsiadów, miałby szansę. Ale Carl musiał się zająć innymi, niecierpiącymi zwłoki sprawami i nie chciał, aby cokolwiek go rozpraszało.

Gdy wrócił, zastał dom pusty. Na stole leżała kartka, napisana przez Janet dziecinnym pismem, że jest jej przykro, ale postanowiła zabrać Butcha i wyjechać. Obiecała zadzwonić później. Dodała też, że powinien natychmiast skontaktować się z Henrym Barkerem i pozostawić „to, co twoim zdaniem wymaga interwencji, w rękach ludzi powołanych do pilnowania porządku”. Pod tym, podkreślone dwa razy i napisane tak mocno, że litery przebiły się przez resztę kartek w notesie, słowo PROSZĘ, drukowanymi literami.

Wyszli przez okno i aby dostać się do domu, użyli zapasowych kluczy, które schowane były w drewni. Carl podziwiał pomysłowość żony. Nie czuł do niej złości, robiła przecież to samo co on. Troszczyła się o siebie i Butcha. Gdy Carl dotarł do domu, jak najszybciej opuszczając ogarnięte bałamutnym świętowaniem miasto, był wściekły, przerażony i zdecydowany na wszystko. Nie cieszył się deszczem - widział w nim dowód, że ktoś w okrutny sposób bawi się z Goodlands. Jak niegrzeczny chłopiec, który wrywa skrzydła muchom.

Zrobił sobie kanapkę i zjadł ją na stojąco, żeby tylko zaspokoić burczenie w brzuchu. Był wyczerpany, głodny i bliski hysterii.

Musiał znaleźć w sobie siłę. Przeżuwał drewnianymi ustami kanapkę, nie czując jej smaku. Nie czuł także smaku zimnego mleka, którym popijał chleb, ale doskonale słyszał stukanie deszczu o dach. Każda spadająca kropla przynaglała go do działania. Oskarżała.

Był bliski załamania.

Wcześniejsze pragnienie, aby ocalić Goodlands, stało się teraz jego obsesją. Miał tych ludzi w rękach, już niemal udowodnił, że ktoś sra im w kaszę, i wtedy spadł deszcz. A oni w to uwierzyli. Głupcy! Tańczą w deszczu, jakby to była manna z nieba! Ale to nie jest manna.

Carl mógłby się założyć o swoją farmę, albo raczej o to, co z niej zostało, że wkrótce to się skończy i wtedy wszyscy zobaczą.

Robią na nich eksperymenty. Chcą coś sprawdzić w praktyce. Zapewne tajną broń, której pewnego dnia użyją, być może jawnie, przeciwko nowym wrogom. To już nie będą Rosjanie, bo ci się zmieniają, ale Kubańczycy, Irakijczycy, przybysze z kosmosu, ktokolwiek. Rząd i jego pachołkowie szykują nową broń, która udaje siły natury. Wyszuszyć ich. Zatopić. Carl zobaczył nagle wszystkie żywioły, skryte za wielkimi drzwiami w magazynie na pustyni w Arizonie. Jeśli są w stanie wywoływać deszcz i suszę, dlaczego nie mieliby także używać do swoich celów trzęsień ziemi, huraganów czy powodzi?

A zatem deszcz należało traktować jako wroga, podobnie jak mężczyznę, którego spodziewał się zastać na polanie przy domu kobiety z banku, wprowadzającego dane do komputera. Na jego gładkiej twarzy Judasza malował się z pewnością uśmiech zadowolenia.

Carl zastanawiał się, co powinien zrobić z tym Judaszem, gdy już go zaskoczy. Tym razem będzie z nim sam na sam. Pierwszy scenariusz zakładał działanie w grupie. Byłoby bezpiecznie. Jeżeli po jednej stronie plotu stanie wystarczająco wielu ludzi, mniejszość musi się zgodzić z ich decyzją. Demokracja w mikroskali. Konfrontacja grup różnych interesów, rzeczywista lub potencjalna, jest mechanizmem, z pomocą którego powstają rządy, ustanawia się lub uchyla prawo. W podobny sposób jeden prosek do prania zyskuje przewagę nad innymi, równie dobrymi. W taki sposób sprzedaje się obuwie sportowe, sosy do spaghetti czy worki na śmiecie. To sposób ludzi i dla ludzi. Carl wyobrażał sobie, jak grupa ludzi z miasteczka przyjeżdża na polanę i przerywa pracę wojskowego naukowca, kierując się prawem większości. Co miałyby nastąpić dalej, tego już Carl nie wiedział. Nie zastanawiał się nad tym.

Zabicie go nie wchodziło w rachubę, za bardzo pachniało scenariuszem filmowym. A to było samo życie, nawet jeśli część inspiracji wywodziła się z dialogów telewizyjnych. Carl wciąż jeszcze myślał na tyle trzeźwo, że wykluczał tak dramatyczne i nieodwracalne rozwiązanie. Co innego sprawić mu lanie, jednak to także brał pod uwagę tylko w ostateczności. Jego oryginalny plan zakładał inną konfrontację, prawdziwe „Aha! Mam cię!”, po którym zły charakter powinien w równie komiksowym stylu zakrzyknąć: „Do diabła, znowu pokrzyżowano mi plany!” Wyobrażał to sobie trochę jak zabawę na szkolnym podwórku: złapałem cię, musisz uznać swą przegraną.

Po tym głośnym „Aha! Mam cię!” należałoby mu zabrać zdjęcia, dokumentację, papiery i zanieść to do prasy. Nie do „Weston Expositor” czy „Avis Herald”, ale do czegoś większego. Może „The New York Times”, „Chicago Tribune”, do Toma Brokawa, Petera Woodwarda. Jednym słowem oddać to w ręce poważnych dziennikarzy.

Klasa średnia, do której należał Carl, jego rodzina, sąsiedzi i większość mieszkańców Goodlands, może z wyjątkiem degeneratów z Badlands, wciąż kształtowała świat. Jasne były definicje tego, co słuszne i niesłuszne, i Carl, mimo stanu swojego umysłu, nigdy nie domagałby się wymierzenia komuś fizycznej kary. Jeśli jakiś facet sprowokowałby go w barze, może po kilku drinkach dałby mu w nos. Gdyby ktoś obraził jego żonę, próbował zwabić w krzaki jego syna, przebił mu opony lub obszczał ogród, mógłby się wówczas posunąć do rękoczynów. Ale w tym przypadku straty były raczej mentalne, chociaż w związku z tym dużo gorsze. Zniszczeniu uległo nie tylko miasto, ziemia, ale przede wszystkim jego zdolność rozróżniania tego, co słuszne i niesłuszne. Uderzenie w nos czy wybicie kilku zębów nic tu nie załatwi. Rząd zmuszał go do działania przypominającego wybieranie wody z olbrzymiego, hollywoodzkiego basenu za pomocą skopka. Jeśli nawet uda się coś wylać, basen natychmiast wypełnia się wodą na nowo. Człowiekowi ręce opadają, jest zupełnie bezsilny. Ale jeśli całe miasto zacznie wylewać wodę, wtedy może się uda opróżnić basen.

Cóż, Carl był teraz sam. I w dodatku czuł się słaby. Gdy trzeba działać w pojedynkę, trudniej panować nad sytuacją i wtedy łatwo może się zrodzić agresja. Bezsilny często stara się maskować swoją niemoc.

Carl nigdy nie został przez nikogo skrzywdzony czy źle potraktowany, ani jako dziecko, ani jako dorosły. Dorastał w Goodlands, wśród ludzi uczciwych, i sam był człowiekiem uczciwym. Światem rządziły reguły niezienne od lat, od czasów jego dzieciństwa; bardzo wyraźnie dzieliły świat na białe i czarne. „Tak nie można!” i „Przeستاń!” to okrzyki, które zawsze brzmiały mu w uszach, chociaż teraz przekładało się to na prawa i przepisy, a przede wszystkim na święte zasady życia we wspólnocie. Dlatego taki problem stanowiło dla niego wkroczenie do sadu na terenie posiadłości kobiety z banku. To było niedozwolone. Carl nic by nie wygrał, gdyby rzucił się na tego faceta z pięściami. Co innego, jeśli czułby za sobą siłę grupy, która w odpowiednim momencie krzyknęłaby chórem: „Przeستاń!” Poza tym był

tak cholernie zmęczony, jego żona i syn gdzieś odeszli, a wszystko dlatego, że postanowił działać sam. Teraz zaś, gdy spadł deszcz, nikt się już niczym nie przejmuje. Koniec wieńczy dzieło. Dopiero gdy kurek znowu zostanie zakręcony, może znowu warto ich przekonywać.

Carl przełknął ostatni kęs kanapki i popił mlekiem prosto z kartonu. Wypił wszystko, pojemnik odstaviał ciężkim, zrezygnowanym ruchem na blat. Włożył musztardę do lodówki, a pobrudzony masłem nóż do zlewozmywaka.

Poszedł do sypialni. Okno, przez które wyszli jego żona i syn, wciąż było otwarte, a wyjęty z framugi wewnętrzny ekran z siatką przeciw owadom stał oparty o ścianę. Janet była bardzo porządna i schludna, nie nabałaganiała nawet w czasie ucieczki. Pod oknem ułożyła koc, by deszcz nie zalał podłogi. Koc był ciemny od wilgoci. Deszcz ciągle przeciekał do środka. W sypialni słychać go było wyraźniej niż w innych częściach domu. Carl zamknął okno, aby stłumić ten szum. Ale przedtem rzucił okiem na podwórko, a także dalej, na pola. Zobaczył swoją ziemię nasączoną wodą, ciemną, wilgotną i pokrytą błotem. Na już prawie zielonych liściach drzew zbierały się ciężkie krople i spływały w dół. Carl cieszył się tym widokiem, serce podskoczyło mu w piersiach ze wzruszenia: to jego ziemia, jego świat, stąd czerpie środki do życia, a wkrótce przekaże to wszystko synowi. Myśląc o tym pamiętał jednak, że jest to pułapka, którą Oni zastawili.

Włączył telewizor i nastawił na prognozę pogody. Był ciekaw, czy ET zadzwonił do domu. Wyobraził sobie poufną rozmowę, rodem z odcinka „Z archiwum X” - Palacz odpowiada stłumionymi monosylabami, które mogą oznaczać wszystko i nic.

Gdy czekał na prognozę dla Dakoty, oczy same mu się zamknęły. Przegapił ją dosłownie o minutę, ale i tak niczego by się nie dowiedział.

Henry Barker także włączył telewizor i czekał na prognozę pogody.

Z westchnieniem ulgi rozłożył się na kanapie. Lilly szykowała dla niego kolację, smażąc w kuchni hamburgery. Ich zapach powoli, ale skutecznie zabijał szpitalną woń kostnicy, którą Henry jeszcze czuł. Był tam z trzęszwym, chociaż okropnie skacowanym Donaldem Whaleyem, średnim bratem Vidy, który miał zidentyfikować jej ciało.

- To ona - potwierdził słabym głosem.

Henry nie wiedział, czy to wzruszenie wywołane widokiem martwej siostry, czy rezultat nocnej hulanki. To było wszystko, co powiedział Donald, poza tym że w drodze powrotnej do Plum View Road zażądał piwa.

Zapach kostnicy trzymał się człowieka zwykle cały dzień i chociaż nie wywoływał mdłości, to bardzo irytował. Z pewnością jednak nie przeszkodzi Henry'emu zjeść ze smakiem kolacji.

Nie lubił tego zapachu, to oczywiste, ale śmierć nie działała na niego odpychająco, tak jak na innych ludzi. Widział w życiu wystarczająco wiele ciał i fotografii zwłok, aby się z nią oswoić. Najbardziej wstrząsnęła nim historia kobiety w Mountmore. Jej ciało z niemal zupełnie odstrzeloną głową znaleziono, częściowo już rozłożone, w starym, nieużywanym ustępie. Dopiero po tygodniu ktoś się zorientował, że nie pokazywała się w mieście, potem minęło jeszcze kilka dni, zanim ustalono, że nie wyjechałaby, nie prosząc kogoś o podlewanie ogrodu. Po paru dniach spekulacji jeden z sąsiadów sprawdził jej dom. Salon wyglądał, jakby odbyła się w nim niezła awantura, jednak torebka, klucze i samochód były na miejscu. Tylko klozet był niespłukany. Kto opuszcza dom bez spuszczenia wody w klozecie?

Sąsiedzi przeszukali teren wokół domu i wówczas poczuli okropny zapach wydobywający się z ustępu. Nikt nie odważył się tam zajrzeć. Wezwano policję i po dwóch minutach znaleziono martwą kobietę. Siedziała w środku, na desce, zupełnie jakby załatwiała swoją ostatnią potrzebę. Henry zwymiotował tamtego dnia więcej, niż miał w żołądku. Wszystko pozostało w krzakach ostów rosnących wzdłuż drogi do wychodka. Okazało się, że sprawcą był jej chłopak, mieszkający w mieście, oszalały z zazdrości i odtrącony. Miał wyrzuty sumienia i dał się ująć po pijanemu - czy nie była to historia stara jak świat? Tak, śmierć nie robiła już na Henrym wielkiego wrażenia. Poza tym dziewczyna Whalleyów nie została zamordowana ani nie zginęła w wypadku samochodowym, co według Henry'ego było najgorszym ze wszystkich rodzajów śmierci. Wyglądała tak, jakby zatrula się nieświeżym tuńczykiem z puszki albo zachorowała na grypę. Musiała bardzo cierpieć. Wyglądała fatalnie.

Po odwiezieniu jej brata pojechał do biura i zabrał się za sporządzanie raportu. Nie znał jeszcze przyczyny zgonu, nie otrzymał oświadczenia koronera. Pozostawił puste miejsce w formularzu. Raport musiał więc poczekać do następnego dnia. Na szczęście jej ciało

nie mogło wstać i domagać się, aby skończył papierkową robotę, jak okropni biurokraci w powieści Stephena Kinga. Henry miał już zresztą w głowie coś zupełnie innego.

Nie dawała mu spokoju sprawa jezdni na Parson Road. Zajął się tym natychmiast, dzwoniąc do urzędu miejskiego i prosząc, aby następnego dnia rano przysłali tam ekipę. Musiał im troszeczkę nakłamać, ale nie czuł wyrzutów sumienia. Marzył, aby skończył się wreszcie ten bałagan. Chciał porozmawiać z Karen Grange, która okazała się zaskakująco tajemnicza i udzielała mu nieprawdziwych informacji na temat swojego gościa. Był ciekaw, czy wiedziała, że okłamując go łamie prawo. Poza tym miał już dość tej sprawy i chciał wyjaśnić parę rzeczy.

Na przykład, dlaczego kłamała? Czy mężczyzna widziany dzień wcześniej na drodze przy domu Karen Grange był rzeczywiście jej gościem i czy to on podłożył ogień na polu Kramera? Co takiego było w tym mężczyźnie, że z chwilą jego przybycia do miasta zaczęły się tam dziać cholernie dziwne rzeczy? Kiedy zamierza stąd wyjechać? Miał też kilka mniej ważnych pytań. Chociażby to, dlaczego podrzucił mu tę wizytówkę i co się z nią stało. Obaj przecież dobrze wiedzieli, że Henry nie ruszał jej, od chwili gdy znalazła się w kieszeni koszuli.

A także co, do diabła, działo się w okolicy domu Karen? Jeśli wierzyć plotkom, jej przyjazdowi do Goodlands towarzyszyło kilka znaczących wydarzeń. Susza, makabryczna historia z wykopaniem ludzkich szczątków, masowe bankructwa farm. Henry nie łączył tego oczywiście z jej osobą, ale był wściekły, że go okłamała. Poza tym czuł w tym wszystkim coś mocno podejrzanego, z czym nie umiał sobie poradzić.

Chociażby sprawa dziewczyny Whalleyów. Taka drobinka, do prawdy chucherko. W jej wieku większość dziewcząt wygląda podobnie, dopiero koło dwudziestu pięciu lat zaczynają pakować w siebie czekolady i czipsy. Przedtem są chudziutkie jak pisklaki. Henry zdecydowanie woli na nie patrzeć, gdy nabiorą już trochę ciała, jak na przykład jego Lilly. Mężczyzna, jeśli chce, może wtedy za coś złapać (ale dyplomacja i małżeńskie łoże wymagają, aby zaprzeczać za każdym razem, gdy żona pyta. „Ależ skąd, nie jesteś wcale gruba, Lilly. Wyglądasz świetnie!”). Henry, przyglądając się tej dziewczynie, gdy leżała pod kocem w sklepie Wagglesów, a także podczas identyfikacji w kostnicy zauważył coś, co go zaintrygowało. Miała niezwykle małe

stopy, odpowiadające odciskom w błocie, jakie widział na podwórku Watsona po tym, jak ktoś opróżnił zbiorniki na wodę. Gdy Bob Garrison poprosił Donalda o podpisanie zgody na odesłanie ciała do domu pogrzebowego w Avis, Henry dyskretnie ściągnął z jej stopy tenisówkę i zajrzał do środka. Czwórka, zgadza się, bardzo mały numer. Chyba w ogóle nie słyszał o takim rozmiarze, ale tak było, czarna cyfra w białym kółku. Aby mieć pewność, zdjął z półki linijkę i zmierzył długość buta, kopiując także wzór na podeszwie. O ile pamięć go nie myliła, wymiary tenisówki Vidy były bardzo zbliżone do odcisków śladów przy zbiornikach. Potem sprawdzi dokładnie liczby, chociaż to podobieństwo wydawało mu się dość dziwne. Zaczął się zastanawiać, czy w ogóle kiedykolwiek otrzyma odpowiedzi na dręczące go pytania.

Powinien się także czym prędzej zająć sprawą Carla Simpsona. Goodlands zapewnia pracę na pełen etat i doprawdy już czas, aby to miasto posiadało własnego szeryfa.

Właściwie nie mógł Carla o nic oskarżyć. Nawet o podżeganie do bójki, bo nie sądził, aby Carl rzeczywiście chciał doprowadzić do bijatyki. Henry znał sprawę głównie z relacji Leonarda, który twierdził, że ludzie sami z siebie zaczęli się popychać i szarpać. Niemniej powinien przeprowadzić z Carlem poważną rozmowę i spróbować mu pomóc. Nie miał pojęcia, gdzie znajdują się Janet i chłopiec, ale ponieważ sami opuścili dom, był pewien, że zbytnio się od niego nie oddalili. Dla Carla to lepiej, że jest sam. Z pewnością znajdzie trochę czasu, aby zadzwonić do sąsiadów i spytać, czy ktoś nie widział jego żony i syna.

Teraz Henry miał ochotę obejrzeć prognozę pogody i dowiedzieć się, jak brzmi oficjalny komunikat na temat deszczu w Goodlands. Później zje kolację, a jutro, gdy przestanie padać, odwiedzi Karen Grange i sprawdzi, czy jest u niej ten facet, który wygraża niebu kijami, skacze dookoła ogniska lub robi coś w tym stylu, aby sprowadzić deszcz. Na Boga, musi to wiedzieć. Czekał na oficjalny komunikat na temat deszczu w Goodlands.

Nie spodziewał się jednak, że go usłyszy.

Było już zupełnie ciemno, gdy Karen zaczęła robić porządek w salonie.

Wcześniej, chociaż nie byłaby w stanie powiedzieć kiedy - ten dzień od samego początku wydawał się jej jednym długim popołudniem -

obudzili się i ubrali. Zrobili sobie coś do jedzenia i picia, stąpając ostrożnie między potłuczonym szkłem, kawałkami drewna, porzucanymi meblami. Szczątkami jej poprzedniego życia. Ostentacyjna niemal obojętność Karen wobec spustoszenia dokonanego w jej domu sprawiała komiczne wrażenie. Chodziła wśród zniszczonych przedmiotów, ze stoickim spokojem unosiła wysoko jak bocian nogi, aby nie nadeptać na nic gołą stopą. Tom wydawał się bardziej tym przejęty.

- Wszystko zniszczone - powtórzył kilkakrotnie, usiłując zmusić ją do jakiejś reakcji.

- Aha - zgadzała się, posyłając mu za każdym razem figlarny uśmiech.

- Powiedz mi jeszcze raz, jak to się stało - poprosił.

Karen wyjaśniła mu już wcześniej lakonicznie, że gdy był na polanie, ktoś włamał się do jej domu.

- Prawdopodobnie wandale - oświadczyła, przyjmując taką wersję.

- I nic nie skradli?

- Nie jestem pewna.

Wyjedli wszystko, co było w lodówce - kilka jajek na twardo i pickle - popili posiłek mlekiem z kartonu i z powrotem znaleźli się w łóżku. Zanim wślizgnęli się pod kołdrę, Tom zdążył ściągnąć z siebie wilgotne dzinsy. Jego skóra, także wilgotna, szybko ogrzała się od ciepłego ciała Karen. Minęło kilka godzin. Trochę drzemali, a potem znowu się kochali.

Gdy Karen obudziła się ponownie, było ciemno. Na suficie sypialni tańczyły dziwne cienie, ożywione przez wpadające oknem światło księżyca. Tom oddychał spokojnie i głęboko. Postanowiła po cichu wyjść z łóżka, by go nie budzić. Dopóki starczyło jej kołdry, osłaniała ciało, nie chcąc się przed nim obnażać, nawet gdy spał.

Dzinsy wciąż były mokre. Zaczęła myszkować w szafie, aż znalazła luźną bawełnianą sukienkę, w której chodziła kilka lat temu. Z przyjemnością poczuła na nagim ciele miękką tkaninę.

Właśnie zamierzała wyjść z sypialni, gdy dobiegł ją donośny głos Toma.

- Wciąż pada.

Jej oczy przyzwyczyły się już do panującego w pokoju półmroku. Tom, oświetlony księżycowym promieniem, patrzył na nią poważnie, ale z jego twarzy nie można było nic wyczytać.

Karen wsłuchiwała się przez chwilę w bębnienie kropli o dach. Dźwięk ten brzmiał w sypialni głucho. W pozostałych pomieszczeniach domu z pewnością był wyraźniejszy, gdyż wszędzie zostawiła otwarte okna.

- Tak, pada - potwierdziła czując, że się czerwieni.

Zastanawiała się, kiedy Tom się obudził. Czy obserwował ją, jak się ubierała? Jego oddech wciąż był regularny, jak wtedy, gdy wydawało się jej, że śpi.

- Idę posprzątać salon. Przynieść ci coś?

Natychmiast pożałowała, że nie powiedziała czegoś innego. Na przykład: „Zostań ze mną na zawsze”.

- Pomogę ci - oświadczył.

Gdy wstawał, pościel zsunęła się na podłogę. W bladym świetle księżycy wyraźnie widziała jego sylwetkę. Podobnie jak pierwszej nocy, gdy tu przyjechał, teraz również przyglądała się ukradkiem, jak wkłada spodnie.

- Będę w kuchni - powiedziała i szybko wyszła.

Wyjęła napoczętą butelkę białego wina, którą przechowywała w kredensie. Napełniła dwa eleganckie kieliszki. Jakie to szczęście, że dziewczyna oszczędziła kuchnię. Karen miała ochotę na łyk wina. Poprzedniego dnia prawie nic nie jadła, a jej życie w ciągu dwunastu godzin radykalnie się zmieniło. Wino w kieliszkach wyglądało odświętnie. Dwa kieliszki. Dwa. Ta myśl zlała się w jej głowie z odgłosami dochodzącymi z sypialni i znowu zaczęło jej się wydawać, że jest kimś innym.

Tom wszedł do kuchni, mrugając oczami podrażnionymi elektrycznym światłem. Włosy spływały mu luźno na ramiona, wilgotne dżinsy oblepiały uda.

- Wyschną - powiedział widząc, że Karen patrzy na niego.

Znowu się zaczerwieniła.

- Przykro mi, ale nie mam nic, w co mógłbyś się przebrać.

Już miała zaproponować, aby wrzucił swoje ubranie do suszarni, ale uświadomiła sobie, że najpierw musiałby się przecież rozebrać do naga.

- Nie po raz pierwszy mam na sobie mokre rzeczy.

Uśmiechnęła się i kiwnęła głową.

- Oczywiście. Czasami to nawet przyjemne - dodała. - Jest wtedy chłodno. Nalałam wino - powiedziała bez związku. - Odkładam te porządki, bo nie lubię sprzątanania - paplała, czując się śmiesznie.

Tom sięgnął po kieliszek, podszedł do kuchennych drzwi i wyjrzał przez siatkowy ekran. Zapalił światło na werandzie. Wszystko zaślniło nagle jak żywe srebro, a strugi deszczu spływające z dachu głośniej chlupotały, rozpryskując się na poręczy. Wypił łyk wina. Oboje milczeli, słychać było jedynie deszcz.

- Dobre wino. A zatem dzień dobry, raz jeszcze - odezwał się po chwili.

Karen zachichotała nerwowo. Czy on kpi sobie z taniego wina, czy czyni aluzję do popołudnia spędzonego w łóżku? Gorączkowo zastanawiała się, co odpowiedzieć, i zdała sobie sprawę, że odkąd zaczęło padać, prawie ze sobą nie rozmawiali. Deszcz przybrał na sile. Tom bacznie go obserwował, zamyślony.

- Włączę radio, chcesz? - zapytała.

Potrząsnął głową.

- Lubię muzykę deszczu - wyjaśnił.

Wyciągnął coś z tylnej kieszeni, pchnął lekko ekran i bez słowa wyszedł na werandę.

Po chwili doleciał Karen gryzący zapach jego tytoniu. Pewnie ma ochotę pobyć sam, pomyślała. Ze szczotką, szufelką i wielkim workiem na śmiecie udała się do salonu.

Podniosła z podłogi lampkę, postawiła ją na ocalałym narożnym stoliku. Zapaliła. W pokoju zrobiło się jaśniej. Na dywanie wały się kawałki szkła i porcelany. Dwa stoły były poważnie uszkodzone. Dębowy, kwadratowy stolik do kawy, który kosztował blisko tysiąc dolarów, miał odłamaną nogę. Pod nim leżały okruchy kryształowego wazonu. Po całej podłodze wały się jej starannie dobierane ramki do fotografii, które przedstawiały ludzi nie zajmujących już zbyt wiele miejsca w jej życiu - głównie zdjęcia rodziców - psa, którego ledwo pamiętała, i jakąś scenę z wakacji. Ramki były pogiete, szkło potłuczone, tekturki rozerwane. Karen ogarnęła wzrokiem ten potworny bałagan, analizując na chłodno swoje emocje.

Zniszczenia oceniła na tysiące dolarów. Jednak niczego nie żałowała.

Zadziwiająco łatwo pogodziła się z tą stratą.

Sprzątała wszystko jak leci. Kawałki kryształów, dzieł sztuki, fotografii zmiatała na jedną kupę. Później zebrała to na szufelkę i wrzuciła do worka. Wszystko razem. Ani razu nie schyliła się, by sprawdzić, czy nie da się czegoś uratować lub naprawić. Sprzątała z takim zapałem, z jakim kiedyś kupowała te rzeczy. Na jej czole pojawiły się

kropelki potu, ręce lepiły się do trzonka szczotki, oddychała szybko, zupełnie jak wtedy, gdy przynosiła te przedmioty ze sklepów. Serce biło jej z podniecenia, ale tym razem dobiegała do mety.

Pośpiesznie porządkowała pokój, ustawiając na miejsce ocalałe meble, poprawiając poduszki, ścierając kurz i przenosząc większe kawałki połamanych rzeczy bliżej drzwi, aby jutro je wynieść na śmietnik. Stolik do kawy nadaje się do reperacji, można dorobić nową nogę, tu i ówdzie skleić czy przybić gwoździem i będzie można nadal kłaść na nim pisma. Karen postanowiła poprosić George'a Kleinsela, aby się tym zajął, gdy skończy naprawy w sklepie Wagglesów. Może zrobi to w przyszłym tygodniu.

W przyszłym tygodniu, gdy Tom odejdzie.

Karen przeciągnęła duży stół bliżej drzwi i ustawiła go pod ścianą.

Potem wyjrzała przez okno sprawdzając, czy deszcz jeszcze pada. Zastanawiała się też, co będzie czuła, gdy wszystko się już skończy.

Tom palił papierosa i usiłował cieszyć się deszczem. Jego deszczem. Każdą kroplę czuł swoim ciałem, czuł, jak upada na podłogę werandy, stopień lub poręcz. Zamknął oczy i próbował wyczuć deszcz w swym wnętrzu. Był tam wciąż, spokojny i brzemienny. Mógł padać jeszcze przez długi czas.

Nic jednak nie pomogło.

To wciąż tam było, słyszał to mimo szumu deszczu, było jak nieustanne buczenie os w gnieździe. Głuchy pomruk. I przecucie nieszcześcia.

Pstryknął niedopałek poza poręcz werandy. Przez moment ognek jeszcze się żarzył jak robaczek świętojański, a potem zniknął, zalany deszczem.

Deszcz nic nie zarządził na złowrogie buczenie pod stopami. Było teraz nawet silniejsze niż przedtem.

Coś się działo.

Karen bardzo niejasno mówiła o tym, co tego dnia wydarzyło się w domu. Był ciekaw, czy miało to jakiś związek z nagłym otwarciem się nieba. Z całych sił wówczas trzymał się deszczu i kiedy wydawało się, że jego wysiłek pójdzie na marne, nagle niebo niespodziewanie się otworzyło i deszcz runął w dół.

Niemal złowieszczco.

Tom wypił resztkę wina z małego kieliszka i zachciało mu się więcej, chociaż tak naprawdę miał ochotę na coś mocniejszego. Wiedział

jednak, że Karen nie ma innego alkoholu. Słyszał, jak porządkuje pokój.

Zaprzagnął wejść do środka, wziąć ją w ramiona i kochać się, objąć jej ciepłe ciało, poczuć je na sobie. Zatracić się, zapomnieć o przeczuciu nieszczęścia. Użyć jej jako bariery między sobą a tym strasznym uczuciem, którego nie mógł się pozbyć.

Użyć jej tak, jak używa się alkoholu.

Nie mógł jednak tego zrobić. Nie tak. Nie teraz. Nachmurzony, spojrział w noc. Deszcz, kobieta, wszystko sprzysięgło się przeciwko niemu, a on nie wiedział, o co chodzi.

Drzwi za plecami skrzypnęły. Karen wyszła na werandę z butelką wina i prawie pełnym kieliszkiem.

- Masz ochotę na resztę wina?

Była umorusana, zakurzona, ale uśmiechnięta. Niezobowiązująco.

- Czytasz w moich myślach - powiedział i wyciągnął w jej stronę kieliszek.

- Nie wolałbyś pić z butelki? - zapytała, przechylając kokieteryjnie głowę.

- Tylko przy ognisku.

Karen podeszła do balustradki i wychyliła się w deszcz. Pozwoliła mu padać na twarz i włosy. Cienka sukienka przylegała do pleców i opinała biodra. Tom patrzył na nią i myślał, że może wszystko będzie dobrze.

Na chwilę uniosła głowę, a potem wycofała się pod daszek werandy.

- Ach... jak cudownie, po tak długim czasie - westchnęła.

- Masz na myśli deszcz? - zapytał, drocząc się z nią. Karen znowu spiekła raka.

- Oczywiście.

Patrzyła w dół, unikając jego spojrzenia.

- Hej - powiedział, starając się ściągnąć na siebie jej wzrok. Nie udało mu się.

- Karen - wymówił cicho jej imię.

W końcu podniosła na chwilę oczy, ale zaraz je spuściła. Policzki wciąż miała mocno zaróżowione.

- Wszystko w porządku? - zapytał, szukając właściwych słów. - Mam na myśli to, że tu jestem i w ogóle.

- Mój Boże! - wyszeptała. - To znaczy... Oczywiście, że wszystko w

porządku. - Spojrzała na deszcz i zastanowiła się, jak to będzie, gdy Tom odejdzie. - Nie oczekuję, że się ze mną ożenisz ani nic w tym guście. - Uśmiechnęła się.

Położył ciepłą dłoń na jej plecach. Nie odwróciła się, wciąż zapastrzona w deszcz. Przesunął rękę w górę, do szyi. Chwycił kosmyk włosów i owinał sobie wokół palców.

- Musisz mi powiedzieć, co się zdarzyło tu rano.

- Powiedziała ci już.

- Kłamałaś.

Karen oparła się wygodniej o poręcz. W zamyśleniu zmarszczyła brwi.

- To była dziewczyna, właściwie jeszcze dziecko. Wyglądała strasznie, jak szczur albo... - szukała odpowiedniego słowa - ofiara. Tak, sprawiała wrażenie ofiary. Zobaczyłam ją, gdy weszłam do domu. Porozrzucała moje rzeczy i połamała wszystko, co mogła unieść i rzucić na ziemię. Zachowywała się jak szalona. - Karen urwała.

A jeśli się myli? Szybko odsunęła od siebie tę myśl. - Pewnie córka jakiegoś farmera. Jeszcze jedna ofiara suszy.

Spojrzała na brązową, wilgotną trawę, słabo widoczną w świetle lampy.

- Może również ofiara kredytu bankowego. A to znaczy, moja. Jestem przekonana, że ludzie tak myślą - dodała gorzko.

Tom objął ją delikatnie, przytulił. Była ciepła. Krople wody spływały z jej włosów na ramiona. Tom pocałunkami spijał deszcz z jej ciała.

Nie powiedziała mu nic więcej. Bo nie było już o czym mówić. Reszta była nie do opowiedzenia, ale czy miało to dla niego jakieś znaczenie? To był jej problem. Pamiętała, że przez moment dziewczyna wydała jej się dziwnie znajoma, pamiętała też, jak spojrzała jej prosto w oczy. Z całą pewnością była szalona, i tyle. Być może, cierpiała na schizofrenię. Karen nie chciała psuć tego momentu. Tak jej było dobrze w objęciach Toma.

Powie mu wszystko, ale nie teraz.

- Wiesz, że ci, którzy kochają się cztery razy w ciągu dnia, zdobywają nagrodę? - usłyszała jego szept.

- Jaką nagrodę?

- Mogą to zrobić jeszcze raz.

Przytulił ją mocniej. Jedną rękę zsunął wolno po jej biodrze, nisko, tam gdzie kończyła się sukienka.

Karen nie opowiedziała mu nic więcej.

Rozdział 14

Deszcz ustał przed świtem.

Chwilę później nad ziemią zaczęła się unosić czarna chmura. Pojawiła się najpierw na Parson Road. Z głębokiej rozpadliny, która ciągnęła się wzdłuż zniszczonej jezdni, zaczęło się wydobywać coś, co na pierwszy rzut oka wyglądało jak gaz. W rzeczywistości był to brązowy pył, sucha pozostałość po żywej niegdyś ziemi, ślad po tym, co kiedyś rosło tutaj i dojrzewało. Pył, który był jednocześnie żywy i martwy. Wydobywał się z pęknięcia na drodze jak zdradliwa mgła, z początku wolno i bezwładnie, podnosząc się w postaci gęstej chmury, zwiększającej się i potężniejszej w miarę nabierania wysokości. Gdy znajdowała się mniej więcej na poziomie drugiego piętra, zaczęła niezwykle wolno wirować.

Wydobywał się falami i rozpląwał we wszystkich kierunkach, kłębiąc się i zanikając, drżąc i wydymając się, rysując w powietrzu dziwaczne wzory. Każda jego drobinka poruszała się w nieudolnym tańcu. Pył osiadał na wszystkich źdźbłach zrudziałej trawy, kamieniach, wgłębieniach w ziemi, przysypywał je, pokrywał coraz to nowymi warstwami. Unosił się w powietrzu jak chmura i zagarniał wszystko na swojej drodze.

Chmura sunęła tak wolno, że wydawało się, iż stoi w miejscu. Drzewa, chociaż opite deszczem jak topielce, przyjęły na siebie wyrok śmierci dużo wcześniej, zanim pojawił się pył. Teraz musiały stawić czoło kolejnemu wrogowi. Co mogłoby ocaleć z suszy i potopu, zostało zdławione przez tumany pyłu, który unosząc się i opadając zbliżał się wolno do miasta.

Nasiąknięta deszczem ziemia, pokryta grubą warstwą błota, zaczęła wchłaniać wydobywający się z rozpadliny w jezdni pył. Pojawił się na okolicznych polach i drogach prowadzących do Goodlands. Anemiczne światło wstającego poranka z trudem przedzierało się przez szarą zasłonę, która powoli nabierała coraz ciemniejszego koloru, ciemniejszego niż noc. Noc jednak nastąpi później. Mgła posuwała się wytrwale w stronę miasta, otulając je szczelnie jak watę, przenikając przez niewidoczne dla oka szczeliny, wpełzając szparami przy podłodze, sącząc się przez siatki w oknach, unosząc się nad głowami śpiących ludzi. Sadza opadała na nich jak czarna gaza. Miasto za zasłoną snów wcięż spało.

W zagrodach, na podwórkach i na polach niepokoiły się zwierzęta, ale nikt ich nie słyszał, całe miasto zatopione było w głębokim, kataleptycznym śnie.

Ludzie w Goodlands spali, nieświadomi, że niepostrzeżenie pojawia się nowa plaga. Rozprzestrzenia się powoli, ale skutecznie. Gdy wstanie świt, całe dobrodziejstwo deszczu zniknie pod grubą warstwą mikroskopijnych cząsteczek, które jakaś niewidzialna ręka poprowadziła do Goodlands. Wszędzie wokół granic miasta, jak okiem sięgnąć, kłębiły się chmury.

Miasto obudziło się nagle, bez tchu, dusząc się w czarnym pyłe.

Janet i Butch Simpson uciekli do domu sąsiadki i spali niespokojnie w sypialni na poddaszu. Janet obudziła się pierwsza. Silne i porażające uczucie klaustrofobii wywołało u niej nudności, co zmusiło ją do otworzenia oczu. Jak wielu ludziom w Goodlands, Janet także śnił się tej nocy deszcz. Najpierw padał jej na głowę, zmoczył i oziębził całe ciało, a w końcu zalał oczy, usta, uszy, nos. Na dłoniach czuła ciepło, jakby pory jej ciała zostały zatłkane i skóra nie mogła oddychać.

Deszcz ze snu zalewał jej gardło, miękka i wilgotna substancja utrudniała oddychanie i zmusiła do kaszlu. Janet usłyszała na jawie swój cichy kaszel i powoli zaczęła się budzić. Przez długą chwilę pozostawała na granicy snu i jawy. Wydawało jej się, że wczługuje się pod brezent, aby uciec przed deszczem. Zaczynało jej brakować powietrza i musiała znowu zakasłać, tym razem na tyle głośno, że całkiem się obudziła. Dobiegł ją chrapliwy, dławiący kaszel syna.

Otworzyła usta, aby zawołać: „Butch, co się stało?”, ale nie mogła wymówić słowa. Usta miała pełne czegoś, co wypychało jej język do podniebienia.

Z trudem otworzyła oczy, czując przenikliwy ból. Powieki, pod którymi nie było kropli wilgoci, wyschły i szorowały jej gaiki oczne jak papier ścierny. Znowu się zakrtusiła. Miała ogromne trudności z oddychaniem, rozpaczliwie walczyła o powietrze, zapominając o Butchu i jego płaczu.

Wreszcie udało jej się przetrzeć powieki i resztkę wilgoci, jaka została jeszcze w jej ciele, popłynęła do gałek ocznych. Janet mogła wreszcie zobaczyć, co dzieje się w pokoju. Butch spał na składanym łóżku pod oknem.

Pyl uniósł się gwałtownie, gdy wstała do syna. Koszula nocna wydymała się wokół jej ciała. Janet poślizgnęła się na podłodze, pokrytej warstwą czegoś, co wyglądało jak sadza.

Rozglądała się po pokoju, całkowicie zaskoczona. Pyl unosił się w powietrzu i migotał w słabym świetle dnia, wpadającym przez niewielkie okno. Jakby ktoś potrząsał szczotką w smudze światła. Janet czuła pył pod gołymi stopami i widziała, że pokrył grubą warstwą stół przy drzwiach. Najpierw pomyślała, że położono ich spać w brudnym pokoju. Jak mogła tego wczoraj nie zauważyć, gdy tu przyszli? Ale już po chwili wiedziała, że się myliła.

Butch siedział na łóżku i nerwowo pocierał oczy, dokładnie tak samo jak przed minutą ona. Z jego gardła wydobywał się cichy jęk na przemian z kaszlem, któremu towarzyszyły obłoczki kurzu, podobne do pary, jaką wydycha się na mrozie.

Janet usiadła z impetem na łóżku syna, wznecając tuman pyłu. Chłopiec zakasłał mocniej.

- Duszę się... - zachrypiał.

Objął ją rękami za szyję i zaczął się krztusić. Janet w panice zrobiła to, co w pierwszej chwili przyszło jej do głowy, to znaczy uderzyła go dłonią w plecy. Kurz zawirował wokół nich. Zatkaną sobie usta i nos.

- Zasłoń dłonią usta - poleciała. - Oddychaj przez zęby.

Butch spojrział na nią okrągłymi ze zdumienia, czerwonymi oczami. W kąciu lewego oka miał niewielkie zadrapanie.

- Co się dzieje? - wybełkotał w końcu.

- Nie mam pojęcia. Wypchnęła go z łóżka. - Trzymaj nisko głowę. Wychodzimy stąd.

Potyając się, ruszyli w stronę drzwi. Janet wyjrzała po drodze przez okno, ale nic nie było widać. Jakby ktoś zawiesił za nim brudny koc.

- Szybciej - powiedziała i pchnęła drzwi.

Na pierwszym piętrze było lepiej. W powietrzu nie unosiło się tyle kurzu co na strychu.

- Mary! - zawołała Janet.

W głębi domu ktoś zamknął okno, a potem rozległy się kroki.

- Janet? Czy to tornado?

Stali we troje na korytarzu między łazienką a sypialnią.

- Powinniśmy pozamykać wszystkie okna - oświadczyła Janet.

Tornado? Chyba nie. Wciąż zasłaniała dłonią nos i usta, starając się mówić przez zęby. Mary robiła to samo, chociaż tutaj powietrze było bardziej czyste.

- Zamknąć okna, tak, właśnie to robię - powiedziała Mary, kierując się w stronę sypialni. Odwróciła się jeszcze i rzuciła przez ramię: - To mnie obudziło, myślałam, że się uduszę.

Janet pokiwiała głową, nie otwierając ust. Butch stał przy niej, jedną ręką zasłaniając buzię. Oczy miał jak szparki.

- Zamknę okno w łazience, a potem zejść na dół i sprawdzę, czy tam jest coś otwarte! - zawołała Janet.

Mary potaknęła i weszła do sypialni.

Na parterze wszystko przykrywała gruba warstwa pyłu, który oblepiał każdy przedmiot i unosił się przy najmniejszym ruchu.

We troje obeszlą cały dom, zamykając wszystkie okna. Pył wzbijał się w tanecznych wirach, gdy dotykali czegokolwiek. Był wszędzie, nawet na owocach w kuchni i na firankach.

Po zakończonym obchodzie domu Janet, Mary i Butch stanęli przy oknie w salonie, usiłując coś przez nie zobaczyć.

- Już wkrótce się przejaśni - pocieszała się Janet.

Jednak patrząc przez okno miała wrażenie, że na zewnątrz szaleje śnieżycy. Było prawie białe, jeśli nie liczyć obrzydliwego koloru wysuszonej trawy. Beżowo, pomyślała Janet. Nie widziała nawet biegnącej przy domu drogi ani kwietnika, który Mary założyła przy końcu podjazdu. A znajdował się w odległości zaledwie dziesięciu kroków od domu.

- Czy to tornado? - ponownie zapytała Mary.

W ich głosach wciąż brzmiał niepokój, choć zamykanie okien i w ogóle jakieś działanie sprawiło, że poczuli się trochę lepiej. Cały czas osłaniali usta dłońmi i mówili przez zęby. Mary nie widziała traktora, który od dwóch miesięcy zaparkowany był na polu po drugiej stronie drogi. Janet martwiła się, że Carl jest sam w domu.

- Nie wiem, ale chyba nie - odpowiedziała w końcu.

- Mamusiu, chcę się napić wody - poprosił Butch. Oczy miał czerwone i opuchnięte.

- Idź do kuchni i napij się. Nie musisz pytać mamy - powiedziała Mary, klepiąc chłopca po ramieniu. - Biedactwo - dodała.

Janet i Butch wyszli, stąpając bardzo ostrożnie, aby nie wzbijać pyłu, okrywającego grubą warstwą dosłownie wszystko. Wnętrze domu przestało już przypominać scenografię do trzeciorzędnego horroru, którego akcja rozgrywa się podczas burzy piaskowej na pustyni.

Janet otworzyła kredens i wyjęła filiżankę. Jak wszystko inne powleczone była warstwą pyłu.

- Umyj ją dobrze - poleciła.

Butch pokiwał głową. Janet poszła do telefonu i wykręciła swój domowy numer, słuchając zgrzytania ziarenek piasku w tarczy aparatu. Podniosła do ucha słuchawkę, odsłaniając usta, ale w dalszym ciągu oddychała przez zęby.

Nie było cieplej niż wczoraj czy przedwczoraj, a mimo to Janet poczuła, że się poci. Jej ręka, biała jak kreda, ślizgała się po słuchawce. Pył przyłgnał do jej spoconych pleców, nóg, czuła go zwłaszcza pod pachami. Gdy była uczennicą, często pełniła dyżur przy tablicy. Musiała pilnować, aby była czysta i aby nie zabrakło kredy. Kredowy kurz, wzbijający się w powietrze podczas czyszczenia tablicy, wpadał jej do ust i czuła go potem przez kilka godzin. Teraz było podobnie, tylko dużo gorzej.

Telefon już dzwonił u nich w domu, gdy za plecami usłyszała głucho szum, dobywający się z odkręconego kranu. Jak dobrze go znała.

- Mamo! Nie ma wody! - zawołał Butch. Janet zamknęła oczy. Chryste, co się dzieje?!

- Weź z lodówki, kochanie - powiedziała.

Telefon na drugim końcu linii wciąż dzwonił, ale Carl nie podnosił słuchawki.

Carl słyszał, że w domu dzwoni telefon, i nawet przez chwilę chciał go odebrać. Wejść do środka, schronić się przed fruującym w powietrzu pyłem. Jednak nie ruszył się z miejsca. Stał na wybetonowanej drodze, której nie widział, tylko czuł pod stopami, pod grubą warstwą pyłu. Pomiędzy nim a domem była weranda, która nie dawała lepszego schronienia niż podwórko. Musiał dostać się do ciężarówki.

Zrobił sobie specjalne ubranie ochronne, używając w tym celu bluzy z kapturem. Nasunął go sobie na głowę, a twarz i szyję zasłonił starym szalikiem. Na oczach miał okulary spawalnicze, nałożone na wierzch kaptura. Był dobrze przygotowany, chociaż pocił się z gorąca, a szalik utrudniał mu oddychanie. Nic nie szkodzi, przyzwyczai się. W ciężarówce będzie lepiej.

Szedł wolno, kierując się pamięcią, gdyż nie widział nic na odległość wyciągniętej ręki. Nie zastanawiał się jeszcze, jak poprowadzi w takich warunkach samochód, ale był przynajmniej pewien, że okna samochodu są dobrze zamknięte. Nauczony przez ojca, zawsze je zamykał. „Gdy wysiadasz z auta, zgaś radio, zasuń szyby i nie zapomnij go zamknąć” - mawiał jego stary, a sam po wyjściu z samochodu zawsze podrzucał w górę klucze, chcąc mieć pewność, że nie zostawił ich w stacyjce. Carl przejął ten zwyczaj i nigdy jeszcze nie zatrzasnął kluczy w samochodzie. A zatem w ciężarówce nie powinno być pyłu.

To mogła dzwonić Janet. Nie telefonowała wczoraj wieczorem i pewnie się o niego martwiła. Nic jednak nie mógł zrobić. Czuł się usprawiedliwiony przez kurzwawę. Doprawdy, jeśli dotychczas żona mu nie wierzyła, jeśli nikt mu wcześniej nie wierzył, to znaczy, że wszyscy byli ślepi. I głupi.

Szedł po omacku w stronę ciężarówki, przypominając sobie rzeczy, o które się po drodze potykał.

Kosiarka do trawy, poidło dla kur, płot... Ciężarówka była zaparkowana zaraz za płotem. Był już przy niej, gdy nagle uderzył głową o słup, do którego przywiązywali kiedyś sznury do suszenia bielizny.

Wyciągnął z kieszeni spodni klucze. Nie wiedział, co się działo, skąd w powietrzu tyle pyłu i jak długo to potrwa. Przekręcił kluczyk w stacyjce i silnik zapalił, z pewnym oporem, lecz zapalił, i samochód ruszył.

Carl włączył światła, ale i tak bardziej wyczuwał drogę, niż ją widział. Udało mu się niezdarnie, lecz bezkolizyjnie wyjechać na szosę. Dalej jechał prosto.

Kłopoty pojawiły się, gdy dotarł do skrzyżowania i skręcił w boczną drogę do miasta. Silnik zaczął się dławić, po chwili samochód stanął.

Zatkał się filtr powietrza. Carl miał nadzieję, że uda mu się dojechać znacznie dalej, ale okazało się, że pokonał niewiele ponad kilometr. Gdyby był normalny dzień, widziałby stąd swój dom, a nawet machającą mu przez okno Janet (jeśli byłaby w domu).

Dalej nie pojedzie. Carl pomyślał chwilę, a następnie założył okulary i wysiadł z auta. Pójdzie piechotą.

Gdy Tom i Karen zasypiali nad ranem wyczerpani miłością, wciąż słyszeli bębnienie deszczu o dach. Karen opowiedziała Tomowi jedyny dowcip, jaki знаła, i zapadali w sen chichocząc. Cudownie, pomyślała Karen tuż przed zaśnięciem. Cudownie jest zasypiać w jego ramionach, gdy za oknami szemrze deszcz. Byli co prawda okropnie zmęczeni, ale leżeli w wygodnym, szerokim łóżku i w każdej chwili mogli się znowu kochać.

Ranek ich zupełnie zaskoczył.

Obudzili się, nie mogąc normalnie oddychać. Przerażeni zamykali wszystkie okna. Karen trzymała przy nosie i ustach ręcznik, aby filtrował wdychane powietrze. Tom użył w tym celu jednego ze swych świeżych białych podkoszulków, który wyjął z plecaka.

- Co się dzieje?! - zawołała do niego.

Potrząsnął głową, usiłując wykasłać jak najwięcej pyłu z gardła. Nie miał żadnego doświadczenia z burzami piaskowymi, podobnie jak nie znał prerii w ogóle. Często widywał skutki takich burz, ale nigdy żadnej nie przeżył. Wyglądając przez okna, które pośpiesznie zamykał, zastanawiał się, czy to tornado czy huragan. Przypomniał sobie, że jak szedł do Goodlands, widział dziwne falowanie łąń w zboża, przypominające wzburzone fale oceanu. Huragan. Huragan na prerii.

Wcisnął koc w szparę pod frontowymi drzwiami. Nagle zeszytywniał, przerażony tym, co mu nagle przyszło mu do głowy. Oczywiście, to nie jest huragan ani tornado. Przypomniał sobie posiłek w przydrożnym barze niedaleko Wellesby, a może Wellbee, twarze bez wyrazu, ludzi, którzy nie wiedząc o tym, byli już na wpół martwi. Tom podszedł do okna i usiłował coś dojrzeć w wirujących kłębach pyłu.

Po chwili ukucnął i dotknął dłonią desek podłogi, oczekując na coś dobrze znanego. Wibracja była słaba, z trudem wyczuwalna, bo na zewnątrz wiał silny wiatr. Serce Tomowi забиło mocniej. Ogarnął go strach. Deszcz odszedł bardzo daleko od Goodlands. Na górze niebo przypominało twardą, pozbawioną powietrza powłokę.

Karen przebiegła obok z kocem w ręku, śpiesząc do łazienki, aby zamknąć tam małe okienko. Rzucił jej szybkie spojrzenie. Jego twarz

ściągnięta była niepokojem. Karen nie zauważyła tego. Jednak gdy go mijala, zmierzyla go takim wzrokiem, że aż się cofnęła.

- I co teraz? - zapytała z wyrzutem.

Pytanie było, oczywiście, retoryczne. Miała do niego pretensję. Równie dobrze mogłaby zapytać wprost: Coś ty narobił?

I co teraz?

Okno w łazience na dole zostało zamknięte, ale Karen się nie pojawiła. Spojrzał na zegar stojący na stoliku w salonie. Strażony przez tajemniczego gościa, o którym Karen nie chciała mu nic konkretnego powiedzieć, ponoć chodził bez zarzutu. To dopiero jakość, żartowała Karen, choćbyś go potraktował młotem pneumatycznym, będzie chodził. Zegar wskazywał dziesiątą. Nie miał sekundnika i Tom nie mógł sprawdzić, czy rzeczywiście chodzi. Poszedł do kuchni, gdzie był drugi zegar. Wskazywał prawie godzinę wcześniej. Była dziewiąta dziesięć.

Tak czy inaczej, późno. Jednak światło za oknami było słabe i zamglone jak o świcie. Od jak dawna nie pada? W powietrzu nie było już najmniejszego śladu deszczu, nie pozostało nic a nic. Tom nie czuł go także w sobie. Deszcz zniknęła zupełnie.

Ona uważa, że to moja wina, pomyślał Tom.

Był zaskoczony, że aż tak go to zabolalo. Karen źle o nim myśli, i to teraz, chociaż miała czas, aby się zorientować, że to nie jego wina. Nie sprowadzam kurzawy, sprowadzam deszcz. Uśmiechnął się z trudem.

I co teraz? Czuł się zraniony i powody były oczywiste. Ciężki bagaż po latach swobodnego podróżowania, wolności. Do tej pory udawało mu się skutecznie omijać pułapki uczuć. Czy czuł coś do niej? Z zaskoczeniem stwierdził, że tak. Ostatnie dni upływały w takim napięciu, że nie myślał o tym, teraz zaś nie miał siły, aby sobie z tym poradzić.

Natychmiast pomyślał o wyjeździe, ucieczce. Zostanie wspomnieniem. Osaczała go cisza, ciągle wyczuwalna wibracja pod stopami, a także świadomość spoczywającej na nim odpowiedzialności za Karen. Nie mógł tak po prostu zniknąć. Miał tu jeszcze coś do zrobienia i nawet jeśli nie wiązało się to z nim, nawet jeśli nie był w stanie pomóc, jeśli ta susza była sprawą między Bogiem a Goodlands, musiał tu zostać. Nie potrafił zostawić jej samej w obliczu niewiadomego. Ale co się stanie, jeśli będzie jeszcze gorzej? Jeśli wydarzy się coś innego?

To już drugie wyzwanie w tym samym miejscu. Tom był zdany na własne siły. Wiedział, że nie może się cofnąć.

Cokolwiek dzieje się w Goodlands, jego także to dotyczy.

Gdy tylko ustał deszcz, zaczęła się kurzawa. Wolno, ale skutecznie opadał na Goodlands gęsty pył, a podmuchy wiatru, które miotają nim w górę i w dół, powoli słabły i kurz wisiał nad miastem jak czarny welon. Jednak wokół domu Karen Grange zadymka dopiero się zaczynała. Nad ziemią sunęła wielka chmura, zmieniając powoli kształt. Przybrała ostatecznie postać przypominającą do złudzenia kobietę, chociaż wcześniej jej postrzępiony zarys bardziej kojarzył się z sylwetką starego mężczyzny, pudła czy łańcucha górskiego. Falując, unosiła się nad polami i drogami Goodlands, zmierzając do punktu przeznaczenia. Nikt jej nie zauważył, ponieważ w czasie szalejącej kurzawy każdy martwił się o własną skórę.

Karen żałowała swoich słów. Wypowiedziała je w strachu, panice, kierując się tym, co najpierw przyszło jej do głowy. Wiedziała, że zraniła Toma. Zaskoczył ją nieskrywany smutek na jego twarzy. Szybko się opanował, ale cierpiał przez nią.

Głupia. Była głupia od samego początku wierząc, że można manipulować żywiołami, nie ponosząc za to kary. Nagle przypomniały jej się słowa Toma, że Goodlands, być może, musi za coś odpokutować. Na moment zamarła z przerażenia. Nie, to nie ma sensu. Wpadła w panikę, ale nie do tego stopnia, aby w to wierzyć.

Głupia. Głupia. Głupia!

Była wściekła na siebie i nie zwracała uwagi na pytanie, które kołatało się gdzieś w jej podświadomości: Dlaczego? Jak to się skończy? Ignorowała je, usiłując dojść do czegoś na drodze logicznego rozumowania. To był deszcz Toma, a zatem także jego kurzawa. Tylko głupcy tracą czas, zadając pytanie dlaczego.

Ale jak mógł zniszczyć coś, co dopiero powstało? W obu przypadkach, dodała po chwili namysłu.

Zastała go w kuchni. Najgorsze już minęło i kurz osiadł. Przy najmniej na razie.

Unikała jego spojrzenia. Podeszła do zlewozmywaka i odkręciła kran. Coś zabulgotało, zachrypiało, ale woda nie pociekła. Karen potrząsnęła głową. Nic nie rozumiała. Może to miejsce jest rzeczywiście przeklęte. A może tylko ona.

- Myślisz, że ja to zrobiłem, że ja jestem winien - powiedział Tom. To było stwierdzenia, nie pytanie.

Karen spuściła wzrok.

- Nie wiem - odrzekła wreszcie. Zabrzmiało to jednak nieprzekonująco.

- Czemu miałbym to zrobić? - Tym razem było to pytanie, ale zadane twardym, stanowczym tonem. - Jeśli nic ma innej odpowiedzi, z pewnością chodzi o pieniądze... - dodał, przekreślając tym samym to, co zdarzyło się w ciągu ostatnich dwunastu godzin i przypominając ich początkową umowę. Karen poczuła się zaskoczona i zraniona.

- A zatem wracamy do tego tematu? - spytała głucho.

Już miała wyjść, ale złapał ją za ramię i zmusił, by pozostała na miejscu.

- Nie - oświadczył.

Niewypowiedziane słowa zawisły w ciszy między nimi. Żadne nie sądziło, że chodzi o pieniądze. Żadne nie chciało nic powiedzieć. Karen pragnęła tylko, by Tom się rozpogodził, by przestał być tak oficjalny. Tom chciał ją zapewnić, że pieniądze nic dla niego nie znaczą, że zostanie. Spróbuje się z tym uporać. Dla niej. Dla Goodlands, jeśli tego chciała. W tym momencie oboje dokonali wyborów.

- Czy możesz coś na to poradzić? - zapytała w końcu.

- Nie wiem.

- Spróbujesz?

Tom czuł pod stopami dudnienie, głośniejsze i słabnące jak rytm serca. To było coś więcej niż susza i deszcz. Przypomniał sobie o pokucie, jaką, być może, odbywa Goodlands.

- Kochasz mnie? - zapytał.

Przez długą chwilę Karen nie odpowiadała. Potrząsnęła głową, bo była przekonana, że nie, nie kocha go. A potem spojrzała mu w oczy i wyszeptwała:

- Tak.

Tom pokiwał głową, ale nie powiedział, czyją kocha.

- Spróbuję - obiecał.

Henry Barker postanowił z samego rana odwiedzić Goodlands. Nie zamierzał jechać do biura w Weston, zatelefonował tylko i zapytał, czy są dla niego jakieś wiadomości. Było doniesienie o psie zakłócającym spokój sąsiadów. Już drugi raz. Henry odetchnął z ulgą. To na szczęście tylko mandat.

Już w samochodzie szeryf zdał sobie sprawę, że zapowiada się piękny dzień. Wprawilo go to w znakomity humor. Do diabła, w dodatku jeszcze w Goodlands spadł deszcz. Około południa będzie pewnie gorąco jak zwykle, ale na razie wiał lekki wiaterek, wcale nie czuło się upału. Henry odkręcił boczną szybę i wystawił łokieć, łapiąc

promienie słońca. Jechał do Goodlands, aby zająć się Carlem Simpsonem, nim stanie się coś niedobrego. Gwizdał przy tym motyw z telewizyjnego show Andy'ego Griffitha, jedyną melodię, jaką udawało mu się w miarę wiernie odtworzyć.

Jednak jakieś pięć kilometrów przed Goodlands gwizd zamarł mu na ustach.

Przed nim, dokładnie w miejscu, gdzie znajdowało się Goodlands, stała jakaś ściana, wysoka do nieba i szeroka jak widnokrąg. Cholera, chiński mur, przeniesiony w nocy do Goodlands w Dakocie Północnej.

Uwaga niebezpieczeństwo, niebezpieczeństwo. Nie wiedział, co się dzieje, ale zareagował natychmiast, instynktownie. Nadepnął hamulec. Coś uderzyło o przednią szybę. Dźwięk był tak wyraźny, że Henry zmrugał oczy, usiłując zobaczyć cokolwiek w oślepiającym słońcu. Przypomniawszy sobie, że prawdopodobnie przejeżdżał właśnie przez kawałek drogi pokryty piaskiem naniesionym z pobocza przez robotników czyszczących drogę.

Latający żwir?

Na odcinku, gdzie przednia szyba stykała się z maską samochodu, pojawiła się wyraźna, ciemna smuga. Pył z drogi?

Pył unosił się w powietrzu, jego drobiny wirowały, niesione wiatrem.

Na Boga, to jest gęste jak zupa. Samochód stał trzy metry przed ścianą - nie można było bowiem nazwać tego inaczej. To rzeczywiście ściana, cholera!

Henry wysiadł z samochodu. Rozejrzał się i przetarł oczy ze zdziwienia. Nie było widać końca tej ściany. Gapił się na nią z otwartymi ustami, kręcąc głową w lewo i prawo. To była drżąca, falująca masa czegoś szarego, nie, raczej pozbawionego jakiegokolwiek koloru. Co to? Piasek? W odległości wielu kilometrów nie było żadnych kamieniołomów ani żwirowni.

Pył unosił się wokół niego w powietrzu, przylepiał się do koszuli w miejscach, gdzie była przepocona. Gdy Henry wreszcie zamknął usta, mógł go także posmakować i usłyszeć, jak chrzęści między zębami. Miał suchy i kredowy smak.

Pył. Pył z prerii.

Henry otarł twarz, na której osadził się pył. Dlaczego to cholerstwo pojawiło się po deszczu? Przecież ulewa powinna raczej zmyć cały kurz z okolicy.

Podszedł do gigantycznej, ruszającej się jak olbrzymi rój pszczoł ściany i oszołomiony gapił się na nią z niedowierzaniem. Nagle, wbrew zdrowemu rozsądkowi i przezwyciężając strach, który zlewał mu kark zimnym potem, wyciągnął przed siebie rękę.

Wsunął ją w ścianę. Poczuł się tak, jakby włożył rękę do worka z jakimś proszkiem. Było miętko. Z początku nawet miło. Ale już w kilka sekund później mógłby przysiąc, że coś wysysa z niego całą wilgoć, ciało odrywa się od kości. Gwałtownie wyciągnął rękę.

Musiał jednak tam wejść. Musiał zorganizować ewakuację. Wpatrywał się w swoją rękę pokrytą grubą warstwą pyłu i zastanawiał się, jak ludzie tam oddychają...

Gdy tak stał, miotając się między obowiązkiem a strachem, ściana znieruchomiała i opadła na ziemię.

W czasie krótszym niż jedna doba miasto Goodlands uległo całkowitej transformacji, i to dwa razy. To martwe miejsce, dotknięte długotrwałą suszą, uwierzyło w swoje zbawienie, a jego mieszkańcy położyli się spać uspokojeni nadzieją, że wszystko już będzie dobrze. Jednak o świcie wiara ta zniknęła jak piękny sen. Ludzie dławili się i dusili, słysząc dzwony śmierci bijące dla ich miasta.

Nie po raz pierwszy Goodlands budziło się w stanie kryzysu. Lata wielkiej depresji omal nie zniszczyły miasta. Prawie połowa mieszkańców musiała emigrować. Ci, którzy pozostali, wierzyli, że ich los jest zrzędzeniem Boga. W niektórych rodzinach kryzys przyczynił się nawet do pogłębienia wiary, której nie były w stanie zachwiać najgorsze doczesne nieszczęścia.

A w Goodlands zdarzało się ich wiele.

Na przykład, gdy zmarła Denise, żona Paula Kelly'ego, lekarze nie mieli pewności, co było przyczyną jej śmierci i w końcu, z braku lepszego wyjaśnienia, uznali to za przypadek gruźlicy. Denise była dużo starsza od Paula, niektórzy mówili, że nawet o dziesięć lat. Ich małżeństwo uchodziło za udane, chociaż Paul dużo podróżował „w interesach”. Nikt nie wiedział, co to były za interesy, a on mówił o tym bardzo niejasno. Denise sama zarządzała farmą, co przed 1954 rokiem nie było częstym zjawiskiem, i szło jej nawet dość dobrze. Hodowali krowy. Jej przyjaciele mówili, że często bywała przygnębiona, ożywiając się jedynie na krótko przed powrotem Paula, a potem znowu popadała w depresję.

Czy to prawda, że dodawał jej do jedzenia arszenik dwa, trzy razy w miesiącu podczas pobytu w domu? Plotki szybko umarły śmiercią naturalną. Ludzie zapomnieli, a ich wiary nie naruszyła wątpliwość w morale bliźniego.

Gdy coś podejrzanego wydarzy się w bardziej znaczących rodzinach, ludzie gadają o tym nieco dłużej.

Kilka dni przed dwoma niezwykłymi transformacjami, jakie przeszło Goodlands, na niegdyś prosperującej farmie Dona Kramera wybuchł pożar. Natychmiast przypomniano sobie dawne plotki głoszące, że Don molestował seksualnie dzieci.

Don Kramer przez wiele lat prowadził lokalny klub zimowy Wolf Club Boys i wszyscy wiedzieli, że lubił chłopców w wieku od jedenastu do trzynastu lat. Koniec sezonu zawsze uświetniał biwakiem na terenie swojej posiadłości. Osobiście przygotowywał barbecue, na które zapraszał wszystkich chłopców z klubu i spędzał z nimi całą noc. Przyświecał im latarką, gdy któryś musiał iść w nocy do ustępu. Każdego roku budował go osobiście pośrodku swojego pola. Kramer był niewysokiego wzrostu, drobny, raczej spokojny i może, według niektórych standardów, nieco zniewieściały (kobiety najbardziej miały mu za złe, że sam gotował, także dla chłopców). Jednak z takich lub innych powodów ciągle niejasna była jego orientacja seksualna. Ożenił się późno, dopiero w wieku czterdziestu kilku lat i nie miał dzieci. Rodzice chłopców uważali, że poświęca im tyle czasu, gdyż tęskni za synem. Mimo to plotka, że jest pedofilem, żyła przez wiele lat, chociaż żaden chłopiec z klubu nigdy się na niego nie skarżył.

Larry Watson zdradzał kiedyś żonę z żoną doktora. Ludzie jednak o tym nie plotkowali, ponieważ lekarze w małych miasteczkach wciąż cieszą się ogromnym szacunkiem.

Podobnie było w przypadku jednej z najbogatszych rodzin w Goodlands, rodziny Griffenów, z której pochodziła Grace, żona Eda Kushnera. Zdarzyło się w niej wiele skandali, niektóre sięgały nawet przełomu wieków.

Mężczyźni w tej rodzinie bywali lekarzami, prawnikami lub właścicielami ziemskimi. W większości jednak byli dobrymi rolnikami, świetnymi gospodarzami.

Brat Grace, mieszkający aktualnie w Kalifornii, na drugim końcu Stanów, okazał się zwyczajnym przestępcą. Co prawda wysokiej klasy, ale przestępcą. Wraz z trzema kompanami został złapany na przewożeniu

kokainy z Kolumbii do Kalifornii. Siedział w więzieniu, Grace nie chciała mu nawet posyłać listów.

To był ostatni skandal, lecz mężczyźni z tej rodziny ciągle popadali w jakieś kłopoty.

Nikt nie wiedział (co oszczędziło wstydu Grace, która usłyszała tę historię w dzieciństwie przez zamknięte drzwi), co zrobił William Gradle Griffen, a zapisał się on w historii rodziny jako znakomitość, wdzięczny temat opowieści dla całych pokoleń. Mówiono, że był gwałcicielem. Że podglądał przez okna, a także zgwałcił dziesięć kobiet w Dakocie Północnej, zanim zmarł na aneurizm we własnym łóżku i to, o ironio, u boku własnej żony.

William nigdy nie był aresztowany ani za podglądanie, ani za gwałt, ale ludzie gadali. Dwa razy został pobity przez mężów, a także przez ojca dziewczyny, z którą powinien się ożenić. To pewnie sprawiło, że zaczął się zachowywać, jakby brakowało mu piątej kleпки.

Jednak tylko raz o mało nie popadł w poważne tarapaty.

„Miała na imię Molly. Molly O'Hare”, tak pewnie zaczęłyby tę opowieść kobiety z rodziny Griffenów. Uważały, że życie Williama mogło lec w gruzach, chociaż wszyscy podejrzewali, że ta kobieta kłamie jak najęta.

„Jak najęta”, powtórzyłyby z przekonaniem.

Molly O'Hare mieszkała razem z bratem w okolicy, która wiele lat później zyskała niechlubną nazwę Badlands. Około roku 1890 miejsce to nie miało jeszcze tak złej reputacji, po prostu nieurodzajne tereny, na których trudno wyżyć z uprawy roli. Trzeba było być głupim lub biednym, aby kupić tam ziemię. Rodzina O'Hare była bardzo biedna.

Molly przyjechała do swojego brata Seana do Ameryki, gdy w Irlandii zmarła ich matka. Chciała rozpocząć nowe życie. Jak na kobietę niezamężną, była dość stara, miała wtedy prawie trzydzieści lat. Przyjechała do Goodlands i już wkrótce zaczęła sprawiać kłopoty.

Na początku została dość przyjaźnie potraktowana przez członków lokalnej parafii, była bowiem bardzo religijna i miała miły charakter. W przeciwieństwie do brata, który w niedzielne poranki wolał raczej towarzystwo swoich zwierząt na farmie, Molly spędzała w kościele więcej czasu, niż wynikało to z podziału obowiązków, a także sprzątała go w sobotnie popołudnia i reperowała odzież ofiarowaną dla biednych.

Może nie była piękna, ale mieściła się w ówczesnych kanonach kobiecej urody. Jej zdecydowaną ozdobą były piękne bujne włosy.

Mniej więcej po roku od przyjazdu do Goodlands Molly podczas porządków w kościele wspomniała jednej z kobiet, że ktoś nocą podgląda ją przez okno.

Po pewnym czasie jej psychoza sięgnęła szczytu i Molly zwierzyła się ze swoich lęków księdzu. Wysłuchał opowieści ze współczuciem, co było jego obowiązkiem, i polecił jej odmawiać Zdrowaś Maria przed położeniem się do łóżka. Osobiście zaś uważał, że były to przywidzenia starej panny i na następnym spotkaniu parafian dopytywał się, czy ktoś nie chciałby się z nią umówić.

Niedługo potem Molly zachorowała na grypę - w owych czasach zdarzały się epidemie, które atakowały całe miasteczka. Lekarzem w Goodlands był William Griffen, on też odwiedzał Molly i jej brata, który zaraził się od niej. Jednak Molly poświęcał zdecydowanie więcej czasu niż Seanowi.

Gdy wyzdrowiała na tyle, że znowu mogła uczęszczać na nabożeństwa, poskarżyła się księdzu na doktora Griffena. Powiedziała, że przy badaniu dotykał jej piersi. Zażenowany ksiądz przypomniał jej, aby traktowała Griffena jako lekarza, a nie mężczyznę. Następnie, czerwony na twarzy, wyjaśnił Molly podstawowe zasady funkcjonowania ludzkiego organizmu, a także powiedział jej o pewnych sprawach, o których dawno temu powinna była powiedzieć jej matka. Niemniej jednak, biorąc pod uwagę różne plotki, jakie krążyły o Williamie Griffenie, poradził jej, aby podczas następnej wizyty miała na sobie cienką bieliznę, co pozwoli uniknąć badania nagiego ciała.

Molly nie powiedziała jednak księdzu, że gdy spojrzała Williamowi Griffenowi w oczy, natychmiast wiedziała. Wystarczył jej lubieżny, bezczelny wzrok doktora. Nie miała wątpliwości, że to on podglądał ją przez okno, gdy się rozbierała.

Molly miała swoje słabostki, a jedną z nich była namiętność do wędrówek. Z wiekiem coraz częściej wymykała się nocami z domu i wałęsała po okolicy.

Podczas tych wędrówek ktoś ją śledził. Kilometrami kluczyła, aby zgubić natręta, jednak nigdy nie była do końca pewna, czy rzeczywiście go zgubiła, czy też on się zniechęcił. Tak więc lęki Molly wciąż rosły.

Zwierzała się ze swoich podejrzeń nie tylko księdzu. Opowiadała o nich także kobietom, z którymi sprzątała kościół. Była tak zdesperowana, że zaczęła także rozmawiać o tym ze znajomymi z miasta. Zrodziły się plotki. Oczywiście, nie na temat doktora, ale Molly.

Gadano, że Molly cierpi na kompleks starej panny, przypadłość, której nie trzeba wyjaśniać mężatkom, niewiele zaś da tłumaczenie tego kobietom niezamężnym. Wkrótce huknęła między ludźmi następna plotka głosząca, że Molly ma „towarzystwo” i że bynajmniej nie jest to kobieta. Mimo to wielu mieszkańców Goodlands wierzyło Molly, wiedząc to i owo o doktorze Griffenie.

Taka sytuacja trwała mniej więcej rok, a potem Molly wyjechała potajemnie do miasta. Gdy nie wracała, zaniepokojony brat zaczął jej szukać. Jednak ponieważ właśnie się ożenił i nie musiał wykonywać kobiecych prac na farmie, po pewnym czasie zrezygnował z poszukiwań zakładając, że Molly odezwie się, gdy zabraknie jej pieniędzy. Kierowany poczuciem rodzinnej lojalności przestał się jednak kłaniać doktorowi Griffenowi i postanowił się leczyć w sąsiednim miasteczku.

Molly nigdy nie przysłała listu, nie wróciła też do domu. Sean powiedział żonie, że pewnie plotki wyprowadziły z równowagi jego siostrę. Po kilku miesiącach nikt już nie rozważał, co się z nią stało. Ludzie w Goodlands, o dziwo, dobrze mówili o Molly, co bez wątpienia było zasługą księdza, który zawsze bardzo wysoko cenił jej pełną poświęcenia pracę dla kościoła.

Tak więc wszyscy uwierzyli, że Molly uciekła do miasta. Najpierw okropnie pokłóciła się z bratem, a potem spakowała walizki i poszła na stację piechotą, gdyż Sean nawet nie chciał jej odwiedzić. Rzuciła mu w twarz, że odchodzi, bo ma już dość awantur, a także z powodu doktora Griffena. Sean jej uwierzył.

Nigdy się jednak nie dowiedział, że jego siostra kłamała. Rzeczywiście, chciała uciec do miasta, ale ta decyzja nie miała nic wspólnego ani z kłótnią między nimi, ani z Williamem. Był to tylko pretekst. Tak naprawdę chodziło o młodego parobka, którego poznała w mieście, a potem spotykała regularnie nocami na polach, gdzie skutecznie leczył ją z kompleksu starej panny.

Gdy zdała sobie w końcu sprawę, że nie może już bez niego żyć, postanowiła zamieszkać z nim w mieście. Początkowo zamierzała wyjechać na krótko, ale zdenerwowana sprzeczką powiedziała bratu, że nigdy więcej jej nie zobaczy.

Sean patrzył, jak Molly się pakuje, zbyt rozgoryczony, aby ją zatrzymać. Był zresztą przekonany, że wcześniej czy później musi wrócić.

Brat Molly był przedostatnią osobą, która widziała ją owego wieczora.

Ostatnią był doktor Griffen. Przypadkiem zobaczył ją wieczorem na drodze i postanowił pójść za nią. On także szedł piechotą bryczkę zostawił w mieście, udając się z wizytą do mieszkającego niedaleko pacjenta. Śledził Molly, tak jak robił to wielokrotnie przedtem, spoziewając się widowiska, którego bywał świadkiem na polach.

Jednak tym razem Molly z nikim się nie spotkała. Szła sama, dźwigając podróży sakwojaż. Doktor wysnuł z tego własne wnioski

Sposobność narzucała się sama. Słońce jeszcze nie zaszło, gdy zrównał się z Molly na pustej drodze.

Nikt nie widział, jak ją pochwylił, nikt nie widział rozpaczliwej walki, jaką z nim stoczyła, jak szaleńczo się przed nim broniła, gubiąc torbę. Gdy ją zaatakował, miała dość siły, by krzyżeć. Krzyżała kiedy Griffen złapał ją z tyłu za włosy, kiedy włókł ją do przydrożnych krzaków, krzyżała, kopała i gryzła, gdy ściągał z niej bluzka i szarpał bieliznę.

To samo zdarzyło się już wcześniej czterem innym kobietom. Żadna nic nikomu nie powiedziała, wszystkie były córkami znanych mu ludzi.

Aby uciszyć Molly, zaciskał dłonie na jej szyi.

Potem spokojnie pozbiarał przy świetle księżycy rozsypane rzeczy. Znalazł wszystko, Griffenowie zawsze mieli szczęście, i ułożył obok nieruchomego ciała Molly. Zaciągnął zwłoki w ustronne miejsce, gdzie leżały, dopóki nie wrócił i ich nie zakopał.

Dziesięć lat później, kiedy doktor Griffen zmarł w swoim łóżku, zamożna rodzina McPhersonów kupiła od jego spadkobierców trzydzieści hektarów ziemi uprawnej. Czterdzieści lat później tereny te zostały rozparcelowane i sprzedane trzem innym rodzinom. Joseph Mann ku, pił piętnaści hektarów tuż przy drodze prowadzącej do Goodlands.

Już pod koniec obecnego stulecia rodzina Mannów wyprzedala całą ziemię i przeniosła się w inne okolice. Niewielki domek przy ich dawnej farmie był kolejno zamieszkiwany przez dwie rodziny. A potem wprowadziła się tam Karen Grange i postanowiła wybudować na podwórku altankę.

Zapomniano o Molly aż do czasu, gdy została wreszcie znaleziona.

Nastąpiło to ponad sto lat po jej śmierci. Szczątki Molly wydobyto na światło dzienne tak samo bezceremonialnie, jak zostały zakopane.

Koparka poryła ziemię, skrywającą szczątki Molly O'Hare, i naruszyła ich spokój. Zaraz potem w mieście Goodlands rozpoczęła się niespotykana susza.

Trwało to do czasu, aż w mieście pojawił się przywoływacz deszczu, który posiadał tak wielką energię, że obudził duszę zhańbionej kobiety.

Rozdział 15

Pył osiadł na ziemi jak po zakończonej bijatyce. Ludzie ukryci w swoich domach, które chroniły ich przed wirującymi drobinami, stali w oknach, obserwując, jak powietrze staje się powoli coraz bardziej przejrzyste.

Z początku widzieli jedynie rozmazane plamy, potem, gdy światło słoneczne stawało się z minuty na minutę silniejsze, rozpoznawali znajome kształty. Pył osiadał grubą warstwą na parapetach i dachach. Samochody i ciężarówki zakopane były po osie, chodniki zniknęły zupełnie, podobnie jak drobniejsze obiekty codziennego użytku.

Pył przykrywał podwórka, drogi, domy, ogrody jak śnieg w szklanych kulach, spełniających rolę przycisków na biurko.

Przez pokryte grubą warstwą białego pyłu szyby można było się jedynie domyślać rozmiarów zniszczenia. Psy, koty, wszystkie zwierzęta pozostawione na zewnątrz lub w przewiewnych stajniach czy oborach nie dawały znaków życia. Studnie napełnione były szlamem.

Ludzi ogarnął lęk. Nie wiedzieli tak naprawdę, czego się boją. Nie chodziło o suszę czy ulewne deszcze, do czego zdążyli się już przyzwyczaić, nie wchodziła także w grę żadna inna plaga ze spisu klęsk żywiołowych przewidywanych przez firmy ubezpieczeniowe. To, co się wydarzyło, wykraczało poza ich rozumienie rzeczywistości. Mieszkańcy Goodlands zaczęli się nagle bać własnego miasta.

Podjęli długą i żmudną pracę, aby odkopać wejścia do własnych domów. Zobaczyli na własne oczy, co stało się z ich życiem, a wtedy - jak zawsze robią to ludzie dotknięci nieszczęściem - zaczęli się gromadzić.

Carl Simpson, człowiek, który chyba najbardziej ucieszyłby się, widząc zbierających się mieszkańców Goodlands, nic o tym nie wiedział.

Kierując się cały czas w stronę Parson Road, zrobił już w niezwykle trudnych warunkach spory kawałek drogi, gdy nagle poczuł, że traci siły.

Gdyby poczekał trochę z wyjściem z domu lub gdyby znalazł jakieś schronienie, może udałoby mu się dotrzeć do celu. Ale stało się inaczej. Kurzawa powoli go pokonywała. Carl był śmiertelnie zmęczony i potykał się o własne nogi.

Miał trudności z oddychaniem. Szalik, którym osłaniał usta, lepiał się od szlamu, mieszaniny wilgotnego oddechu i gęstego pyłu. Jego płuca także były tym zatkane.

Ostatni kilometr pokonał wiedziony już chyba tylko siłą woli, jak człowiek, który ma do wypełnienia ważną misję. Wierzył, że musi ocalić rodzinę, swoje miasto, kraj - w takiej właśnie kolejności - i to przeświadczenie dawało mu wprost nadludzką wytrzymałość. Liczył się jednak z tym, że nie dojdzie. W kieszeni miał list, wyjaśniający dokąd i po co szedł.

Zatoczył się na pobocze, tracąc orientację, czy idzie w dobrym kierunku. Dotychczas udawało mu się trzymać środka szosy. Wyczuwał pod stopami twardy asfalt i gdy za bardzo skręcał, miękki grunt pod nogami sygnalizował mu, że zszedł z drogi. Jednak w pewnej chwili zachwiał się mocniej, prawą nogą trafił w pustkę, stracił oparcie i wpadł do przydrożnego rowu.

Jakby znalazł się na lotnych piaskach. Pochłonęły go aż do kolan. Miał wrażenie, że coś ciągnie go w dół, a brakowało mu siły, by się opierać. Postanowił, że odpocznie tu trochę i potem spróbuje się wydostać. Zastygł bez ruchu, wsparty na wydmie utworzonej przez pył, i starał się regularnie oddychać.

Nagle nad jego głową pojawiła się chmura.

Miała podłużny kształt, około dwóch metrów wysokości i niespełna pół metra szerokości. Sunęła jakby niesiona wiatrem, ale jej wygląd się nie zmieniał.

Gdy podплыnęła bliżej, okazało się, że przypomina kobietę. Mała głowa osadzona była na szczupłej szyi, która przechodziła niżej w spadziste ramiona. Ręce kobiety wyciągnięte były na boki, jakby chciała nimi kogoś objąć. Dalej wąska talia i zgrabne biodra. Carl zobaczył ją w ułamku sekundy i choć był protestantem, pomyślał, że ma przed sobą Matkę Boską.

Długa spódnica kobiety-chmury wydymała się na wietrze. Obłok na chwilę zawisł nad Carlem, a potem opadł. Cząsteczki pyłu wypełniły mu usta, nos, gardło, powoli go zadusiły.

Na moment przed śmiercią Carl zobaczył drwiący uśmiech, z którym kobieta-chmura pozbawiała go powietrza.

Zaraz potem zaprzestał walki o życie. Leżał na plecach, zanurzając się wolno w gęsty pył wypełniający rów. Po chwili wyglądał jak niewielkie wzniesienie, podobne do wielu innych w okolicy. Jak kępa traw lub nierówność przy drodze.

Chmura wisiała w powietrzu, potem zafalowała i ruszyła przed siebie. I naprawdę śmiała się, płynąc nad drogą.

Pył zaczynał już osiadać. Henry Barker szedł do Goodlands, zasłaniając twarz wyjętą z samochodu szmatą, która cuchnęła dymem i benzyną.

Uderzyła go panująca wszędzie niezwykła cisza i bezruch.

Kiedy dojeżdżał do granic miasta, wiał przyjemny wiaterek, który sprawiał, że łatwiej było znieść upał. A potem Henry znalazł się w jakiejś piekielnej czeluści. Powietrze było ciężkie i gęste, z trudem mógł oddychać i prawie nic nie widział. Szedł wolno, zasłaniając szczelnie nos i usta gałganem.

Nie uszedł daleko, gdy dobiegło go wołanie o pomoc. Pierwsze z wielu.

Na wysokości farmy Revesette'a szło już z nim dwunastu ludzi, mężczyzn, kobiet i dzieci, kaszlących, krztuszących się i brodzących w pyłe, którego najmniej było na jezdni. Osiadał głównie w przydrożnych rowach, wypełniał je całkiem, zrównywał z poziomem asfaltu. Dopiero gdy ktoś zbaczał z szosy i nogi mu od razu grzęzły po kolana, okazywało się, gdzie jest pobocze.

Ludzie z trudem torowali sobie drogę, walcząc z pyłem i kaszląc bez przerwy. Nie rozmawiali. Nawet dzieci nic nie mówiły, patrząc z przerażeniem na rodziców i świat, który jeszcze wczoraj był zupełnie inny. Henry'emu przypomniały się sceny z telewizji, ukazujące zmaltretowanych, wymęczonych uchodźców z krajów ogarniętych wojną, wędrujących od jednego horroru do drugiego w poszukiwaniu pokoju. Sam nigdy takiej sytuacji nie doświadczył, ale działa się coś równie przerażającego.

Za każdym razem gdy do grupy dołączał ktoś nowy, padało to samo pytanie: „Co się dzieje?” Henry nie umiał odpowiedzieć. Mówił, że

idą do miasta i może tam coś się wyjaśni. Pocieszał, że to już niedaleko. Powinni iść wolno i wzbijać jak najmniej pyłu. Gdy nowi już to usłyszeli, znowu zapadała cisza. Sąsiedzi trzymali się za ręce. Dzieci czepiały się rodziców. Szli zwartą masą.

Spotkali na drodze Dave'a Revesette'a, prowadzącego dwa z czterech dereszki, które ocalały z kurzawy. Były zaprężone do furmanki, wypełnionej dziećmi i starszymi ludźmi. Obok szli ci, którzy mogli poruszać się na własnych nogach. Dave zawiązał koniom na chrapach chustki i zwierzęta wyglądały jak zamaskowani czworonożni bandyci. Potrząsały łbami, krztusząc się i kaszląc jak ludzie.

- Co się stało, Henry? - zapytał Dave, gdy się zrównali.

- Nie mam pojęcia, Dave - odpowiedział szeryf, nie patrząc na niego. - Idziemy do miasta - dodał.

Nie rozmawiali dłużej, gdyż ludzie nerwowo odwracali się w ich stronę, usiłując coś usłyszeć, ale jednocześnie lękając się wieści. Oczy mieli okrągłe ze zdziwienia, a twarze pozbawione wyrazu.

Gdy dotarli do miasta, było ich już sześćdziesięcioro.

Grace i Ed Kushnerowie przyglądali się kurzawie z okien swojego mieszkania nad restauracją. Gdy pył zaczął opadać, zeszli na dół, by otworzyć drzwi. Spodziewali się, że ludzie zaczną się do nich schodzić. Mieszkańcy Goodlands traktowali restaurację jak miejsce spotkań. Kushnerowie zaczęli się przygotowywać do normalnej pracy, ale oboje zdawali sobie sprawę, że wydarzyło się coś nadzwyczajnego. Przyjdą ludzie. I rzeczywiście tak się stało.

Za każdym razem gdy ktoś wchodził, Grace albo Ed krzyczeli, aby zamknąć dokładnie drzwi. Mieli na twarzach papierowe maski, jakich używano przy sianokosach. Przy drzwiach stał wielki karton pełen takich masek. Przyniósł je John Waggles ze sklepu, gdy razem z Chimmy z trudem zdołali przejść na drugą stronę ulicy. Maski, podobnie jak wszystko inne, pokryte już były pyłem, ale jeśli sieje dobrze otrzepało, nadawały się do użytku.

Ed i Grace nie zamiatali pyłu, zgarnęli go tylko w kąt sali. Kushner chciał spryskać podłogę i wtedy okazało się, że nie ma wody. Na ludzi padł strach. Ed i Wagglesowie zaczęli sprawdzać zapasy picia. Na zapleczu znalazły się jakieś butelki z wodą mineralną, coca-colą, kartony z mlekiem, a także całe zgrzewki soków. Okazało się, że jeśli będą oszczędzać, starczy dla wszystkich. Jeśli będą oszczędzać. To właśnie Ed Kushner mówił każdemu, kto prosił o coś do picia.

Zebrali się. A gdy już się rozsiedli, zaczęli rozmawiać. Trudno im to szło. Wszyscy pamiętali słowa Carla Simpsona.

Nikt nie zauważył niedużego obłoczka jasnego pyłu, który płynął wzdłuż granic Goodlands. Nie zauważono go ani w trakcie kurzawy, ani po jej ustaniu. Wyglądał jak zwykła chmurka żeglująca sobie spokojnie, z pozoru donikąd. Nie rzucała cienia, chociaż słońce, może niewyraźne, ale przeświecało przez zasłonę z pyłu. Jej kształt był trudny do określenia - czasami kulisty, czasami owalny, przypominający falę. Kaprys, fantazja.

Przepłynęła przez miasto, ponad głowami ludzi, tulących się do siebie w przerażeniu i zdumieniu. Poruszała się mimo braku wiatru, jakby posiadała własną energię. Nikt nie zauważył, kiedy zniknęła z pola widzenia, kierując się w stronę ostatniego domu na Parson Road.

Henry poszedł skorzystać z telefonu w mieszkaniu Kushnerów, nie chcąc niepokoić ludzi na dole. Aparat nie działał.

Stał pośrodku przytulnego saloniku, który pokryty pyłem przypominał zapomniane muzeum. Pył poruszał się sam z siebie, przykrywając widoczne jeszcze przed chwilą ślady stóp na podłodze. Henry czekał na sygnał połączenia. Na próżno. Słuchawka była niema jak bryła gliny.

Zszedł cicho na dół, przeszedł na drugą stronę ulicy do sklepu Wagglesów. Usiłował stamtąd zadzwonić, ale linia była martwa.

Stał zdezorientowany za ladą, gdy do sklepu wszedł John Waggles. Maską zasłaniała mu twarz. Spojrzał na Henry'ego, który jeszcze trzymał w ręku słuchawkę telefoniczną.

- Nie działa - wymamrotał zza papieru.

Henry pokiwał głową.

- Próbowałeś w restauracji?

Henry znowu przytaknął.

- Dobrze byłoby, gdybyś na razie zachował to dla siebie - powiedział wolno i odłożył słuchawkę na widełki.

Gdyby zaczął jeszcze raz wykრęcać numer, łatwo mógłby się zdradzić przed Johnem, że jego także ogarnęła panika.

John bez zbędnych komentarzy wszedł na zaplecze. Gdy wrócił, dźwigając niewielki, ale ciężki karton, Henry wciąż stał za ladą, niepewny, co robić dalej.

- Pomóc ci? - zapytał.

John potrząsnął głową.

- Rób, co do ciebie należy, Henry.

To zdanie zabrzmiało jak rozkaz. Rób, co do ciebie należy. Ale co zrobić?

Henry wyruszył piechotą, kierując się w stronę jedyne miejsce, gdzie spodziewał się otrzymać odpowiedź. Tajemniczy mężczyzna na Parson Road. Na samą myśl o nim Henry się zachnął. Chciał od czegoś zacząć; w policji czasami pracuje się metodą eliminacji, zaczynając od końca. W tym przypadku byłby to koniec Parson Road.

Kurzawa już ustalała, ale wciąż coś się działo w powietrzu. I nie chodziło tylko o pył, który osiadł na ziemi i unosił się delikatnie, gdy Henry przechodził. W powietrzu pachniało siarką, tak jak przed potężną burzą. Jak po wyładowaniu elektrycznym, gdy uderzył piorun. Henry nie zauważył oznak zbliżania się burzy, ale czekał na nią z nadzieją. Może w Goodlands znowu spadnie deszcz.

Wzdłuż drogi pojawiały się co jakiś czas różne wzniesienia i kopczyki, przykryte warstwą pyłu, o trudnych do określenia kształtach. W słabym świetle dziennym, jakby przefiltrowanym przez cienką zasłonę, wszystkie wyglądały bardzo tajemniczo i Henry nie był pewien, czy dobrze rozpoznaje to, na co patrzy. Mijał domy, w których otwarte na oścież drzwi wyglądały jak czeluście, a zasypane białym pyłem okna jak oczy ślepeca. Pył ujednoczył wszystko, pozbawiając okolicę naturalnych barw i powlekając brudnawym nalotem. Świat wyglądał niczym martwy, od dawna martwy. Obraz świata duchów. Bezruch, puste domy ze ślepyimi oknami, zapach siarki w powietrzu. Henry czuł, jak po plecach przebiegają mu dreszcze.

Skreślił na Parson Road i natychmiast zauważył rozpadlinę w jezdni, o której słyszał przed ulewą. Była olbrzymia.

Po obu stronach drogi wznosiły się zasy pyłu, dzięki czemu środek szosy wyglądał niczym rów. Rozpadlina ciągnęła się jak okiem sięgnąć. Henry szedł ostrożnie wzdłuż jej krawędzi. Łatwo można było tam wpaść i zniknąć na zawsze. Siła grawitacji ciągnęła go w dół, pył atakował, napełniał usta, nozdrza, zatykał pory, wpadał do oczu. Henry z trudem oddychał, dławił się pyłem... Serce szamotało mu się w piersiach.

Odnalazł wzrokiem linię horyzontu, znak, że świat jeszcze nie całkiem oszalał. Masując ostrożnie powieki, usiłował usunąć zebrany pod nimi piaskowy pył.

Gdy ponownie otworzył oczy, po jednej stronie drogi zauważył podłużne wzniesienie, przysypane jak wszystko wokół jasnym pyłem. Zwrócił na nie uwagę, traktując jako punkt orientacyjny.

Pył natychmiast zasypywał ślady stóp. Henry czuł, że w powietrzu zachodzą jakieś zmiany. Zauważył, że im dłużej szedł Parson Road, tym silniejszy wiał wiatr. Pojawił się nagle, nie wiadomo skąd. Henry obejrzał się, usiłując dojrzeć coś z tyłu, ale powietrze było już gęste od drobiny piasku. Za sobą i wokół widział wirujący pył. A ku przodowi było znacznie gorzej.

Postanowił podejść bliżej podłużnego wzniesienia. Coś go ciągnęło w stronę tajemniczego kształtu na skraju drogi. Gdy już je minie, wypatrzy coś innego, służącego za oparcie dla oka. Już teraz widział przed sobą na drodze pionowy kształt, wystający spod warstwy pyłu. Może to skrzynka na listy. Nie miał pewności, bo odległość była duża. Gdy minie ten wzgórek, będzie się kierował na skrzynkę pocztową. Później znajdzie jeszcze coś i już niedługo powinien dotrzeć do domu Karen Grange.

Z trudem torował sobie drogę do kopczyka, rozmyślając, co znajduje się pod warstwą pyłu. Za małe na maszynę, za duże na rzecz wyrzuconą przez okno samochodu, kształt na tyle dziwny, by...

Przyjrzał się dokładniej i nagle zrozumiał. Kształt przypominał coś dziwnie znajomego. Henry poczuł, jak włosy jeżą mu się na głowie, a po skórze przebiegają ciarki. Przypomniała mu się Vida Whalley, nie jako żywa dziewczyna, ale spoczywające pod kocem ciało, martwe, nieruchome. Henry już wiedział, co się znajduje pod warstwą pyłu.

Przykucnął. Chciał przyjrzeć się temu najpierw z pewnej odległości.

- Chryste Panie! - wymamrotał z trudem i wstał.

Niechętnie postąpił jeszcze dwa kroki do przodu.

Kopczyk był długi na niespełna dwa metry. Pył szczelnie zakrył wszystko, ale Henry domyślił się, że jego najwęższy fragment to bez wątpienia ręka. Ktoś prawdopodobnie usiłował dotrzeć do sąsiada, poszukując bezpiecznej przystani.

Henry wyciągnął dłoń i dotknął kopczyka.

Wiedział, jak rozpoznać śmierć. Znał charakterystyczną sztywność, która pojawia się jeszcze przed *rigor mortis*. Od razu wiadomo, że dotyka się trupa.

Jego ręka przebiła się przez warstwę pyłu i poczuł zimne, stężałe ciało. Chwycił za kawałek materiału. Pociągnął. Pył osypał się, odsłaniając

palce. Ciało leżącego tam człowieka przybrało kolor kurzawy i wyglądało, jakby było z niej uformowane. Piaskowa rzeźba. Henry nie mógł powstrzymać nudności. Zrobił kilka chwiejnych kroków i wymiotował.

Po chwili wrócił do leżącego, zaczął go odkopywać. Niebieska bluza. Okulary ochronne, tak zakurzone, że nie widać było przez nie oczu. Szalik zasłaniający usta. Najwyraźniej był dobrze przygotowany na spotkanie z kurzawą, pomyślał Henry. Wyglądał, jakby wybierał się w długą drogę, niekoniecznie do domu najbliższego sąsiada.

Henry uniósł jego rękę i zauważył zegarek, niedrogą imitację złotego chronometru. Gdy odgarnął z tarczy pył, zobaczył, że szkiełko jest pęknięte.

„I wtedy skurczybyk mnie kopnął”. Przed oczami Henry'ego pojawiła się znajoma, uśmiechnięta twarz. „Mógł mi złamać rękę w nadgarstku, ale na szczęście trafił w zegarek”. Tak kilka tygodni temu Carl Simpson opowiadał swoją przygodę z koniem.

Serce na chwilę zamarło Henry'emu w piersi. Szybkim ruchem ściągnął leżącemu okulary. Gdy wiatr zwał z jego twarzy resztę pyłu, Henry zobaczył nieruchome, znajome niebieskie oczy.

- Carl - wyszeptał i głos uwiązał mu w gardle.

Delikatnie opuścił ramię Carla na ziemię. Potrząsnął głową. Nie łączyła ich wprawdzie bliska przyjaźń, ale znali się od dziecka. Henry poczuł się odpowiedzialny za jego śmierć. Nie zdołał go powstrzymać, choć wiedział, że popada w szaleństwo.

Przez chwilę stał nachylony nad ciałem Carla, jakby zamierzał sprawdzić mu puls. Pył wirował lekko w powietrzu, osiadając wokół szeroko otwartych martwych oczu.

Henry zamknął Carlowi powieki. Nic więcej nie mógł teraz dla niego zrobić. Nie mógł nawet zadzwonić po ambulans.

- Wybacz, przyjacielu, ale muszę cię tu zostawić - powiedział głośno. - Nic na to nie poradzę.

Cofnął się kilka kroków, aż poczuł pod stopami twardy asfalt. Spojrzał jeszcze raz na zwłoki Carla, wrócił i zasypał ciało pyłem. Dopiero potem ruszył w dalszą drogę. Uspokajał się w duchu, że z pewnością dopilnuje, by Carl został potraktowany z największym szacunkiem. Dostrzegł w wirującym pyłe jakiś kształt. To z pewnością była skrzynka na listy Karen Grange, stała bliżej, niż mu się wydawało. Spodziewał się, że przyjaciel Karen, przywoływacz deszczu, będzie w jej domu. Jeśli ma z tym coś wspólnego - z kurzawą i deszczem -

musi odpowiedzieć na kilka pytań. Albo przynajmniej położyć kres temu, co się tu dzieje. Henry poczuł się głupio, że daje wiarę tym zabobonom, ale jednocześnie wierzył, że ma rację, że jest już blisko rozwiązania zagadki.

Tom i Karen w napięciu czekali, aż kurzawa ustanie. Nie rozmawiali ze sobą. W zachowaniu Toma nastąpiła zauważalna zmiana, mająca zapewne związek z tym, co zamierzał zrobić. Karen z góry godziła się na wszystko. Powiedziała przecież, że go kocha.

Tom krążył po domu, przechodząc od okna do okna, a gdy obszedł wszystkie, zaczynał przegląd od początku. Zachowywał się tak, jakby coś obliczał, mierzył zewnętrzny świat na jakiejś mentalnej wadze i porównywał ze swoimi możliwościami.

Karen siedziała przy oknie i usiłowała zobaczyć to, czemu on się przyglądał. Czowała, że bardzo się od niej oddalił. Był sam w swoim świecie.

Gdy kurzawa ustała na tyle, że widać było skrzynkę pocztową na końcu podjazdu, Tom bez słowa wyszedł z domu. Przy drzwiach zatrzymał się na moment, spojrzał na Karen. Uśmiechnął się lekko i kiwnął głową. W następnej chwili był już niewyraźną sylwetką poruszającą się we mgle.

Karen została sama. Przez okno obserwowała, jak Tom krąży po podwórku, tak jak wcześniej po domu. Co chwila zatrzymywał się, nasłuchiwał, kucał, pochylał się, jakby wąchał ziemię. Zaczął krążyć wokół altanki, jakby czegoś tam szukał, coraz to spoglądając w niebo. Jego zachowanie nie było dla Karen niczym nowym. Domyślała się, że Tom tropi deszcz.

Całą uwagę skierowała na to, co dzieje się za oknem. Nie usłyszała szmeru piasku, wsuwającego się przez szparę pod drzwiami. Nie poczuła też nieznacznego ruchu powietrza, który popychał piaskowy pył to tu, to tam po podłodze. Nagle w salonie zerwał się wiatr. Chmura pyłu płynęła po domu, jakby czegoś szukając.

Kiedy Karen poczuła, że na plecach osiada jej gęsty pył, wsiąkając natychmiast w głąb ciała, było już za późno.

Została pokonana.

Tom natychmiast zdał sobie sprawę, że na zewnątrz wszystko jest bardziej jasne, bardziej zrozumiałe. Doskonale pojmował naturę powietrza i ziemi, tego żyjącego, oddychającego organizmu. Wibracja,

którą od przybycia do tego miasta czuł pod stopami, teraz się nasiliła. Szukał miejsca, gdzie była najwyraźniejsza. Miejsca, którego przez długi czas unikał.

Stał na podwórku na tyłach domu, na wschód od altanki. Pseudogotycka konstrukcja zakopana była w pyłe aż po słupki. Odwrócił się do niej plecami.

Poczuł, że nagle zniknęło jego zmęczenie. Spod stóp wypływała fala podziemnej energii. Wibracja. Zamknął oczy i rozpoczął poszukiwanie deszczu. Nie zdziwiło go, że bez trudu znalazł.

Był tuż obok, odgradzony niewidzialną zasłoną. Czekał na niego. Tom mógł go dotknąć przez skorupę nieba. Wyczuwał jednak, że nad Goodlands znajduje się jakaś powłoka, coś, co nie pozwalało mu się stąd ruszyć i nie dopuszczało tu deszczu. Stał na podwórku, poddając się podziemnej wibracji.

Nagle nastąpiło wyładowanie elektryczne. Tom poczuł, jak przeniika go od stóp do czubka głowy, niemal widział je w słabym świetle dnia. W jednej sekundzie poczuł w sobie wszystko: każdą cząsteczkę nieba, każde źdźbło trawy, całą energię ziemi. To wszystko mógł teraz wziąć.

Poczuł lęk. Ale jeszcze bardziej pragnął wiedzieć.

Popatrzył jeszcze w stronę domu, w stronę Karen. Zajrzał przez czarne okno w kuchni, ale jej nie zobaczył. Nie wiedział, czy go obserwuje. Nie wiedział, czy tym razem też w niego wierzy. I czy ufa, że potrafi zatrzymać żywioł. Potrafiłby. I zrobi to. Dla niej i dla siebie.

Odpowie na wyzwanie. W tym mieście było coś, z czym powinien się zmierzyć. Miał wrażenie, że to coś chciało, aby właśnie on stanął z nim w szranki. Pragnął skończyć z tym, zwyciężyć nieznaną. Zrozumiał wreszcie, dlaczego był przywoływaczem deszczu.

Wyżej niebo wyglądało paskudnie. Ponad cienką zasłoną pyłu, która przykrywała Goodlands, zbierała się burza, jakby ona także przygotowywała się do walki.

Tom wyciągnął ręce ku górze.

Rozdział 16

Henry przeszedł około pięćdziesięciu kroków od miejsca, gdzie zostawił ciało Carla, gdy zorientował się, że nie widzi skrzynki pocztowej przy domu Karen. A przecież jeszcze przed chwilą służyła mu jako punkt orientacyjny. Teraz zniknęła.

Zdezorientowany rozejrzał się, próbując ustalić swoje położenie. Czy to możliwe, że aż tak bardzo zboczył z drogi? Z tyłu za nim leżało ciało Carla, a więc nie zablądził. Jednak domu Karen Grange nie było tam, gdzie powinien był się znajdować. Po prostu zniknął, jakby zapadł się pod ziemię. Już po chwili Henry zrozumiał, co się stało.

Kurzawa, która ustała już w innych częściach Goodlands, zaczynała teraz swój dziki taniec na końcu Parson Road. Dookoła domu Karen unosił się słup wirującego szaleńczo pyłu.

To po prostu niewiarygodne!

Henry przeraził się. Wiedział jednak, że musi tam pójść. Teraz tym bardziej powinien porozmawiać z Karen i jej przyjacielem. Czuł w żołądku rozżarzony węgiel i chciał wierzyć, że to tylko objaw jego policyjnej intuicji. Reakcja na niespotykane dowody pośrednie.

Wprawdzie gdy tak patrzył w stronę, gdzie powinien się znajdować dom Karen, i widział w tym miejscu ścianę wirującego pyłu, palenie w żołądku, znak zawodowej intuicji, równie dobrze mogłoby być wzięte za objaw strachu. Stawianie czoła nieznanemu jest świętym obowiązkiem policjanta, nieważne czy zdarza się to w podejrzanych dzielnicach wielkomiejskich, czy na spokojnych wiejskich drogach wokół Goodlands. Zło nie śpi.

Henry obserwował kłębiący się pył z bezpiecznej odległości. Tak naprawdę nie było żadnego powodu, żeby iść tam akurat teraz. Czuł jednak, że musi to zrobić. Coś przyciągało go do tego miejsca z niemal magnetyczną siłą. Jeśli w Goodlands pojawiły się siły zła, to właśnie tutaj.

Krok za krokiem ruszył ostrożnie w stronę domu Karen Grange.

Gdy podszedł bliżej, kurzawa była już tak silna, że musiał zasłonić nos i usta chusteczką. Pył wzbijał się w górę i opadał w gwałtownych, porywistych podmuchach. Henry uchwycił się skrzynki na listy, szczęśliwy, że napotkał w środku tej nierealnej burzy piaskowej coś konkretnego i materialnego. Pył unoszący się nad ziemią był tak gęsty, że dom Karen nawet z bliska wydawał się niewyraźnie cieniem. Henry bał się tam iść. To była pewna śmierć. Wiatr szarpał mu ubranie, wydymał koszulę. Pył docierał wszędzie i Henry miał wrażenie, że przez skórę przenika także do wnętrza jego ciała. Oni z pewnością już nie żyją. Nikt nie przeżyłby w oku cyklonu. Dom, jeśli w ogóle jeszcze stoi, zostanie wkrótce zmieciony z powierzchni ziemi. Iść tam to czyście szaleństwo.

Henry parł jednak wciąż do przodu z zamkniętymi oczami i głową schowaną w ramionach. Szedł po omacku, odtwarzając drogę z pamięci.

Uszy miał zatkałe pyłem. Wszystkie dźwięki docierały do niego jak odległe echo zawodzącego wiatru. Brnął przez podwórko, z trudem stawiając stopy, które grzęzły w miękkich zaspach. Potykał się, aż wreszcie w pół kroku natrafił nogą na coś twardego. Ganek. Dopiero za drugim razem udało mu się chwycić za poręcz, ale jego dłoń ześlizgnęła się z wypolerowanego drewna pokrytego warstwą kurzu. Upadł na schody. Podniósł się z trudem, żałując, że nie jest dwadzieścia kilogramów lżejszy i tyleż lat młodszy. Jego serce pracowało jak szalone, a płuca błagały o łyk świeżego, czystego powietrza.

Z zaciśniętymi ustami, powstrzymując oddech, szedł po schodach. Obiema dłońmi chwycił się poręczy i powoli przesuwał je w górę. Musiał odnaleźć drzwi. W środku domu na pewno łatwiej będzie odychać.

Z trudem pokonał cztery stopnie. Macał ścianę tak długo, aż poczuł wnękę na drzwi. Znalazł klamkę, nacisnął.

Wpadł do środka, z całej siły pchnął plecami drzwi i zatrzasnął je za sobą.

Przez chwilę odpoczywał, oddychając z trudem i próbując pozbierać myśli.

Czuł się tu dużo bezpieczniej niż na zewnątrz, gdzie panowała śmierć. Stał w przedpokoju, rozkoszując się zdatnym do oddychania powietrzem. Kręciło mu się w głowie. Wolno, bardzo wolno jego serce wracało do normalnego rytmu.

Nie szumiał już wiatr, dom wydawał się zadziwiająco cichy. Słychać było tylko monotony szelest - to piasek osypywał się na szyby. Henry stał na drżących nogach, nie mógł zrobić ani kroku.

Musisz wziąć się w garść, Barker, pomyślał.

Przyzwyczał się już do panującego w domu półmroku. Przeraziła go jednak cisza. Miał wrażenie, że poza nim nikogo w środku nie ma. W kącie pokoju zauważył zarys stołu. Przez okno wpadało nieco światła, w którym widać było leniwie wirujące drobiny pyłu. Dalej stała kanapa i komoda. Jaśniejszy czworokąt na ścianie to przejście do kuchni.

W całym domu panował bezruch.

Oni nie żyją. Jeśli Karen Grange znajduje się tutaj, z pewnością jest martwa. Jej dom był przecież w oku cyklonu.

- Jest tu ktoś?! - zawołał półgłosem.

Co chciał sobie udowodnić? Dom był pusty. Co zamierzał zrobić? Jestem szeryfem! W imieniu prawa domagam się, aby te nonsensy natychmiast ustały!

- Jest tu ktoś? - zapytał jeszcze raz.

Głos ugrzął mu w gardle, bo nagle zauważył jakiś cień. W przejściu do kuchni zamajaczył kobiecy kształt. Henry wstrzymał oddech.

- Karen! - zawołał z ulgą. - Myślałem, że...

- Przykro mi - usłyszał wolno wypowiedane słowa - ale Karen Grange nie może teraz podejść.

Cień uniósł rękę.

- Z prochu powstałeś... - zaskrzeczał.

Jakaś nieziemską siłą odrzuciła Henry'ego w bok. Uderzył brzuchem o coś twardego i ostrego. Wydał z siebie przeciągły jęk. Na moment coś go oślepiło, a potem nic już nie widział.

- I w proch się obrócisz - dokończył cień.

- Skończyło się - oznajmił stojący przy oknie Jeb.

Właściwie nie musiał nawet tego mówić, gdyż wszyscy z napięciem wpatrywali się w okna. Ci, dla których nie starczyło miejsca przy witrzynach, tłoczyli się za plecami innych.

Ludzie wypełniali szczelnie restaurację Kushnerów i sklep Wagglesów po drugiej stronie ulicy. Wielu zgromadziło się też w urzędzie miejskim. Pozostali mieszkańcy Goodlands siedzieli zamknięci albo w swoich domach, albo w samochodach, ci zaś, którzy pozostali na zewnątrz, byli już martwi.

Kurzawa osłabła i dość szybko całkiem ustała. Zamglone światło słoneczne sprawiało, że pył wyglądał jak śnieg. Niektórzy ludzie nawet mówili, że w środku czerwca spadł śnieg. Łatwiej było zaakceptować śnieżycę w lecie niż cyklon.

W restauracji trudno było oddychać, tłoczyło się tam ponad osiemdziesiąt osób. Małe dzieci płakały i kręciły się niecierpliwie, starsze zaś milczały, przepelnione strachem, który potęgował się jeszcze, gdy patrzyły na blade, nieruchome twarze rodziców. Dorosli uciszali je, gdy próbowały o coś zapytać. Słychać było tylko przytłumione szepty, jedne załęcznione, inne uspokajające, że to musi się niedługo skończyć.

- Wychodzę, nie wytrzymam tego dłużej - powiedział Bart.

Zaczął przepychać się w stronę drzwi, wznecając tym poruszenie wśród zgromadzonych. Niemal wszyscy naraz chcieli wyjść. Tylko kilka osób było zbyt przerażonych, aby ruszyć się z miejsca. Drzwi otworzyły się gwałtownie i tłum wypadł na ulicę, gdzie powietrze znowu było czyste. Burza piaskowa ucichła, jedynie stopy biegnących ludzi wzbijały w górę kłęby pyłu.

To samo działo się po drugiej stronie ulicy, przed sklepem. Ludzie gromadzili się na głównej ulicy miasta, zupełnie tak samo jak kilkanaście godzin wcześniej. Wtedy radowali się wspólnie, upajali szczęściem. Wczorajszy dzień wydawał się już zamierzchlą przeszłością.

Rodziny, sąsiedzi i przyjaciele skupiali się w małe grupki. Co powinni teraz zrobić? Przekazywano sobie różne informacje: że telefony nie działają, że nie ma wody. Ludzie głośno dyskutowali. Niektórzy uważali, że należy natychmiast posłać kogoś do Oxburga, najbliższego miasta, lub zadzwonić po pomoc z telefonu na stacji benzynowej. Zgłaszano przypadki zaginięcia bliskich i znajomych. Ktoś powinien zorganizować akcję ratunkową, należało obejść wszystkie domy i sprawdzić, czy nie schronili się gdzieś Beth, Teddy, Joe, Alice, Jim, Carl i jeszcze kilkoro innych.

Leonard Franklin wszedł na ławkę przed sklepem i zagwizdał na palcach. Ludzie uciszyli się i spojrzeli w jego stronę, a na ich twarzach

pojawił się wyraz ulgi, że wreszcie ktoś weźmie sprawy w swoje ręce. Leonard cieszył się w mieście olbrzymim szacunkiem i ludzie chcieli usłyszeć, co ma im do powiedzenia.

- Najważniejsze jest to, żebyśmy się nie rozchodzili. Niech wszyscy zostaną tu, gdzie są. Słyszycie mnie? Nie wracajcie do domów!

Tu jesteśmy bezpieczniejsi. Telefony nie działają, nie ma prądu, ale musimy zachować spokój. Samochody nie nadają się do użytku, silniki zostały zasypane pyłem. Wszystkie sprawy musicie załatwiać na piechotę.

Ludzie zaczęli szemrać, pełni obaw.

- Nie wpadajcie w panikę! - zawołał Leonard. - Poradzimy sobie, ale panika nam nie pomoże.

Nie chciał wymieniać nazwisk zaginionych, aby jeszcze bardziej nie przygnębiać ludzi.

- Wiem o przypadkach zaginięcia, lecz jeśli te osoby przeczekały burzę w zamkniętych pomieszczeniach, z pewnością nic się im nie stało. - Leonard sam pragnąłby mocniej w to wierzyć. - Musimy trzymać się razem. Mamy wodę, której brakuje w naszych domach. Dlatego uważam, że tu jest bezpieczniej niż...

Nie dokończył zdania. Rozległ się potężny grzmot, aż zadrżała ziemia.

Po chwili absolutnego milczenia ludzie zaczęli histerycznie krzyczeć. Wszyscy odwrócili się w stronę, skąd słychać było grzmot. Niebo na zachodzie przybrało ciemną barwę. Daleko na horyzoncie coś się poruszało.

Były to czarne chmury. Sunęły szybko, przypominając olbrzymie stado nietoperzy. Zasłoniły słońce. Niespodziewanie, w środku dnia zapanowały w Goodlands kompletne ciemności.

Tom był tak bardzo skoncentrowany, że nawet nie zauważył, kiedy po raz drugi tego dnia nadeszła nad miasto burza i nad jego głową rozpętało się piekło. W spiekocie letniego dnia jego ciało było suche jak powietrze wokół. Uniósł twarz, patrząc w górę, w światło, przekraczając niewidzialną granicę między Goodlands a niebiosami. Poza tą granicą, tak blisko, że mógł jej niemal dotknąć, zbierała się inna burza. Czuł, jak tuż za ścianą, która nie przepuszczała do Goodlands ani kropli deszczu, gromadzi się potężna porcja elektryczności.

Oczy miał zamknięte, co pomagało mu się skupić, i chociaż nogami stał mocno na ziemi, unosił się wysoko w górze. Nagle usłyszał, że

ktoś woła go po imieniu. Głos dobiegał z bliska i był bardzo cichy.

Szept krążył wokół, przeszkadzając mu w koncentracji. Tom zauważył zdumiony, że wołanie nie dobiega z zewnątrz, ale rodzi się w jego głowie, natrętne, ciągłe.

Nagle się odwrócił, zupełnie wbrew woli.

Natarczywy, kobiecy głos odciągał go, odrywał od pracy. W powietrzu unosił się gęsty pył. Tom nic nie widział. Zmrużył oczy, a potem zamrugał. Miał ochotę odpędzić tę natrętną muchę. Tak, natrętną muchę.

Z kurzawy wyłonił się nagle jakiś kształt. Kobieta.

Karen?

Sunęła w jego stronę, jakby unosiła się w powietrzu. Jej włosy i ubranie falowały lekko. Istota, która zawładnęła Karen, nie znalazła w niej pokładów nienawiści czy złości, nic mrocznego, brzydkiego. A więc sprawiła, że Karen olśniewała ponadczasową pięknnością.

Tom nie mógł od niej oderwać oczu. Usta Karen były pąsowe jak róża, miękkie i wilgotne, rozchylone w lekkim uśmiechu. Uśmiechu obiecującym ciemną i wilgotną rozkosz. Policzki miała lekko zarumienione, czarne jak smoła włosy podkreślały biel jej czoła. Suknia falowała w rytm jej kroków, a przez delikatny materiał widać było nagie ciało i nabrzmiałe, ciemne sutki. Karen wyglądała jak cudne zjawisko.

- Tom - wyszeptła.

Ten głos odbijał się echem w jego głowie, działał hipnotyzująco, podniecał.

Tom stał jak wmurowany. Wyciągnął ramiona. W głowie czuł pustkę, zdolny był myśleć tylko o kobiecie, którą widział przed sobą.

Uśmiechnęła się szeroko i przylgnęła do niego całym ciałem. Zaczął ją całować. Usta miała ciepłe, wilgotne i miękkie. Obejmował ją i pieścił, już prawie nie pamiętał o deszczu.

Przywarł do jej ust, tonąc w nich i w wilgoci jej ciała. Była miękka, uległa, chętna. Jego podniecenie sięgnęło szczytu. Karen pochłaniała go ustami, Tom czuł, że roztopia się w niej, znika.

Nagle tuż nad nim, niby ostrzeżenie, rozległ się grzmot. Tom oprzytomniał. Chciał unieść w górę głowę, ale nie mógł.

Spróbował się uwolnić z uścisku Karen, lecz jej ramiona trzymały go kurczowo.

Nie mógł złapać tchu. Spojrzał Karen w oczy.

To nie były jej oczy.

Twarz była jej, nawet jakby słodsza w wyrazie, ale na pewno jej, jednocześnie podobna i niepodobna. Udało mu się trochę odsunąć i nagle poczuł, że jej ciało zmienia się, robi się lodowato zimne. Ogarnęło go nagle obrzydzenie, jakby trzymał w ramionach worek ze szczurami. Wyczuwał jej puls, oddech, ale wszystko to wydało mu się fałszywe, przerażające.

Wtedy Karen się zaśmiała. Złośliwie, szyderczo. Tom jeszcze raz spróbował się wyswobodzić. Oczy Karen były puste, twarz wykrzywił jej straszny grymas. Jedyne śmiech wskazywał, że jest żywą istotą.

- Karen! - zawołał.

- Karen! - odkrzyknął bezsensownie głos, jaki wydobył się pomiędzy jej warg. - Karen! - powtórzył raz jeszcze.

Tom zatoczył się do tyłu. Przez głowę przelatywały mu setki myśli, w uszach brzmiał głos, który nie należał do Karen, chociaż wydobywał się z jej ust.

- Co ci się stało?! - zawołał, cofając się na chwiejnych nogach.

Zataczał się w wirującym wokół, coraz bardziej gęstym pyle. Kasłał.

- Karen jest tutaj, razem ze mną. Grozi jej niebezpieczeństwo - powiedział głos z szyderczo brzmiącą troską.

- Co takiego? Co ci się stało?

- Muszę cię natychmiast zatrzymać. - Karen znowu ruszyła w jego stronę.

W górze zagrzmiało i błysnęło. Niebo zrobiło się nagle atramentowo czarne. W jednej chwili zapadł zmrok. Karen z wściekłością rzuciła się na całkowicie zaskoczonego Toma.

I wtedy zatrzęsła się ziemia. Rozpadlina, która powstała na Parson Road, powiększyła się, jezdnia popękała także w innych miejscach, a jedno z jej ramion sięgnęło do podjazdu przy domu Karen. Szczelina wydłużała się, w okamgnieniu dochodząc do miejsca, gdzie stali Karen i Tom. Ziemia rozstąpiła im się dosłownie pod nogami.

Tom odepchnął Karen z całej siły. Niebo przeszła błyskawica i rozświetliła na ułamek sekundy podwórko. W ziemi pojawiła się długa, głęboka szczelina. Karen leżała po jej drugiej stronie.

Tom pierwszy to poczuł.

- Deszcz! Nadchodzi! - zawołał, wznosząc oczy ku niebu.

Fruwający w powietrzu pył nasiąkał szybko wilgocią.

Ziemia, która ich rozdzieliła, pękała dalej. Szczelina miała już metr szerokości, a huk, z jakim się otwierała, zagłuszał odgłosy toczącej się w niebie walki. Błyskawice regularnie rozświetlały plac boju, chociaż niebo wciąż było zamknięte.

Tom oderwał wzrok od leżącej kobiety. Wrócił do nieba czując, że ma coraz mniej czasu.

Zgromadzili latarki, lampy naftowe i pochodnie. Następnie zaczęli się zastanawiać, kto pójdzie. Okazało się, że chcieli iść prawie wszyscy.

Pamiętali, co Carl Simpson mówił o posiadłości Karen Grange, jak ostrzegwał ich, że dzieje się tam coś podejrzanego. Postanowili to sprawdzić.

Naradziwszy się, co robić dalej, rozeszli się w poszukiwaniu broni. Przeszukali sklep Wagglesów, restaurację Eda, garaż Barta i znaleźli cztery pistolety. Grace Kushner przypominało to scenę z horroru, w którym mieszkańcy wioski szykują się do ataku na zamek. To skojarzenie przyprawiło ją o atak histerycznego śmiechu. Potem czuła się winna, jakby popełniła jakiś haniebny czyn. Tego dnia w ogóle natchodziło ją wiele osobistych refleksji. Nie wiadomo dlaczego, od samego rana prześladowało ją poczucie winy, a kiedy rozpętała się burza, miała głupie wrażenie, że jest osobiście odpowiedzialna za to, co dzieje się w niebie. Wiedziała, że to bzdury, ale nie potrafiła pozbyć się tego uczucia.

- Nie chcemy nikogo skrzywdzić! - zawołał Jeb do tłumu mieszkańców Goodlands, wchodząc na ławkę przed pomnikiem. - Chcemy tylko porozmawiać z kimś stamtąd. Chcemy usłyszeć odpowiedzi na kilka pytań, to wszystko. I nikt nie powinien przy tym ucierpieć, rozumiemy się? - powtórzył stanowczo.

Dobiegł go niewyraźny pomruk akceptacji, ale jednocześnie ludzie gniewnie wzniesli w górę kije baseballowe, grabie i łopaty, co zadawało kłam ich obietnicy.

- Trzymajmy się razem! - zawołał Jeb.

Spojrzał na nich poważnie, chcąc natchnąć ich spokojem. Doskonale wiedział, że kiedy wmiesza się w tłum i stanie się jedną z wielu anonimowych osób, z pewnością nie zapobiegnie przemocy.

- Idziemy w stronę banku, a potem na Parson Road! Ja z nimi porozmawiam. Chodźmy! - Jeb zeskoczył z ławki, trzymając strzelbę tak, jak uczył go ojciec czterdzieści lat temu. Stał na czele rozgoryczowanego tłumu i ruszyli. Na zachód, skąd nadeszła burza.

Henry otworzył oczy. W uszach mu huczało. Powoli odzyskiwał świadomość i rozglądał się wokół, szukając śladów krwi. Nie był jednak ranny.

Próbował potrząsnąć głową, ale bolała go tak bardzo, że ledwo mógł nią ruszać. Po chwili przypominał sobie, co się stało.

Karen Grange. W przejściu między pokojem i kuchnią. Uderzyła mnie.

Tylko że jak pamiętał, nie podeszła do niego. Musiało go ogłuszyć coś innego. Albo ktoś inny. Prawdopodobnie jej przyjaciel, ukryty w kącie pokoju.

Henry udawał, że w dalszym ciągu jest nieprzytomny. Nasłuchiwał, ale słyszał tylko zawrozenie wiatru za oknami i delikatne stukanie piasku o szyby. W domu było ciemno. Nagle rozległ się potężny grzmot, a zaraz potem oślepijąco błysnęło.

Henry zerwał się na równe nogi.

W oddali słychać było groźne pomruki nadchodzącej burzy. Czy powiedzą o tym w prognozie pogody? Goodlands odwiedziły niespotykane burze, czy coś takiego. Jak to mówią dzieci? Niespodziewajki. Henry uśmiechnął się w duchu.

Przez kilka minut zmagał się z zawrotami głowy. Próbował stanąć pewniej na nogach, ale zabrakło mu sił. Spróbował jeszcze raz. Wiedział, że musi wyjść z domu, musi stąd uciekać.

Zataczając się, zrobił krok do przodu. Szedł jak ślepiec, macając przed sobą rękami. Uchwycił się stołu. Prawdopodobnie walnął o niego głową, padając na podłogę.

Mam pewnie do cholery i trochę siniaków. Lilly pomyśli, że się z kimś biłem.

Po kilku niepewnych krokach Henry ukucnął, chowając się za przewróconym krzesłem.

Znowu nasłuchiwał. Cisza. Pokój był pusty i ciemny. Henry wolno ruszył do przodu, starając się nie robić hałasu.

Ta kobieta uderzyła go, nie zbliżając się nawet. Ale przecież to niemożliwe. Musiał tu być także ten facet, tylko Henry go po prostu nie widział... „Więcej jest rzeczy na ziemi i w niebie...” - przypomniał sobie znowu prześladowający go cytat.

I drugi: „Kto zwycięża mocą, ten pokonał wroga w połowie”.

- Mocno mnie zdzielił - wymamrotał Henry do siebie.

Wciąż schylony, przykucnięty, przeszedł przez cały pokój i znalazł się w kuchni, gdzie było trochę jaśniej. Widział zarysy stołu i krzesel,

a także drzwi na podwórko. Takie ciemności w środku dnia. W czerwcu. Toż to się nadaje do książek!

W głowie wciąż mu szumiało. Do cholery, zarobiłem nie tylko siniaki. Będzie mnie jeszcze bolał łeb.

W kuchni także nikogo nie było. Henry otworzył drzwi. Od razu poczuł różnicę. Powietrze miało inny zapach.

Było wilgotne, jak przed burzą.

Karen uderzyła tak mocno głową o ziemię, że straciła przytomność. Władająca nią siła kazała jej wstać.

Jakkolwiek istota ta mogła zaszkodzić Karen, okazało się, że nie jest w stanie skrzywdzić przywoływacza deszczu. Gdy próbowała go powstrzymać w sposób, w jaki udawało jej się to z innymi, natrafiła na mur nie do przebiccia. Sprowadziła więc kurzawę, która szalała wokół tego domu, wokół miejsca, z którym łączyły ją tragiczne wspomnienia, jej ostatnie wspomnienia. Wiatr z wolna jednak ustawał. Myśli Karen były ukryte głęboko, zakopane w jej podświadomości. Obca istota ich nie słuchała. W tym momencie Karen nie była ważna. Ważny był przywoływacz deszczu.

W powietrzu nastąpiła kolejna zmiana. Pył opadał. Miał specyficzny zapach.

Na tle nieba rysowała się sylwetka przywoływacza deszczu. Stał samotnie, z rękami wyciągniętymi w górę. To prawda, nie mogła go dotknąć, ale miała przecież kobietę.

Istota wewnątrz Karen zmusiła ją do chwiejnych, niepewnych ruchów. Karen stała, słaniając się na nogach i chyląc się co chwila ku ziemi. Szukała wzrokiem Toma.

Deszcz wciąż tam był, czekał tuż za niewidzialną barierą. Tym razem Tom wiedział, że nie było żadnych drzwi. Musiał znaleźć inną drogę. Powyżej wiszącej nad Goodlands zasłony czaiła się potężna siła i Tom musiał ją wykorzystać. Czuł tę siłę jak ostre ukłucia igieł, drażniła mięśnie i zakończenia nerwów. Po jego skórze przebiegała wibracja, nad którą z trudem panował.

Miał ponad sobą potęgę żywiołu, powstrzymywaną jedynie przez cienki, niewidzialny całun. Deszcz nie mógł się przez niego przedostać, wciąż pozostawał w górze.

Tom znowu zaczął myśleć o Karen. I o pokucie.

Ludzie z Goodlands, nie wiedząc o tym, przeszli obok ciała Carla, ich samotnego, niepomuszczonego bohatera. Miejsca, gdzie leżał, teraz nie zdradzało nawet wyniesienie terenu. Opadający i unoszony wiatrem pył utworzył wszędzie zasy. Ludzie przekopywali się przez nie, z trudem stawiając kroki.

Nagle zagrzmiało. Świat rozjaśnił się na sekundę, jakby ktoś zapalił zapalniczkę w ciemnym pokoju. W białym świetle błyskawicy ludzie zobaczyli dom Karen. Bez słowa przyspieszyli kroku. Mimo że opanowani lękiem, byli zdecydowani się dowiedzieć, co tam się działo.

Gdy pierwsza osoba minęła skrzynkę na listy przy podejździe, pozostali ustawili się w jednej linii i zaczęli iść dalej gęsiego.

Panował gęsty mrok, rozświetlany co jakiś czas błyskawicami. Henry wciąż wyglądał na podwórko przez kuchenne drzwi. Udało mu się wypatrzeć przywoływacza deszczu, który stał wyprostowany, z wyciągniętymi w górę rękami. Burza przewalała mu się nad głową.

Nagle Henry usłyszał krzyk kobiety.

Gdy niebo przeszła kolejna błyskawica, zobaczył Karen Grange, skuloną w paroksyzmie bólu. Oczy miała zamknięte, ramionami zasłaniała piersi, jakby chroniła się przed porywami wiatru.

- Halo! - zawołał Henry.

Pchnął mocno drzwi i wyskoczył na werandę, potykając się o przewrócone krzesło. W oślepiającym blasku błyskawic wyglądał tak, jakby poruszał się w zwolnionym tempie.

- Halo! - zawołał jeszcze raz, ale w tym samym momencie przywoływacz deszczu też się zwrócił w stronę Karen Grange.

- Ona tutaj jest, razem ze mną, Tomie Keatleyu!

To nie był głos Karen. Tom w porę oderwał się od budzącego grozę nieba, aby usłyszeć ostatni, agoniczny krzyk, który był naprawdę krzykiem Karen. Natychmiast rzucił się w jej stronę.

Twarz Karen w jednej chwili się uspokoila, chociaż jej ciałem wciąż wstrząsały konwulsje. Tom zatrzymał się, zdezorientowany.

- Ona jest ze mną! Umiera! - poprzez odgłosy burzy dotarł do niego dziwny głos, jakby echo wydobywające się z głębokiego tunelu.

Karen uniosła rękę w nienaturalnym geście.

- Tylko ty możesz ją uratować!

Tom zobaczył w ułamku sekundy, że jej rysy się zmieniają. Widział już inną twarz. Nieznaną. I wtedy zrozumiał.

Bariera. Zasłona.

- To ty! - krzyknął.

Karen - prawdziwa Karen - znowu wydała z siebie agonalny jęk. Błyskawica przeszła niebo i zapadła ciemność. Musiał bardzo wyciszyć słuch, aby coś usłyszeć poprzez pomruki burzy.

- Chodź tu do nas! - wołał głos.

Tom był przykuty do ziemi, trzymała go tam obietnica deszczu, coraz bliższego. Początkowo nie mógł się ruszyć, rozdarty między ziemią a niebiosami. Kolejna błyskawica rozświetliła ciemności i kątem oka zobaczył postać biegnącą w stronę Karen. Mężczyzna. Gli-niarz?

- Halo! - zawołał biegnący.

Chwilę potem znowu wszystko pogrążyło się w ciemnościach. Ziemia pod nogami Toma wibrowała i nie była to wina nieba. Karen niczego nie słyszała.

Henry zbiegł ze schodków i rzucił się w stronę Karen, mając w uszach jej przerażający krzyk. Ledwo zwrócił uwagę na szczelinę w ziemi. Kobieta była po jego stronie rozpadliny, a przywoływacz deszczu po drugiej.

Uderzył kolejny piorun, któremu towarzyszyła błyskawica. Potem nastąpiła dzwoniąca w uszach cisza. Henry poczuł, jak ciarki przechodzą mu po plecach. Usłyszał bowiem coś, co nie było odgłosem burzy. Za domem pojawiło się jakieś światło i w pierwszej chwili Henry pomyślał, że ktoś zapalił lampę w salonie. Zaraz potem z tej samej strony dotarły do niego jakieś hałasy. Przy kolejnej błyskawicy Henry zobaczył wysypujący się na podwórko tłum ludzi.

Jeb Trainor, Leonard Franklin, Bart Eastly i wielu innych mieszkańców Goodlands.

Wszyscy weszli na podwórko i ustawili się w półkolu. Byli uzbrojeni. Henry obserwował ich spod oka w słabym świetle latarek i pochodni, które ze sobą przynieśli. Czekał na błyskawice, które pojawiały się teraz tak często, że podwórko wyglądało jak sala w barze Clancy'ego w sobotni wieczór, oświetlana stroboskopową lampą. Po chwili widział już tylko Jeba, który postąpił kilka kroków naprzód, celując ze strzelby. Trzymał ją ostrożnie, pewnie kurek był odwiedziony.

- Jeb! - zawołał Henry.

Trainor obejrzał się w jego stronę i pokiwał głową.

- To nasza sprawa, szeryfie. Nie wchodź nam w drogę.

Jeb położył palec na cynglu, lufę strzelby uniósł w górę, w niebo, i wypalił. Huk wystrzału niemal zlał się z grzmiotem. Kobieta chyba nie usłyszała. Przywoływacz deszczu spojrział na tłum.

- No dobra, człowieku! Powiedz nam, co się tu dzieje! - zawołał do niego Jeb.

W tym momencie rozległ się kobiecy krzyk i Tom zapomniał o wszystkim.

Niebo szalało. Czuł na ramionach jego ciężar, w świetle błyskawic widział twarze zgromadzonych na podwórku ludzi.

Zaczęło się!

Na łopatkach poczuł znajome laskotanie, jakby zbierał się tam pot. Gdy stał uwięziony między niebem a ziemią, nadmiar wilgoci wydzielanej przez jego ciało spływał wąskimi strużkami w dół pleców i wsiąkał w podkoszulek.

Już niemal widział deszcz, w powietrzu skraplała się para wodna.

Znowu usłyszał Karen, jej przeraźliwy, agonálny krzyk, jakby ktoś chciał wyrwać jej serce z piersi.

- Nie! - zawołał. - Jeszcze nie! Nie teraz!

Zrobił krok w jej stronę. Nie widział na twarzy Karen brzydkiego grymasu, nie widział głębokiej rozpadliny w ziemi. Poślizgnął się i upadł. Stęknął z bólu. Chyba zwichnęła nogę.

Karen wyciągnęła przed siebie ramiona, ponad dziurę w ziemi.

- Chodź, no chodź! - zawołała nie swoim głosem.

Jej twarz wykrzywiona była w bólu i zachwycie.

Jeb mocniej oparł kolbę na ramieniu i ponownie zacisnął palec na cynglu. Ludzie rozproszyli się, otaczając kręgiem przywoływacza deszczu i Karen. Od domu nadbiegał Henry.

- Nie rób tego, Jeb! - wołał, sadząc wielkie susy.

Henry niewiele rozumiał z tego, czego był świadkiem, ale miał przecucie, że wydarzenia powinny się dalej toczyć bez niczyjej ingerencji. Z tą kobietą działo się coś złego, najprawdopodobniej oszalała. I zdał sobie sprawę, że przywoływacz deszczu nie jest wrogiem mieszkańców Goodlands.

Dopał do Jeba. Złapał za lufę i delikatnie skierował ją w dół. Jedno szybkie spojrzenie na twarze zgromadzonych wokół niego ludzi potwierdziło wcześniejsze przypuszczenia. Wszyscy byli zakłopotani i wylęknieni. Coś wisiało w powietrzu. Ludzie to czuli.

- Henry, powiedziałem ci...
- Jeb, już starczy. To nie jest tak, jak myślisz. Poczekajmy. Wskazał ręką dwie postacie pośrodku podwórka.

- Weź ją, to sobie pójdę. Inaczej ona umrze. - Karen mówiła obcym głosem. Długie włosy miała rozpuszczone, smagały jej twarz jak węże.

Tom tylko przez moment pomyślał o niebie i o tym, że wszystko straci. O tym, że mu się nie uda. Musiał wybierać.

Błyskawica rozświetliła niebo i zobaczył jej twarz. Tym razem to była Karen, jego Karen. Miała szeroko otwarte oczy. Była świadoma i przerażona.

Tom wyciągnął do niej dłoń.

- Nie, Tom. Nie rób tego - powiedziała Karen swoim głosem, słabym i pełnym bólu.

Za późno. Już złapał ją za rękę. Z tych samych ust wydobył się triumfalny chichot.

- Z prochu powstałeś, w proch... - potężne wyładowanie elektryczne nie pozwoliło jej dokończyć.

Zaraz potem rozległ się ogłuszający grzmot i w powietrzu rozeszła się woń spalonego ciała. Między Tomem i Karen pojawił się nagle dym.

A potem spadł deszcz.

Z ust Karen wydobyły się dwa okrzyki, każdy wydany innym głosem. Tom pociągnął ją ku sobie i poczuł przebiegający jego ciało prąd.

Było jasno jak w dzień. Wyładowania elektryczne następowały szybko jedno po drugim, jak na pokazie sztucznych ogni. Światło rozchodziło się po całym niebie z jednego punktu. Za plecami Toma coś upadło, rozległ się trzask ognia.

Karen wciąż krzyczała. Na jej twarzy odbywała się nieustanna walka, pojawiały się rysy innej kobiety. Obie twarze umęczone były bólem. Tom padł na kolana.

- Karen! Trzymaj mnie mocno!

Karen przez moment ścisnęła jego dłoń, ale już po chwili jej palce osłabły.

- To ja, to się dzieje we mnie! - krzyknęła przerażona.

Tom nie wiedział, co miała na myśli, ale z całych sił ciągnął ją ku sobie. Musiał ją uratować.

Niebo zalane było światłem, które wydobywało się promieniście z jednego, centralnego punktu.

Ciągnął ją tak mocno, że aż upadła, osuwając się bezwładnie w rozpadlinę w ziemi. Użył wszystkich sił, by ją stamtąd wydobyć. Karen co chwila traciła przytomność, ta druga wydawała się nieobecna.

Wreszcie Tom wydzwignął Karen z rozpadliny i przytulił do siebie.

- Przeszło chyba tędy trzęsienie ziemi, czego więc, do diabła, możemy spodziewać się teraz, huraganu? - zapytał Bart.

Tom ciągle tulił Karen w ramionach.

- Karen nie ma już między nami - usłyszał szept, a potem śmiech.

Nagle poczuł paznokcie zatapiające się w jego plecach, w miejscu gdzie tak niedawno gromadził się deszcz. Tak niedawno.

Odepchnął od siebie Karen, ale wciąż trzymała go za rękę. Na próżno starał się wyswobodzić. Leżała bez sił, a jej oddech miał słodko-mdłą woń rozkładu. Był tak ciężki, że Tom czuł go na swoim policzku.

Przez tę przerażającą woń przedzierał się zapach deszczu.

Tom łapczywie wciągnął powietrze i poczuł to wyraźnie. Zapach ciężki, słodki, ale nie mdłaco-słodki, nowy, słodko-świeży. Wilgoć. Dopiero teraz Tom zauważył, że ubranie Karen przylega do jej ciała, jakby było mokre, a jej skóra jest lodowato zimna.

- Już za późno! - wykrzyknął. Spojrzał w stronę tłumu na podwórku. - Czujecie to? Nadchodzi, czuję to!

Pomruk ludzi zlał się z ogłuszającym grzmotem. Wszyscy zobaczyli, jak niebo pęka i zalewa ich światłem. Poczuli, że kleją się do nich ubrania, skórę oblewa pot, a powietrze ma gęsty, gorący smak. Pomruki przerodziły się w okrzyki zachwyty. Wiedzieli. Nadchodził.

Obca istota w Karen wydała głośny pisk. Tom odbierał ten dźwięk całym ciałem, jakby wdarła się do jego wnętrza. Coś wysysało z niego powietrze i musiał walczyć o oddech. Ciągle czuł woń śmierci zmieszaną z zapachem nadchodzącego deszczu.

Błyskawica znowu rozświetliła niebo, rozległ się ogłuszający trzask i huk. Tom czuł, jak piorun uderza w jego plecy, rozchodzą się promieniście po skórze i łączy ze zgromadzonym tam deszczem. Przeniósł jego ciało, napębiał także Karen.

Kobięcy głos krzyczał coraz głośniejszy, aż wreszcie przybrał materialną formę. Z ust Karen wydobył się obłoczek pyłu. Gorącego, suchego pyłu. Tom odwrócił głowę.

Niebo zagrzmiało po raz ostatni, rozdarło się jak płachta niebiańskiego materiału. Podwórko zalał snop światła.

Deszcz spłynął szeroką, rwącą rzeką, napelniając kubły, beczki i zbiorniki.

Karen osunęła się w ramionach Toma, z jej ust buchnął następny obłok pyłu, ogromny. Na moment zniknęła w gęstej kurzawie.

Deszcz, który przerodził się już w hałaśliwą ulewę, zmywał z niej pył i splukiwał do rozpadliny w ziemi, gdzie tworzyły się już kałuże.

- Karen? - wyszeptał Tom.

Nie dawała znaku życia. Ukląkł. Otoczył ją ramionami, uniósł delikatnie. Głowa opadła jej do tyłu.

Pod dłońmi czuł słabe bicie serca. Osłonił Karen przed strugami deszczu i z czułością zsunął przylepione do jej twarzy włosy.

Po chwili otworzyła oczy. Uśmiechnęła się niepewnie.

- Znowu pada dzięki tobie - powiedziała.

Epilog

Miasto Goodlands zwróciło wreszcie na siebie uwagę massmediów, o cztery lata za późno.

Mediami w przypadku wielkiego deszczu w Goodlands okazała się ekipa z telewizyjnego programu „Thirty”, znanego ze skandali *in flagrante delicto* i tajemnic nie do wyjaśnienia. Reporterzy szukali miejsca, gdzie mogliby coś zjeść. Całą noc spędzili w przydrożnych krzakach pod Goodlands, bo chcieli spotkać okrytego złą sławą „znikającego chłopca” z Arbor Road. Szczęście im jednak nie dopisało. Po potężnym śniadaniu wyjechali prosto w „strefę kataklizmu”, jak to określili potem przed kamerą. Trafili na końcówkę burzy piaskowej, a ich mikrobus utknął przy drodze zaraz po przejechaniu granic Goodlands. Czekali tam, przerażeni, aż skończy się to piekło. Ale przynajmniej wszystko nagrali na taśmę.

Angela Coltrain, dawna modelka z „No Problemo Jeans”, chciała mieć więcej materiału o anomaljach pogodowych, których byli świadkami.

- Trudno, pójdziemy piechotą - oświadczyła.

Dwaj mężczyźni, którzy stanowili resztę ekipy, stanowczo się temu sprzeciwili. Jake, operator kamery, przekonywał, że pył uniemożliwi mu pracę. Niezadowolona Angela spędziła resztę przedpołudnia próbując ich przekonać, że powinni ruszyć tyłki. Udokumentowali także moment, gdy kurzawa zaczynała przycichać.

Gdy burza już prawie ustała, Jake uznał, że jest bezpiecznie i mogą ruszać. Wydmy na drodze były jednak tak wysokie, że samochód grzązł

w nich kilkakrotnie. Mężczyźni pchali, a Angela usiłowała wyjechać, zasypując ich tumanami pyłu. Za czwartym razem zrezygnowali, zostawili wóz i poszli dalej piechotą.

Nie narzekali. Szli w milczeniu.

Przynagliła ich niezwykła uroda pokrytych pyłem domów, pól i pojazdów. Już dochodzili do miasta, gdy zgasły wszystkie światła. Zgasły nagle, jakby ktoś po prostu przekreślił kontakt.

Na szczęście mieli ze sobą kamerę na podcierwień i nagrali prze-rażający, niesamowity materiał, który Angela nazwała później „Apo-kalipsą jednego miasta”. Wciąż powtarzała, że zarobią na tym ol-brzymie pieniądze i staną się sławni.

Jednak gdy niebo zaczęły rozrywać błyskawice, a ziemia drżała, jakby nadchodziło trzęsienie ziemi, wszyscy troje poczuli strach. Po-zbawieni samochodu, w którym mogliby się schronić, zaczęli rozgłā-dać się za jakimś domem. Jake rejestrował, jak idą żwirowym pod-jazdem i pukają do drzwi pierwszego napotkanego budynku miesz-kałnego. Nie było odpowiedzi. Odczekawszy dla przyzwoitości kilka minut, weszli do środka.

Skryli się tam i przez okno obserwowali, jak żywioty na zewnątrz szaleją.

Gdy niebo się otworzyło i spadł deszcz, gwałtowny jak wodospad, musieli odczekać jeszcze godzinę, zanim mogli opuścić swoją kryjów-kę. Dom wyglądał jak nawiedzony, cichy i zasypany pyłem. Nie było prądu, a telefon w salonie nie działał.

Około trzeciej po południu, po zapakowaniu kamer w plastikowe worki, byli gotowi do dalszej drogi. Angela przeszukała szafy w przedpokoju i znalazła jedną parasolkę, schowaną w samym kącie, za zimowymi ubraniami i oczywiście pokrytą grubo kurzem. Brad, dźwiękowiec, znalazł kalosze, które natychmiast włożył na nogi.

- Chryste! Czy tu nigdy nie padało? - dziwiła się Angela.

Ruszyli do miasta w strugach deszczu. Tam wreszcie znaleźli lu-dzi, których nie było widać na małych, cichych drogach, wiodących do Goodlands.

- To sprawiało wrażenie, jakby odbywał się... jakiś satanistyczny rytuał - opowiadała później Angela producentowi, usiłując usprawie-dliwić dzień, kiedy zawieruszyli się z kamerami. Jake i Brad kiwali głowami, chociaż taśmy zadawały kłam jej słowom.

- Kręć, ja spróbuje porozmawiać z ofiarami - powiedziała do Ja-ke'a, mając na myśli wywiady z mieszkańcami Goodlands.

Ekipa „Thirty” nakręciła kolejne cztery godziny materiału.

Nie udało im się jednak porozmawiać z kobietą z banku. Za to przed małym domkiem, na końcu jakiejś zapomnianej przez Boga i ludzi drogi, spotkali mężczyznę, o którym mówili wszyscy w miasteczku.

Pierwsza zobaczyła go Angela.

Wysoki, szeroki w ramionach, miał długie, mokre włosy, związane z tyłu w kucyk. Pod wilgotnym ubraniem rysowało się muskularne ciało. Jego widok sprawił, że Angela na chwilę zapomniała o swoim profesjonalizmie. Obdarzyła go uśmiechem, dzięki któremu zdobyła kiedyś wywiad z Jackiem Nicholsonem. Cała ekipa była już mniej więcej w połowie drogi na werandę, gdy zawołał:

- Proszę się nie zbliżać!

Wszyscy troje zatrzymali się posłusznie.

Angela ponownie się uśmiechnęła, przechylając kokieteryjnie głowę.

- Cześć! Nazywam się Angela Coltrain, pracuję dla telewizyjnego programu „Thirty”. Co za dzień mieliście tutaj! Chciałabym z panem chwilkę o tym porozmawiać - mówiąc to, zrobiła kilka kroków w jego stronę.

- Przykro mi - powiedział mężczyzna na werandzie, pokazując w uśmiechu śnieżnobiałe zęby. Angela poczuła, jak ogarnia ją fala gorąca. - Ale naprawdę nie ma o czym mówić.

- Czy Karen Grange jest w domu? Chcielibyśmy z nią porozmawiać, jeśli pan pozwoli - Angela wciąż zbliżała się do werandy. - Zapukam do niej, chyba że pan ją poprosi tutaj.

- Proszę się zatrzymać - głos mężczyzny zabrzmiał bardzo stanowczo, a uśmiech zniknął. - Karen odpoczywa. Potrzebuje spokoju. Idźcie stąd.

Odwrócił się od nich i położył rękę na klamce.

- Chwileczkę! - zawołała Angela. - Nie chce pan chyba, żebyśmy stali na deszczu! - Spojrzała na niego ciętymi oczami i uśmiechnęła się przymilnie, robiąc jeszcze cztery czy pięć kroków w stronę werandy.

Tom uśmiechnął się szeroko, zaraźliwie, i Angela zastąpiła swój telewizyjny uśmiech bardziej naturalnym.

Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że stoi bez słowa, chichocząc jak nastolatka. Jake zawołał szeptem jej imię. To ją otrzeźwiło.

- Proszę - zaczęła znowu - chciałabym zapytać pana o ten deszcz... Niektórzy ludzie mówią, że wykonał pan coś w rodzaju... - zawahała się, onieśmielona. Spiekła raka, wstydząc się powiedzieć coś tak głupiego o tym... niezwykłym człowieku. - Coś w rodzaju... tańca deszczu - wyrzuciła z siebie wreszcie, z trudem tłumiąc chichot.

Jake usłyszał to i kamera drgnęła, gdy spojrział ponad wizjerem, szukając wzrokiem Brada. Jego kolega wzruszył ramionami.

Tom nie spuszczał z niej oczu.

- To nie był żaden taniec. Żadna magia. Po prostu spadł deszcz. Niewielki deszczyk. Zgadzą się?

Angela kiwnęła głową.

- Tak - przytaknęła radośnie.

- Świetnie. Miło mi było cię poznać, Angelo - zakończył.

Znowu pokiwała głową.

Tom wszedł do domu. Drzwi uderzyły o framugę, wydając głuchy odgłos, który był ledwo słyszalny w szumie deszczu.

- Co to, kurwa, było? - zapytał ze złością Jake, zamykając kamerę. - Co się z tobą dzieje, do cholery?

Angela zamrugła zdziwiona. Zacisnęła mocno usta i odtrącając Jake'a ruszyła w stronę wynajętego samochodu.

- Pieprzę go - powiedziała. - I tak mamy już masę materiału. Zmontujemy to z komentarzem.

Otworzyła drzwiczki i wsiadła do auta.

- Jedziemy - rzuciła.

Wrócili tam, gdzie zostawili swój mikrobus. Z pomocą ciężarówki Barta Eastly'ego udało im się go wydobyć i uruchomić.

- Kiedy to będzie w telewizji? - zapytał Gooner.

- Damy panu znać - powiedziała Angela, uśmiechając się do niego czarująco.

Wóz ruszył i rozpoczęli podróż powrotną do Nowego Jorku.

Angela nie mogła się jednak doczekać i postanowiła zobaczyć materiał, jaki nakręcili kamerą na podcierwień. Właśnie minęli granice Goodlands, gdy Jake zamontował jej właściwą taśmę. Po chwili Angela krzyknęła ze zgrozą.

- Ta pieprzona kamera była zepsuta!

Jake spojrział przez wizjer. Na taśmie widać było pustą drogę, Arbor Road, gdzie przed przyjazdem do Goodlands czatowali na „znikającego chłopca”.

- Może to nie ta taśma - powiedział niepewnie, wkładając nową.

Panika się zaczęła, dopiero gdy przejrzeni taśmy z wywiadami.

Wszystkie były puste.

Padalo dwa tygodnie. Po kilku dniach gwałtowna ulewa skończyła się i dalej padał już równomierny, spokojny deszcz, przyjmowany z taką samą radością przez ziemię, drzewa i ludzi. Obawy, jakie mieli wszyscy mieszkańcy Goodlands po straszliwych doświadczeniach z pierwszym deszczem, zniknęły bezpowrotnie.

Angełę Coltrain uprzedził „Weston Expositor”, publikując obszerny materiał opatrzony nagłówkiem: „Potworna burza przyniosła do Goodlands deszcz”. I nikt już więcej o tym nie pisał.

Henry Barker opowiedział o wszystkim żonie, ale nie włączył prognozy pogody, aby się przekonać, czy mówiono tam o Goodlands. Obejrzała ją za to Lilly, gdy Henry był w pracy. Wspomniano tylko o deszczach w centralnej części Dakoty Północnej. Nic się zatem nie zmieniło. Lilly nawet nie wspomniała o tym mężowi.

W biurze Henry przygotował spóźniony raport, dotyczący psa zakłócającego spokój sąsiadom. Ponieważ było to już drugie zgłoszenie, sprawa została skierowana do specjalnej komisji. Wyciągnął z kieszeni torebkę, w której od kilku dni trzymał niedopalek skręta, i wrzucił ją do kosza na śmiecie przy biurku. Dochodzenie było zamknięte. Nie chciał się już dłużej zastanawiać nad sprawą, która męczyła Simpsona. Zrozumiał, że nie wszystko można wyjaśnić.

Larry Watson, Campbellowie, Bilkenowie, bracia Greeson, Sommersetowie, Paxtonowie, Trainorowie, zresztą niemal wszyscy w mieście spędzili te dwa tygodnie na przygotowaniach do ponownego obsiewania pól. Poza tym kurowali się z przeziębieniami, na które zapadli przebywając za długo na deszczu.

Ledwo George Kleinsel skończył naprawę witryny w sklepie Wagglesów, gdy mieszkańcy Goodlands zarzucili go nowymi zamówieniami. Burza poczyniła w okolicy straszne szkody. Zrywała poszycia dachów, w kilku przypadkach powaliła lżejsze konstrukcje. Farmerzy mieli teraz co innego do roboty i George wraz z pomocnikami rozplanowali sobie pracę do końca lata.

Ed Clancy nie miał najlepszego sezonu. Przesiadywał w prawie pustym barze, oglądając telewizję i smętnie popijając piwo.

Przez kilka dni krążyły różne domysły na temat śmierci Carla Simpsona. Ustały, dopiero gdy Bob Garrison ogłosił oficjalnie, że przyczyną jego zgonu było uduszenie. Koroner powiedział kolegom, że płuca Carla były bardziej zanieczyszczone pyłem niż płuca starego

górnika. Po pogrzebie Janet wróciła z Butchem do Minnesoty, gdzie mieszkała jej rodzina.

Mimo szczęśliwej odmiany losu wielu ludzi jednak wyjechało z Goodlands. Franklinowie przeprowadzili wyprzedaż i pomijając okoliczności, było to całkiem miłe wydarzenie towarzyskie. Wspaniałego kasztana, na którego miał chrapkę Jeb Trainor, kupił ktoś z Telander, ale zapłacił za niego prawie tyle, ile chciał Leonard.

Pod koniec dwutygodniowych opadów, gdy deszcz zaczynał już powoli wszystkich męczyć i denerwować, rozmowy w mieście coraz rzadziej dotyczyły spekulacji, skąd się wzięła ulewa, a częściej skupiały się na sprawach codziennych, takich jak ceny nasion, sadzenie i pielęgnowanie roślin. Życie wracało do normy.

Karen wciąż miała bandaż na rękę, ale doktor Bell powiedział, że będzie go mogła zdjąć za dwa dni. Tom, jak się okazało, miał tylko niegroźnie skręconą nogę i już po tygodniu przestał utykać.

Był jedyną osobą, z którą Karen rozmawiała o tym, co się z nią działo. Musiał ją wtedy mocno tulić do siebie, szlochała jak dziecko. Ale i te koszmary wkrótce minęły.

Piątego dnia deszczu powiedział, że ją kocha. I że nie wyjedzie, jeśli ona tego nie chce.

Deszcz wciąż padał. Gdzieś w połowie drugiego tygodnia Tom zaczął odczuwać niepokój.

Spędzał dużo czasu poza domem, podczas gdy Karen spała i czytała. W ciągu pierwszych dni deszczu spała bardzo dużo, nocami dręczyły ją złe sny. Czasami obserwowała Toma przez okno, jak stał pośrodku altanki, wystawiając głowę na deszcz. Mógł tak stać godzinami.

Odwiedzało ją wielu ludzi. Przynosili pieniądze, jedzenie i prezenty. Prawie się nie odzywali, chcieli jedynie wyrazić wdzięczność. Karen mówiła wszystkim, że to zasługa Toma. Ale jej pierwszej ściskali dłoni.

Tom wziął tylko pięćdziesiąt dolarów. Nie chciał pieniędzy od mieszkańców Goodlands ani dwóch i pół tysiąca dolarów, które cały czas leżały na dnie szafy. Nie chciał nawet o tym rozmawiać. Karen w końcu zrezygnowała.

Oboje czuli, że coś się w nim zmieniło.

Karen przypuszczała, że Tom wciąż myśli o tym, co się stało. Ona zaś przeciwnie, za wszelką cenę starała się zapomnieć o tamtym dniu.

Gdy leżała zwinięta w kłębek na łóżku, walcząc z powracającymi horrorami, wielokrotnie słyszała, że Tom wstaje i zaczyna krążyć po domu, tak jak robił to kilka godzin przed burzą. Potem słyszała trząśnięcie kuchennych drzwi i wiedziała, że długo będzie spacerował po deszczu.

Karen miała rację. Tom usiłował zrozumieć, co wydarzyło się w Goodlands. Wszystkie te lata, które spędził na przywoływaniu deszczu, nie przygotowały go do kontaktu z potęgą natury, która wtedy przepłynęła przez jego ciało i przeniknęła do Karen. Tom chciał się dowiedzieć, czy tego dnia działały także jakieś inne siły. Czy był tylko katalizatorem, czy samym deszczem. Chciał się dowiedzieć, kim był. Obudził się w nim strach.

Kochali się tak jak przedtem, czując w tym coś więcej niż tylko fizyczną przyjemność. Dużo rozmawiali, oglądali telewizję. Jedli w salonie. Siadywali na werandzie. Tom wiedział, że tak będzie wyglądało ich życie, gdy deszcz przestanie padać.

Pewnej nocy zapytał ją, czy rzeczywiście chce, aby został. Karen usłyszała w jego głosie takie błaganie, że nie była w stanie odpowiedzieć.

Gdy obudzili się rano, świeciło słońce i nie było słyhać szumu deszczu.

- Już nie pada - powiedziała Karen.

Czuła się zmęczona i ociężała. Tom pokiwał głową.

Kawę wypili na werandzie, lecz Karen nie zwróciła nawet uwagi na jej smak. Tuż pod skórą czuła okropny ból, tak dojmujący, że wprowadzał ją w dziwne odretwienie.

Niewiele rozmawiali. Karen powiedziała, że w przyszłym tygodniu wróci do pracy. Tom ujął jej rękę i wpatrywał się w gładką, różową skórę na dłoni. Przesuwał kciukiem po miękkich opuszkach jej palców, przyprowadzając tym Karen o dreszcze. Wiedziała, że chce jej coś powiedzieć.

- Tom... - zaczęła, czując w ustach nagłą suchość.

Spojrzał na nią w milczeniu.

- Uważam, że powinieneś iść - powiedziała w końcu.

Gdy tylko wymówiła ostatnie słowo, natychmiast tego pożałowała. Cóż, było już za późno.

- Nie zniknę na długo - zapewnił, patrząc w inną stronę. - Może na sześć miesięcy.

Karen nie zapytała, co w tym czasie będzie robił, była bowiem przekonana, że sam tego nie wie. Pewne było tylko to, że nie może tu już dłużej zostać. Nie teraz.

- Dokąd pójdziesz?

Wzruszył ramionami.

- Mam pięćdziesiąt dolców - uśmiechnął się.

Dopił kawę i zniknął za drzwiami, aby się spakować.

Gdy wyszedł, siedziała na stopniach werandy. Nie odwróciła się, kiedy otwierał kuchenne drzwi. Rzucił bagaż na ziemię. Karen uśmiechnęła się widząc, że wziął jej granatowy plecak firmy Louis Vuitton. Na zewnątrz przymocował brudnymi sznurówkami koc.

- Chcę go odzyskać - powiedziała.

- Zostawiłem ci na łóżku mój, na wypadek gdybyś się gdzieś wybierała.

- Wielkie dzięki.

Tom usiadł obok na schodach i wziął ją za rękę. Po kolei całował jej palce.

- Będę o tobie myślał.

- Każdego dnia?

- Każdej nocy - wyszeptał jej do ucha.

Nie mogę płakać, pomyślała. Odwróciła się i zarzuciła mu rękę na szyję, tuląc twarz do ciepłego miejsca na jego szyi.

- Do widzenia - powiedziała.

- Sześć miesięcy - powtórzył. - Nie dłużej. Może nawet krócej.

Pokiwała głową. Tom wstał i zszedł na podwórko, zarzucając sobie plecak na ramiona. Wyglądał dokładnie tak samo, jak pierwszej nocy, gdy go poznała.

Zsunął sobie czapkę na tył głowy.

- Wyruszam w stronę zachodzącego słońca, jak bohater.

- Jest wpół do jedenastej rano - przypomniała mu.

- Zachodzącego gdzieś indziej - uśmiechnął się.

Spojrzał w niebo, mrużąc oczy.

- Przez jakiś czas nie będzie padało. Może przez tydzień. - Wskazał ręką na zachód. - Jest tam.

Karen zamknęła oczy i wczuła się w niebo. Deszcz był jakies pięć, sześć dni na zachód od Goodlands.

- Tak - powiedziała.

Nie wstała, gdy Tom odwrócił się i ruszył przez podwórko. Obserwowała go ze schodów. Zanim skręcił za róg domu, odwrócił się jeszcze, niepewnie, i spojrzął na nią. Posłał jej szybki uśmiech i wyszedł na drogę.

Karen jeszcze przez chwilę słuchała jego kroków na żwirowym podejździe. Gdy Tom był już tylko punkcikiem w krajobrazie, zamknęła oczy i zwróciła się ku niebu, czując na twarzy promienie słońca i deszcz w oddali.